

FROM THE NEW YORK TIMES BESTSELLING AUTHOR

PAJĘCZY KSIĘŻYC

D I A B Ł O [®]



MOON
OF THE
SPIDER

RICHARD A. KNAAK

RICHARD A. KNAAK

DIABLO

Pajęczy księżyc

Tłumaczenie: Grzegorz Komerski





*Wszystkim moim czytelnikom,
którzy prosili o nowe przygody
Zayla i Humbarta...*

PAJĘCZY KSIĘŻYC



JEDEN



Ciężkie, szare chmury spowijały większą część północnego zbocza gór. Ostre powiewy przenikliwego wiatru mocno dawały się we znaki wszystkim członkom wyprawy z wyjątkiem przewodnika - szczupłej, zakapturzonej postaci w cienkim, czarnym płaszczu podróżnym. Na tej wysokości pojawiał się już śnieg i przede wszystkim szron. Szron pokrywał niemal wszystko dookoła, przydając trupiego blasku jodłom, pomiędzy którymi szli.

Idący dwa kroki za przewodnikiem lord Aldric Jitan szczerzej owinął się podbitym futrem płaszczem. Oczy rudowłosego arystokraty, skryte pod kapturem kosztownego biało-brązowego stroju, bystro przeczesywały okolicę. Jedno miało kolor głębokiego brązu, drugie błękitniało jak lód.

Zniecierpliwiony Aldric zacisnął zęby. Miał kwadratową szczękę.

– Jak daleko jeszcze, magu? - mruknął. Ton jego głosu pasował do wiszących nad nimi gęstych, białych chmur.

– Już blisko, mój panie - spokojnie odparł spowity w czerń przewodnik. W odróżnieniu od arystokraty i pięciu krzepkich zbrojnych lekko kroczył po wyboistej ścieżce, jakby był na przyjemnej, popołudniowej przechadzce. Jak na człowieka o tak szczupłej, pasującej raczej do biblioteki, sylwetce miał zaskakująco niski głos. Niższy nawet niż głos lorda Jitana. Przewodnik odwrócił się i przelotnie spojrzął na arystokratę, barczystego podobnie jak jego ludzie. Przez tę chwilę można było dostrzec jego krótko obcięte, siwe włosy, okalające kościstą twarz o oczach tak wąskich, że oczy Aldrica

zdawały się przy nich niemal okrągłe. Jego karnacja miała ciemny, lekko żółtawy odcień, kojarzący się ze skórą chorych na żółtaczkę.

– Jesteśmy, śmiem przypuszczać, już na tyle blisko, że wkrótce dostrzeżemy pierwsze znaki.

– Niczego tu nie wyczuwam.

– Twoje zdolności nie są tak wyostrzone jak moje, mój panie, lecz niebawem temu zaradzimy, prawda?

– Po to właśnie wyruszyliśmy, czyż nie, magu? - burknął Aldric.

Przewodnik odwrócił się od arystokraty, ponownie ukazując mu jedynie tył czarnego kaptura.

– Tak, mój panie.

Mężczyźni znów zamilkli. Brnący mozolnie za Jitanem słudzy uginali się pod ciężkimi pakunkami. Poza prowiantem i kocami nieśli kilofy, potężne młoty i łopaty. U boku każdego z nich wisiał miecz. Las wydawał się zupełnie wymarły, lecz niebezpieczeństwo mogło nadejść w każdej chwili. Zwłaszcza ze strony wendigo. Wielkich zwierzoludzi spotykało się rzadko. Większość ludzi nie była zresztą na tyle nierozsądna, by na nie polować. Wendigo żywiły się mięsem, w tym również ludzkim. Według legendy nie od zawsze byli krwiożerczymi bestiami. W Zachodnich Królestwach nikt jednak nie przykładał wagi do tej opowieści. Liczyły się krwawe fakty. Jedyne dobre wendigo, o jakich słyszano, były martwymi wendigo.

Poza tym, czemu lord Aldric Jitan mógł osobiście zaświadczyć, martwe wendigo świetnie nadawały się na dobre, ciepłe płaszcze. Takie jak ten, który miał na sobie.

Upłynęło kilka kolejnych minut, a arystokrata nadal niczego nie wyczuwał. Badał teren przed sobą, lecz czuł jedynie niekończące się górskie pustkowie. W przeciwieństwie do nizinnej części Zachodnich Królestw, do nizin, na których żyzną glebę i przyjazny klimat z zazdrością

spoglądano ze wszystkich stron świata, ta część Marchii Zachodniej była odludna. Nawet gęsty, jodłowy las, przez który się przedzierali, zdawał się jałowy i martwy.

Lord Jitan ciężko westchnął. To tutaj było niegdyś serce starożytnej Marchii Zachodniej? To tu za dawnych czasów wznosiły się potężne siedziby Synów Rakkisa, górujące nad pierwszymi, ledwie rozkwitającymi królestwami? Przegnięte pergaminy i kruszejące kamienne tablice, studiowane przez Aldrica miesiącami, opowiadały o dużo cieplejszej - o wiele bardziej godnej królów - krainie. Czytał przecież o ogromnych - wielkością równych miastom - pałacach, z których władali członkowie jednego z pięciu rodów wywodzących się od legendarnego lorda-paladyna.

Tylko nieliczni dziś znali prawdę, skąd pochodził król Rakkis, założyciel i pierwszy władca Marchii Zachodniej. Większość z tych nielicznych, w tym Aldric, wiedziała i tak tylko tyle, że przybył skądś ze wschodu. Być może nawet spoza porośniętego dżunglą Kedżystanu. Należąc, w co wierzył, do jego potomków, Jitan przypuszczał, że to prawda. Wyjaśniało to skośny kształt jego oczu.

Los ostatnich potomków Rakkisa był kwestią przypuszczeń. Kwestią zajmującą jednak tylko niewielu. Dziedzictwo zostało niemal całkowicie zapomniane. Z tych niewielu świadectw, jakie pozostały, Aldric dowiedział się, że w odległych czasach pomiędzy zwaśnionymi stronnictwami spadkobierców Rakkisa wybuchła wojna o władzę. O źródło władzy. Ten przedmiot, owe źródło władzy, wspominało kilka przekazów. To właśnie skłoniło go do poszukiwań. Do tej pory jednak, dopóki nie spotkał swego przybyłego z dalekich stron towarzysza, trafiał zawsze w ślepy zaułek.

A nie tego przecież chciał. Noc po nocy sny stawały się coraz gorsze. Mamiły go, a zarazem męczyły. Śnił o nieprzyjaciołach czyhających na jego słabość. Widział w koszmarach skryte w cieniu postacie, tak bardzo

realne, mimo że nigdy nie dostrzegął ich twarzy ani nie pojmował ich słów. Co noc szepczące upiory zdawały się podchodzić bliżej, co noc bał się bardziej. Budził się często, zlany potem, pewny, że jego krzyk słyszeli wszyscy domownicy.

Koszmary dały mu też pierwszą wskazówkę. Wskazówkę, która naprowadziła go na trop historii lorda Rakkisa i w końcu przywiodła w te mroźne góry. Za każdym razem, gdy pozbawieni twarzy, przerażający prześladowcy byli już bliscy pochycenia go, coś przychodziło mu z pomocą. Z początku widział to jedynie jako niewyraźny kształt, coś, co pojawiało się za sprawą magii w jego złączonych dłoniach. W późniejszych snach kształty tego przedmiotu przybrały jednak bardziej określoną formę. Magiczny przedmiot stopniowo okazywał się kulą, wielką perłą, pokrytą niezwykle, lecz dziwnie znajomymi znakami. Jednocześnie w snach pojawiły się inne, wyraźne i jawne sygnały wiążące go z rodem Rakkisa. Stare, przegniłe sztandary z nienaruszonym przez czas herbem rodu, wilgotne katakumby, w których ścianach wyryto szczerzącego kły wilka, i wiele innych.

Na jego miejscu większość ludzi posądziłaby się po prostu o obłąd. Lord Aldric Jitan nie należał jednak do większości. Jeszcze zanim stwierdził, że w jego żyłach płynie krew Synów Rakkisa, Aldric przeczuwał, iż los zgotował mu szczególne przeznaczenie. Był przecież obdarzony magią. Jego moc była co prawda znikoma, lecz w snach wzmagało ją dotknięcie wielkiej perły. To właśnie ta - pochodząca od klejnotu - moc ratowała go co noc przed zgubą.

Jeśli tak działo się, gdy śnił, to czy żeby przetrwać na jawie, nie powinien odnaleźć tego, na co wskazywała podświadomość? Czy końcem tych wszystkich snów i zwieńczeniem poszukiwań nie miało być odnalezienie tego, co ten diabeł ze wschodu zwał...

– Pajęczy Księżyc...

Aldric zatrzymał się gwałtownie, jakby zmrożony na podobieństwo otaczających ich drzew. Używając mocy, gniewnie zbadał krajobraz przed sobą, lecz dostrzegał jedynie bezkresną pustkę.

– Magu! - warknął. - Co to, na Dawnych Lordów, miało znaczyć? Tu nic nie ma!

Przewodnik nawet się nie obejrzał.

– Twoje zmysły nie są odpowiednio wyostrzone, mój panie. Nie widzisz tego, co można zobaczyć, lecz przyrzekam, że nasz cel znajduje się tuż przed nami. - Mag wyciągnął jedną rękę w tył, drugą zapraszając lorda naprzód. - Podejdź, a pokażę ci przedsmak tego, czym zamierzasz zawładnąć.

Lord Jitan nie dał się długo prosić. Gnany przez swe demony, podbiegł ku szczupłej sylwetce przewodnika. Obciążona bagażem piątka służących z trudem starała się nadążyć za swym panem.

– Gdzie? Gdzie, u diabła? - Aldric widział tylko kamienne, pokryte warstwą lodu pagórki i las bez końca.

Pożółkła ręka maga wystrzeliła nagle i chwyciła dłoń Aldrica tak mocno, że ten skrzywił się z bólu.

– Zobacz...

I arystokrata zobaczył.

Wszystko wyglądało tak, jak przed chwilą. Z tym, że teraz Aldric dostrzegał to, czego nie widział wcześniej, omiatając krajobraz szybkimi spojrzeniami. Kamienne pagórki miały określony kształt. Nosiły ślady obróbki, jakiej nie mogłaby dokonać jedynie natura. Lord Jitan patrzył wzdłuż górskiego łańcucha i zrozumiał, co to znaczyło.

– Czujesz to teraz? - spytał przewodnik, rozluźniając uścisk.

Aldric przytaknął. Jak mógłby teraz przegapić? Zastanawiał się tylko, jak to się stało, że zauważył ją dopiero w owym momencie.

Twierdza ostatniego z Synów Rakkisa...

Przed nimi znajdowało się to, co dla niewtajemniczonych oczu stanowiło zwykłą, owalną nieckę, leżącą pomiędzy dwoma skalnymi grzbietami. Wzajemne podobieństwo tych grzbietów było jednak zbyt duże i wyostrzone teraz zmysły Jitana rozpoznały w nich boczne mury strzegące wejścia do dużo większej budowli, wznoszącej się na kilka pięter wzwyż. Ród Rakkisów zwykł budować swe potężne twierdze wprost w litej skale, tnąc ją tam, gdzie to było konieczne, i wykorzystując jej naturalne ukształtowanie tam, gdzie było im to na rękę. Aldric miał przed oczami całe wielopoziomowe miasto. Poziom nad poziomem, każdy niegdyś bogaty i rozległy. Widział niewielkie, wznoszące się jedna nad drugą rezydencje. Widział otoczone ogrodami pasáže. Wszystko to skrzętnie skryte przez stulecia deszczu i mrozu. Nieco ponad nim widniała wieża, z której sam władca spoglądał w dół, na swoje królestwo. Aldric przymrużył oczy i zauważył, że to, co wcześniej wydawało się jedynie wystającym fragmentem skały, było w rzeczywistości wyprostowanym ramieniem wielkiego posągu, być może przedstawiającego samego Rakkisa.

Arystokrata uśmiechnął się. Przed nim, pogrzebana pod śniegiem, lodem i kamieniami, widniała budowla, która swym rozmachem mogła śmiało mierzyć się z każdą, jaką dotąd widział lub o jakiej słyszał, zwłaszcza w Marchii.

Za nim podekscytowani zbrojni gorąco rozprawiali ściszonymi głosami. Bez wątplenia mówili o skarbie. Nie zwracał na nich uwagi. Dobrze wiedział, że wszystkie drogocenne przedmioty, jakie sobie z pewnością wyobrażali, zostały rozgrabione dawno temu, po upadku władcy. Ta hołota będzie musiała się zadowolić tym, co on sam wspaniałomyślnie im wypłaci.

Aldric pomyślał o swoim skarbie...

Jego wzrok padł na znajdujące się wśród ruin wgłębienie. Podszedł tam i popatrzył na nawarstwione skały i odłamy lodu, które -był tego pewien - zagradzały mu drogę do wyśnionego skarbu. Zwrócił się do swoich ludzi:

- No? Zostawić te graty i kopać! - rzucił szorstko.

Słudzy bezzwłocznie zabrali się do pracy, słusznie obawiając się gniewu swojego pana. Gdy ruiny wypełnił dźwięk uderzających o skałę łopat i kilofów, Aldric nie mógł opędzić się od myśli, że ten hałas może zmaćcić spokój starożytnych władców. Co ciekawe, ta myśl nie wzbudziła w nim lęku. Poczuł jedynie większą ekscytację. Tak niewiele o nich wiadano, a przecież ich dzieje prawdopodobnie stanowiły część jego własnych. Gdyby historia potoczyła się inaczej, to on mógłby teraz siedzieć w tej wysokiej wieży, dumnie spoglądając w dół, na całą Marchię Zachodnią, a nawet dalej.

Władałby światem...

Przyszło mu do głowy, że to właśnie oni, owi starożytni władcy, przyszli do niego wprost z otchłani śmierci, aby wręczyć mu klucz do jego jasnej przyszłości. Kiedy go zdobędzie, zniszczy wszystkich swych wrogów, tych znanych i tych jeszcze nieznanym. A wtedy...

Potężny, mocno uderzający kilofem, lnianowłosa mężczyzna nagle wrzasnął i runął w otchłań, która zniemacka otworzyła się pod nim. Ciemność pożarła go błyskawicznie niczym wygłodzona paszcza. Pozostali słudzy odskoczyli w tył, nie ryzykując daremnej próby ratowania towarzysza.

Lord Jitan dopadł do otworu na tyle szybko, by usłyszeć złowieszcze, głuche uderzenie. Zignorował je jednak i rozkazał:

- Światło! Dajcie tu światło!

Ledwie skończył mówić, a tuż obok rozbłysło blade, kościane światło. Blask wydobywał się z przedmiotu w rękach zakapturzonego przewodnika. Szerokie rękawy płaszcza maga zasłaniały źródło światła, lecz Aldrica to nie obchodziło. Ważne było, że mógł zobaczyć, co kryło się w czarnej otchłani.

Spękane kamienne stopnie wiły się spiralnie w prawo na wysokości dwóch pięter. Poskręcane ciało nieszczęsnego sługi oraz jego kilof leżały tuż pod schodami.

– Schodzimy, mój panie? - spytał czarodziej.

Aldric nie odpowiedział i wkroczył na wiodące w dół stopnie. Spowity w płaszcz mag zachichotał i postąpił za nim.

Światło bijące z rąk przewodnika zalewało komnatę upiorną poświatą, w której dzikie, podobne do wilków, istoty wyrzeźbione z kamienia, zdawały się ożywać i wyskakiwać na nich ze ścian. Poza wilkami, symbolem dawnych władców tego miejsca, zobaczyli wielkie kamienne gargulce. Łeb każdej z tych figur trzykroć przewyższał rozmiarem głowę człowieka. Szerokie, zębate paszcze sprawiały wrażenie czyhających na każdego, kto podejdzie zbyt blisko. Zgrabne głowy potworów odgięte były w tył, w stronę mocarnych ramion. Pod łbami widniały wyciągnięte naprzód łapy.

Gargulce oddano z taką dbałością o szczegóły, że lord Jitan mógł bez trudu rozróżnić na ich głowach pojedyncze włosy. Ogarnęła go nagła chęć, by dotknąć jednej z figur, sprawdzić, jaka jest w dotyku. Kiedy jednak postąpił krok w stronę najbliższej, ogarnęło go złowrogie przecucie. Arystokrata skrzywił się i wycofał.

Zakapturzony mężczyzna szedł dalej, oświetlając kolejne fragmenty kamiennej sali. Gdy wydał stłumiony okrzyk, co stanowiło pierwszą rysę w spokojnym dotąd zachowaniu maga, Aldric rzucił ku niemu spojrzenie.

– O co... - Słowa uwięzły mu w gardle i nie dokończył pytania.

Sarkofag.

Sarkofag był wysoki i krągły. Wysokością dorównywał co najmniej dorosłemu człowiekowi. Długi na co najmniej trzy razy tyle. Zbudowano go z jakiegoś nieznanego Jitanowi surowca. Nie był to kamień, bo żaden ze znanych mu rodzajów, nawet najbielsze marmury, nie mógł równać się pod względem gładkości i blasku z budulcem sarkofagu. Kiedy podeszli bliżej, dostrzegli, że lśni drgającym blaskiem niczym żywa istota.

Perła. Ten widok skojarzył się Aldricowi właśnie z nią, opalizującą perłą. Grobowiec wyglądał tak, jakby wykonano go z jednego, gigantycznego klejnotu.

Nigdzie na sarkofagu nie było widać łączeń. Było w nim jednak coś bardziej interesującego. Aldric Jitan przyjrzał się dokładnie pokrywającym go dziwacznym oznaczeniom. Im dłużej na nie patrzył, tym bardziej zdawały się świecić własnym światłem.

– To nie jest grób Synów Rakkisa... Nie powinien się tu znajdować.

Towarzysz pokręcił przecząco skrytą pod kapturem głową.

– Nie, mój panie, to nie jest grobowiec wilczych lordów. Spodziewałeś się, że tego właśnie szukamy? To tutaj, mój panie, jest dziełem Vizjerei... i, owszem, powinno znajdować się właśnie tu.

Arystokrata milczał w oczekiwaniu na dalszy ciąg, lecz mag nie powiedział nic więcej. Nie mogąc się powstrzymać, Aldric zbadał sarkofag dokładniej. Znalazł kolejny wzór, tuż na granicy kręgu światła.

– Magu...

Czarodziej przysunął się tak, że światło padło dokładnie na odkryty przez Aldrica symbol.

Jeden ze zbrojnych wydał stłumiony okrzyk i odskoczył w tył. Zatrzymał się tuż przy pysku jednego z wielkich kamiennych wilków.

Rozległ się rozdzierający uszy ryk i potężny łeb wystrzelił naprzód. W rozwartej szeroko paszczy błysnęły kły. Potężne szczęki otoczyły głowę zaskoczonego mężczyzny i zacisnęły się mocno.

Wilk ugryzł.

Bezglowy korpus potoczył się po posadzce. Kamienny stwór w mgnieniu oka przybrał poprzednią pozę i zamarł. Szczęki miał zaciśnięte jak wcześniej, lecz teraz skapywały z nich na ziemię szkarłatne krople. Pozostali służący cofnęli się ku schodom, lecz lord Jitan nakazał im powrót jednym, surowym spojrzeniem. Zadowolony z władzy, jaką miał nad nimi, zwrócił się z powrotem ku symbolowi zajmującemu górną część misternie zdobionego sarkofagu. Ignorując emanującą z wnętrza moc, wyraźnie teraz dlań wyczuwalną, wyciągnął palec i przesunął nim wzdłuż szkarłatnego wzoru, który tak przeraził jego ludzi.

Symbol miał kształt wielkiego koła, w którym wyobrażono złowróżbną, ośmionogą istotę. Pająka.

– Znaki Księżyca i Pająka-wyszeptał arystokrata.

– Czyż nie obiecałem? - odparł przewodnik.

Lord Jitan zaczął szukać sposobu na otwarcie grobowca. Jego palce nie znalazły jednak żadnej rysy ani uchwytu.

– Przybyliśmy w porę? - zapytał.

– W porę - odrzekł mag.

Im dłużej Aldric szukał, tym bardziej gorączkowo przebierał palcami po sarkofagu. Na próżno. W końcu zaczął bić pięściami wprost w symbol pająka.

– Szybko! Otworzyć to! -rzucił sługom, sfrustrowany. Mężczyźni z wyraźną niechęcią wzięli do rąk kilofy i zbliżyli się do sarkofagu.

– Mój panie... - zaczął zakapturzony czarodziej.

Jitan nie słuchał. Wskazał sam środek pajęczego znaku.

– Tu! Bijcie tu! - rozkazał.

Trzej służący zaczęli używać swych narzędzi z wyraźną wprawą. Pracowali, uderzając kolejno, niemal za każdym razem trafiając w sam środek pająka.

Bez rezultatu. Silne ciosy nie pozostawiły na powierzchni nawet najmniejszej rysy. Wreszcie metalowa część jednego z kilofów pękła, odleciała i z brzękiem uderzyła w ścianę sali. Aldric wstrzymał swych ludzi.

– Magu?

– Tak, mam sposób.

– Dlaczego pozwoliłeś nam zmarnować tyle cennego czasu? -Jitan wściekle zwrócił się ku czarodziejowi.

Mag nie próbował nawet przypomnieć Aldricowi, że starał się go powstrzymać.

– Większy pożytek przyjdzie z tych trzech, jeśli potrzymany pochodnie. Za chwilę będziemy potrzebować światła - oznajmił.

Lord skinął dłonią. W mgnieniu oka w rękach dwóch mężczyzn pojawiły się zapalone pochodnie.

Mag schował przedmiot, którym do tej pory oświetlał grobowiec. Zsunął kaptur z głowy i z zadowoleniem przyjrzał się sarkofagowi.

– Czekam! - warknął Aldric.

– Cierpliwość jest istotą Równowagi. - Czarownik uniósł rękę, w której zamigotał niewielki, ciemny kryształ. - Przydaje się też przy składaniu ofiar - dodał.

Nagle z klejnotu wysunęły się małe odnóża. Było ich osiem. Ku zdumieniu wszystkich, poza swym właścicielem, kryształ zeskoczył z dłoni na sarkofag, lądując wprost na symbolu pająka. Osiem kończyn wciskało się bez trudu tam, gdzie uderzenia kilofów nie pozostawiły najmniejszego

zadrapania. Odnóża kryształu z łatwością wwiercały się w pokrywę otaczającą centrum szkarłatnego znaku.

Rozległ się krótki syk i okrągła pokrywa odsunęła się na bok.

Lord Aldric Jitan nie dociekał, jak jego towarzysz wszedł w posiadanie makabrycznego klucza. Teraz liczyło się tylko to, że grobowiec stanął otworem. Pochylił się nad nim i zajrzał do wnętrza.

Ujrzał długi, owinięty w zdobne szaty kształt. Kształt, z którym coś było nie tak.

– Wyżej pochodnie! - rozkazał Aldric.

Światło ukazało w pełni zawartość grobu. Jitan nie spodziewał się już, że ujrzy ciało jednego z Rakkisów, ale to, co zobaczył, zaskoczyło go i tak.

– To Vizjerei!

Vizjerei byli pochodzącymi ze wschodu magami. Zajmowały ich jednak bardziej prozaijne sprawy niż te, którymi parał się towarzyszący mu czarodziej. Byli ambitni i chciwi. Aldricowi zdarzało się wynajmować niektórych z nich do załatwiania brudnych interesów. Co prawda, nie wszyscy oni należeli do grona wątpliwych moralnie, lecz Jitan nie dostrzegał znaczącej różnicy pomiędzy dobrymi i złymi Vizjerei. Dlaczego jednak włożyli tyle wysiłku, by chować jednego ze swoich akurat tutaj? Przede wszystkim: czemu pochowano go w tak odległym miejscu?

Skóra oraz siwe kosmyki brody i włosów nadal pokrywały kości starożytnego maga. *Turinnash*, pomarańczowa szata o szerokich ramionach, której krój nie zmieniał się od wieków, spowijała chude ciało. Jej obrzeża zdobiły złote runy, mające zapewne wzmacniać moc i chronić swego właściciela. Złoty napierśnik i pas dawały wyobrażenie o bogactwie i chwale dawnych dni, lecz nie one interesowały arystokratę. Po lewej stronie mumii spoczywał rzeźbiony w runy kij, zwyczajowy atrybut zakonu.

W sękatych, kościstych dłoniach mumia Vizjerei ścisnęła to, czego szukał lord Jitan.

Nie była tak duża jak w jego snach. Miała wielkość jabłka, może nieco większa. Była jednak równie wspaniała. Perła roztaczająca wokół księżycową poświatę. Doskonale krągła, jak księżyc, przy którego pięknie sarkofag wydawał się banalny i zgrzebny. Można by za nią kupić całe miasto. Nie, nie miasto, ale całą Marchię Zachodnią!

Być może Aldric właśnie tak by postąpił, gdyby nie to, co dostrzegł pomiędzy szponiastymi palcami Vizjerei. Osiem czarnych jak heban smug przecinających perłę. To im klejnot zawdzięczał swą nazwę. To dla nich Aldric rozpoczął poszukiwania.

To z ich powodu perłę zwano Pajęczym Księżycem.

Lord Jitan chciał sięgnąć po klejnot, lecz towarzysz chwycił go za rękę.

– Grabienie umarłych nie jest najstosowniejszym zajęciem dla kogoś twojego stanu, mój panie - oświadczył. Ton jego głosu sugerował, że nie chodziło tylko o kwestie społeczne.

Aldric uniósł brwi i strzelił palcami w stronę jednego ze swych ludzi.

– Rolf! Podaj mi to! - rozkazał.

Rolf skrzywił się, ale po chwili skłonił się Aldricowi. Oddał pochodnię kompanowi i podszedł do sarkofagu. Jęknął cicho i wyciągnął muskularne ręce po skarb swojego pana.

Jego palce musnęły dłoń mumii. Sługa zawył. Ognisty błysk wystrzelił z ciała Vizjerei wprost w niego i zniknął z powrotem w mumii.

Przemiana zajęła mniej niż mgnienie oka. Życie zostało wysrane z Rolfa, tak jak lord Jitan zwykł wysysać sok z cząstki pomarańczy. Skóra sługi wyschła, a oczy zapadły się w głąb czaszki. Barczysty mężczyzna zmienił się w poskręcany szkielet. Rolf walczył do samego końca. Bez skutku.

Gdy tylko jego wysuszone ciało opadło na podłogę i zmieniło się w potworny kopczyk, martwy Vizjerei usiadł.

Pod jego nadal spękaną i suchą skórą pojawiły się mięśnie. Upiorna, szczerząca żółte zęby twarz nabrała kształtu. Powieki maga uniosły się, odsłaniając pokłady żółtawej ropy. Z pustej krtani wydobył się charkot i Aldric poczuł wzbierającą wokół moc. Błado błyszczący pocisk nadleciał z miejsca, gdzie stał przewodnik arystokraty. Jitan spodziewał się, że uderzy tam, gdzie powinno znajdować się serce mumii, lecz pocisk w ostatniej chwili skręcił ku górze i wbił się w sam środek czoła gnijącej postaci.

Wychudzona mumia wydała z siebie szorstki skrzek i padła do sarkofagu, po czym obróciła się w proch.

Siwowłosey mag podszedł cicho i spokojnie do wypełnionego pyłem grobowca i wydobył swą broń. To był sztylet, jednak Aldric wiedział, że nie wykuto go ze stali. Był biały jak kość słoniowa. Niekoniecznie słoniowa. Bijący z niego blask widoczny był nawet w mocnym świetle pochodni.

– Brama do spełnienia twoich pragnień stoi teraz otworem, mój panie - zauważył właściciel sztyletu.

Nie chcąc tracić ni chwili, Aldric odważył się wydobyć Pajęczy Księżyc spomiędzy tego, co pozostało z palców Vizjerei. Nie powalił go żaden potężny czar. Żaden umarły nie powrócił z zaświatów, by wyssać z niego życie.

Klejnot należał do niego. W końcu go posiadał.

– To pierwszy krok - zwrócił uwagę siwy czarodziej. - Teraz musimy przygotować się do następnych. Pamiętasz o tym, mój panie?

– Pamiętam bardzo dobrze, Karybdusie - mruknął Jitan, po raz pierwszy od wielu dni wypowiadając na głos imię towarzysza. Głodził swój skarb jak kochankę. Tak jak wcześniej, przy sarkofagu, przesuwiał palcami wzdłuż linii, którym klejnot zawdzięczał swe imię.

Karybdus zdjął płaszcz.

– Musimy więc zaczynać. Czas nas goni -powiedział swoim zwykłym, spokojnym tonem.

Opadający na posadzkę płaszcz odsłonił resztę stroju maga. Karybdus odziany był na czarno, z wyjątkiem trzech dziwnych pasów na klatce piersiowej i jednego poniżej. Ramię mężczyzny chroniło coś, co po przyjrzeniu okazywało się czaszką jakiejś rogatej, obdarzonej kłami istoty, która z pewnością nie pochodziła z tego świata. Naramiennik i pasy na piersi miały tę samą barwę. Białą jak kość.

Strój maga nadawał mu wygląd wielkiego gada. Pokryto ją dużymi płytkami i łuskami. Mimo to, gdy Karybdus się poruszał, jego strój falował jak jedwab. Nie wydawał też żadnego dźwięku. Czarodziej miał na nogach sięgające za kolana, doskonale dopasowane do reszty, skórzane buty.

Sztylet, którym tak sprawnie pokonał nieumarłego Vizjerei, przytroczył do pasa. Wciąż świecił, pulsując swym własnym życiem. Jego ostrze wilo się węzowo na całej długości - aż do spiczastego końca. Na rękojeści widniał jedyny symbol pozwalający ustalić tożsamość właściciela. Prawie niedostrzegalne zdobienie obrazujące gadzią istotę i zwisające nad nią szale wagi. Na pewno znaleźliby się tacy, którzy w przedstawionym na sztylcie stworze rozpoznaliby smoka. Tylko niewielu jednak wiedziałoby, co oznaczały szale.

Smoka zwano Trag'Oul, czyli Ten, Który Jest Ośrodkiem Równowagi. Trag'Oul był tak bliski bogom jak Karybdus, jak każdy z jemu podobnych.

Trag'Oul, opiekun wyznawców Rathmy.

Opiekun nekromantów.

DWA



Gospoda Pod Czarnym Baranem była kamiennym budynkiem o płaskim dachu. Znajdowała się na krańcach miasta zwanego Marchią Zachodnią i gościła wielu podejrzanych i ciemnych typów. Paradoksalnie oznaczało to zarazem, że odwiedzało ją też wielu ludzi bogatych i wpływowych. Jej gośćmi byli zarówno poszukiwacze odpowiedniego miejsca do dobicia szemranego interesu i tacy, którzy po prostu szukali dreszczu emocji. Tego wieczoru gospodę odwiedziła tradycyjna, mieszana klientela. Siedzieli przy stołach w swych boksach, rozmawiając ściszymi głosami nad kuflami palącego gardła piwa i talerzami przypalanej baraniny. Bez względu na powód znalezienia się Pod Czarnym Baranem wszyscy jak jeden mąż, nie rozumiejąc dlaczego, spojrzeli w stronę drzwi, gdy te otworzyły się, skrzypiąc przy wtórze wielkich, miejskich dzwonów.

Ten, który przekroczył próg, miał bladą cerę i wąską twarz, pasującą bardziej do skrupulatnego buchaltera niż tajemniczego przybysza, spowitego w ciemny płaszcz i szaty. Najbardziej przykuwały uwagę jego oczy. Wyraźnie skośne i o niezwyklej szarej barwie. Spod kaptura wymykało się na czoło kilka kosmyków matowych, czarnych włosów. Szczupłą sylwetką przywodził na myśl akrobatę. Wysokie skórzane buty obcego nie wydawały żadnego dźwięku, gdy szedł po podłodze ze starych desek w stronę otwartego boksu. Płaszcz zafalował i w migotliwym świetle mosiężnych lamp oliwnych można było dostrzec małe, srebrne znaki, zdobiące obrzeża jego stroju. Srebrne symbole zabłysły, zgasły, po czym

znów zaśniły światłem. U jego pasa wisały sakiewki. Kilka mniejszych oraz jedna wyraźnie większa. W największej sakiewce znajdował się jakiś okrągły przedmiot, mniej więcej wielkości grejpfruta. Nieznajomy, zwinnie i bezszelestnie, tak samo jak wszedł, zajął miejsce na ławie w swoim boksie. Pozostali goście „Czarnego Barana” przyglądali mu się przez chwilę. Obcy jednak najzwyczajniej w świecie siedział sobie nieruchomo w cieniu, więc uwaga obecnych ponownie skupiła się na piwie i interesach.

Było jednak kilka osób, o nieprzyjemnych twarzach, które tylko udały, że zajęły się sobą. Ich spojrzenia stale wracały do wiszącej u pasa mężczyzny sakiewki i jej tajemniczej zawartości.

Nowoprzybyłego bacznie obserwowała także, siedząca w przeciwległym kącie gospody, młoda kobieta. Delikatna uroda wyróżniała ją spośród pozostałych gości „Czarnego Barana”. Razem z nią siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden z nich, potężnie zbudowany, wyglądał na ochroniarza, drugi, mniej więcej w wieku kobiety, miał rysy tak do niej podobne, że od razu widać było ich pokrewieństwo. Młodszy spojrzał na przybysza i skrzywił się, wyraźnie zniesmaczony widokiem.

Pulchna blondynka powinna obsłużyć zakapturzonego gościa, lecz odmówiła i nie wyszła zza sięgającego pasa drewnianego kontuaru, za którym lano do kufli piwo. Właściciel gospody, łysiejący, korpulentny mężczyzna w średnim wieku, skubnął wargę, po czym otarł ręce i ruszył do przybysza.

Mnąc fartuch w dłoniach, podszedł do boksu, obserwując spod ciężkich brwi nowego klienta z respektem, jaki rezerwował zwykle wyłącznie dla wysoko urodzonych gości.

– W...witaj, panie! Zwą mnie Hyram! Jestem właścicielem „Czarnego Barana”! Niezwykle zaszczyceni jesteśmy tą wizytą. Ostatni podobny tobie gość był tu... będzie już ponad dwa lata.

Gość skinął głową.

– Tak - jego głos brzmiał łagodnie i spokojnie - nie sądzę, by wielu z nas przybyło... do Marchii Zachodniej.

– Czym, czym mogę służyć?

– Czuję zapach jakiejś potrawy, to wystarczy. Poprosiłbym też o wodę... ale tu zdrowiej będzie chyba zamówić piwo.

– Ta - mruknął Hiram.

– W takim razie to wszystko... Chyba że masz wolny pokój na jedną noc?

– Tylko na jedną? - Karczmarz przełknął ślinę.

– Tylko. - Wyczuwając wahanie właściciela, przybysz sięgnął do pasa po jedną z sakiewek. Gdy ją podnosił, dało się słyszeć brzęk monet.

– Ta... Na jedną noc coś się znajdzie, mistrzu... - Niepokój karczmarza prysł niemal od razu.

– Zayl, wystarczy Zayl. - Szare spojrzenie gościa uciekło od Hyrama.

– Zaraz podaję wasze jadło i napój, mistrzu Zaylu. - Gospodarz zignorował prośbę klienta. Według niego każdy, kto mógł zapłacić choć trochę więcej, zasługiwał na tytuł. Nawet ktoś taki jak ten przybysz.

Zayl został sam. Ukradkiem obserwował salę. Nigdy dotąd nie znalazł się tak daleko od domu i pod jego pewnym siebie zachowaniem krył się niepokój. To nie on zdecydował o tym, aby wyruszyć z dżungli Kedżystanu w daleką podróż do Zachodnich Królestw. Przygnały go tu siły o wiele potężniejsze od niego.

Czy nie mógłbym być jak oni? - zastanawiał się. - Trwać w beztrosce, nieświadomy nadciągających do nas wszystkich problemów?

Los przygnał go do królestwa zwanego Marchią Zachodnią, do jego stolicy - miasta o tej samej nazwie. Ostrożne wypytywanie wśród miejscowych - ostrożne, bo ktoś o jego profesji zawsze ściągał na siebie uwagę władz - nie przyniosło mu nic prócz kilku niesprawdzonych plotek.

Dowiedział się na tyle dużo, żeby nie zrezygnować, lecz na tyle mało, iż nadal nie rozumiał, skąd wziął się nagły zew, który nakazał mu przybyć w te strony. Zayl spostrzegł, że siedząca na drugim krańcu gospody kobieta nadal uważnie go obserwuje, gdy tylko zdawało jej się, iż on nie patrzy. Ze spojrzeń, jakie wymieniała z drobniejszym z towarzyszących jej mężczyzn, najwyraźniej bratem, wywnioskował, że wiedzieli, kim jest.

Wyznawcą Rathmy. Oddanym strażnikiem Równowagi. Kimś, kto nie wahał się zejść do krainy umarłych.

Wielu ludzi, niekiedy nie bez przyczyny, stroniło od nekromantów. Nekromanci tacy jak Zayl, ci, którzy poświęcili się bez reszty naukom Rathmy, nie czynili zła. Walczyli za to z siłami Ciemności, z. Mroczną Trójcą, wiedząc, że zwycięstwo sił Piekła raz na zawsze unicestwiłoby Równowagę. Metody, jakimi się posługiwali, nie zawsze zyskiwały poklask pośród niewtajemniczonych mas, lecz w tej walce liczył się wynik. Jedna straszliwa klęska mogła oznaczać koniec dla wszystkich.

Nekromanci uczyli się uczestniczyć w tej bezustannej wojnie w pojedynkę, samotnie wybierając swą ścieżkę na podstawie tego, co dyktowały im wyczulone zmysły. Zaylem wstrząsnęło mocno, gdy poczuł bezwzględny zew, nakazujący mu wyruszyć na zachód, poza Bliźniacze Morza. Usłuchał jednak. Równowaga była zbyt zagrożona, by mógł nie dopełnić obowiązku.

Przecież Kamień Świata został zniszczony...

Powrót Hyrama przerwał jego ponure rozważania. Potrawka, zielono-brązowa breja, w której pływały cząstki warzyw i pocięte w paski mięso, pachniała i smakowała znośnie, a piwo wyglądało na niezbyt stare. Nekromanta spodziewał się czegoś gorszego, skinął więc z aprobatą. Był tak głodny, że chętnie pożarłby stół. Jednakże nie mógł okazać takiej słabości nikomu. Nawet sobie. Rathmici praktykowali długotrwałe posty po

to, aby oczyszczać za ich pomocą swe ciała. Tym razem Zayl pościł jednak dużo dłużej. W tym stanie nawet ta, wątpliwej jakości, strawa mu się przyda, przywracając pełnię sił. Zapłaciwszy karczmarzowi, nekromanta zdjął lewą rękawicę, podniósł żelazną łyżkę i zaczął jeść. Prawą dłoń, pomimo że w gospodzie robiło się coraz cieplej, pozostawił zakrytą.

Gdy sięgał po piwo, z jego sakiewki dobył się stłumiony dźwięk. Chroniona rękawicą dłoń Zayla natychmiast ześliznęła się pod stół, uderzając w woreczek. Dźwięk ustał.

Rozejrzał się kątem oka, by sprawdzić, czy ktokolwiek to widział. Wyglądało na to, że dziwne zdarzenie zauważyła tylko kobieta. Nie wydała się jednak nim poruszona i coraz żywiej rozmawiała ze swym młodym towarzyszem. Ten z kolei wzruszył ramionami i powiedział coś o Zaylu, najwyraźniej niezbyt pochlebnego.

Nekromanta powrócił do posiłku i pogrążył się w myślach. W zasadzie nie mógł mieć pewności co do losu Kamienia Świata. Jednak poszlaki były silne. Góra Arreat, gdzie wedle legendy ukryto Kamień Świata, eksplodowała. Wybuch spustoszył cały jej szczyt. Huk usłyszano nawet w odległej Marchii Zachodniej. Co więcej, plotki szerzące się pośród tych, którzy umieli patrzeć, zdawały się jedynie potwierdzać straszne przypuszczenie. Powiadano, że była to sprawka jednego z członków Mrocznej Trójcy - samego Baala, Pana Zniszczenia. Jeśli to prawda, to świat śmiertelników czekał jeszcze gorszy los. Kamień Świata istniał od niepamiętnych czasów, stworzony, jak nauczał Rathma, dla ochrony ludzi. Teraz, kiedy Światło i Ciemność tak otwarcie zapragnęły ich świata, groziło mu zniszczenie w trakcie wojny pomiędzy obiema kosmicznymi siłami. Zayl wiedział, że w jakiś sposób to wszystko wiązało się z jego nagłą podróżą do Marchii Zachodniej. Gdzieś tu, w tym właśnie królestwie, z pewnością wkrótce dadzą się odczuć skutki ohydnej zbrodni Baala.

Jedynym zmartwieniem Zayla było to, że zupełnie nie miał pojęcia, co powinien teraz uczynić. Zew przyprowadził go tu, do Marchii Zachodniej, i porzucił. Teraz czuł tylko pustkę i niepewność.

Jeśli nie możesz znaleźć drogi, zaczekaj. Droga odnajdzie cię sama.

Autorem tych słów był prawdopodobnie sam Rathma i jego wyznawca wiedział z doświadczenia, jak często okazywały się prawdziwe. Jednak, mimo lat treningu, zaczynał się niecierpliwić. Jeśli Równowaga, a wraz z nią wszystko inne, znajdowała się w niebezpieczeństwie, byłoby lepiej dla drogi, gdyby go odnalazła. I to szybko.

Człowieka, który pojawił się nagle tuż obok niego, wcześniej poczuł, niż zobaczył. Zarośnięty, z głową nakrytą czapką, mężczyzna wyglądał tak, jakby większość życia spędził na morzu. Pokrywające go blizny i brak palca wskazywały, że przez dłuższy czas w swym marynarskim życiu trudnił się korsarstwem. Marynarz pochylił się nad stołem, zasłaniając Zaylowi salę, i zmierzył nekromantę wzrokiem od stóp do głów.

– Mój przyjaciel mówi, żeś nekromanta...

– Nie myli się - odparł szybko, mając nadzieję, że taka odpowiedź utnie konwersację.

Niestety, stało się inaczej. Marynarz pochylił się bardziej, tak że Zayl poczuł duszące fale jego oddechu.

– Więc te znaki na twoim płaszczu - człowiek wziął materiał do ręki i pociągnął w swoją stronę - to coś o śmierci?

– To coś o skończoności życia i o tym, co po nim przychodzi.

– Czyli ze śmiercią.

– Między innymi. -Nekromanta nie chciał ściągać na siebie uwagi, lecz nie miał już nadziei na przyjemne zakończenie tej rozmowy. Czego on od niego chciał?

– Zabieraj te swoje brudne paluchy z moich oczu! - zahuczał aż nazbyt dobrze mu znany głos.

Za plecami Zayla rozległy się kolejno okrzyk i przekleństwo. Po nich zabrzmiało głucho stuknięcie.

– Cholera! Nie powstrzymam się, Zayl! Zayl, druhu! -wykrzyknął ten sam, znajomy głos.

Wtedy marynarz sięgnął nekromancie do gardła.

Zayl był szybszy. Nasadą lewej dłoni uderzył napastnika w szczękę, odrzucając go w tył, i wypowiedział przy tym kilka bezgłośnych słów. Przerażony przeciwnik zaczął w panice rozglądać się po sali. Wyciągniętą dłonią wskazywał puste miejsce i bełkotał:

– Na Bliźniacze Morza! To potwór! - Spojrzał w lewo. - Kolejny! Demony! Wszędzie demony!

Wrzeszcząc, precisnął się obok swego współnika, krępego brodacza, który w jednej ręce trzymał sztylet. Drugą dłoń nadal miał na wpół zaciśniętą. Strażnik Równowagi spojrział w dół, na swój pas. Gdy pierwszy z marynarzy odwrócił jego uwagę, drugi odciął mu niepostrzeżenie największą sakiewkę.

Była to, rzecz jasna, największa pomyłka w ich życiu.

Drugi ze złodziei zbyt późno zorientował się, że Zayl wstaje. Pchnął sztyletem, lecz ten wyszeptał już kolejne zaklęcie.

Ostrze przeszło powietrze obok nekromanty. Marynarz potknął się i jęknął.

– Moje oczy! Nic nie widzę! Moje oczy! - krzyczał wymachując rękami na wszystkie strony.

Efekt czaru był jedynie chwilowy, tak samo jak zaklęcie, które sprawiło, że pierwszy ze złodziei zobaczył wokół siebie demony.

Zayl wyciągnął dłoń ku oślepijonemu bandycie.

– Uważaj! - rozległ się kobiecy głos.

Szarpnął się do tyłu, w samą porę, by uniknąć cięcia mieczem, wymierzonego wprost w jego brzuch. Żyłasty mężczyzna, najwyraźniej wspólnik marynarzy, wyszczerzył zęby w uśmiechu, tnąc ponownie. Nekromanta sięgnął do pasa i wy dobył niewielki sztylet, którego wężowe ostrze wykonano z czegoś przypominającego kość słoniową. Przeciwnik zaśmiał się na ten widok, bo choć broń wyglądała niecodziennie, nie wytrzymywała porównania z rozmiarami jego miecza. Kiedy jednak zaatakował, próbując przedrzeć się przez postawiony przez Zayla blok, sztylet odbił długą klingę bez trudu. Kolejne dwa pchnięcia nie przyniosły rezultatu.

Wtedy zaatakował Zayl. Bez trudu ominął gardę napastnika i ciął sztyletem od dołu, raniąc bandytę w ramię i przez pierś. Szermierz cofnął się i potknął o skradzioną sakiewkę.

– Patrz, gdzie leziesz! - zabrzmiał głos dochodzący jakby z jej środka.

Niedoszły złodziej upadł na podłogę. Desperacko machnął mieczem w stronę przeciwnika i odsunął się. Chwycił pod ramię oślepionego kompana i razem wybiegli na zewnątrz.

Zayl nie podjął pościgu. Schował sztylet i szybko sięgnął po leżącą na ziemi sakiewkę. Wewnątrz niej rozległo się przekleństwo, lecz nekromanta przywrócił ciszę szybkim uderzeniem.

Większość klientów „Czarnego Barana” uciekła podczas walki. Nieliczni, którzy pozostali na miejscach, przyglądali się Zaylowi z niepokojem i odrazą, lecz bez strachu. Ów z zaciekawieniem spostrzegł, że nieznajoma i jej ochroniarz stali obok, jakby gotowili się nieść mu pomoc. Spośród obecnych tylko ta dwójka zdawała się nie traktować go jak nieczystą istotę. Rathmita przypomniał sobie ostrzegawczy okrzyk i

zrozumiał, że uratowała go właśnie ta młoda arystokratka. Pokłonił się lekko, widząc jej badawcze spojrzenie.

Kiedy wrócił do boksu, podszedł do niego Hyram. Od razu rozpoznał wyraz twarzy karczmarza. Widywał go nazbyt często.

– Zaraz wychodzę - poinformował Zayl, zanim tamten zebrał się w sobie, aby go o to poprosić. - Nocleg nie będzie potrzebny - dodał.

– Nie o mnie idzie - karczmarz nie potrafił ukryć zadowolenia - ale inni, oni nie rozumieją...

Spowity w czerń nekromanta wzruszeniem ramion zbył wyjaśnienia gospodarza i podniósł ze stołu rękawicę. Zakładając ją, rzucił Hyramowi kilka złotych monet.

– Myślę, że to wystarczy - powiedział.

Tłusty karczmarz spojrział na dłoń.

– To zbyt wiele, panie, nie mogę dobrowolnie... - zaczął.

– Nie kłopotz się. - Zayl wcale nie był bogaty, lecz stawiając pierwsze kroki w stolicy, chciał wzbudzić wśród miejscowych choć trochę szacunku. Zwłaszcza po tym, co przed chwilą zaszło. Czuł, że mu się to nie uda, ale warto było spróbować.

Nekromanta wyszedł z gospody tak samo cicho, jak wszedł. Nie miał pojęcia, gdzie szukać noclegu, ale w razie konieczności mógł przecież spać poza miastem. Przywykł do tego w dżunglach Kedżystanu. Tutaj mogło być co najwyżej trochę chłodniej. Trening nauczył go obojętności na zmiany temperatury, a poza tym wcale nie było tak zimno. Mgła zgęstniała. Zayl skoncentrował się, starając się patrzeć nie tylko wzrokiem.

– Przekłęte rzezimieszki - rozległo się u jego boku.

– Cicho, Humbart.

– To nie ty tarzałeś się bezradnie po podłodze... I to na trzeźwo.

Zayl klepnął sakiewkę.

– Nie, ja za to miałem wymierzony w siebie miecz.

– A tak! A gdybyś jednak chciał mi podziękować, to nie ma sprawy, stary! Co ty byś beze mnie zrobił?

Rathmita pozwolił sobie na krótki uśmiech, lecz nie odpowiedział.

Wtem poczuł czyjąś obecność.

– Cisza! - nakazał szeptem.

– Tylko nie pró... - Kolejne uderzenie uciszyło tajemniczego towarzysza na dobre.

Szperając wkoło wyostrzonymi zmysłami, Zayl zlokalizował przybysza za sobą. Zbliżywszy rękę do rękojeści sztyletu, szedł dalej. Kiedy poczuł, że prześladowca jest wystarczająco blisko, odwrócił się gwałtownie. Błade ostrze zabłysło w gotowości. Zobaczył przed sobą wielką, majaczącą w cieniu postać. Dziwnie znajomą. Gdy przyjrzał się bliżej, poznał mężczyznę. To był ochroniarz kobiety, która ostrzegła go w przybytku Pod Czarnym Baranem.

Włosy wielkoluda były krótko przycięte. Jego okrągła twarz i płaski nos o szerokich nozdrzach przywiodła nekromancie na myśl pewien gatunek wielkich małp, żyjących w dżungli. Mimo to w górującej nad nim postaci nie znalazł ani śladu małpiej głupoty. Tamten stał w pozycji wytrawnego wojownika. Taką samą pozycję przybierał często inny żołnierz, którego Zayl znał i szanował, najemnik, kapitan Kentril Dumon. Ochroniarz ubrany był w granatową liberię ze szkarłatnymi lampasami wzdłuż rękawów i nogawek. Zgodnie ze zwyczajem na wysokości serca wyszyto herb - niebieską głowę jastrzębia, otoczoną czerwonym kręgiem. Ten niemądry zwyczaj znaczenia serca wskazywał przeciwnikom wyraźny cel. Buty z szerokimi cholewami wydały się Rathmicie nieco zbyt jaskrawe, lecz nie był na tyle szalony, by wspomnieć o tym gigantowi.

– Przybywam na rozkaz pani - zagrzemiał ochroniarz, pokazując nekromancie dwie puste dłonie. Sądząc po akcencie, musiał pochodzić z okolic Lut Gholein, miasta leżącego na zachodnim brzegu Bliźniaczych Mórz, które Zayl odwiedził podczas swej niedawnej podróży.

– Pani chciałaby twej rady, Rathmito, w kwestii duchowej.

– Może kapłan Zakarum byłby tu bardziej na miejscu niż ja?

Olbrzym uśmiechnął się i Zayl nawet w ciemnościach dostrzegł biel jego zębów. Wielu zębów.

– Kapłani Zakarum nie pochwaliliby zamiarów mej pani.

Świadczył o tym wyraźnie sam fakt, że posłała po nekromantę, lecz ów nie chciał przystać bez oporu.

– A czego życzy sobie ode mnie twoja pani?

– Musi porozmawiać ze swym mężem. Pilnie.

Skoro chciała Zayla, oznaczało to, że jej mąż nie żyje. Bez wątpienia chodziło o spadek. Zdarzali się ludzie, dla których Rathmici nie byli więcej warcu niż zwykli wróże-szarlatani, popisujący się na jarmarkach. Dla takich nekromanci oznaczali po prostu płatnych cudaków, nawet jeśli niektórzy rzeczywiście posiadali dar.

Zayl chciał się odwrócić, lecz ochroniarz mu nie pozwolił. Chwyił nekromantę za ramię, nie zważając na grożące mu przy tym niebezpieczeństwo.

– Ona nie ma się do kogo zwrócić. Mówi, że coś wezwało ją do tej gospody i że gdy tylko cię ujrzała, zrozumiała, iż szukała właśnie ciebie.

Nekromanta zawahał się. Mężczyzna najprawdopodobniej kłamał, jednak historia o nagłym wezwaniu do tej samej gospody, do której został przyzwany on, sprawiła, że przypomniał sobie słowa Rathmy. Czyżby właśnie ukazała mu się droga?

Przez chwilę rozważał za i przeciw, po czym doszedł do wniosku, że więcej przemawia przeciw. Gdy jednak otworzył usta, aby odmówić, usłyszał własny głos:

– W takim razie spotkam się z twoją panią.

– Dziękuję. - Ku swemu zdziwieniu Zayl usłyszał w głosie ochroniarza wyraźną ulgę. Dziwne, jak na najemnego wojownika. Większość z nich po prostu przyjęłaby odpowiedź. Strażnik Równowagi wyczuwał w tym człowieku duże pokłady lojalności wobec pracodawczyni.

Potężny wojownik prowadził nekromantę przez spowite mgłą ulice. Zayl zgodził się co prawda spotkać z arystokratką, jednak nadal zachował wzmożoną czujność. Mimo wszystko wojownik mógł prowadzić go w pułapkę zastawioną przez złodziei lub nawet przez Zakarum. Jeśli to jednak rzeczywiście pułapka, jej plan musiał być bardzo skomplikowany. Kilka przecnic od miejsca spotkania Zayl i jego bezimienny towarzysz stanęli przed eleganckim powozem, zaprzężonym w czwórkę białych, silnych koni. Posępny woźnica, ubrany w identyczną liberię jak najemnik, skinął wielkoludowi. Rathmita zauważył, że w żaden sposób nie skrywali insygniów rodu, co stanowiło odwieczny zwyczaj arystokratów wdających się w tego typu awantury. Pani wielkoluda albo rzeczywiście nie miała nic do ukrycia przed światem, albo była bardzo naiwna.

Ochroniarz podszedł do powozu i otworzył drzwiczki. Ktoś wychylił się na zewnątrz.

Zayl aż zamarł z wrażenia.

Skórę miała ciemną, śniadą nawet bardziej niż on. Jej pełne usta odznaczały się głęboką, żywą barwą. Nie stosowała przy tym żadnych kosmetyków. Włosy spływały jej na ramiona i niżej, aż do piersi. Bez wątplenia ta twarz i kształty pociągały niejednego mężczyznę. Lecz widać było też, że nieznajoma nie należy do kobiet, które w jakikolwiek sposób

wykorzystywały ów fakt dla zysku czy innych korzyści. Nawet gdyby, to z pewnością nie spróbowalaby tego na nieczystym nekromancie.

Arystokratka przyjrzała się uważnie Zaylowi, po czym zwróciła spojrzenie na podwładnego.

– Dziękuję, Polth.

– Pani... - Wielkolud ukłonił się.

Kobieta wyciągnęła zgrabne ramię w kierunku nekromanty.

– Proszę do środka.

– Najpierw chciałbym poznać tve imię *pani*, prawdziwe imię.

Zanim zdołała odpowiedzieć, z wnętrza powozu rozległ się nieprzyjemny, męski głos:

– Na gwiazdy, Salene! Mówiłem ci, że przesadzasz. Nic mu nie mów i jedźmy z tego cuchnącego miejsca. Znam lepsze miejsca, gdzie można się upić, niż ta pułapka na pchły, którą przed chwilą opuściliśmy.

Zayl przypomniał sobie widzianego Pod Czarnym Baranem młodego mężczyznę, który był prawdopodobnie jej bratem. Jak na razie ich podobieństwo ograniczało się wyłącznie do rysów twarzy. Mężczyzna użył imienia siostry w tym samym zdaniu, w którym jej to samo odradzał. To wiele o nim mówiło.

– Cicho, Sardak - odparła, uśmiechając się do Zayla, jakby zgadując, co myślał o jej aroganckim towarzyszu. - Jeśli ma mi pomóc, to ma prawo wiedzieć.

– Takim jak on nie można ufać! Kościół Zakarum naucza, że oni wszyscy to bezczeszczące groby ghule...

Uśmiech Salene zniknął i natychmiast uciszyła surowym spojrzeniem skrytego w powozie Sardaka. Popatrzyła na Zayla z najszczerzym wyrazem żalu.

– Mój brat jest nadopiekuńczy, Rathmito. Podobnie zresztą jak ja, mistrzu...

Niewątpliwie to ona musiała bardziej opiekować się swym bratem niż na odwrót. Powstrzymał się jednak od komentarza. Skinął głową i zbliżył się do kobiety.

– Nazywam się Zayl, po prostu, moja pani.

– Po prostu Zayl?

– Wśród ludzi o mojej profesji istnieje obyczaj pomijania nazwisk i tytułów. Jesteśmy prostymi sługami Równowagi, nie wiążemy się z rodami ani klanami.

– Zatem, „po prostu Zaylu”, nazywam się lady Salene Nesardo i jeśli te informacje cię satysfakcjonują, proponuję, żebyśmy już ruszali. O rzeczach, które mam ci do powiedzenia, lepiej rozmawiać gdzie indziej.

Weszła do powozu, bez słowa zapraszając nekromantę do zajęcia miejsca. Zayl uniósł brwi ze zdziwienia. Niewiele znał kobiet, które dobrowolnie zdobyłyby się na taki gest. Nawet jeśli miałyby wywołać ducha ich bogatego małżonka. Spodziewał się, że będzie nalegała, by usiadł obok czarującego Sardaka.

Z sakiewki dobiegło stłumione Prychnięcie. Polth zmarszczył brwi, lecz dźwięk się nie powtórzył i to uspiło czujność ochroniarza.

– Mistrzu Zaylu? - ponaglił przytrzymując otwarte drzwiczki powozu.

Skłoniwszy się lekko wojownikowi, Zayl - zwinnie jak cień - wślizgnął się do środka. Salene wydała cichy okrzyk podziwu, widząc grację i szybkość, z jaką poruszał się nekromanta. Na przeciwległej kanapie Sardak zaklął pod nosem. Zayl widział w ciemnościach lepiej niż zwykli ludzie. Bez trudu więc dostrzegł nieprzyjemny wyraz twarzy młodzieńca. Pomimo jego wyraźnie wrogiej postawy wyznawca Rathmy nie czuł się zagrożony. Alkohol stanowił jedyną broń Sardaka - co więcej używał jej głównie

przeciw sobie. Przez tę krótką chwilę, gdy Zayl przyglądał się bratu, Salene doszła do siebie. Spojrzała na sporych rozmiarów sakiewkę nekromanty.

– Niewiele tu miejsca. Jeśli chcesz, mogę poprosić Poltha, by przechował to w kufrze z tyłu. Będzie wygodniej.

– Zostanie tutaj. - Zayl szybkim ruchem nakrył sakiewkę dłonią.

Niewątpliwie zauważyła, co zrobił, nie skomentowała jednak ani słowem.

– Tak, widziałam, jakiej surowej lekcji udzieliliś tym złodziejom.

Lady Nesardo nie poruszyła więcej tematu sakiewki. Nie wydawała się nawet zaciekawiona jej zawartością, choć przecież musiała słyszeć w gospodzie dobywający się z woreczka głos. Zayl pomyślał, że jeśli zgodzi się jej pomóc, to i tak dowie się, co tam ukrywa. W czasie jazdy Sardak milczał, wpatrując się weń ponuro, jakby nekromancie wyrosły kły i para rogów. Gość spodziewał się, że jego towarzyszka wyjaśni mu, czego oczekuje. Rozmawiali jednak wyłącznie na przyziemne tematy. Pytała, jak przebiegł rejs przez Bliźniacze Morza. Ciekawiło ją też Lut Gholein. Lecz ani razu nie spytała nekromanty o powód tak dalekiej wyprawy. Arystokratka robiła wszystko, co w jej mocy, żeby czuł się osobą dorównującą jej pozycji. Zayla traktowano zazwyczaj z pogardą, nieufnością bądź strachem, czego najlepszym dowodem była mina jej brata. Dlatego zachowanie kobiety spodobało się nekromancie.

Wtem, bez ostrzeżenia, opadła na niego tłumiąca zmysły fala ciemności. Była zbyt silna, nawet dla kogoś tak wytrenowanego jak on. Jęknął i opadł bezwładnie na oparcie. Wnętrze powozu zniknęło. Nekromanta znalazł się w centrum czarnego, bezdennego wiru. Czuł kościste szpony, szarpiące jego ciało. Słyszał zawodzenie tysięcy potępionych dusz. Tnące szpony nie dawały mężczyźnie wytchnienia, przypominając mu podobną sytuację z przeszłości. Zacisnął kurczowo prawą dłoń.

Nagle poczuł, że wpada w pułapkę jakiejś niewidocznej, lepkiej substancji. Była wszędzie wokół, a każdy, nawet najmniejszy, ruch wplątywał go jeszcze bardziej. Zawodzenie stało się bardziej złowrogie. Dobiegały go odgłosy walki i przedśmierne wrzaski. Stał się zabawką w rękach magicznych mocy.

Wtedy... pojawiło się coś jeszcze. Coś, co sięgało po niego ze sfery odleglejszej i dużo groźniejszej niż śmierć: Nawet z tak niewyobrażalnej odległości odebrał falę nieprzejednanej wrogości...

Jednakże w tej samej chwili wyczuł w swym skołatanim umyśle coś innego. Nie wiedział, kim lub czym to było. Czuł jedynie, że stara się go wyciągnąć z lepkiej pułapki. Przyjął niespodziewaną pomoc i zdołał wreszcie zebrać myśli. Umysł nekromanty wyrwał się z niewidocznego więzienia. Szponiaste palce i żalobne wycie zniknęły. Wraz z nimi zniknął ból. Ciemna, groźna istota wycofała się w stronę swego plugawego leża.

Stopniowo powracał zwykły świat.

Pierwszą rzeczą, jaką Zayl ujrzał, było skryte w cieniu oblicze pochylonej nad nim lady Salene Nesardo. Była wyraźnie zaniepokojona. Złożyła chłodną dłoń na jego skroni. Wtedy zdał sobie sprawę, że trzecią, zbawczą istotą w jego majaku była właśnie ona.

Arystokratka była obdarzona magią.

– Oprzytomniał! - Wolną ręką machnęła w stronę brata. - Daj mi swoją butelkę!

– Salene...

– Butelka!

Sekundy później przytknęła małą, srebrną piersiówkę do warg Zayla. Zasady Rathmitów nie wykluczały picia alkoholu, niemniej spływający mu do gardła płyn palił jak ogień. Nekromanta zakaszlał gwałtownie. Dobiegł go chichot Sardaka.

– Radzi sobie z umarłymi, a nie dał rady wódce...

Salene spojrzała na brata.

– Biorąc pod uwagę to, co w siebie wlewasz, powinieneś się cieszyć, że nie proszę go o przywołanie twojej duszy.

– Moja dusza przynajmniej potrafi pić duszkiem.

Zayl zignorował ich spór, zupełnie niezwiązany z tym oszłamiającym atakiem na jego jaźń. Poprawił się i usiadł z nieodgadnioną miną. Pewnie nawet wyglądał spokojnie, lecz wewnątrz nadal odczuwał skutki dopiero co przebytej walki. Atak zaskoczył go całkowicie, zupełnie bez przygotowania.

Skąd nadszedł? Nie wyczuł niczego po swoim przybyciu do Marchii Zachodniej. Pod Czarnym Baranem też nic go nie niepokoiło. Jak mogła umknąć jego uwadze tak potężna moc?

– Już lepiej? - spytała Salene.

– Tak, w porządku.

– Co to było?

Zayl zmierzył ją wzrokiem.

– Tu chodzi o coś więcej niż tylko o pogawędkę z cieniem ukochanego, nieprawdaż?

Powóz nagle się zatrzymał. Lady Nesardo wyjrzała pospiesznie przez okno.

– Jesteśmy na miejscu - oznajmiła, nie odpowiadając na pytanie nekromanty.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - drwiąco rzucił młodzieniec.

Przy drzwiczkach pojawił się Polth. Otworzył powóz, podał rękę swej pani i pomógł jej wysiąść. Zaraz po niej, zadziwiająco sprawnie jak na kogoś w takim stanie, wyskoczył Sardak, nawet nie patrząc w stronę nekromanty.

– Pomóż naszemu przyjacielowi, Polth - zakomenderowała na zewnątrz Salene. - Nie jechało mu się zbyt dobrze. - Ochroniarz nawet nie mrugnął. Wyciągnął wielką dłoń do Rathmity.

– Mistrzu Zaylu?

– Dziękuję, ale czuję się już dobrze.

Nekromanta wysiadł trzymając sakiewkę blisko siebie. Zauważył, że podczas gdy on zbierał siły, powóz wjechał na teren jakiejś posiadłości. Spory, ceglany, najeżony kolcami, mur otaczał szeroki, dobrze utrzymany trawnik. Powóz stał na wyłożonej kamieniami ścieżce, wiodącej spod żelaznej bramy ku prowadzącym do wnętrza schodom.

– Witamy w naszych skromnych progach - zażartowała arystokratka, wskazując dłonią budynek.

Zayl spojrział w górę... i jeszcze wyżej.

Siedziba rodu Nesardo zdecydowanie wyróżniała się na tle innych wysokich budynków, łukowato wykończonych, wyposażonych w wysokie wieże i ozdobionych siedzącymi na szerokich parapetach gargulcami. Była o wiele wyższa niż sąsiednie budowle. Wieża domu Nesardo nie kończyła się pokrytym dachówką, zniszczonym przez deszcze szpicem. Widniała na niej blada, przypominająca kształtem księżyc w pełni kula. Tak nieskazitelna i czysta, co Zayl dostrzegł nawet w mroku nocy, iż pomyślał on, że musiała być dobudowana niedawno. Zmienił jednak zdanie, gdy pobieżnie zbadał spojrzeniem całość konstrukcji. Nie ujrzał na niej żadnych łączeń czy rys, zawsze widocznych po choćby najstaranniej wykonanej przebudowie. Dom miał taką postać, w jakiej istniał od zawsze. Rathmita przeniósł spojrzenie. Poniżej niezwykle, krągłego dachu lśniąca wieża przybierała bardziej pospolity, graniasty kształt o boku co najmniej dwakroć dłuższym niż bok największego pobliskiego domostwa. Dach głównej części budynku wznosił się łukiem tak stromym, że dom Salene

przypominał nieco katedrę czy kościół, co stanowiło ostry kontrast z kulistym dachem wieży. Na każdym piętrze widniało osiem ośmiokątnych okien. Osiem żłobkowanych kolumn strzegło wejścia. Bramę zbudowano z dwóch żelaznych skrzydeł, ozdobionych ośmioma kwadratowymi ramami. Aby znaleźć się wewnątrz, gość musiał wspiać się na osiem długich marmurowych stopni. Szerokość stopni pozwalała zmieścić się na każdym z nich kilku tuzinom ludzi.

W innej sytuacji obsesyjna dbałość, z jaką oddano w konstrukcji liczbę osiem, nie uszłaby uwadze Zayla. Nauka Rathmy zawierała w sobie wiedzę o liczbach i o ich wpływie na Równowagę. Istniały liczby, które - właściwie wykorzystane - mogły przechylić jej szalę w jedną bądź drugą stronę. Teraz jednak nekromanta nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Zajęło go coś innego, o wiele bardziej niepokojącego.

Budynek, przed którym stał, nie był domem tylko dla rodu Nesardo. Znajdowało się tu również źródło owej złowrogiej mocy, która zaatakowała go w powozie.

TRZY



Zayl nie podzielił się z gospodarzami swoim odkryciem. W ślad za nimi wszedł do środka. Znów przypomniał sobie słowa Rathmy. Jakże przecież prawdziwe... Co to wszystko jednak oznaczało? Jaki to miało związek ze zniszczeniem Kamienia Świata? Sale domu rodu Nesardo były wysokie. Przecinały je cienie rzucane przez okrągłe lampy oliwne, rozstawione na stojakach pod ścianami. Sama ich ilość świadczyła o tym, że w domu musiało przebywać więcej służących niż tych dwóch, których zdołał zauważyć. Nie dostrzegł jednak nikogo innego, a jedyne kroki, jakie dało się słyszeć, należały do niego i rodzeństwa Nesardo. Skoncentrował się i wyczuł obecność kilku innych osób. Poruszały się po domu z ostrożnością, którą jak sądził, spowodowało jego przybycie. Przemierzając długie, dziwnie puste korytarze, Zayl zauważył, że wszystko tu było większe niż potrzeba. Znów poczuł się bardziej jak w świątyni niż w budynku mieszkalnym. Nekromanta nie musiał nawet użyć swej mocy, żeby stwierdzić, iż rezydencja Salene jest nie tylko większa, ale i o wiele starsza, niż przypuszczał. W zasadzie: z tego, co dotąd widział w Marchii Zachodniej, wynikało, że ta budowla powstała wcześniej niż wszystkie pozostałe w mieście.

– Dom rodu Nesardo należy do najstarszych w Marchii Zachodniej - poinformowała gospodyni.

Czyżby czytała mu w myślach? Nie zwróciwszy uwagi na szybkie, badawcze spojrzenie Zayla, Salene kontynuowała:

– Najstarsza część konstrukcji jest podobno częścią fortecy wzniesionej przez wielkiego lorda Rakkisa.

Zayl znał legendy związane z tym imieniem, lecz to, z czym ono mu się kojarzyło, w żaden sposób nie pasowało do aury, którą wyczuwał w tym miejscu. Niezależnie od tego, co mieszkańcy budynku o nim wiedzieli, było w nim coś o wiele starszego. Tak starego jak ruiny w dżunglach Kedzystanu.

– Tu nam będzie wygodnie - powiedziała po chwili arystokratka, wskazując salon mogący pomieścić większą liczbę wyznawców Rathmy, niż jej gość spotkał przez całe życie. Duży kominek, wyrzeźbiony na kształt wilczej paszczy, powitał ich płomienistą gardzielą. Ogień wyglądał tak, jakby rozniecono go ledwie przed momentem. Służących nadal nie było widać.

– Słyszeli, jak nadchodzisz - oznajmił beztrósco Sardak, sprawiając, że nekromanta i jego zaczął podejrzewać o telepatię. -Nie mogli się wprost doczekać, by cię poznać.

– Wybacz memu bratu, proszę - wtrąciła się lady Nesardo, ciepło uśmiechając się do Rathmity. - Boi się o mnie.

– A nie powinienem? Ten drań myśli, że może za pomocą oszustwa przywłaszczyć sobie cudzą własność, a swoimi mocami gotów jeszcze sprawić, że sędziowie przyznaliby mu rację.

– Tak, to całkiem możliwe. - Uśmiech Salene zgasł.

Zayl stwierdził, że powinien przejąć ster rozmowy. W jego głowie i tak kołatało się już zbyt wiele pytań dotyczących domu, a wiedział, że nie uzyska na nie odpowiedzi, jeśli ograniczy się do reagowania. Czas było działać. Rathma uczył, że był czas, by czekać, ale uczył też, że zbyt długie zwlekanie to pierwszy krok do porażki.

– Życzyliście sobie mojej pomocy - zaczął przyciągając wzrok obojga. - Będąc tym, kim jestem, i wiedząc to, co już wiem, mogę się domyślać, sądzę, że trafnie, paru rzeczy. Zanim jednak obiecuję wam moją pomoc, muszę usłyszeć całą prawdę... A dowiem się, jeśli mnie okłamiacie.

Ostatnie zdanie nie było do końca prawdziwe, jednakże reputacja nekromantów sprawiała, iż wielu wierzyło w podobne zdolności. Często pomagało im to w podejmowaniu decyzji.

– Tak... Zbyt szybko zwlekamy. - Arystokratka wskazała trzy luksusowe, obite skórą fotele, stojące przy kominku. Jej brat błyskawicznie usiadł w fotelu najbliższym ognia i sięgnął po karafkę z palonego szkła, znajdującą się na ozdobionej herbem, złotej tacy, leżącej na małym, dębowym stoliku. Obok karafki stały trzy kielichy. On jednak przystawił sobie karafkę wprost do ust.

– Sardak! Opanuj się!

– Przepraszam, droga siostrzyczko. - Sardak mruknął i odstawił trunek.

Salene skinęła głową z zadowoleniem i podeszła do fotela, który podsunął, stale przy niej obecny, Polth.

– Dziękuję, Polth. Możesz odejść.

– Pani?

– Mam do mistrza Zayla absolutne zaufanie, Polth. Jesteś wolny.

Ochroniarz skłonił się jej, Sardakowi, a nawet nekromancie. Kiedy podnosił wzrok, Zayl wyczytał w nim nieme ostrzeżenie.

Gdy tylko Polth zamknął za sobą drzwi, Salene wskazała trzeci fotel.

– Usiądź, proszę, mistrzu Zaylu.

– Dziękuję, wolę stać... I proszę nazywać mnie po prostu Zaylem.

– Wobec tego może chciałbyś się chociaż czegoś napić?

– Chcę jedynie usłyszeć to, co masz mi do powiedzenia, lady Nesardo. - Pokręcił głową.

– Usłyszysz, lecz jeśli masz nadal być „po prostu Zaylem”, odtąd zwracaj się do mnie „Salene”, a nie „lady Nesardo”.

– A do mnie nie zwracaj się w ogóle, nekromanto - powiedział Sardak z teatralnym, złośliwym uśmiechem.

Zayl zignorował go i spojrzał w oczy gospodyni. Charakteryzowały się mocnym spojrzeniem i miały barwę świeżej zieleni, przypominającej mu kolor bujnej roślinności dżungli. Były nieco skośne. Być może, gdyby zbadała dokładnie swe korzenie, nie okazałyby się zbyt odległe od jego własnych.

– Mówiłaś coś, moja pani.

Młodzieniec zarżał ze śmiechu. Salene zacisnęła usta, lecz tym razem nie napomniała brata.

– Jesteśmy w domu rodu Nesardo. Bardzo starym domu, jak już mówiłam. Niestety, Zaylu, nasz ród umiera. Masz przed sobą dwoje ostatnich spadkobierców.

– Wypiję za ten zbyt wolny koniec kiepskiej historii. - Sardak wznosił swój kielich.

Strażnik Równowagi zmarszczył brwi pod wpływem nagłej myśli.

– Nazywasz się lady Nesardo, ale twój mąż też miał...

– Miał na imię Riordan. Mieliśmy wspólnych prapradziadów, dalekie pokrewieństwo, lecz rzeczywiście nosił to samo nazwisko. Zostaliśmy skojarzeni przez naszych rodziców. Przed zawarciem małżeństwa nie znaliśmy się wcale, a nasz związek pozwolił na połączenie i pomnożenie tego, co zostało z fortuny rodu. Nie udało się jednak - Salene pokręciła głową- czego żałuję, równie pomnożyć naszych wspólnych radości. Owszem, szanowaliśmy się wzajemnie, było też w nas jakieś uczucie. Tak czy inaczej, to by mi wystarczało, gdybyśmy mieli dzieci.

Pobrali się, kiedy była ledwie dojrzałą kobietą. Riordan, choć był potężnym mężczyzną, miał z natury łagodne serce. W każdym człowieku doszukiwał się dobra. Niekiedy nazbyt długo. Nieraz został oszukany, choć nigdy nie stracił na tym zbyt wiele.

– Byliśmy ponad trzy lata po ślubie, gdy zachorował. Nikt nie potrafił spowolnić postępów choroby. Równie dobrze mógłby zginąć od miecza. Umarł w ciągu dwóch dni.

Po śmierci Riordana fortuna Nesardo przypadła w udziale młodej wdowie. Wnet okazało się, że o wiele lepiej sprawuje pieczę nad finansami rodu niż jej dobroduszny mąż. Po trzech latach odrobiła wcześniejsze straty na tyle, że mogła ze spokojem spoglądać w przyszłość.

Wtedy zjawiał się lord Aldric Jitan.

– Był znajomym mojego męża, mieli wspólne interesy, ale od śmierci Riordana lord Jitan nie utrzymywał ze mną kontaktów. Pojawił się ponownie miesiąc temu. Przyszedł do tego domu i przyniósł dokument, dowodzący według niego, że dom Nesardo jest teraz jego własnością.

Dokument wyglądał na autentyczny. Zobowiązanie do przekazania domu lordowi Jitanowi jako rekompensaty w razie nie spłacenia długu, jaki Riordan zaciągnął u niego na nieudany interes. Salene rozpoznała podpis i pieczęć męża. Dziwił ją tylko zakres tego, co według dokumentu przeznaczono na zabezpieczenie długu. Nie uwierzyła, że Riordan mógł postąpić aż tak naiwnie.

Salene spytała Jitana, czemu zwlekał z ujawnieniem pisma aż trzy lata. Zamiast odpowiedzi usłyszała piękną mowę o tym, jak to postanowił dać spokój młodej wdowie w czas żałoby. Lady domyślała się jednak, że chodziło tu o coś innego. Niestety, jej zdolności telepatyczne nie działały na Aldrica Jitana.

Gdy lady Nesardo doszła do tego momentu swej opowieści, wzięła do ręki kielich, oferowany jej przez brata. W miarę rozwoju historii widać było, jak staje się coraz bardziej spięta, jednak Zayl nie wyczuwał w niej podstępnych zamiarów. Jak dotąd zdawała się mówić prawdę.

– Od jak dawna jesteś świadoma swojego daru? - zapytał, gdy Salene skończyła i odstawiła kielich.

Tym razem nie próbowała zmienić tematu. Spojrzała mu spokojnie w oczy.

– Zaczął się ujawniać w okresie dojrzewania. Przez większość czasu trzymam go w tajemnicy. Takie zdolności nie przystoją kobiecie mojego stanu.

– A więc nie uczyłaś się, jak go wykorzystywać...

– Nie - potwierdziła arystokratka. - Choć niektóre jego aspekty poznałam lepiej niż inni.

Nekromanta przypomniał sobie, co dla niego zrobiła w powozie.

– Tam... w powozie... wyczułaś, co się ze mną dzieje. Wiedziałaś, że zostałem zaatakowany. Wiesz także, że napastnik kryje się w tym domu.

– Tak, ale nigdy dotąd nie widziałam, by to kogokolwiek zaatakowało. Gdybym się spodziewała czegoś takiego, nigdy bym cię tu nie przywiodła. Potem chciałam cię nawet poprosić, byś zniknął. Dla twojego dobra...

– Odmówiłbym. Nie lubię zostawiać takich tajemnic za plecami. - Zayl zastanowił się przez chwilę. - Mieszkałaś w tym domu, zanim jeszcze przybył do niego twój mąż. To Riordan był tu obcy.

– Tak. Urodziłam się tu.

– A ty? - Zayl spojrzał na Sardaka.

– Ja też się tu urodziłem. Nie mieszkałem tu jednak przez długi czas, moja matka była służącą.

– Sardak jest moim przyrodnim bratem, mistrzu Zaylu. - Salene spojrzała na brata z miłością. - Urodził się dwa lata po mnie. Ojciec wysłał go wraz z matką do wiejskiej posiadłości, gdzie Sardak się wychował. Gdy moja matka zmarła, ojciec przyjął go z powrotem tutaj.

– Czy ty także posiadasz ten dar, panie? - spytał nekromanta.

– Mam sporo szczęścia w kartach, jeśli to się liczy. - Uśmiechnął się znacząco, biorąc kolejny długi łyk.

– U niego to tylko ślady. Moja moc jest znacznie większa. - Kobieta spojrzała w szare oczy Rathmity. - Choć nigdy nie wykorzystałam jej dla zysku...

– Niestety zresztą... - wtrącił Sardak.

– Od zawsze potrafiłam odczytać prawdziwe intencje tych, którzy chcieli wkupić się w moje łaski. Nie udało się tylko z Jitanem - ciągnęła Salene, ignorując brata.

– Zupełnie nic?

– Nic. Kompletna pustka.

Dla Zayla było to wystarczającym dowodem. Obcy arystokrata także posiadał moc.

– Zatem, z tym dokumentem, bez trudu wygra w sądzie?

– On jest mężczyzną. Ja jestem kobietą. To jest Marchia Zachodnia. - Arystokratka odstawiła kielich.

– Czego dokładnie spodziewasz się po rozmowie z Riordanem? Jego zeznań sąd raczej nie weźmie pod uwagę.

– Rathmita ma poczucie humoru, choć może nawet sam o tym nie wie - zachichotał Sardak.

– Poza nim nie mam się do kogo zwrócić. Mam nadzieję, że powie mi coś przydatnego, to wszystko.

– W gospodzie Pod Czarnym Baranem czekałaś na mnie. Właśnie na mnie. - Nekromanta zmarszczył brwi.

– Nie, nie na ciebie - powiedziała cicho, patrząc w podłogę. -Czekałam na coś. Wiedziałam, że coś ma się wydarzyć, że coś wydarzy się na pewno, choć czekałam na to aż pięć niespokojnych nocy.

Jeśli nie możesz znaleźć drogi, zaczekaj. Droga odnajdzie cię sama. Okazało się, że słowa Rathmy stosują się nie tylko do jego wiernych wyznawców, lecz i do pozostałych ludzi.

W tej historii z pewnością kryło się coś ponad zwykły spór o rodową posiadłość. O co jednak naprawdę chodziło, Zayl nadal nie wiedział. Widział tylko jedną ścieżkę, która mogła przywieść go do pomyślnego rozwiązania sprawy.

– Nie musisz mówić nic więcej. Zrobię, co w mej mocy, by przywołać cień twego zmarłego męża, aczkolwiek nie mogę obiecać, że rezultat cię usatysfakcjonuje.

– Niczego więcej się nie spodziewam.

Salene była pragmatyczna i Zayl potrafił to docenić. Nekromanta rozważał przez chwilę, jak powinien się przygotować do wywoływania, po czym orzekł:

– Możemy zaczynać jutro o wschodzie księżyca.

– Jutro? - Młodzieniec nie wyglądał na zadowolonego, co zresztą wcale nie zdziwiło Zayla. - Dlaczego nie zrobić tego dzisiaj?

– Bo to musi odbyć się jutro w nocy. - Nekromanta przeszył Sardaka spojrzeniem szarych oczu. Arystokrata ukrył się głębiej w fotelu.

– W takim razie czuj się naszym gościem, mistrzu Zaylu. - Salene wstała z miejsca i gdy Zayl otworzył usta, żeby coś powiedzieć, dodała z uśmiechem: - Nie zmienię zdania i nie będę nazywać cię „po prostu Zaylem”, dopóki ty będziesz zwracać się do mnie inaczej niż „Salene”.

– Wedle życzenia... lady Salene.

Jej uśmiech zgasł i przeszedł w gniewne spojrzenie. Reakcja mężczyzny wyraźnie nie przypadła jej do gustu.

– Pokażę ci twoją komnatę. Sardaku, nie zaśnij przy ogniu!

– Zbędna trwoga, siostró droga. Kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha.

– Pozwolisz za mną, mistrzu Zaylu? - Lady Nesardo wdzięcznie przeszła przez pokój i otworzyła drzwi. Nekromanta podążył za nią, czujnie obserwując otoczenie.

Na korytarzu Salene zdjęła ze stojaka jedną z lamp oliwnych. Zayl dopiero teraz zorientował się, że były przenośne. Zaopatrzone je nawet w specjalne, zamontowane z tyłu uchwyty.

– Dziękuję, że się zgodziłeś - wyszeptała. Jej oczy zabłysły w świetle lampy.

– Niczego nie obiecuję - odpowiedział lekko zmieszany Zayl.

– To i tak o wiele więcej, niż dostałam od kogokolwiek - zauważyła, odwróciła się i poprowadziła go korytarzem. - O wiele więcej.

Wyznawcy Rathmy nie żyli w luksusach. Zayl poczuł się nieswojo w nowym miejscu. Luksusowe, puchowe łoża, wysokie, błyszczące krokwie wspierające dach... Elegancki, haftowany dywan, który przybył tu aż z Lut Gholein. Wszystko to sprawiło, że zatęsknił za swymi rodzinnymi dżunglami.

Drogie meble wzbudziły również mroczne wspomnienia.

Ostatnim razem, gdy oferowano mu równie wielkie bogactwa, był w dalekim, wschodnim królestwie zwanym Ureh. On, Kentril Dumon, czarodziej Vizjerei, Quov Tsin, i ludzie kapitana gościli u władcy owego królestwa, Juris Chana. Gospodarz otoczył ich najwspanialszymi z bogactw swego kraju.

Był tylko jeden problem. Ureh okazało się królestwem potępionych. Krajem straconym niegdyś do Piekła, którego mieszkańcy powrócili do świata żywych pod postacią wysysających dusze upiorów. Z całej kompanii ocalał tylko on i kapitan Dumon.

Strażnik Równowagi zacisnął skrytą w rękawicy prawą pięść. Ledwie ocalał.

– Sądząc po ciszy, zostaliśmy sami - dobiegło z sakiewki. - A nawet jeśli nie, to trudno, stary. Chcę wyjść!

– Cierpliwości, Humbart. - Nekromanta odwiązał sakiewkę od pasa i położył ją na stoliku obok łóżka. Rozsupłał tasiemkę, sięgnął do środka i wydobyl zawartość.

Puste oczodoły czaszki zdawały się wpatrywać w Zayla z dezaprobatą.

– Nareszcie! - zabrzmiał echem surowy głos, wydobywający się z jej wydrążonego środka. Czaszka nie miała szczęki. Brakowało też kilku zębów. Gdzieniedzie widniały też rysy i zadrapania. Wszystko to świadczyło o smutnym losie, jaki spotkał jej właściciela.

– Cóż, tu jest dość przyjemnie.

Humbart Wessel był - tak jak kapitan Dumon i jego ludzie - łowcą skarbów. Należał do innej - wcześniejszej i równie nieszczęśliwie zakończonej - ekspedycji, która wyruszyła na poszukiwanie zaginionego Ureh. Tyle że Humbart zginął, spadając z dużej wysokości, gdy na własną rękę próbował wrócić do miasta w kilka lat po wyprawie. Młody Zayl, wówczas pilnie studiujący wszystko, co dotyczyło Ureh, odnalazł to, co zostało z poszukiwacza przygód, i ożywił czaszkę, mając nadzieję wydobyć z niej użyteczne informacje. Z jakiegoś jednak powodu nie udało mu się odesłać przywołanej duszy najemnika z powrotem do krainy cieni. Zresztą Humbart nie wydawał się do tego specjalnie tęsknić.

Od tamtej pory odbyli wiele wspólnych podróży i, pomimo prostolinijnego charakteru oraz skłonności do nazywania rzeczy po imieniu, Wessel wiele razy uratował Zaylowi życie. Między innymi w Ureh.

Nekromanta ustawił czaszkę na stole tak, żeby jej mieszkaniec miał jak najlepszy widok na komnatę. Humbart nie miał gałek ocznych, widział jednak dobrze. Czuł też zapachy, słyszał, no i oczywiście, potrafił mówić. Zdarzało mu się utyskiwać na swój los, twierdząc, że chętnie oddałby te wszystkie zmysły w zamian za zdolność jedzenia i korzystania z innych uciech śmiertelników. Przez większość czasu był jednak zadowolony z prostego faktu istnienia.

– Bardzo przyjemne miejsce - powtórzyła czaszka. - Podobają mi się zasłony. No, ale powiedz mi, proszę, czy pani tego domu jest tak elegancka jak ta komnata i tak ładna, jak sugeruje barwa jej głosu?

– Nie po to tu jesteśmy.

W jakiś sposób czaszka zdołała parsknąć.

– Słowa godne samego Rathmy! W jaki sposób udało wam się przetrwać tyle stuleci przy takiej obojętności na sprawy serca?

Zayl zignorował tę uwagę, jak wiele innych wcześniej. W milczeniu podszedł do dużego dywanu i usiadł nań ze skrzyżowanymi nogami. Zrzucił z głowy kaptur, wyprostował plecy i wpatrzył się w ścianę.

– Zayl, druhu, tuż obok ciebie stoi ponętne, mięciutkie łożo. Skorzystaj z niego! Zrób to dla mnie! Jak często ma się możliwość wyciągnąć się na takim...

– Cicho, Humbart. Wiesz, że to nie w moim stylu.

Czaszka mruknęła coś pod nosem i zamilkła. Nekromanci nie sypiali zbyt wiele. Zamiast snu wpadali w specyficzny rodzaj transu, który pozwalał odpocząć ich ciałom, lecz nie zaciemniał zmysłów ani nie

wykluczał stosowania ich wiecznie trenowanej mocy. Nieustanny trening był konieczny, jeśli mieli skutecznie strzec Równowagi.

Oczy strażnika wpatrzone były martwo w jeden punkt na ścianie. Nie widział go jednak. Gdy usiadł, komnata znikła niemal natychmiast, przesłonięta szarawą mgiełką.

Chciał zdobyć więcej informacji o siedzibie rodu Nesardo. Zwłaszcza o jego najdawniejszych dziejach. Złowroga siła, która niemal unicestwiła go w powozie, była z tym miejscem powiązana. Nie wiedział tylko, w jaki sposób.

Jedną po drugiej usuwał bariery, które stworzył w swym umyśle w obawie przed psychicznym atakiem. Był ostrożny. Przy tego rodzaju czynnościach pośpiech mógł przynieść katastrofę.

Nie wyczuł tego, czego się spodziewał - złej istoty, która go napadła. Poczł jednak słaby, lecz trwały ślad obecności czegoś innego. Czegoś, co przenikało ściany, podłogi, całą siedzibę rodu Nesardo. Omiatał zmysłami otoczenie, aż w końcu znalazł to, czego szukał.

Z ust nieruchomo siedzącego Zayla wydobył się głuchy jęk. Znajdowały się wszędzie, stanowiły integralną część gmachu, tak jak kamienie i gwoździe, z których go zbudowano.

Kłębowisko dusz.

Było ich nieprzebrane mrowie. Zayl nigdy nie natknął się na tak wiele dusz zebranych w jednym miejscu. Nie widział ich tyłu nawet na najstarszych cmentarzach i kryptach Wschodu. Dusze domu Nesardo znajdowały się w stanie półuśpienia, nieświadome własnej śmierci. Były też nieświadome świata śmiertelnych. To zdumiało nekromantę jeszcze bardziej. Zauważył, że - niczym aktorzy w niekończącym się przedstawieniu - na okrągło przeżywały swe wcześniejsze życia. Splątane

dusze nie mieszały się ze sobą, były jednak tak mocno powiązane, że Zayl zrozumiał, iż czerpią moc jedna z drugiej.

Zafascynowany nowym odkryciem, przyjrzał się kilku z nich dokładniej. Kobieta, odziana w szeroką, inkrustowaną migocącymi klejnotami suknię balową, rozmawiała radośnie z powietrzem. Obok niej ponuro wyglądający rycerz, mężczyzna w średnim wieku, wymachiwał mieczem, walcząc z trzema czy czterema niewidocznymi przeciwnikami. Dalej bawiła się dwójka raczkujących bliźniąt. Na ich twarzach widniały ślady po ospie, wyraźna oznaka przyczyny ich śmierci.

Co ciekawe, to właśnie dzieci dostrzegły jego obecność. W tym wymiarze nekromanta nie miał ciała, widziały go jednak w postaci zbliżonej do tej, którą znali żywi. Dzieci przerwały zabawę. Wypuściły z rąk piłkę oraz małe figurki z patyczków i poważnymi spojrzeniami wpatrywały się w Zayla.

– *Pobaw się...* - wreszcie odezwało się jedno z nich, nie poruszając ustami. Wyciągnęło w stronę mężczyzny rękę z piłką.

– *Nie umiem się w to bawić* - rzekł. Jego wargi się poruszały.

Kiedy to powiedział, bliźnięta przestały się nim interesować i wróciły do przerwanej zabawy. Rzucały piłką, a po każdym rzucie wybierały jedną z drewnianych figurek. Po chwili cienie dzieci wyblakły, pozostając widoczne już tylko jako wtopione w tło niewyraźne kształty.

Przyglądając się kolejnym duszom, Zayl zauważył, że wszystkie one miały jedną wspólną cechę. Ich oczy były bardzo podobne, albo wręcz identyczne, do oczu Salene Nesardo.

Czy były to zatem dusze zmarłych członków rodu? Jeśli tak, to kobiety Nesardo musiały być bardzo płodne.

Pochłonięty widokiem Zayl oglądał jedną scenę po drugiej. Kochankowie, kłamcy, uczeni, głupcy, wojownicy i tchórze. Chorzy,

niepraktyczni, podatni na wpływy. Kłębiące się dusze arystokratów reprezentowały wszelkie ludzkie wady i zalety.

Wtedy zrozumiał, że gdzieś pomiędzy nimi powinien znajdować się cień Riordana Nesardo.

Nekromanta skoncentrował się bardziej, cicho powtarzając jego imię. Zwiększało to szansę na przyciągnięcie go bliżej. Zayl stał przed szansą uzyskania nie tylko tych informacji, o które prosiła go Salene, ale także tych, których sam poszukiwał.

Riordanie... Riordanie, mężu Salene, przybądź do mnie... Riordanie...

Dusza Riordana była najmłodsza ze wszystkich zebranych i jako taka - najłatwiejsza do przyzwania. Więc z ludzkim światem była najsilniejsza w chwili śmierci i słabła wraz z upływem lat. Przywołanie cienia osoby zmarłej przed wiekami wymagało o wiele więcej wysiłku niż wywołanie człowieka, który zmarł kilka tygodni temu. Z tego, co Rathmita dotąd widział, wynikało jednak, że ta zasada nie stosuje się do dusz rodu Nesardo. Wielu z tych, których udało się nekromancie zobaczyć, nie żyło już od setek lat, a ich dusze wyglądały na równie młode, co dusza niedawno zmarłego lorda.

Riordana nie było. Zayl nie wyczuwał go nigdzie. Powinien już zareagować na wezwanie nekromanty. Zamiast tego kolejne widma dostrzegały obecność Zayla. Kobieta w ekstrawaganckiej sukni zamilkła. Jej usta zaczęły drżeć. Rycerz zatoczył się. Jego ręka raptownie zakryła kilka nagle otwartych ran. Spojrzał na Zayla z mieszaniną wściekłości i odrazy. Para kochanków, z wyraźnymi śladami trucizny na wargach, objęła się mocno w przestrichu.

Wtedy rozpoczęła się przerażająca przemiana.

Skóra umarłych skurczyła się, przegniła i zaczęła pękać. Wielkie kawały ciała zaczęły odpadać. Kosztowne stroje poczerniały i zmieniły się w

łachmany. Na mężczyznę spojrzały puste oczodoły nagich czaszek...

Nekromanta sięgnął za daleko. Cienie zaczynały uświadamiać sobie własną śmierć. Zaczynały rozumieć, że postać, pod jaką się do tej pory postrzegały, to zwykła fasada, że ich prawdziwe ciała od dawna rozkładały się w kryptach, grobach, w ziemi... lub w jeszcze gorszych miejscach.

Zayl wycofał się natychmiast. Cofając się, czuł, jak słabnie bijąca od dusz fala rozpacz, strachu i gniewu. Tak jak się spodziewał, gdy zostawił dusze samym sobie, straciły zainteresowanie jego osobą i powróciły do porzuconych zajęć, jak wcześniej cienie bawiących się dzieci.

Kiedy mglisty świat martwych powoli zanikał, Zayl spojrzał po raz ostatni, aby sprawdzić, czy się nie mylił. Pochwycił przelotne spojrzenie kobiety w sukni. Znowu stanowiła główną atrakcję na niewidzialnym balu, wspaniała w swej sukni i z pewnością otoczona tłumem wielbicieli. Gnijące zwłoki, jakimi była jeszcze chwilę temu, znikły. Zastąpiła je poprzednia postać. Nic nie wskazywało na to, że pamięta niedawną wizytę nekromanty.

Wracając do własnego ciała, poczuł ulgę. Niewiele brakowało, by podrażnił to coś, co było sednem tajemnicy domu Nesardo. Mógł spowodować katastrofalne zakłócenie Równowagi. Musiała istnieć przyczyna, z jakiej zbierały się tu dusze wszystkich zmarłych członków rodu, i on musiał tę przyczynę ustalić. Nekromanta coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego spotkanie z Salene nie należało do zwykłych przypadków i że z pewnością chodziło w nim o coś więcej niż wywołanie ducha jej zmarłego męża.

Właśnie. Gdzie tkwiła dusza Riordana Nesardo? Dlaczego nie zareagował na wezwanie, któremu jedynie kilka znanych Zaylowi dusz było w stanie się oprzeć?

Rozgałęziona w tysięczne odnogi ścieżka, jaka otworzyła się przed nekromantą, nęciła. Skupiony na rozważaniach, prawie nie myślał o

powrocie do swej cielesnej powłoki. Zawsze robił to z taką łatwością, z jaką inni oddychali.

Przynajmniej do momentu, w którym stwierdził, że nie może wrócić,

W jego ciele znajdował się już ktoś inny.

Intruz najwyraźniej starał się zawładnąć ciałem Zayla. Strażnik Równowagi użył mocy, lecz nie udało mu się dowiedzieć, skąd się wziął nieproszony gość. Był pewien jedynie, że nie była to żadna z odkrytych przez niego dusz. Co ciekawe, natręt wydawał się w jakiś sposób znajomy. Zayl nie zastanawiał się jednak, dlaczego. Skoncentrował się na próbie odzyskania zagrabionej własności.

Kimkolwiek był intruz, brakowało mu naturalnej więzi z ciałem, jaką posiadał właściciel. Nekromanta potrafił ją wzmocnić, nawet w tak niebezpiecznych sytuacjach jak ta. Starając się zrozumieć śmierć, nekromanci musieli rozumieć także życie, zatem Zayl doskonale znał naturę sił łączących duszę z ciałem. Skoncentrował się na tej więzi, wzmacniając ją do granic. Postanowił znaleźć się z powrotem we własnym ciele, bez względu na to, czy tamten miał zamiar je opuścić, czy nie.

Dostępu broniła mocna niczym kamienny mur bariera. Nie mogła jednak powstrzymać siły spajającej Zayla i jego ziemskie ciało. Nekromanta naciskał powoli, lecz nieustępliwie, wnikając do środka.

W miarę jak docierał głębiej, odzyskiwał coraz większą władzę nad swymi ziemskimi zmysłami.

Pierwszą rzeczą, jaka do niego dotarła, okazał się krzyk Humbarta. Wydobywający się z czaszki wrzask rozlegał się w całej komnacie i zapewne w dużej części domu.

– Rzuć to, stary! Co w ciebie wstąpiło? Rzuć to, zaraza, rzuć, mówię!

Odzyskawszy w pełni swe zwykłe zmysły, Rathmita poczuł napięcie całego ciała. Zobaczył wyciągnięte przed sobą własne ręce.

Trzymany przez lewą rękę kościany sztylet Zayla mierzył w jego własną pierś. Jedyne, co powstrzymywało lewą dłoń przed zatopieniem ostrza w ciele, była skryta pod rękawicą prawa dłoń, mocno ściskająca lewą w nadgarstku. Kończyny zmagaly się ze sobą tak zajadle, że całe ciało mężczyzny drżało.

– Posłuchaj mnie, Zayl, druhu! - wrzeszczała czaszka. - Obudź się! Nie jesteś sobą!

Ktoś załomotał w drzwi. Zayl usłyszał głos Salene, lecz nie mógł zrozumieć jej słów.

Nekromanta skupił całą swą wolę, próbując nakazać lewej dłoni, by wypuściła sztylet. Z początku oparła się, ale po chwili odgiął się jeden palec, za nim kolejny...

Nagle, bez ostrzeżenia, odzyskał pełną kontrolę nad zbuntowanym ramieniem. Pięść rozwarła się i sztylet upadł na dywan. W tej samej chwili z ciała Zayla zniknął podstępny intruz. Zayl opadł z jękiem na kolana. Prawa dłoń nadal ściskała lewy przegub.

– Zayl! Ocknąłeś się! Chwała!

Nekromanta nie odpowiedział. Jego zmysły przeszukiwały otoczenie w poszukiwaniu niewidocznego wroga. Mimo wytężonych prób odkrył jednak, że jedna jedyna rzecz nie jest w porządku.

Obok niego stała Salene Nesardo.

Zayl dobrze pamiętał, że zaryglował za sobą drzwi do komnaty. Nie chciał, żeby ktoś wyrwał go z transu. Dodatkowo obłożył wejście trzema niemal niewyczuwalnymi zaklęciami, zapewniającymi, że nikt bez jego pozwolenia nie mógł dostać się do środka.

Arystokratka jednak weszła, co wiele mówiło na temat jej daru.

– Zayl! - jęknęła Salene, łapiąc go za ramiona. - Co tu się stało? Zrozumiał, że nie widziała walki. Słyszała tylko tumult i wiedziała, że stało

się z nim coś złego.

Rathmita postanowił nie wyjawiać jej na razie całej prawdy.

– Moja wina. Próbowałem zbadać moce otaczające ten budynek i przeciążyłem się. Głupi byłem.

– Przeciążyłem się? - odezwał się Humbart, zdradzając swą obecność. - To było...

– Cisza, Humbart!

– Ja tylko... - zaprotestowała czaszka.

– Humbart!

– Kto to mówi? - cicho krzyknęła Salene. Jej spojrzenie padło na czaszkę. - To ty mówiłeś!

Zayl zignorował ich oboje i podniósł sztylet prawą dłonią. Przyglądał mu się w zamyśleniu.

Czymkolwiek była siła, która zawładnęła jego ciałem oraz chciała go zgładzić, na swoje narzędzie wybrała akurat ten sztylet, atrybut wyznawców Rathmy. Przypadek? Możliwe, lecz coś mówiło Zaylowi, że intruz wiedział wiele o nekromancie, stanowczo zbyt wiele. Wyznawcy Rathmy trzymali większość informacji na swój temat w tajemnicy przed ludźmi z zewnątrz. W co się wpakował?



Karybdus przyjrzał się swojemu sztyletowi. Błady poblask nadawał broni wyjątkowo eterycznego wyglądu. Zmarszczył brwi. Tym razem z zadowolenia.

Siedział na kamiennej posadzce w oświetlonej jedynie blaskiem sztyletu sali. Jego płaszcz i szaty rozrzucone były wkoło na podłodze. Leżały tak płasko, że sprawiały wrażenie wtopionych w kamień.

Coś dużego poruszyło się gwałtownie w otaczających maga ciemnościach.

– Spokojnie, moja miłości - wymamrotał w mrok. - Należało się tego spodziewać... Ale zaradzimy i temu.

Karybdus schował sztylet i wstał nie podpierając się rękoma.

– Równowaga zostanie przywrócona - powiedział beznamiętnym głosem.
- Za wszelką cenę.

CZTERY



Salene nalegała, aby Zayl przesunął termin przyzwania o jeden dzień i odpoczął.

Nekromanta nie potrzebował jednak odpoczynku, zwłaszcza teraz, gdy dużo bardziej niż wcześniej zależało mu na wywołaniu duszy Riordana Nesardo: Dwukrotnie już atakowały go tajemnicze moce. Im dłużej myślał o tej napaści, podczas której nieznany przeciwnik próbował go zgładzić za pomocą jego własnej ręki, tym większe żywił przekonanie, że obie sytuacje nie były ze sobą powiązane. Coś mogło je oczywiście ze sobą łączyć, lecz drugi z ataków wyglądał na dzieło człowieka.

Czy napastnikiem mógł być ów lord Jitan? Jeśli tak, to miał większą wiedzę na temat wyznawców Rathmy niż zwykli ludzie. Nekromanta wprost nie mógł się doczekać spotkania z arystokratą.

Następnego dnia niebo zaciągnęło się chmurami. Zayl zrozumiał znak, jednak nie wspomniał o tym swej gospodyni. W skupieniu przygotowywał swój umysł. Miał świadomość, że zbliżające się przyzwanie nie będzie typowe. Musiał przygotować psychiczne bariery i inne sposoby ochrony samego siebie.

Sardak przespał większą część dnia, jednak Salene odwiedziła nekromantę z samego rana, by dowiedzieć się, czy mogłaby mu w czymś pomóc. Różniła się od pozostałych kobiet jej stanu. Była inna nawet niż większość mężczyzn, i nie chodziło tu jedynie o jej dar. Chodziło o coś, z

czym Rathmita zetknął się już wśród arystokracji. Salene Nesardo miała silną osobowość i była dużo odważniejsza od wielu innych ludzi.

Doskonały przykład stanowiło jej zachowanie wobec Humbarta Wessela. Wstrząs, jakim okupiła odkrycie mówiącej czaszki, nie wywołał w niej odrazy, tylko fascynację. Rankiem powitała Humbarta tak, jakby był jej gościem na równi z Zaylem. Spotkało się to z entuzjastyczną reakcją czaszki, która - gdyby nie karcące spojrzenie nekromanty - obdarowałaby gospodynię niekończącymi się opowieściami o ich wspólnych z Zaylem przygodach. Humbart dotrzymał też obietnicy wymuszonej przez towarzysza zaraz po wydarzeniach ubiegłej nocy, i nie wyjawiał Salene prawdy o tym, co zaszło.

W typowych sytuacjach nekromanta nie potrzebował długiego czasu, żeby przygotować się do przywołania. Jednakże wszystko, co wydarzyło się do tej pory, oraz fakt, iż mąż Salene Nesardo nie odpowiedział na jego wezwanie podczas wyprawy do tamtego świata, sprawiło, że Rathmita wolał mieć całą sytuację pod kontrolą.

– Godzinę po północy - poinformował wreszcie Salene i jej brata, który właśnie, wstał z łóżka. - W miejscu jego pochówku.

– Czyli pod domem. W krypcie.

Zayl spodziewał się, że jest w tym domu coś takiego. Podejrzewał też, że to właśnie owa krypta była ogniskiem, które skupiało dusze wokół siebie.

– Dobrze, zatem...

Gdzieś na zewnątrz rozległo się bicie wielkiego dzwonu. Jedno, dwa, trzy uderzenia. Uwagę gościa zwróciło dziwne, przywodzące na myśl przemijanie wszystkich rzeczy, brzmienie dzwonu.

– Dzwony - powiedziała lady, patrząc smutno. Spojrzała na Sardaka, który spochmurniał, co było u niego rzadkością.

– A więc król Cornelius nie żyje.

– Długo umierał - odpowiedział młodzieniec. - Chciałbym, żeby moja śmierć nadeszła szybko. Nie chcę umierać tygodniami jak on.

Zayłowi przypomniały się fragmenty rozmów zasłyszane przypadkiem po przybiciu do portu w Marchii Zachodniej. Wiedział, że król był chory. Nie wiedział jednak, że jego stan jest aż tak poważny. Pomyślał, że powinien się spieszyć. Ta śmierć wydarzyła się w zbyt odpowiednim, jak na jego gust, momencie.

– Czy król pozostawił następcę?

– Miał trzech synów. Jeden z nich zmarł za młodu. - Lady Nesardo zacisnęła wargi. - Jego imiennik i następca zmarł kilka miesięcy temu od ukąszenia pająka. Teraz dziedzicem tronu został Justynian. Będzie czwartym królem tego imienia.

– Niektórzy z nas nazywają go Justynianem Szerokookim - dodał Sardak z ponurym wyrazem twarzy. - Choć jest moim rówieśnikiem, jest okropnie naiwny.

– Nie wiedział, że zostanie królem. Wszyscy spodziewali się, że tron przypadnie Corneliusowi Młodszemu.

– Prawda, siostrze, ale to w niczym nie poprawia sytuacji.

Mądry, stary władca nagle umiera. Obiecujący następca ginie w wypadku. Tron dostaje się człowiekowi niepewnemu, niewypróbowanemu...

– Ukąsił go pająk? - zapytał nagle Zayl. - Jadowity pająk? Są tu takie?

– Bardzo niewiele, ale...

Salene przerwała, bo do sali weszła właśnie siwowłosa służąca. Stała załamując ręce.

– Pani, przybył właśnie generał Torion - oznajmiła starając się nie patrzeć na nekromantę.

– Generał Torion? - spytała zbita z tropu arystokratka.

– Może przyszedł, by cię uprowadzić do Entsteig. Spakować cię, siostrzyczko?

– Cicho, Sardak! Fiono, poinformuj naszego gościa, że teraz jestem bardzo zajęta...

– Bo jesteś. Przynajmniej dzisiaj - rozległo się zza pleców służki.

Fiona cicho pisnęła i uciekła. Na jej miejsce wkroczył mężczyzna będący uosobieniem wyjątko wprost z ksiązek ideału wytwornego i dobrego żołnierza, jakiego Zayl nigdy jeszcze w życiu nie spotkał. Generał Torion miał długie, brązowe włosy - uczesane pukle spływały mu na ramiona. W jego brodzie o tym samym kolorze pojawiały się już siwe włosy. Żołnierz miał jasnoniebieskie oczy. Wyrazistą twarz znaczyła blizna na lewym policzku, którą generał chętnie demonstrował. Mężczyzna był o głowę wyższy od Zayla. Także ramiona miał znacznie szersze niż nekromanta. Nie był takim wielkoludem jak Polth, ale sądząc po kociej zwinności ruchów, wyszedłby zwycięsko z ewentualnego starcia z ochroniarzem.

Gość ubrany był w czerwony mundur, ozdobiony złotym napierśnikiem. Pod lewym ramieniem trzymał otwarty hełm z pióropuszem. Całość uzupełniały wysokie buty i przytroczony do boku miecz z okrągłą gardą.

– Torionie! - powitała żołnierza Salene, która zdążyła już ochłonać ze zdumienia. - Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

Generał, z początku uśmiechnięty, nagle spochmurniał.

– Słyszałaś dzwony. Starzec zmarł już wczoraj w nocy, ale aż dotąd byliśmy zajęci przygotowaniami. Justynian od samego początku będzie potrzebował zaplecza w arystokracji. Wszyscy są zgodni, że twoje poparcie bardzo by pomogło. Nie chcemy powtórki powstania Cartolusa.

– Co wtedy zaszło? - spytał Zayl.

Torion, który podobnie jak nekromanta nie afiszował się z nazwiskiem, spojrzał nań tak, jakby dopiero spostrzegł jego obecność. Sięgnął po miecz.

– Na Kościół! Co ten pies tu robi? Salene, czy on nie zawładnął twoim umysłem?

Sardak natychmiast usunął się na bok, schodząc z drogi spodziewanej szarży generała. Kobieta przeciwnie, stanęła pomiędzy żołnierzem a nekromantą.

– Generale Torionie! Proszę się nie zapominać!

Zmitygował się natychmiast. Schował miecz i skrzywił się, jakby go spoliczkowano.

Rathmita bez trudu zrozumiał, dlaczego.

Torion kochał Salene.

– Salene - zaczął żołnierz. - Czy wiesz, czym to jest? Czy wiesz, jakich odrażających czynów dopuszczają się na cmentarzach i w grobowcach...

– Torion!

Generał zamilkł, lecz wzrokiem nadal mordował nekromantę.

– To jest Zayl. Jest tu na moje życzenie. Powinieneś wiedzieć, dlaczego. - Pani domu wskazała swego gościa ręką.

– Chodzi o tę sprawę z lordem Jitanem? Salene, gdybyś tylko udzieliła mi tego zaszczytu, o który nieraz prosiłem...

– Czternaście razy, jeśli dobrze liczę - wtrącił Sardak.

Na krótką chwilę generał przeniósł swój gniew z nekromanty na brata Salene.

– Jak już mówiłem, gdybyś się tylko zgodziła, twój problem by zniknął...

– Torionie, Nesardo to moja rodzina, moje dziedzictwo. - Nie rozwinęła wyvodu, który prawdopodobnie musiała powtarzać adoratorowi zbyt często.

Generał zwrócił się gwałtownie ku nekromancie i warknął:

– Jeśli cokolwiek jej się z twojego powodu stanie, zabiję cię, psie!

Zayl odpowiedział skinieniem głowy. Zanim sytuacja zdążyła zaognić się na nowo, odezwała się Salene:

– Przekaż radzie wyrazy mojego poparcia dla Justyniana. Ufam, że jego osoba przyniesie pomyślność Marchii Zachodniej. Jego największą wadą jest brak zdecydowania, ale wierzę, że w tym pomożesz mu ty, Torionie.

– Cieszę się, że tak uważasz. - Generał mocniej ścisnął hełm. - Salene, odwiedź mnie, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować. I uważaj na tego cmentarnego złodzieja.

– Torion!

Żołnierz opanował się, po czym uklonił się arystokratce, stukając butami. Odchodząc, spojrzął przelotnie na Sardaka, zupełnie ignorując obecność nekromanty.

– Ten człowiek wie, na czym polega dramaturgia - zażartował Sardak. - Jestem pewien, że rozmyślnie czekał przed wejściem na dzwony. Ciekawe tylko, jak długo?

– Torion jest dobrym człowiekiem, braciszku.

– Wątpię, czy zgodziłby się z tym nasz gość. Zayl, przyjacielu, myślałem, że rzuci się na ciebie i wytnie ci serce. Powiedz mi tylko, tak z ciekawości, czy potrafiłbyś je sobie potem wstawić?

– Sardak!

Młodzieniec skopiował wytworny ukłon generała.

– Myślę, droga siostrze, że na mnie już czas. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Wiem. W Pętli Kata. W towarzystwie szumowin. Wróć, zanim nadejdzie wyznaczona przez Zayla godzina. Nawet jeśli nie zejdziesz z nami do krypty, wolałabym, żebyś był w pobliżu.

– Czy ja cię kiedykolwiek zawiodłem?

– Powstrzymam się od odpowiedzi - odparowała Salene z niezmiennym wyrazem twarzy.

Sardak znów zachichotał, podszedł do siostry i ucałował ją w policzek. Zayla pożegnał kpiącym skinieniem głowy i wyszedł.

– Bardzo cię za nich obu przepraszam. - Pokręciła głową. - Zrozumiem, jeśli postanowisz natychmiast wyjechać z Marchii Zachodniej.

– Zostanę.

– Dziękuję. - Salene poweselała.

– Zostaję nie tylko ze względu na ciebie - otwarcie przyznał Zayl. - Są też inne rzeczy, których jestem tu ciekaw.

– Oczywiście, powinnam była pamiętać, że ludzie twego powołania rzadko zapuszczają się tak daleko na zachód. Chyba że mają jakieś ważne sprawy.

– To prawda - przytaknął, choć miał szczerą nadzieję, że sprawa, która go tu przywiodła, nie okaże się ważna. Żałował, że nie może porozmawiać z innymi wyznawcami Rathmy. Przydałaby mu się rada kogoś bardziej biegłego w tego typu sprawach, kogoś, kto sprawiłby, że przygotowałby się do rytuału, nie pomijając niczego.

Na takie rozważania było już jednak za późno. Zbliżała się wyznaczona godzina, a miał jeszcze sporo do zrobienia.

– Zaylu, czy mogłabym ci jakoś pomóc?

Istniała jedna rzecz, w której potrzebował jej pomocy, ale on nie miał wcale ochoty jej o to prosić. To było coś, co mogło sprawić, iż zaczęłaby żałować, że zwróciła się do nekromanty. Tak czy inaczej, poprosić musiał.

– Wybacz moją zuchwałość... Potrzebna mi będzie twoja krew.

– Moja krew? - Przez mgnienie oka mina Salene potwierdzała obawy nekromanty. Po chwili jednak zdołała się otrząsnąć. - Oczywiście - dodała wyciągając ku niemu dłoń nadgarstkiem do góry. - Weź, ile potrzeba.

– Parę kropel - wyjaśnił Rathmita, któremu zaimponowała łatwość, z jaką przystała na coś takiego. - Jesteś krewną Riordana. Daleką, ale jednak. Twoja krew ułatwi przyzwanie. Poprosiłbym twojego brata, ale...

– Dobrze, że tego nie zrobiłeś. Czekam, mistrzu Zaylu.

– Nie musisz stać, wolałbym, żebyś usiadła, moja pani. Proszę. -Chcąc podkreślić, jak mu zależy na jej dobrym samopoczuciu, podsunął krzesło.

– Prawdziwy z ciebie dżentelmen - uśmiechnęła się siadając. - Dziękuję.

Zayl poczuł coś dziwnego. Szybko jednak skoncentrował się na swym zadaniu. Wziął sztylet, a z małej sakiewki wiszącej u pasa wydobył niewielką fiolkę z matowego szkła. Zdjął z lewej dłoni rękawicę i zaczął mrużyć coś pod nosem. Jednocześnie kreślił przed panią domu dziwne znaki.

Salene siedziała nieruchoma i milcząca. Patrzyła zafascynowana. Kiedy Zayl przytknął do jej dłoni ostrze sztyletu, wstrzymała celowo oddech, by jeszcze bardziej unieruchomić rękę.

Mężczyzna nakłuł jej skórę.

Z nacięcia przez krótką chwilę pociekła krew. Sprzeciwiając się prawom natury, zaczęła wpływać w górę po ostrzu sztyletu, nadając mu szkarłatny kolor. Gdy zebrało się już tyle płynu, ile potrzebował, Zayl odsunął ostrze. Kreśląc w powietrzu nad jej dłonią kolejny znak, zasklepił ranę.

– Zaleczyłeś... - wyszeptała, gładząc placem miejsce, w którym nie było śladu skaleczenia. - Nie wiedziałam...

– Jesteśmy sługami Równowagi. Jeśli chcemy zrozumieć śmierć i to, co następuje po niej, musimy także poznać życie i jego procesy. Także lecznicze. Oczywiście, tylko w pewnym zakresie. - Mówiąc to, skierował szpic sztyletu nad buteleczkę. Mamrocząc pod nosem zaklęcie, uwolnił krew. Z zadowoleniem patrzył, jak spływa do naczynia. Gdy spłynęła cała, na sztylecie nie było ani kropli. Nekromanta odłożył swe narzędzie i

zakorkował fiolkę. Spojrzał na Salene... i zamarł. Doskonałość jej kształtów, obrysowanych falami gęstych, rudych włosów, uderzyła go zbyt gwałtownie.

– Dlaczego to robisz? - spytała arystokratka.

W pierwszej chwili pomyślał, że chodzi o jego zbyt długie wpatrywanie się. Nie patrzyła jednak na niego. Patrzyła na jego prawą dłoń.

– Dlaczego nigdy nie zdejmujesz prawej rękawicy? - powtórzyła z naciskiem. - Zdejmujesz lewą, ale nigdy prawej. Ani obu.

Była spostrzegawcza... Zbyt spostrzegawcza.

– Rodzaj mody w mojej profesji - skłamał Zayl, po czym założył lewą rękawicę i schował buteleczkę z krwią do sakiewki.

– Jeśli pozwolisz, pani, resztę przygotowań przeprowadziłbym sam.

Salene skinęła głową, ale jej wzrok wracał do prawej dłoni strażnika Równowagi. Nekromanta przesunął się tak, by ją ukryć, ukłonił się dwornie i zostawił ją samą.

Niezupełnie samą. Tuż za drzwiami stał Polth. Ochroniarz patrzył nań badawczym wzrokiem. Zayl domyślił się, że musiał być w pobliżu cały czas, choć umknęło to jego uwadze.

– Ona ci ufa, mistrzu Zaylu. Powinieneś wiedzieć, że to wiele ją kosztuje.

– Zrobię, co w mojej mocy, Polth. Ale niczego nie mogę obiecać.

– Poza tym, że jej nie skrzywdzisz. - Wyraz twarzy najemnika mówił, że nie dotrzymując tej obietnicy, nekromanta wiele by ryzykował.

Zayl skinął głową i chciał przejść obok. Zatrzymało go grube ramię ochroniarza.

– Jeszcze jedno, Rathmito. Lepiej nie wychodź z domu. Moi przyjaciele mówili, że wyznawcy Zakarum rozpytują o ubranych w czerń obcych,

wyglądających na złodziei grobów. Używają przy tym słów „heretyk” i „świętokradca”. Wspominają też o ogniu.

Nie zdziwiło to Zayla. Kościół Zakarum starał się zaszkodzić wyznawcom Rathmy, jak tylko mógł. Mimo to z wdzięcznością przyjął radę Poltha. W końcu ochroniarz nie musiał mu tego mówić, a Zayl, po wykonaniu zadania, wpadłby wprost w ramiona inkwizycji.

– Zapamiętam to, Polth.

– W nocy będę razem z panią - powiedział wielkolud. - Dla pewności.

– Oczywiście.

Ochroniarz przepuścił nekromantę, lecz ów, nawet gdy już zniknął z pola widzenia Poltha, czuł wlepione w swoje plecy spojrzenie.



– Gdzieś się podziewał? - wściekle burknął Aldric. - To nie działa!

Lord Jitan gniewnie wymachiwał Pajęczym Księżycem niczym zwyczajną, znalezionej na targu błyskotką. Wyczuwał w klejnocie magiczną siłę, lecz równie dobrze mógłby to być pomalowany kamyk. Jakkolwiek by nie próbował wykorzystać mocy perły, nic mu nie wychodziło. Nie udało mu się wykorzystać ani krztyny drzemiącej w magicznym klejnocie potęgi.

– Zatrzymały mnie pilne sprawy, mój panie - dostojnym tonem odparł Karybdus. - Poza tym noc, na którą czekamy, jeszcze nie nadeszła. Musisz wykazać się cierpliwością.

– Obiecałeś, że będę mógł wykorzystać moc klejnotu jeszcze przedtem! Tymczasem nie mogę z nim zrobić zupełnie nic!

– Nie posiadasz odpowiednich umiejętności, panie, i dlatego próbujesz uderzeniami młota otworzyć drzwi, które można otworzyć za pomocą klucza...

– Oszczędź mi swej poezji, magu: Ucz mnie!

Karybdus rozejrzał się po komnacie. Sali, będącej niegdyś biblioteką rodu Jitan, strzegło sześciu zbrojnych. Stojące wzdłuż trzech ścian wysokie, drewniane regały niegdyś pękały od umieszczonych na nich ksiąg i pergaminów. Teraz jednak półki były puste. Pokrywała je warstwa kurzu. W miarę jak arystokratę pochłaniała obsesja, wyrzucał wszystkie księgi, które nie pomagały mu w poszukiwaniach. Zniszczył przy tym kilka białych kruków nie związanych z Pajęczym Księżycem. Karybdus, którego owa strata bardzo bolała, nie dał tego nigdy po sobie poznać. Wiedział, że osiągnie swój cel tylko wtedy, jeśli dostarczy Aldricowi upragniony klejnot.

Siedzący przy wielkim, zajmującym większość biblioteki, dębowym stole lord Jitan, mimo swej imponującej postury, wyglądał na mniejszego niż zwykle. Wypolerowany, prostokątny mebel wsparto na czterech nogach, stylizowanych na oparte o kuliste przedmioty smocze łapy. Na stole leżały porozrzucone pergaminy, świadectwo nieudanych magicznych eksperymentów Aldrica.

Nauczyciel gospodarza wiedział już wcześniej, że jego podopieczny poniesie porażkę, próbując wykorzystać moc magicznej perły, jednak nie raczył go o tym poinformować. Wszystko musiało potoczyć się tak, jak to sobie zaplanował. W przeciwnym wypadku bowiem jego próba wprowadzenia koniecznych poprawek w Równowadze spaliłaby na panewce, a świat spotkałaby katastrofa.

Teraz jednak nadszedł czas, by pokazać Aldricowi przedsmak tego, czego arystokrata poszukiwał. Karybdus zbadał zbrojnych, nieprzerwanie stojących w oczekiwaniu na rozkazy. Sięgnął głęboko w ich umysły, sondując psychikę. Tak. Nadawali się. Znalazł w nich odpowiednią dozę agresji. Należało ją jedynie wywołać.

– To bardzo proste, mój panie. - Gestem nakazał strażnikowi, aby tamten zamknął drzwi, po czym podszedł do arystokraty.

– Chwyć klejnot mocno w dłonie. -Nekromanta okrążył stół i stanął tuż za Aldrikiem. Nachylił się doń i wyszeptał mu do ucha: - Ci ludzie służyli ci dotąd dobrze, lecz dzięki Pajęczemu Księżycowi mogą to robić jeszcze lepiej.

Arystokrata słuchał tego, co szeptem wyjaśniał mu Karybdus. Z początku Aldric wyglądał na poruszonego, ale po chwili z jego twarzy emanowało już tylko palące wyczekiwanie.

Rathmita skończył mówić i cofnął się. Aldric spojrzał na swych ludzi i samym tylko spojrzeniem nakazał im zbliżyć się do stołu. Wszyscy oni służyli u lorda Jitana już od długiego czasu, posłuchali zatem bez słowa. Żaden z nich nie miał pojęcia o tym, co wydarzyło się w ruinach.

Aldric skupił się na pajęczym wzorze. Jego skoncentrowane myśli pieściły każde odnóże, obiegały zarys ciała. Gdy tak patrzył, we wzór zdawało się wstępować życie. Nogi zaczęły się ospale wyciągać, jakby pająk budził się ze snu. Dwa jasne, czerwone płomienie, oczy pająka, odwzajemniły spojrzenie Jitana, co wywołało na jego twarzy grymas zadowolenia.

Nagle pająk się poruszył. Mroczny kształt, teraz już zupełnie przebudzony, pozostawił za sobą swoje odbicie. Kiedy się przemieszczał, odbicia mnożyły się, znacząc ślad przebytej przezeń drogi.

Aldric powoli zrozumiał, że poza nim i Karybdusem nikt z obecnych nie widzi tego niesamowitego, magicznego zjawiska. Już chciał coś powiedzieć, lecz tuż za nim znów pojawił się nekromanta.

– Możesz teraz udzielić Błogosławieństwa Astroghi, mój panie.

Pająki zatrzymały się na perłowej kuli i dłoniach lorda. Co ciekawe, nie budziły w arystokracie odrazy. Spojrzał na wyglądające niczym cienie

stworzenia i skoncentrował się.

Istoty wyskoczyły wysoko w powietrze, szybując w stronę każdego z żołnierzy. Rosły w locie. Słudzy Jitana zdołali je zobaczyć o wiele za późno na jakąkolwiek reakcję poza krzykiem. Pająki wylądowały na ich głowach i zatopiły swe odnóża w czaszkach ofiar. Zaatakowani żołnierze zaczęli się chwiejnie cofać. Kilku rozpaczliwie uchwyciło przywarte do ich głów monstra. Pozostali po prostu próbowali ucieczki. Żaden nie uczynił jednak więcej niż kilka kroków. Upadli, podpierając się na kolanach i rękach.

Wrzeszczeli zwierzęco. Zaczęła się przemiana. Ich plecy wygięły się ku górze i pogrubiały. Ich nogi stały się cienkie, a stopy zanikły. Ramiona wydłużały się, zaś dłonie zmieniały w rozczapierzone, lecz nadal chwytne łapy, zakończone ostrymi - stworzonymi do rozdierania ciał - szponami. Poddani przemianie, ogarnięci szaleństwem ludzie szarpali swe stroje. Rozrywali ubrania. Z równą jak materiał łatwością darli fragmenty zbroi, które rozrzucali wściekle po całej komnacie. Żaden z lecących dookoła ciężkich przedmiotów nie zbliżył się nawet do lorda Jitana i Karybdusa. Nekromanta dyskretnie odbijał je wszystkie.

Wtedy z piersi żołnierzy wyrwały się na zewnątrz po cztery żebra. Dwa z każdej strony. Zmutowani ludzie znów wrzasnęli, gdy ich krew i posoka trysnęły na posadzkę. Rany jednak zasklepiły się niemal od razu, a z wystających na wierzch i szybko pokrywających się ciałem żeber zaczęły wyrastać cienkie, zniekształcone pazury, pomagające przy chodzeniu i wspinaczce. Nowe kończyny rosły, dopóki nie dorównały rozmiarami pozostałym. Ich szpony stuknęły wreszcie o podłogę.

Równocześnie ciała wojowników pokryła szorstka, czarna sierść. Ich rysy uległy deformacji, wyciągając się i zmieniając kształt. Uszy i nosy uschły i odpadły. Aldric patrzył zafascynowany, jak oczy jego ludzi dzieliły się raz po raz na pół, zbiegając się w dwa skupiska, wyglądające niczym

makabryczne grona. Oczy, każda ich para, zachowały swój ludzki wygląd, poza tym, że białka i źrenice przybrały barwę krwi. Teraz nie było w nich jednak ni cienia współczucia czy zdrowych zmysłów.

Przekształceni słudzy zasyczeli naraz, ukazując ostre, żółte kły, z których kapał jad. Na głowach tych potworów nadal siedziały pająki. Ich oczy skupiły się na Aldricu Jitanie i sześć stworzeń, które jeszcze do niedawna były ludźmi, nagle umilkło. Jak jeden organizm zwróciły się do uśmiechniętego arystokraty... i przyklęły.

Pająki. Wielkie pająki. W jakiejś części jednak pozostali ludźmi. Pająki, ludzie i coś jeszcze, coś pierwotnego, czego Aldric nie potrafił określić. Nawet nie chciał.

– Niewiarygodne...

– Stali się Dziećmi Astroghi. Dawno temu liczono ich w tysiącach - wyjaśnił nekromanta, jakby prowadził właśnie lekcję historii. - Są śmiertelnikami obdarzonymi jego szczególnymi względami. Stworzeni są na jego obraz.

Dzieci Astroghi kołysały się na swych czterech tylnych odnóżach. Pozostałe cztery kończyny nieustannie zwierają się i rozwierały, jakby wyczekując na rozkazy lorda Aldrica.

– Twych wrogów czeka zagłada, mój panie - powiedział Karybdus. - Dzieci są bezwarunkowymi sługami tego, kto włada klejnotem. Powinieneś też wiedzieć, że to, iż władasz tak dużą częścią mocy Księżyca, i to jeszcze przed nadejściem Konwergencji, jest wyraźnym znakiem twoich praw do niego. Wszystko to, o czym marzysz, wszystko to, po co wyciągniesz rękę, będzie wkrótce należeć do ciebie.

– Wszystko... - zgodził się Aldric Jitan, patrząc na stworzenia, które kiedyś służyły mu w ludzkiej postaci, a teraz stały się zarazem zwierzętami i nadludźmi.

– Pamiętaj o tym - ciągnął mentor. - Zwłaszcza teraz, gdy czeka nas zadanie do wykonania. Jeden z twoich wrogów ujawnił się i zasadza się na to, co leży u samych źródeł twoich marzeń i pragnień.

Jitan zerwał się gwałtownie, usta zacisnęły mu się z wściekłości.

– O czym ty mówisz?

Twarz Rathmity nie zmieniła wyrazu.

– Jest w domu Nesardo, razem z lady Salene.

Aldric od razu spojrział ku monstrom, które jeszcze niedawno były ludźmi. Karybdus skinął potwierdzająco.

– Właśnie tego się spodziewałem, mój panie.

PIĘĆ



Zapadła noc. Nad miastem rozpętała się gwałtowna burza. Dom Nesardo znalazł się w samym jej centrum. Rozszalały żywioł zawisł nad rezydencją zupełnie tak, jak roślina uczepiona korzeniami podłoża. Pioruny biły z niesłabnącą siłą. Burza zdawała się nie mieć końca.

Zawsze są przy tym burze - pomyślał Zayl, gdy kolejny grzmot wstrząsnął budynkiem. - Choć przecież deszcz, sam w sobie, nie jest czymś gorszym niż słońce czy księżyc. To tylko ci o czarnych sercach korzystają z burz, by skrywać swe uczynki.

Z tą myślą przygotowywał się do zadania. Miał już próbkę krwi Salene i resztę przyborów potrzebnych do nakreślenia znaku. Pani domu obiecała też przynieść trzy przedmioty szczególnie bliskie jej zmarłemu mężowi za życia.

Teraz trzeba było tylko zejść do krypty. Ukrywszy Humbarta w sakiewce, nekromanta wyszedł na korytarz i podążył ku prowadzącym w dół schodom. Salene już czekała. Polth - z zapaloną lampą w ręku - stał za nią, jak zawsze gotów bronić swej pani. Lady Nesardo ubrała się odpowiednio do podróży w podziemia. Miała na sobie jeździecki strój z zielonymi spodniami i wysokimi, skórzanymi butami. Zielona, bawełniana bluzka i czarna, skórzana kamizelka na guziki dopełniały całości. Do pasa przytroczyła sztylet.

Arystokratka, widząc zbliżającego się wysokiego nekromantę, uśmiechnęła się niespokojnie.

– Przyniosłam to, o co prosiłeś. - Uniosła worek, który zadźwięczał metalicznie. Zayl domyślił się więc, że co najmniej dwa z przedmiotów umieszczonych wewnątrz wykonano z metalu.

– Prowadź zatem.

Salene zdjęła ze ściany lampę i ruszyła. Polth odsunął się, zajmując miejsce na końcu pochodu. Był to wyraźny znak, że jeżeli ochroniarz spodziewał się w krypcie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, to właśnie ze strony Zayla.

To, że rodową kryptę zbudowano w podziemiach domu, nie dziwiło nekromanty. Była to praktyka znana także w Lut Gholein oraz na Wschodzie. Władcy i bogacze zazdrośnie strzegli swych umarłych, jakby ich ciała miały większą wartość od ciał, umierających na ulicach, najpodlejszych żebraków.

Krypta rodu Nesardo kryła jednak coś więcej. Coś, czemu Zayl bardzo chciał się przyjrzeć. Kiedy Salene prowadziła go przez dom, ponownie wyczuł pod swymi stopami kłębowisko dusz, a także niezidentyfikowane moce, zdające się gromadzić wokół nich.

Cała trójka schodziła po kamiennych stopniach pod ziemię. Mijali puste, pokryte pyłem sale. Zayl odgadywał ich pełne przemocy dzieje dzięki wciąż wyraźnie wyczuwalnym, silnym emocjom, unoszącym się wśród kurzu.

Kobieta nagle stanęła.

– Mistrzu Zaylu, historia mego rodu ma także czarne karty - powiedziała, zwracając się do nekromanty.

Skinął głową. Pani domu nie oczekiwała innej odpowiedzi. Jako osoba obdarzona magicznymi zdolnościami, Salene prawdopodobnie wyczuwała mroczne emocje, skupione w tych salach, przez całe życie. Spodziewała się więc, że Zayl także wyczuje ich obecność.

Na końcu korytarza zeszli kolejnymi prowadzącymi niżej schodami. Rathmita wyteżył uwagę, czując, że znajdują się już niemal u celu.

W chwilę później stanęli przed grubymi żelaznymi drzwiami. Salene uniosła lampę, oświetlając znajdujący się pośrodku wrót ośmiokątny, gwiazdzisty symbol. Polth podał swą lampę Zayłowi, podszedł do drzwi i mocno szarpnął za okrągły uchwyt.

Starożytne drzwi ustąpiły i otworzyły się z głośnym zgrzytem.

Fala szepczących głosów uderzyła w Zayła. Nie mówiły jednak do niego ani do żadnej innej żywej istoty. To szeptali umarli, których spotkał już wcześniej. Dusze zmarłych członków rodu Nesardo, odgrywających bez końca historie swojego życia.

Gdy ochroniarz odbierał lampę, Zaył zauważył, że Salene przygląda mu się uważnie.

– Czasami... - odezwała się ściszym głosem. - Czasami, gdy tu przychodzę, mam wrażenie, że słyszę głosy swych przodków.

Lady Nesardo weszła do krypty. Nekromanta, którego Polth nie odstępował na krok, wszedł za nią.

Zaył od razu po wejściu zrozumiał, że poprzednie zetknięcie z umarłymi Nesardo dało mu jedynie mgliste pojęcie na temat miejsca ich ostatniego spoczynku.

Choć ściany krypty skrywał mrok, jasne było, że podziemna budowla znacznie przewyższa rozmiarami naziemną część domu. Zaył pomyślał, że krypta musi rozciągać się pod całą należącą do Nesardo posesją. Sklepienie zawieszono tak wysoko, jak w niejednej katedrze. Strażnik Równowagi stał wraz z towarzyszami na szczycie kolejnych schodów, prowadzących dalej w dół i kończących się pieczołowicie wykonaną kamienną posadzką. Po obu stronach przejścia tkwiły rzędy sarkofagów. Umieszczone były jeden na drugim, w kolumnach liczących co najmniej po dziesięć sztuk.

Spoczywały w nich szczątki przodków Salene. Otwory pojedynczych grobów zamykały białe, wypolerowane na błysk tablice, na których wyryto nazwiska i daty. Rzędy grobowców ciągnęły się daleko, znikając w ciemnościach. Żaden z nich nie był pusty.

– To jeszcze kawałek stąd - szepnęła Salene, schodząc po schodach. - Grób Riordana znajduje się w połowie sali.

– Są tu inne poziomy?

– Trzy. Na drugim spoczywają ciała lojalnych sług rodu. A najgłębszy nie należy właściwie do nas. To dużo starsza krypta, na której Nesardo nadbudowali tę.

– Którędy można... - zaczął Rathmita, marszcząc brew.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie można tam zejść. Wejście zostało zasypane podczas trzęsienia ziemi, kilka stuleci temu. O istnieniu najniższego poziomu wiem tylko dlatego, że Riordana zawsze fascynowała historia rodu. To on się o nim dowiedział.

Po tym, co Zayl usłyszał, chciał porozmawiać ze zmarłym lordem Nesardo bardziej niż kiedykolwiek. Poza tym po wyjawieniu wszystkiego, czego chciała dowiedzieć się Salene, Riordan mógł odpowiedzieć na wiele innych pytań. Posadzkę pokrywała warstwa szarego kurzu. Znać było na niej ślady stóp, pozostawione przez kogoś, kto był tu wcześniej. Jeden z nich, sądząc po rozmiarze i kształcie, należał do Salene. Na tej głębokości kurz zbierał się tak samo jak na powierzchni. Tyle że tu następowało to o wiele wolniej. Po ilości tropów i wzorze, w jaki się układały, Zayl domyślił się, że pozostawił je kilka lat temu kondukt pogrzebowy Riordana. Spojrzawszy na przewodniczkę, zauważył, że arystokratka nieświadomie stawia stopy na własnych śladach. Zastanowił się, czy kobieta przypomina sobie w tej chwili tamten tragiczny dzień.

Znajdowali się już bardzo głęboko pod ziemią. Nie oznaczało to jednak, że krypta była całkiem wymarła. Padlinożerne żuki, niektóre wielkości ręki, uciekały w popłochu przed padającym na nie światłem lamp. Stonogi kryły się w szczelinach grobowców. Najbardziej zdumiewające wydawały się jednak przypominające całun pajęczyny, rozwieszane w wielu miejscach. Niektóre z nich stały się tak wielkie, że mogły owinać dorosłego człowieka. Na pajęczynach widać było groby innego rodzaju. Wyschnięte na wiór, ciasno owinięte pajęczą nicią ciała ofiar pajaków. To głównie owady, lecz Zayl zauważył też kilka szcurzych zewłoków. Szczury musiały być chore, skoro padły łupem o wiele mniejszych i słabszych napastników.

– Po śmierci Riordana wysłałam tu całą armię robotników. Mieli posprzątać - powiedziała Salene z obrzydzeniem, oglądając pajęczyny. - To wprost niewiarygodne, że znów się tak rozrosły. Skąd one się biorą?

Nekromanta nie odpowiedział. Pochłaniały go, coraz silniej tu wyczuwalne, emanacje dusz. Wszystkie zamieszkujące kryptę cienie znajdowały się w takim samym stanie. Zamiast spoczywać w pokoju lub odejść do świata cieni, pogrążone były w dziwnym półśnie. Szepty nabierały mocy do tego stopnia, że Zayl parę razy miał ochotę zatkać sobie uszy.

Kiedy przeszli kolejne kilka kroków, arystokratka nagle przystanąła. Gościowi kobiety wystarczył wyraz jej twarzy, lecz spojrzenie w górę, na marmurową tablicę, upewniło go, że dotarli do miejsca, gdzie złożono ziemskie szczątki Riordana Nesardo.

– Może chcesz zostać przez chwilę sama, pani...

– Nie. Byłam tu już wiele razy po śmierci męża. Mistrzowi Zaylu, Riordan był mi bardzo bliski. Na swój sposób kochałam go nawet. Kochałam i prawdopodobnie będę kochać zawsze. Teraz jednak chyba powinniśmy się zająć tym, po co tu przyszliśmy, a potem zostawmy go w spokoju.

Zakapturzony nekromanta nie był jednak pewien, czy wszystko pójdzie tak gładko, jak myślała Salene. Nagle poczuł bowiem, że z grobu Riordana nie dociera do niego zupełnie nic. Był to jedyny grobowiec, w którym nie wyczuwał aktywnej duszy. Dlaczego tak, skoro wszyscy inni zmarli nie mogli zaznać tu spokoju?

Zayl miał nadzieję szybko poznać odpowiedź na to pytanie.

– Zacznę zatem - powiedział.

Cofnął się o krok, sięgnął do płaszcza i wydobyl z sakiewki kawałek kredy.

– Będę potrzebować trochę więcej miejsca...

Salene i Polth cofnęli się. Zayl uklęknął, postawił lampę obok siebie i zaczął kreślić na ziemi pięciokątny znak. W każdym z rogów figury narysował symbole pięciu żywiołów. Zgodnie z nauką Rathmy żywiołami były: ziemia, powietrze, ogień, woda i czas. Na środku znaku nakreślił wężowo wijącą się figurę, pod którą dodał wygięty ku dołowi łuk. Stanowiło to uproszczoną wersję symbolu przedstawiającego Trag'Oula, często stosowaną przy rzucaniu czarów. Pełniąc funkcję ośrodka, na którym opierała się Równowaga, smok był związany ze wszystkimi żywiołami, tak samo zresztą jak one z nim. Chociaż narysował uproszczony symbol smoka, całość wzoru była daleko bardziej skomplikowana od tych, których używał w przeszłości. Tysięczne znaki pokryły wkrótce krawędzie pięcioboku. Nekromanta podejrzewał, że będzie musiał zastosować wszystkie dostępne moce, aby osiągnąć spodziewany efekt.

Gdy wreszcie skończył, sięgnął do sakiewki i wyjął Humbarta.

– Cóż za przygnębiające miejsce - zajęczała czaszka. - Nie chciałbym tu umierać... O ile, oczywiście, miałbym jakiś wybór.

Salene zachichotała. Polth jedynie zamruczał pod nosem. Ochroniarz spodziewał się za chwilę ujrzeć zjawę Riordana i mówiąca czaszka nie była

w stanie wyrzucić na nim zbyt dużego wrażenia.

– Cisza, Humbart! - mruknął nekromanta i ustawił czaszkę pośrodku znaku, na symbolu Trag'Oula. Zdarzały się sytuacje, w których Humbart okazywał się przydatny, i właśnie nadeszła jedna z nich. Będąc duszą uwięzioną w pół drogi pomiędzy światem śmiertelnych a krainą cieni, Humbart Wessel stanowił najlepszy dostępny pomost między obiema sferami istnienia. Użycie czaszki było kolejną ze sztuczek Zayla, mających zwiększyć szanse na skuteczne przyzwanie zmarłego męża Salene.

– Nie wiem, czemu się na to godzę - ciągnął Humbart. - Te dusze są wszystkie takie nieobecne, a zarazem przepełnione nieszczęściem i poczuciem straty. Gdybym tylko miał żołądek, na pewno opróżniłbym go od tego ich zawodzenia.

Po tych słowach zamilkł.

Nekromanta wydobył buteleczkę z krwią gospodyni i za pomocą sztyletu wyciągnął z niej zawartość, która wpłynęła na ostrze. Końcem ostrza zakreślił okrąg wokół symbolu smoka oraz czaszki.

– Poproszę o przedmioty - odezwał się Zayl, podnosząc wzrok na arystokratkę.

Salene wręczyła mu worek. Rathmita sięgnął do środka i wyjął kolejno całą jego zawartość. Pierwszym z przedmiotów okazał się ceremonialny sztylet z wyrytym na szczerozłotej rękojeści herbem Nesardo. Klinga była tępą. Broń służyła jedynie na pokaz.

Drugi w kolejności był błękitny jedwabny szal. Zayl widział takie na szyjach dwóch arystokratów podróżujących wraz z nim na statku. Tego rodzaju ozdoby, importowane do Marchii aż spoza Bliźniaczych Mór, podkreślały wysoki status społeczny Riordana.

Zayl ułożył oba przedmioty na zewnątrz krwawego kręgu, po czym wydobył ostatnią rzecz z worka. Medalion na złotym łańcuszku.

Nekromanta uniósł brwi ze zdziwienia. Łańcuszek był niezbyt stary. Sam medalion natomiast wręcz starożytny. Musiał powstać, zanim jeszcze zbudowano dom Nesardo.

Na skutek stuleci używania metalowa ozdoba była prawie całkowicie gładka. Zayl wyczuł jednak pod palcami kształt. Głowę, z której wyrastało osiem kończyn. Starał się przypomnieć sobie cokolwiek, co mógł wiedzieć na temat tego symbolu. Nie pamiętał jednak nic i z wyraźną niechęcią dołożył medalion do pozostałych przedmiotów.

– Teraz rozpocznę rytuał - poinformował Salene. - Dobrze by było, gdybyście oboje stanęli przy mnie. To zwiększy szansę powodzenia.

Posłuchała bez wahania. Jej bliskość wytrąciła go na chwilę ze skupienia. Zazwyczaj przywoływał dusze samotnie, gdy nikogo nie było w pobliżu. Poczł bijącą od Salene magię - pulsującą w rytm jej oddechu. Jej dar był dla niej czymś tak naturalnym, że prawdopodobnie sama nie zdawała sobie sprawy z posiadanej siły.

Polth nagle poruszył się niespokojnie: Zayl pomyślał, że to on przestraszył czymś ochroniarza. Wielkolud jednak, z ręką na mieczu, wpatrywał się uważnie w ciemność.

– Co się stało, Polth? - zapytała kobieta.

– Nic, moja pani. Pewnie jakiś owad.

Nekromanta wzniosł kościany sztylet nad centralnym punktem wzoru i zaczął mamrotać słowa zaklęcia. Czuł wirującą dookoła niego, zbierającą się do czaru energię. Szepty umarłych ucichły, jakby cienie zdały sobie sprawę, że ktoś zamierza naruszyć granice ich świata.

– *Riordanie* - cichym głosem przyzywał zmarłego Zayl - *Riordanie Nesardo, mężu Salene... Riordanie, panie domu Nesardo...*

Dusze kilku wcześniejszych panów domu Nesardo niespokojnie drgnęły i ponownie zapadły w swój półsen, gdy tylko zorientowały się, że to nie one

są przyzywane. Tym razem Zayl skoncentrował się bardziej niż poprzednio, starając się nie wywołać kolejnego chaotycznego rozpadu dusz.

W krypcie zawsze było chłodno. Teraz jednak zapanował w niej prawdziwy mróz. Salene zadygotała, a z ust Poltha wyrwało się stłumione przekleństwo. Dla nekromanty jednak to nagłe ochłodzenie stanowiło pomyślny zwiastun. Oznaczało, że zaklęcia docierały do świata umarłych.

– *Riordanie... Riordanie Nesardo... przybądź do nas... przybądź w godzinę prośby swej żony.* - Niechętne dusze znacznie częściej udawało się przyzwać, jeśli wspomniano się o miłości.

Zayl poczuł nagłe drgnienie. Poruszając sztyletem wzdłuż linii znaku, nadal szeptał przekazane przez Rathmę słowa w języku znanym tylko jego wyznawcom.

Nic się jednak nie wydarzyło. Strażnik Równowagi wyczuł, że coś chciało odpowiedzieć na jego wezwanie, lecz zostało siłą powstrzymane przez inną moc.

– Pani, gdybyś zechciała położyć dłoń na rękojeści sztyletu i spokojnie wypowiedzieć imię męża - powiedział nie patrząc na Salene.

Ponownie usłuchała nie zwlekając. Ufała w jego wiedzę i umiejętności. Zayl przesunął rękę tak, by mogła wygodnie uchwycić sztylet, po czym dostosował rytm swoich zaklęć do jej słów.

– Riordan? - arystokratka szepnęła w mroki krypty - Riordan? Czy mnie słyszysz? To ja, Salene, Riordan, proszę. Muszę z tobą pomówić.

Drgnienie się powtórzyło. To, co chciało się ujawnić, nadal nie mogło się wyzwolić spod wpływu powstrzymującej je mocy. Nekromancie wydało się, że widzi skrzydlaty kształt...

– Na ziemię! - krzyknął sięgając po Salene.

– Coś tu idzie, druhu! To chyba jest... - wydarł się Humbart.

Rozdzierające uszy wycie wypełniło kryptę, odbijając się wielokrotnym echem. Szczury, owady i pająki pierzchły, owładnięte zwierzęcym przerażeniem.

Przed nimi, z pajęczych sieci i kurzu, uformowała się koszmarna istota. Miała szerokie skrzydła, które falowały niczym płomień, lecz zarazem wyglądały na wyschnięte i obumarłe. Korpus stwora gnił. Nie pozostało na nim nawet tyle ciała, żeby przykryć kości. Koszmar miał też coś, co przypominało twarz. Twarz człowieka z widocznymi kosmykami włosów i brody. W miejscu gdzie powinny znajdować się oczy, ziały jednak czarne dziury, a usta szkieletu, z których wydobywało się potępieńcze wycie, rozdęte były do nieludzkich granic.

Ramiona zjawy także były większe od ludzkich i -jak u nietoperzy - przyrośnięte do skrzydeł. Te palce, które jeszcze pozostały gnijącej istocie, przypominały zakrzywione szpony, najwyraźniej stworzone do szatkowania ofiar.

W miarę jak się materializował, koszmarny cień zbliżał się ku nim coraz bardziej. Zayl ledwo zdążył pchnąć Salene na podłogę, zanim piekielny cień przefrunął ponad nimi. Gdyby nadal klęczeli, potworna zjawy przeleciałaby na wskroś przez nich.

- Co to? -wyrwało się arystokratce. - Czy to jest... Czy to Riordan?

- Nie... To jest upiór. Potępiona dusza - odrzekł nekromanta, nieszczerólnie w tej chwili zainteresowany naturą potwora. Myślał o przetrwaniu. - Polth. Zabierz ją!

Tego akurat nie musiał wcale mówić. Ochroniarz już schylał się po swoją panią. Podniósł ją na nogi lekko jak piórko. Otoczył ją ramieniem, zaś w jego drugiej dłoni zabłysła broń.

Miecz nie stanowił jednak dla upiora żadnego zagrożenia. Nekromanta, podnosząc się zwinnie, wyciągnął swój sztylet. Upiór zwrócił się właśnie

ku niemu. Zayl nie był tym zdziwiony. Takie stwory pragnęły zdobyć od swych ofiar to, czego same nie posiadały, a nekromanta stanowił podwójnie atrakcyjny łup. Miał przecież w sobie i życie, i magiczną siłę, a upiora toczyło koszmarnie pragnienie. Tego pragnienia nie będzie mógł nigdy zaspokoić, ale nieustannie próbował.

Po sekundzie upiór zauważył Salene. W niej także kryła się magia.

– Zabierz ją na górę! To nie wyjdzie z krypty! Już! - rozkazał Zayl, nie spuszczać skrzeczącego potwora z oczu.

– Nie! Nie zostawię cię tu samego. - Lady Nesardo szarpała się w mocarnym uścisku Poltha.

– Pani, tak trzeba - powiedział olbrzym, ciągnąc opierającą się Salene ku schodom.

Z mrozącym krew w żyłach skrzekiem bestia pikowała na Zayla. Choć była kiedyś człowiekiem, nie miała dolnej części kręgosłupa. W miejscu krzyża widniał, tnący jak bat, kościany ogon, przypominający nieco żądło skorpiona. Rathmita wiedział, że chociaż upiór nie ma zwykłego, materialnego ciała, dotknięcie którejkolwiek jego części spowoduje taki sam efekt jak sto wbitych w serce ostrzy. Zdawał sobie też sprawę, że męczarnie powolnej agonii są niczym w porównaniu z losem, jaki spotkałby go, gdyby upiorowi udało się wyssać zeń życie.

Wypowiadając pod nosem słowa zaklęcia, Zayl uniósł sztylet. Z najbliższych krypt zerwała się fala kości, kłębiąca się przed nekromantą i w mgnieniu oka formująca ścianę, połyskująca takim samym blaskiem jak kościane ostrze. Nie czuł się dobrze, zakłócając spokój przodków Salene. Nie miał jednak wyboru.

Upiór zmienił kierunek lotu tuż przed ścianą z kości. Zaskrzeczał gniewnie, szukając sposobu na ominięcie magicznej bariery. Nie musiał szukać długo. Zayl wiedział, że ta osłona nie powstrzyma go wiecznie.

Potrzebował jednak czasu, by przygotować inne sposoby obrony. Poza tym, dopóki napastnik koncentrował się na nim, Salene była bezpieczna.

Poczuł, jak pozostali poruszają się w ciemnościach.

Zaryzykował i odwrócił się w stronę schodów.

– Zabieraj ją stąd, Polth! Tam!

Upiór zdążył się właśnie zorientować, że kościana ściana nie stanowi dla niego przeszkody, i zaatakował. Gdy ją przecinał swym widmowym ciałem, kości zadrgały i runęły w bezładny stos.

Zayl ponownie zasłonił się sztyletem. Było jednak za późno. Zostawił potwora z boku, lecz jedno ze skrzydeł siekło go przez pierś.

Poczuł się, jakby ktoś wydarł mu kawałek duszy. Rathmita krzyknął i upadł na jedno kolano. Tylko w ten sposób udało mu się utrzymać sztylet.

– Zayl, druhu! Na grobowcach siedzi jakiś ohydny stwór! Skubany! Wielki, włochaty pajak z kłami i pazurami. Niech mnie Piekło pochłonie! Jest jeszcze jeden!

Kryptę wypełniło dochodzące zewsząd, nawet z góry, ciche syczenie.

Z góry, poprzez gęste pajęczyny, spuściło się w dół kilka strasznych kształtów.

Salene krzyknęła.

Udręczonymi z bólu oczami wyznawca Rathmy spostrzegł, jak nowi upiorni przeciwnicy otaczają widocznych jeszcze, mimo ciemności, Salene i Poltha. Napastnicy, gdyby stali na dwóch nogach, dorównywaliby ochroniarzowi wzrostem. Wyglądali jak owoce jakiejś piekielnej krzyżówki człowieka z pajakiem. Polth utrzymywał je na dystans swoim mieczem, lecz koszarne stwory, szybko krążąc wokół na swoich makabrycznych odnóżach, szykowały się do wspólnego, skoordynowanego ataku. Jeden z nich otworzył swój pozbawiony warg pysk, zasyczał i odsłonił dwa

ogromne kły. Zayl widział takie u najbardziej jadowitych pajaków w dżungli.

Nekromanta musiał jednak zająć się na powrót sobą. Wyczuł, że upiór atakuje znów. Odtoczył się na bok, w samą porę, bo napastnik przeleciał dokładnie tam, gdzie przed chwilą klęczał nekromanta.

– Spróbuj tego ze mną! - krzyknął żywo Humbart. - Pokażę ci sztukę walki bez rąk!

Upiór zawył, machnął bezcielesnym skrzydłem i w jakiś niezwykle sposób spowodował, iż czaszka odtoczyła się na bok. Wessel zaklął uderzając w ścianę.

Udało mu się jednak odwrócić uwagę potwora na wystarczająco długo. Zwietrzywszy szansę, Zayl rzucił kolejny czar.

Przed mężczyzną pojawiła się, unosząca się w powietrzu, kościana włócznia. Nekromanta wypowiedział zaklęcie, którym posłał ją w stronę upiora.

Szpon Trag'Oula był bronią zarówno materialną, jak i mistyczną. Bezcielesność celu nie stanowiła dla włóczni problemu.

Widząc zbliżającą się włócznię, upiór spróbował uniku. Poruszał się jednak zbyt wolno. Pocisk przeszył jego bok.

Widmo wydało krzyk przeraźliwszy niż wszystkie poprzednie. Skrzecząc głośno, upiór uciekł i zniknął w odległej części krypty.

Dysząc ciężko z wysiłku, Zayl spojrzał w stronę Salene i Poltha. Ich groteskowo zdeformowani przeciwnicy wypracowali wreszcie strategię ataku. Jeden z nich wdrapał się na grobowce, potem na strop i skoczył z góry na ochroniarza. Tamten instynktownie zwrócił się w stronę potwora. Ów moment wykorzystały dwa pozostałe i zaatakowały kobietę z obu stron.

Arystokratka nie okazała się jednak łatwym łupem, jakiego się spodziewały. Salene wyciągnęła ramię w stronę atakującego ją od strony

krypty człowieka-pajaka. Lodowy pocisk ugodził napastnika w pierś. Uderzenie poderwało stwora w powietrze i cisnęło z potężną siłą o ścianę. Dał się słyszeć trzask pękających kości. Bezwładne ciało potwora zamarło na posadzce. Natychmiast pokrył je szron. Igiełki lodu skrzyły się w powietrzu.

Salene, zaskoczona, patrzyła na swoje dzieło.

Drugi z atakujących spróbował wykorzystać jej nieuwagę. Z wyciągniętymi pazurami i ociekającymi jadem kłami sięgnął do gardła kobiety.

Nagle rozbłysło lodowate, błękitne światło i pomiędzy kłami bestii a Salene zmaterializowała się tarcza. Potwór, wyjąc z bólu, cofnął całkowicie zmrożoną kończynę. Lady Nesardo znów wyglądała I na zaskoczona tym, co właśnie zrobiła.

Polthowi udało się uniknąć sunącego z góry ataku. Zręcznie władając mieczem, odepchnął od siebie przeciwnika i wyczekawszy odpowiedniej chwili, przebił ostrzem potwora z zamrożonym odnożem.

Nagle jednak nowy napastnik wyskoczył z cienia wprost na ochroniarza. Dwa kolejne pająkowate demony dołączyły do towarzysza. Zayl, nie zwlekając, cisnął sztyletem. Błado świecące ostrze wbiło się w plecy jednego z atakujących najemnika stworzeń. Sycząc zajadle, człowiek-pajak zwinął się, rozpaczliwie próbując dosięgnąć broni, tkwiącej głęboko w jego ciele.

Rathmitę zaskoczyło, że sztylet tkwił w nim nadal. Powinien przecież znaleźć się z powrotem u niego zaraz po wykonaniu zadania. Sztylet został związany z jego duszą dawno temu, za pomocą obrzędów ofiarnych i krwi. Wracał do niego zawsze, gdy tego chciał. Teraz jednak nie wrócił.

Wtedy Zayl zrozumiał, że zachował się dokładnie tak, jak ktoś się tego po nim spodziewał.

Ze zwieszających się nad nim pajęczyn spadła nań szósta bestia, sycząc wściekle. Uderzenie rzuciło nekromantę na ziemię, niemal pozbawiając przytomności. Poczuł, jak uzbrojone w szpony łapy uderzają go w plecy, rozcinając ubranie i zostawiając na ciele krwawe, podłużne rany. Palący jad kapał mu na szyję.

Zayl nie poddawał się jednak łatwo. Uderzył łokciem w tył, trafiając przeciwnika w tors. Z zadowoleniem usłyszał pełen bólu ryk. Nacisk zelżał na tyle, że nekromanta zdołał odwrócić się na plecy, przyjmując wygodniejszą do walki pozycję. Monstrum kłapało długimi jak palce kłami. Jego oddech cuchnął grobowym odorem. Jednak najbardziej przerażające były oczy. Strażnik Równowagi mógł przysiąc, że dostrzega w nich coś ludzkiego.

Wtedy nekromanta zauważył dziwną narośl na głowie koszmarnego napastnika. Sekundę potem zrozumiał, że narośl była w istocie innym, oddzielnym stworzeniem. Był to mniejszy pająk. Mniejszy, choć i tak większy niż dłoń nekromanty. Wpatrywał się w Zayla okrągłymi, czerwonymi oczami, pod którymi poruszały się złowrogie kły.

Ta chwila niemal kosztowała Rathmitę życie. Gdy był skupiony na mniejszym pająku, jego właściwy przeciwnik zaatakował ze zdwojoną siłą. Kły zbliżyły się ku gardłu nekromanty i...

Nagle na łeb potwora spadł potężny cios pięścią. Bestia stoczyła się z Zayla. W polu widzenia nekromanty pojawił się Polth. Jego mundur zwisał w strzępach, a całe ciało pokrywały szramy. Uśmiechał się jednak zwycięsko.

– Wielkie dzięki, mistrzu Zaylu - zadudnił. - Wystarczyło, że zdjęłeś tego jednego. Pozostałej dwójce sam pokazałem gdzie raki zimują i uciekły.

Pozostałe potwory, nie licząc tego, z którym walczył Zayl, były martwe. Kiedy olbrzym pomagał wstać nekromancie, ostatni z ludzi-pająków

czmychnął w ciemność.

Rathmita nie mógł wyjść ze zdumienia. Nie udało mu się wyczuć napastników przed atakiem. Jego moc była wobec nich zawodna. Nic dziwnego, że dał się zaskoczyć temu, który zaatakował go z góry.

Pomyślał nagle o czymś innym.

– Salene... Czy ona...? - zapytał starając się nie patrzeć Polthowi w oczy.

– Nie tknęły jej. Nie wyszła jednak bez szwanku.

Zayl odwrócił się tam, gdzie widział ją po raz ostatni, i zrozumiał słowa ochroniarza.

Salene stała wyprostowana, ściśle obejmując się ramionami. Patrzyła tępo na zabita przez siebie bestię. Pojął, że był to pierwszy raz, kiedy odebrała życie jakiejś istocie. Nie miało znaczenia, że pozbawiła życia atakującego ją potwora.

– Zabierzmy ją na górę, do łóżka - zasugerował Zayl. - Znajome otoczenie pomoże jej dojść do siebie. Idź z nią. Ja zaraz do was dołączę.

– Zgoda.

Humbart leżał zwrócony oczodołami ku górze. Mamrotał cicho. Większość z tego, co mówił, dotyczyła pragnień, by posiadać ramię, dobry miecz i nogi. Skoro złorzeczył, nic mu się nie stało. Rathmita ruszył więc najpierw po swój sztylet, tkwiący nadal w ciele potwora. Gdy po niego szedł, nastąpił na rozmazany w czasie walki kredowy znak.

– *Czekaj, proszę, posłuchaj, czekaj, proszę, słuchaj, czekaj, zatrzymaj się, proszę...*

Nagły, głośny głos, który rozległ się w głowie nekromanty, przyprawił go o kolejny atak bólu. Skupił się i zastawił psychicznymi tarczami, dzięki którym brzmienie głosu stało się możliwe do zniesienia.

– *On szuka księżyc on szuka księżyc on ma go lecz to nie księżyc ale to jest księżyc jeśli księżyc dostanie księżyc pająk powróci.*

Zayl starał się zrozumieć cokolwiek z gwałtownego potoku słów. Wiedział też, do kogo należy głos. Riordan Nesardo odpowiedział w końcu na wezwanie. Nie pojawił się jednak pod spodziewaną postacią ani nie odpowiadał na pytania, które chcieli mu zadać. Ton, jakim mówił, zdradzał jednak, że to, co przekazywał, było ostrzeżeniem. Pilnym ostrzeżeniem i ważniejszym niż wszystko inne.

– *Co chcesz mi powiedzieć?* - zapytał w myślach nekromanta. - *Jaki księżyc? Jaki pajak?*

Obok krypty, w której pochowano męża Salene, pojawił się niewyraźny, mglisty kształt.

– *Pajęczy księżyc pajęczy księżyc pajęczy księżyc księżyc pajak księżyc pajak księżyc pajaka księżyc pajaka czas nadejdzie, gdy Astrogha nadejdzie...*

– Astrogha? - Imię zabrzmiało znajomo. - Pajęczy księżyc?

– Zayl!

Riordan zniknął z umysłu nekromanty. Mglista postać rozviała się w powietrzu. Zayl usłyszał przekleństwo Poltha i zrozumiał, że to Salene go zawołała.

– Uwaga, druhu - usłyszał głos Humbarta - wróciły!

Silne ramiona pochwytyły Rathmitę i odrzuciły daleko do przodu. Zayl wylądował na ciele pajęczej bestii. Dłoń nekromanty prześlizgnęła się po rękojęści sztyletu. Wiedziony instynktem, chwycił mistyczną broń, wyciągnął ją i błyskawicznie odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje. Jeszcze nim skończył obrót, odpowiedział mu wypełniający kryptę skrzek. Upiór powrócił i zaatakował oszołomionego nekromantę, lecz Polth chwycił go i odrzucił w bok na czas. Ochroniarz stał wyzywająco z mieczem w ręku. Upiór uderzył wprost w niego. Przed takim atakiem mógł

próbować się bronić mag, lecz nie wojownik. Upiór przeleciał przez ciało Poltha, tnąc go szponiastymi skrzydłami.

Olbrzym krzyknął. Jego ciało przeszył dreszcz, a skóra wyschła. Miecz wypadł z łamiących się palców. Wysuszone na wiór ciało Poltha zamieniło się w pył, zanim jeszcze zdążyło opaść na posadzkę krypty. Po chwili leżał nań jedynie szkielet.

Istota nie przerwała ataku. Nadal była głodna. Na wprost niej stała Salene, sparaliżowana widokiem śmierci swego wiernego sługi.

Zayl wyciągnął przed siebie sztylet, trzymając go ostrzem w dół. Wypowiedział zaklęcie najszybciej, jak mógł. Polth padł na jego oczach. Nie mógł pozwolić, żeby taki sam los spotkał Salene.

Blade światło wystrzeliło ze sztyletu w stronę upiora, otaczając go i oplatając niczym pajęczyna. Zjawa zaskrzeczała, nadal zbliżając się do stojącej jak wryta kobiety. Był już niecały jard od niej.

– Ulth i Rathma Syn! - wykrzyknął nekromanta.

Światło cofnęło się z powrotem do sztyletu, pociągając za sobą szarpiące się widmo. Stwór wył, bijąc skrzydłami tak mocno, jak tylko potrafił, lecz nie mógł się uwolnić. Zayl zadrżał z wysiłku. Zaklęcie, którego użył, czerpało swą moc z jego własnej duszy. Gdyby jednak tego nie zrobił, upiór dopadłby i Salene, i jego samego, tego nekromanta był pewny.

Czar stanowił odmianę zaklęcia używanego przez nekromantów do przywracania sobie energii za pomocą wysysania życia przeciwnika. Użycie go wiązało się zawsze z dużym ryzykiem, gdyż czerpiąc z cudzej esencji życiowej, można było przenieść na siebie cechy adwersarza. Zayl znał legendy o Rathmitach, którzy przeistoczyli się w swych pokonanych wrogów, o nekromantach, którzy przeszli na stronę Piekła, potem zaś zostali zgładzeni przez własnych braci.

To, czego spróbował teraz, było jeszcze bardziej ryzykowne. Połączył wysysanie życia z innym zaklęciem, zazwyczaj stosowanym do zawładnięcia ciałami niedawno zmarłych. Gdyby użył go na zwykłym, słabym duchu, ryzyko byłoby niewielkie. Teraz jednak stosował je przeciwko jednemu z najbardziej złowrogich nieumarłych. Co gorsza, energia, którą odbierał upiorowi, osłabiała go. Zayl nie odbierał zjawie życia, tylko nie-życie, stanowiące jej istotę. Chłód, który go przepełnił, był zbyt silny nawet dla nekromanty.

Zjawa minęła to, co zostało z Poltha, i zbliżała się do ostrza. Zayl zacisnął zęby. Chciał użyć jeszcze jednego, ostatniego zaklęcia, lecz czekał, aż dostatecznie opanuje upiorny cień. W przeciwnym razie jedynym skutkiem zaklęć byłaby śmierć arystokratki i jego samego.

Bliżej... bliżej...

Już!

Strażnik Równowagi skupił się na szczątkach ochroniarza.

Zwłoki Poltha eksplodowały. Wybuch wziął swą siłę z przedśmiertnej trwogi mężczyzny. Zayl skierował energię wybuchu na widmo.

Wzmocniona przez nekromantę energia śmierci ogarnęła zjawę, spalając ją do cna. Upiór wydał ostatni, gniewny skrzek i zniknął bez śladu.

Zayl spróbował pozbyć się niosącej śmierć energii, odebranej potworowi. Bez skutku. Poczul, jak pochłania go śmierć.

Ostatnią rzeczą, jaka do niego dotarła, był krzyk Salene.

SZEŚĆ



Gdy Salene Nesardo kazała Polthowi pójść za Zaylem po spotkaniu w gospodzie Pod Czarnym Baranem, nie była jeszcze pewna, co powinna myśleć o bladym, ciemnowłosym nekromancie. Skorzystanie z jego usług wydawało jej się dobrym pomysłem, mimo że w dzieciństwie duży wpływ miała na nią nauka Kościoła Zakarum. Na jej decyzję mógł mieć wpływ również fakt, że posiadała magiczny dar, który nazbyt często wydawał jej się klątwą. Być może też, gdy arystokratka spojrzała w szare oczy nekromanty, zobaczyła w nich człowieka. Plotki i legendy głosiły, że nekromanci są nikczemnymi hienami cmentarnymi, że wszyscy oni to sprzymierzeni z siłami zła czarnoksiężnicy. Jednak Salene dostrzegła w Zaylu coś zupełnie innego. Co więcej, dostrzegła w nim to, co przeglądając się w lustrze, widziała też w sobie. Zobaczyła w nim niemą determinację, każącą doprowadzić do końca raz rozpoczęte dzieło, bez względu na konsekwencje, jakie można przy tym ponieść.

A teraz Zayl niemal zginął z jej powodu.

Leżał w przygotowanym przez nią łóżku. To był pierwszy raz, kiedy z niego skorzystał. Wyciągnęła go z krypty, po schodach, najdelikatniej, jak potrafiła. Za bardzo się bała zostawić go samego, by biec i szukać pomocy. Po Sardaka poszła dopiero wtedy, gdy upewniła się, że nekromanta jest bezpieczny. Z pomocą brata przeniosła go do komnaty.

Nadal trzęsły jej się ręce. Oczami duszy wciąż widziała śmierć Poltha. Olbrzym służył jej wiernie, nim jeszcze wyszła za Riordana. Ku jej

zaskoczeniu nie zawahał się stanąć w obronie nekromanty. Prawdopodobnie jednak ocenił, że życie maga wiąże się z jej bezpieczeństwem. Bolała nad tym, że nie pozostały po ochroniarzu godne pochówku szczątki. Ostatni rzucony przez Rathmitę czar unicestwił to, czego nie zdołał wcześniej zniszczyć upiór. Pocieszała się tylko tym, że Polth nigdy nie przykładał wagi do ceremonii. Co więcej, spodobałoby mu się to, w jaki sposób Zayl wykorzystał jego zwłoki.

Nadzwyczaj, jak na siebie, potulny Sardak chciał posłać po służących, aby pomogli jej opiekować się nekromantą. Salene wiedziała jednak, że żaden ze służących nawet by się do Zayla nie zbliżył. Ona sama nie była tak delikatna jak niektórzy z jej stanu. Poza tym znała się na opiece nad rannymi. W końcu nieraz już niańczyła wracającego z pijackich wypraw brata.

Poza tym, jeśli jej własne umiejętności okazałyby się niewystarczające, zawsze mogła zwrócić się o pomoc do Humbarta Wessela.

– Ostrożniej tam, ostrożnie - napominała ją czaszka, gdy ściągała z Zayla to, co zostało z jego płaszcza i koszuli. - Mam nadzieję, że przygotowałaś jakąś mocną whisky na te rany?

– Stoi obok ciebie.

Czaszkę najemnika przyniesiono razem z rannym Zaylem. Stała na swoim zwykłym miejscu. Butelka whisky rzeczywiście znajdowała się tuż obok.

– Przemyj nią dokładnie każdą z ran, które zadała mu ta bestia. Mam nadzieję, że ten alkohol to coś mocniejszego niż te wasze arystokratyczne napitki... za przeproszeniem, moja pani.

– Myślę, że usunie wszelkie zarazki. Przecież pija to mój brat.

– Żałuję, że sam nie mogę spróbować - głucho zachichotał Humbart.

Przecinając nożem paski materiału, Salene zauważyła, że oddech nekromanty jest równy i spokojny. Jego skóra natomiast, i tak blada, była teraz praktycznie biała z wyjątkiem niebieskiego odcienia wokół ust. Lady Nesardo była przerażona.

Arystokratka wyjęła wilgotną szmatkę z porcelanowej miski, którą przyniosła chwilę wcześniej, i zaczęła przemywać rany Zayla.

Na jego ciele perlił się pot. Pomimo chorobliwej bladości był gorący jak Piekło.

Oczyściwszy rany, Salene sięgnęła po whisky. Wiedziała, że powinna też zastosować zioła, było jednak zbyt późno, żeby słać sługi do miasta.

Z najwyższą ostrożnością wylała kilka kropel alkoholu na pierwszą z ran.

Zayl drgnął lekko. Odczekała kilka chwil, by zobaczyć, czy nie stanie się nic więcej.

– Nie bój się, panienko - powiedział Wessel. - Zayl ma wysoki próg bólu. Przynajmniej zawsze miał.

Salene zaczęła odważnie lać alkohol. Za każdym razem ciało mężczyzny reagowało w ten sam, nieznaczący sposób.

– Tyle powinno wystarczyć - rzekła po chwili.

Zamykając butelkę, spojrzała na rękawicę na prawej dłoni Zayla i pomyślała, że nie przyszło jej do tej pory do głowy, by ją zdjąć. Lewą nekromanta zdjął sam, jeszcze podczas obrzędu przyzwania. Chcąc mu ulżyć, zaczęła zdejmować prawą.

– Nie ma takiej potrzeby! - krzyknęła czaszka głosem ocierającym się o panikę. - Jemu jest bardzo dobrze z tą rękawicą. To taki zwyczaj nekromantów! Cholera... zostaw ją.

Z ust Salene Nesardo dobył się cichy okrzyk.

Cofnęła się, przerażona tym, co zobaczyła pod rękawicą. To, na co patrzyła, drgnęło, wzmagając jeszcze jej strach.

– Salene! - Sardak bił pięścią w drzwi. - Salene, co się stało?!

Otworzył gwałtownie drzwi i odciągnął siostrę na bok.

– To nic, panienko - uspokajał Humbart. - Naprawdę nic takiego. Wy...

– Na ogień i siarkę! - zaklął Nesardo. - A nie ostrzegałem cię przednimi?

Salene nadal wpatrywała się w to, co widniało w miejscu prawej dłoni nekromanty. Teraz jednak przerażenie mieszało się w niej z chorobliwą fascynacją. Nie słyszała tego, co mówił Humbart ani Sardak. Zajmowało ją tylko to, na co patrzyła.

Na prawej dłoni Zayla nie było ciała.

Szkielet dłoni utrzymywał się razem jedynie dzięki kilku wiązkom ścięgien. Skóry nie było wcale. Ani najmniejszego splachetka. Ciało zaczynało pokrywać kości dopiero na wysokości nadgarstka, a i tam na przestrzeni kilku cali wzdłuż przedramienia ręka wyglądała jak zwęglony kikut.

– Chodź ze mną, Salene. Zostawmy tego potwora jego własnemu losowi - powiedział Sardak, obejmując siostrę.

– Hola! Zayl jest jednym z lepszych ludzi, jakich miałeś okazję spotkać!

– Nie, Sardaku. - Pokręciła odmownie głową. - On uratował mi życie i próbował ocalić Poltha.

– Salene...

Delikatnie odprowadziła brata do drzwi.

– To bardzo miłe, że tak się o mnie troszczysz, Sardaku, ale nic mi nie jest. Idź z powrotem do siebie. Jeśli będę cię potrzebowała, to przyjdę.

Brat pogłaskał ją po głowie. Alkohol zdążył już z niego wyparować. Wpatrywał się w szkielet dłoni z obrzydzeniem i w końcu skinął głową.

– Zrobisz, jak uważasz, siostrzo. Jak zwykle. - Spojrzał jej w oczy. - Ale będę nasłuchiwać. Jeśli usłyszę choć najcichszy niepokojący dźwięk, wrócę. Z mieczem.

Zamknął za sobą drzwi, zostawiając Salene w towarzystwie czaszki i Zayla. Arystokratka niepewnie podeszła do leżącego nieruchomo nekromanty.

– Czy to... To mu się stało tam, w krypcie?

– Chciałbym móc odpowiedzieć ci „tak” - powiedział Humbart pokornym tonem. - Pewnie wtedy nie zmieniałabyś o nim zdania. Ale nie, panienko, moja pani, to nie stało się w krypcie. Ma to już od jakiegoś czasu.

– Opowiedz mi.

– Zrobili mu to przekłęci, zniewalający dusze, potępieni w zaginionym mieście zwanym Ureh. Pewien gość wraz z bandą łowców skarbów odnalazł to miejsce. Zayl i ja staraliśmy się ich powstrzymać przed wejściem. Wiedzieliśmy już, że coś nie gra, a i tak nie spodziewaliśmy się tego, co nas tam spotkało. Miasto leżało w gruzach, lecz ożyło, gdy tylko się w nim znaleźliśmy. Było piękne i spokojne, tak przynajmniej myśleliśmy, dopóki wszyscy nasi nie zaczęli znikać, a władca miasta okazał się być jednym z Mrocznej Trójcy. Przeżył tylko Zayl i jeszcze jeden człowiek. Wtedy stracił dłonie.

– Jak w takim razie.

– Normalnie ludzie zostaliby w takim stanie. Ale on jest spryciarz. Jego i kapitana Dumona, drugiego z ocalałych, wyleczyli pobratymcy Zayla. Wtedy wpadł na ten pomysł. Wrócił tam i w jakiś sposób zdołał odnaleźć to, co zostało z jego dłoni. Stracił trzy dni i trzy noce, próbując ją sobie przyprawić, czarami i ogniem. No i proszę. Jest właściwie lepsza niż poprzednio. Choć za ogromną cenę. Ogromną.

W miarę jak Humbart mówił strach i przerażenie opuszczały Salene. Zastępowała je fascynacja. Przecież, gdyby posiadała taką moc jak Zayl, zrobiłaby pewnie to samo. Co innego mu pozostawało? Miał przyprawić sobie hak, jak wielu marynarzy? Chodzić z kikutem? Utrata kończyny

zdarzała się też arystokratom. Zastępowali ją wtedy metalową protezę, którą skrywali zupełnie tak, jak Zayl chował swoją. Salene nie miała wątpliwości, że wielu z nich słono by zapłaciło za coś takiego, co zrobił nekromanta. Bardzo prawdopodobne nawet, że chwaliliby się tym przed całym światem. Nawet pomimo tego, co Kościół Zakarum mówił na temat tego rodzaju praktyk.

Pochyliła się i ściągnęła do końca strzęp rękawiczki. Dopiero teraz zauważyła, że jej wnętrze było grubo wyściełane - tak aby całość wyglądała z zewnątrz jak zwyczajna ręka. Wiele razy widziała przecież, jak Zayl posługuje się okaleczoną dłonią bez żadnych trudności.

Jej palce zawisły nad szkieletem kończyny. Salene przygryzła wargę i dotknęła kości. Ku jej zaskoczeniu okazała się gładka i ciepła. Dotknęła jednego ze stawów i cicho krzyknęła, gdy dłoń drgnęła.

Wydając głuchoe dźwięki, Rathmita przekręcił się na łóżku. Cofnęła się, nie chcąc zakłócać jego spokoju.

– Wydobrzeje, moja pani - zapewnił ją Humbart. - Teraz powinnaś sama odpocząć. Idź i nie martw się. Będę mieć na niego oczodół.

– Powinnam tu zostać. Nie mogę wszystkiego zostawić na twoich barkach.

Czaszka zachnęła się:

– A co ja niby mam innego do roboty, panienko? Ja nie sypiam, w każdym razie nie tak, jak żywi. Mogę więc czuwać choćby całą noc. - W jego głosie pojawiła się zaskakująca, ciepła nuta: - Nic złego mu się nie stanie. Obiecuję.

Salene uwierzyła, mimo że przecież czaszka nie mogła się poruszać. Na swój sposób Humbart Wessel bronił Zayla tak, jak ją przedtem chronił Polth.

– Wezwij mnie natychmiast, jak tylko jego stan się zmieni - poprosiła.

– Zrobię tak.

– Dziękuję... Humbart.

Kobieta mogła przysiąc, że czaszka spojrzała w inną stronę.

– Nie... to ja dziękuję, panienko.

Lady Nesardo cicho wyszła z komnaty. Jej myśli nieprzerwanie krążyły wokół Zayla. Zastanawiała się, co powinna jeszcze zrobić, żeby pomóc mu wyzdrowieć...

Wpadła nagle na stojącą w holu postać. Cofnęła się odruchowo, choć był to tylko jej brat.

– Sardak! Straszysz mnie! Co ty tu robisz? Powinieneś być w łóżku!

Jej mina nie należała do przyjemnych.

– Nie odszedłem zbyt daleko, siostrzyczko. Nie mogłem zapomnieć o tym, co tam widziałem.

– Sardak, ale to naprawdę nic takiego.

Złapał ją w ramiona tak mocno, że aż jęknęła z bólu. Sardak rozluźnił chwyt, lecz nie puścił siostry.

– On musi stąd zniknąć, Salene. Nie możesz trzymać w domu czegoś takiego! On jest dla ciebie zagrożeniem. Dla nas wszystkich! Zobacz, co spotkało Poltha, cholera. A przecież Polth był najemnikiem.

– Polth zginął, próbując ocalić nas oboje, mnie i Zayla, jeśli o tym mowa. A chwilę potem taki sam los mógł spotkać Zayla. Nie było cię tam, Sardaku. Tam, w krypcie, stało się coś koszmarnego.

– Tak, wiem, ale jednak... - Skrzywił się arystokrata.

– On tu zostaje. Jestem mu to winna. Przykro mi, jeśli uważasz, że to źle, ale...

– Ale to ty jesteś lady Nesardo, a ja jestem tylko nikczemnym bękartem...

Salene próbowała zaprotestować, ale Sardak ciągnął:

– Przesadziłem. Wiem. Zrobiłaś wszystko, żebym czuł się tu jak we własnym domu. Dałaś mi szansę. Wybacz mi to, co powiedziałem. - Skłonił głowę.

– Rozumiem cię... Zapomnijmy o tym. - Salene dotknęła jego policzka. Sardak spojrział na drzwi do komnaty rannego.

– Zrobimy, jak zechcesz, siostrze. Jeśli jednak on zrobi cokolwiek, co będzie stanowiło dla ciebie zagrożenie, odpowie mi za to.

Młodzieniec zamilkł, pocałował siostrę w policzek i poszedł do swojej komnaty. Patrząca w ślad za nim Salene nie miała najmniejszej wątpliwości, że dotrzyma swej obietnicy. W tym Sardak przypominał Poltha. Obaj byli lojalni wobec tych, na których im zależało. Obaj też potrafili być śmiertelnie niebezpieczni dla tych, którzy weszli im w drogę.

Arystokratka miała nadzieję, że to drugie nigdy nie spotka Zayla.



Zayl śnił o pająkach. Wielu pająkach. Wielkich i małych. Oplatały go ich sieci. Owijały w kokony. Pająki były wszędzie dookoła...

W jego koszmarze pojawiła się twarz. Oblicze otoczone siwymi, krótko przystrzyżonymi włosami. Pod pewnym względem twarz przypominała jego własną. Oczy obcego chłodno patrzyły na jego męczarnie. Nie wykazywały nawet śladu chęci pomocy.

Zayl walczył sam.



Burza trwała nieprzerwanie przez całe rano i popołudnie, uspokajając się nieco dopiero z nadejściem nocy. Salene, jeśli nie spała, spędzała czas doglądając rannego. Martwiło ją to, że nekromanta nie odzyskał jeszcze przytomności. Wiedziała też, że niepokoi to także Humbarta, choć sam jej tego nie powiedział.

Ciało Zayla spływało potem. Brwi miał zmarszczone tak, jakby głęboko nad czymś się zastanawiał. Arystokratka wyczuwała wirującą wokół niego magię. Przeczuwała, że dzieje się coś, czego sama nie rozumie. Nie mając lepszego pomysłu, zwilżała jego wargi wilgotnym, miękkim ręcznikiem i układała go w jak najwygodniejszej pozycji.

Sardak przynosił jej posiłki. Służący odmówili wchodzenia do komnaty, w której leżał nekromanta. Młody Nesardo milczał, wręczając jej tacę i badawczo przypatrując się rannemu.

Salene jadła kolację w milczeniu. Ani ona ani Humbart nie byli w stanie pocieszyć się nawzajem. Czaszka twierdziła nieustannie, że Zayl wyzdrowieje, lecz w jej głosie dźwięczała jakaś grobowa nuta, nie mająca nic wspólnego z wyglądem.

Ledwie kobieta skończyła jeść, do drzwi zastukał jeden ze służących.

– Pani, ktoś chce się z tobą spotkać. Czeka w salonie.

– Przyszedł w taki deszcz? - zdziwiła się arystokratka, wstając z miejsca.
- Kto to?

Nie otrzymała odpowiedzi, a gdy otworzyła drzwi, okazało się, że sługa już uciekł. Skrzywiła się i zamknęła drzwi, po czym zeszła na parter. Po drodze spotkała innego sługę, niosącego pustą tacę. Ukłonił jej się.

– Podano mu już wino. Rozpaliliśmy też w kominku.

– Ale komu? Kto przyszedł, Barnaby?

Służący wyglądał na zdziwionego jej pytaniem.

– Jak to? Lord Jitan, oczywiście.

Jitan?

– Dziękuję, Barnaby. Możesz odejść.

Sługa uklonił się ponownie i spiesznie odszedł. Salene starała się przybrać spokojny wyraz twarzy, by nie zdradzić się z żadnym z uczuć, jakie wzbudziła w niej ta nieoczekiwana, niezapowiedziana i z pewnością niepożądana wizyta człowieka, który chciał przywłaszczyć sobie dom Nesardo. Kiedy była pewna swego wyglądu, arystokratka weszła do komnaty.

– Mój lord Jitan - rzekła. - Czemu zawdzięczam zaszczyt twych odwiedzin akurat w tę noc?

Aldric Jitan wstał z fotela, z kielichem w dłoni, zupełnie tak, jakby to on był gospodarzem, a nie stojąca przed nim kobieta. Arystokrata wyglądał sztywnie, lecz w jego ustach i oczach tkwiło coś nieharmonijnego, co zawsze odstręczało Salene. Oczy miał rozbiegane, jakby wypatrywał skrytych w cieniu komnaty wrogów. Wydał wargi ku górze w sposób, który skojarzył się lady Nesardo z wygłodniałym wilkiem.

– Moja droga, droga Salene - odpowiedział wznosząc kielich. - Wypiję za twą nieskazitelną urodę.

Tego typu kwieciste słowa nie spodobałyby jej się nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Mimo to dygnęła uprzejmie.

Ubranie Aldrica było suche i czyste, znaczyło to, że służby chronili go przed deszczem przez całą drogę do drzwi domu. Salene ukradkiem poszukała wzrokiem jego płaszcza. Nigdzie go jednak nie było. Szkoda. Gdyby znajdował się w pobliżu, miałyby okazję skrócić to, co zapowiadało się na bardzo nieprzyjemną rozmowę.

– Przeszedłem dowiedzieć się, czy uda nam się zawrzeć ugodę, Salene - odrzekł jej wreszcie. Upił kolejny łyk i podszedł do niej. Jego spojrzenie

nagle skupiło się na arystokratce, która - pomimo całej swej pogardy dla Jitana - poczuła jego przyciągającą siłę. -Toczymy spór bez powodu.

- Próbujesz odebrać mi dach nad głową, zostawić bez środków do życia, wypędzić na ulicę.

- To nie tak. - Aldric nachylił się nad nią i teraz Salene widziała już tylko jego oczy. - Jestem do tego zmuszony. Prowadzę interesy z prawie każdym większym rodem w Marchii Zachodniej. Wiele z moich transakcji dotyczy wielkich sum pieniędzy i dużych posiadłości. Przyczyną faktu, że udaje mi się zachować dobrą reputację, jest to, iż zawsze dotrzymuję słowa i nigdy nie oszukuję. Jeśli obiecuję komuś, że skorzysta na interesie ze mną, to oznacza to, że skorzysta. Z drugiej strony... Jeśli zawieram umowy zabezpieczające moje interesy, co jest koniecznym zabiegiem, bo oszustów jest wielu, jestem zmuszony, by je egzekwować bez względu na wszystko.

Salene zauważyła ze zdziwieniem, że zaczyna go rozumieć. Rzeczywiście, często zdarzało się, iż podupadający arystokraci wchodzili w złe interesy i próbowali potem wymigać się od spłacania wierzycieli. Co więcej, mając silnych protektorów, dopinali swego i wierzyciele odchodzili z kwitkiem.

- Ale Riordan był honorowym człowiekiem. Był też na tyle ostrożny, by zawierać tylko takie umowy, których mógł dotrzymać.

- Taki był w istocie. - Niepokojące oczy zabłysły. Lord Jitan stał tak blisko niej, że bez trudu mógłby ją pocałować. Co dziwne, Salene nie cofnęła się. - Nie dana mu była jednak możliwość dotrzymania tej umowy. Dotrzymałby jej z pewnością, gdyby nie jego przedwczesna śmierć. W tej sytuacji uzgodnione w umowie zabezpieczenie przypada, na mocy prawa, mnie. - Jitan wzruszył ramionami. - Jeśli nie wezmę tego, co mi się należy, każdy, z którym zapragnę robić interesy, zacznie mnie oszukiwać i

zbankrutuję w ciągu roku. Wtedy ja zostanę bez dachu nad głową, a tego byś przecież, moja droga, nie chciała, prawda?

– Nie chciałabym, nie. - Nie mogła oderwać wzroku od jego oczu.

– W takim razie powinnaś rozważyć moją propozycję. Jako lady Jitan zachowasz swoje dziedzictwo i przypadnie ci też w udziale to, co wniesie mój ród. To transakcja, na której skorzystają obie strony. - Dotknął jej policzka, jakby chciał ją pocałować. - Obie.

Nagle w jej myślach pojawił się Zayl. Salene odsunęła się od Jitana. Jego uśmiech momentalnie zmienił się w nieprzyjemny grymas. Po chwili jednak zastąpiła go mniej uprzejma wersja poprzedniego uśmiechu.

Z jakiegoś powodu lady Nesardo poczuła, że powinna natychmiast udać się do komnaty nekromanty.

– Źle się poczułaś? Mogę ci jakoś pomóc? - spytał lord Jitan, widząc jej niepokój.

– Nie... Dziękuję, ale nie. Aldricu, przykro mi, lecz muszę ponownie odrzucić twoją propozycję.

Jego uśmiech stał się jeszcze mniej uprzejmy.

– Zastanów się, co mówisz, Salene. Zrobię to, co muszę.

Jego wzrok nie miał już nad nią władzy. Arystokratka zbuntowała się.

– Zrobisz albo nie. Nie wyczerpałam jeszcze wszystkich swoich możliwości. Nadal sprawdzam historię interesów męża.

– A co... - Zamknął usta i spojrzał nagle w stronę, gdzie mieściła się komnata Zayla. Twarz Aldrica nagle skamieniała. Skłonił się.

– Bardzo dobrze. Jeśli to twoje ostatnie słowo dzisiejszego wieczoru, pożegnam się już, życząc dobrej nocy... i modlę się o to, byś dla własnego dobra wkrótce zmądrzała.

Odstawił hałaśliwie kielich i wyszedł. Salene nawet nie próbowała go odprowadzać. Droga do wyjścia była prosta. Nasłuchiwała w napięciu i w

końcu usłyszała to, na co czekała. Głośny trzask zamykanych drzwi, po którym nastąpił ostry stukot końskich kopyt i kół powozu, potwierdzający, że Jitan odjechał.

Zadowolona, wiedząc, że Aldric nie wróci szybko, pospieszyła na górę. Zaskoczony sługa ledwo usunął jej się z drogi, gdy wskakiwała na stopnie schodów.

U ich szczytu stał Sardak. Jego fryzura była w nieładzie. Wyglądał na zaniepokojonego, co spotęgowało jej obawy o los nekromanty.

– Barnaby powiedział mi właśnie, że był tu Jitan. Czego, do diabła, chciał tym razem?

– Tego, co zwykle. Chciał, abym go poślubiła i tym samym zakończyła spór.

– Ale masz powodzenie, siostrze! Torion będzie bardzo zazdrosny. Oświadczył się pierwszy...

Nie miała czasu na tę rozmowę.

– Sardak, dość. Po spotkaniu z Jitanem nie chcę wysłuchiwać jeszcze tych twoich nonszalanckich uwag.

Kiedy go wymijała, chwycił ją za ramię.

– Przepraszam. Następnym razem, jeśli się tu pojawi, przyślij po mnie Barnaby'ego. Nie chcę, byś była sam na sam z tym draniem.

Miała już powiedzieć, że sama potrafi sobie poradzić z Jitanem i podziękować bratu, lecz nagle przypomniała sobie, jak bardzo bliska była spełnienia jego żądań.

Prawie ją pocałował!

– Będę pamiętać - powiedziała miękko i dodała z uśmiechem: - Dziękuję za troskę.

– To idzie mi najlepiej... poza piciem. - Wskazał w kierunku, w którym szła. - Wracasz do niego?

– Tak. Muszę iść. - Czuła, że powinna się spieszyć.

– Mimo wszystko to lepsze towarzystwo niż Jitan - przyznał niechętnie. - Ale zawołasz, jeśli będziesz mnie potrzebować, prawda?

– Tak, Sardaku. Obiecuję.

Puścił ją. Salene pobiegła naprzód z nadzieją, że nie jest za późno.

Gdy z rozmachem otworzyła drzwi do komnaty Zayla, zobaczyła jednak, że wszystko jest tak, jak było, kiedy z niej wychodziła. Rathmita leżał nieruchomo na łóżku, nadal pokryty potem mimo panującego w komnacie chłodu. Niepokój jednak nie zniknął.

– Co się stało, Humbart?

– Stało? - Mimo braku rysów twarzy czaszka wyglądała na zdziwioną. - Nic. Nic przerywane chwilami zupełnego bezruchu.

– Byłam przekonana... - Lady podeszła do łóżka i dotknęła czoła nekromanty.

Jej niepokój wzrósł od razu. Poczuła złowrogą, miazdzącą moc, skupioną na Zaylu. Nie miała pojęcia, gdzie leży źródło tej siły.

– Zayl - szepnęła bezwiednie. - Zayl...

Nekromanta zwrócił ku niej głowę i jęknął.

– Poruszył się! - wykrzyknął Humbart. - Na Górę Arreat! Poruszył się! Wreszcie!

Dotykając Zayla koniuszkami palców, czuła ciepło, lecz nie żar. Oddech nekromanty zdawał się bardziej regularny niż dotychczas, a gdy Salene starła mu pot z czoła, nowe krople nie wystąpiły natychmiast.

Pojawiła się nadzieja.

– Myślę, że on...

Nagle mężczyzna otworzył szeroko oczy.

– Karybdus - powiedział.

Po tym słowie znów zamknął powieki, a głowa opadła mu na bok. Salene krzyknęła, myśląc, że umarł. Przyjrzała mu się uważniej i zrozumiała, że nekromanta śpi. Śpi spokojnie.

– Karybdus? - zamruczała czaszka. - A co to, do diaska, ma znaczyć?



Karybdus schował sztylet do pochwy. Jego oblicze nie zdradzało żadnych emocji mimo tego, co się przed chwilą wydarzyło.

– Trzy razy - oznajmił. W ciemnościach rzucała się gniewnie istota, do której mówił. - Trzy razy. Czwartego razu nie będzie.

Rathmita uniósł wzrok ku powale i jego twarz rozpromieniła się bez wyraźnego powodu.

– Odpoczywaj, maleńki. Rzeczy nadal układają się tak, jak wymaga tego Równowaga. Znamy dobrze stojące przed nami przeszkody. Wiemy, że on nazywa się Zayl.

Karybdus wyciągnął rękę, na którą wskoczyło coś dużego, czarnego i obdarzonego wieloma odnóżami. Nekromanta czule pogładził pupila.

– Zayl... To oczywiste, że to on.

SIEDEM



Generał Torion był człowiekiem czynu. Bezczywność doprowadzała go do szału i w takim właśnie stanie ducha znajdował się tego wieczoru. Pogrzeb Corneliusa miał się odbyć dopiero za dwa dni. Torion nie był z tego zadowolony. Nowy władca mógł wstąpić na tron i uprawomocnić swą władzę dopiero po pogrzebie poprzedniego panującego. Im dłużej trwało oczekiwanie, tym więcej pojawiało się wątpliwości i tym większe stawało się prawdopodobieństwo, że kto inny skusi się, by sięgnąć po tron Marchii Zachodniej.

Chętnych do tego urzędu było wielu. Poparcie, jakiego udzieliła Justynianowi Salene Nesardo, z pewnością skłoni wiele innych rodów, żeby pójść za nowym królem, lecz lista tych, którzy mogli jeszcze sprawiać kłopoty, była wciąż zbyt długa jak na gust generała.

Zaczynał żałować, że nie przyszło mu żyć w prostszych czasach, w których poddani władców mogli stosować inne środki.

Bardziej radykalne środki.

Jechał do pałacu, otoczony swą sześćcioosobową gwardią. Pałac wybudowano z szarego kamienia. Jego wieże kończyły się stożkowatymi dachami. Mury wzmocniono potężnymi podporami. Na każdym z pałacowych dachów siedział kamienny gargulec. Budowla przypominała twierdzę. Jej wysokie, nagie mury jeżyły się kolcami, a całość została otoczona głęboką fosą o gładkich ścianach, po których niepodobna było się

wspiąć. Najniższe z zabezpieczonych żelaznymi sztabami pałacowych okien umieszczono dopiero na wysokości trzeciego piętra.

Warowny styl, w jakim wzniesiono pałac, miał swe uzasadnienie w historii. Twierdza powstała w tym miejscu, zanim jeszcze wybudowano miasto. Warownia była najdalej wysuniętym ludzkim osiedlem ówczesnego pogranicza. Wybrano ją na punkt, z którego miała się rozpocząć ekspansja Marchii Zachodniej. Torion słabo znał historię powszechną, ale na historii wojskowości i wojen znał się świetnie. Dzieje Synów Rakkisa poznał tylko dlatego, że pozostawili po sobie militarną potęgę oraz ten pałac. To właśnie oni wzniesli pierwsze, zewnętrzne mury miasta, które potem kopiowali i upiększali późniejsi architekci. Stolica Marchii sama stanowiła fortecę, była w pewnym sensie dobudówką pałacu.

Tyle że każda forteca, nawet najsilniejsza, mogła paść pod ciosami zadanymi od wewnątrz. Tron należało zabezpieczyć.

Gdyby tylko miał choć trochę więcej ikry, jak jego ojciec- generał snuł te rozważania nie po raz pierwszy. - Wtedy nikt nie kwestionowałby jego zdolności do rządzenia.

Poubierani w futra i grube szaty mieszkańcy Marchii kłaniali mu się nisko, gdy mijał ich, jadąc po brukowanych ulicach. Co jakiś czas odwzajemniał pozdrowienia skinieniem głowy. Rzemieślnicy i sklepikarze ciekawie wystawiali głowy ze swych warsztatów, by spojrzeć na człowieka nazywanego Królewskim Mieczem. Niektórzy z nich prawdopodobnie zastanawiali się, dlaczego Torion sam nie sięgnie po władzę, prawnie przypadającą tak słabemu następcy tronu. Puszczając te plotki mimo uszu. Dla Toriona liczył się tylko obowiązek. Nie był stworzony do tego, żeby brać na swoje barki niewygodny ciężar władzy. Od tego był Justynian.

Przy otaczających pałac murach stali czujnie obserwujący okolicę strażnicy w czerwonych mundurach. Mieli na sobie hełmy z wystającymi

obrzeżami i napierśniki z szarej stali. Stali w gotowości -z wysoko uniesionymi pikami i mieczami zwisającymi u boków. Ponad ich głowami wściekle łopotały na wietrze królewskie sztandary. Na każdym z nich widniał herb wyobrażający szarżującego, czarnego niedźwiedzia. Niedźwiedź zdawał się tańczyć szaloną gigę.

Toriona nie trzeba było strażnikom przedstawiać. Przepuścili go więc błyskawicznie. Przejechał wraz ze Swą świtą przez żelazną bramę pałacu. Wiatr wył bezustannie, lecz generał prawie tego nie zauważał. Zbyt koncentrował się na istotniejszych sprawach. Przez resztę drogi w górę pałacowych schodów był równie nieobecny duchem. Prawie nie zauważył, kiedy dotarli do dużych żelaznych drzwi, ozdobionych wielkimi łbami wściekłych wilków, będących symbolami pierwszych władców pałacu. Zatrzymał się jednak przy nich na chwilę, podziwiając bijącą z rzeźbionych zwierząt siłę. Dynastia Synów Rakkisa dawno już wymarła, lecz ich spuściznę nadal zauważano wszędzie dookoła. Istniała też nadal we krwi wielu mieszkańców Marchii Zachodniej.

Wysoki, szary hol, przez który szli, oświetlono pochodniami. Wzdłuż ścian stały dwa szeregi najbardziej zaufanych żołnierzy Toriona. Nad ich głowami ciągnął się szereg rzeźbionych wyszczerzonych wilków. Jedno zwierzę za drugim. Poprzednik Justyniana chciał dobitnie pokazać, kto teraz rządzi pałacem, i nakazał rozwiesić w holu wielkie, misterne gobeliny z własnym herbem. Generałowi te ozdoby zawsze wydawały się jarmarczne. Wielkie niedźwiedzie wisały wysoko nad idącymi. Torion pomyślał, że zwierzęta bardziej wyglądają na przestraszone niż przerażające. Wydawało się wręcz, że wiszą tak wysoko, aby pozostać poza zasięgiem kłów starożytnych wilków.

Generał Torion skręcił gwałtownie w prawo, w kierunku przeciwnym do sali tronowej. Justyniana nigdy w niej nie było. Młody monarcha nad salę

tronową przedkładał swoje wygodne komnaty, które zajmował od dzieciństwa. Fakt, że uparcie odmawiał zajęcia należnego mu tronu, jeszcze pogarszał sytuację polityczną.

– Generale - rozległo się nagle za plecami idącego. - Mój panie generale.

Torion od razu rozpoznał nosową barwę głosu. To był Edmun Fairweather. Prawa ręka nowego króla. Nerwowy, sypiący na prawo i lewo pochlebstwami człowiek, posiadający stanowczo zbyt duży wpływ na Justyniana.

– O co chodzi, Edmunie? - zapytał generał, zwracając się ku królewskiemu sekretarzowi,

Edmun miał na sobie czarną kamizelkę i także spodnie. Jak wszyscy ludzie Justyniana przypominał generałowi wątłego ptaka. Był łysy z wyjątkiem cienkiego pasma brązowych włosów, biegnącego z tyłu głowy - od ucha do ucha.

– Jego wysokość... Nie znajdziesz tam jego wysokości.

– Ach tak. Zszedł do kuchni?

Nowy pan Toriona uważał się za kucharza. W czasach kiedy jeszcze nikt nie spodziewał się, że zostanie królem, wiele czasu spędzał zabawiając się gotowaniem. Kolejna cecha umniejszająca młodego władcę w oczach wielu arystokratów.

– Nie, panie generale. Jego wysokość oczekuje cię w sali tronowej.

Zaskoczony generał aż sapnął. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy. Zazwyczaj Justynian trzymał się z daleka od sali tronowej, niemal tak, jakby groziła mu tam zaraza. Torion starał się nie tracić nadziei. Będąc następcą Corneliusa, musi w końcu zrozumieć, że powinien choć sprawiać wrażenie, że często zasiada na tronie.

– Prowadź zatem.

Fairweather odwrócił się na pięcie i poprowadził Toriona wraz z ludźmi z powrotem ku sali tronowej. U wejścia do sali stało czterech strażników. Edmund strzelił palcami i dwóch żołnierzy otworzyło przed nimi drzwi. Gwardziści generała zajęli swoje miejsca w holu. Gdyby pojawili się w komnacie króla, zostałyby to uznane za afront w stosunku do władcy, a w obecnej sytuacji Torion nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek, najmniejsze nawet wpadki tego rodzaju.

Kiedy wszedł do środka, uniósł brwi, zdumiony tym, co zobaczył. Zaskoczony, odruchowo przyklęknął na jedno kolano.

Justynian Czwarty, Justynian Szerokooki, jak skrycie mówiło o nim wielu, poważnym wzrokiem spoglądał z wysokości tronu na głównodowodzącego armią Marchii. Nie wyglądał już jak małe, przestraszone dziecko. Człowiek siedzący przed Torionem wyglądem przypominał zmarłego, ukochanego króla Corneliusa. Szczupły, o włosach w kolorze piasku. Byłby nawet przystojny, gdyby nie szpecące jego twarz blizny, pamiątka po przebytej w dzieciństwie chorobie. Po ojcu odziedziczył też orle rysy twarzy, lecz oczy miał identyczne jak jego matka, zmarła tuż po narodzinach Justyniana, nieodżałowana królowa Nellia. Jednakże oczy młodego króla, w przeciwieństwie do oczu królowej, były zazwyczaj wodniste, rozmyte, słabe. Dziś jednak Torion patrzył na człowieka o głębokim, zniewalającym, brązowym spojrzeniu.

– Mój lord, generał Torion. - Powitał żołnierza Justynian. Jego głos również nabrał niezwykłej u niego, pasującej do spojrzenia, mocy. - Zawsze dobrze cię widzieć. Wstań, proszę.

Mówi zupełnie jak ojciec... - zdziwił się w duchu generał, podnosząc się z klęczek. *Zupełnie jak Cornelius za swoich najlepszych lat.*

Młodzieniec nie miał na sobie białej koszuli nocnej, w której tak często widywał go, bez względu na porę, Torion. W jej miejsce następcą tronu

przywdział królewski strój, nad którego stworzeniem krawcy pracowali całe dnie i noce, od momentu gdy stało się jasne, że Cornelius nie wyzdrowieje. Szaty króla przypominały mundur, który miał na sobie przybyły do sali. Różnił się jedynie okrągłymi, bogato zdobionymi, złotymi i srebrnymi naramiennikami oraz wykonanym z niezwykłą starannością herbem, wyrzeźbionym na złotym napierśniku. Zwrócony w prawo niedźwiedź nie wyglądał na wystraszonego, jak te z gobelinów w holu. Pasował raczej do wrażenia, jakie wywoływał człowiek, na którego piersi się znajdował. Wzdłuż rękawów i nogawek króla biegły złote lampasy. Wysokie, wojskowe buty z czarnej skóry wzmagaly jeszcze ogólne wrażenie majestatu bijącego od Justyniana. Torion, który wiedział, jak ludzie reagują na jego widok, doświadczył teraz tego uczucia na sobie. Doświadczył go po raz pierwszy, odkąd dwadzieścia lat temu został pasowany na rycerza przez króla Corneliusa.

– Wasza wysokość... - zaczął po chwili, zdając sobie nagle sprawę, że z wrażenia nie może zebrać słów. - To wielki zaszczyt znaleźć się w twojej obecności, panie.

Justynian otworzył usta i zawahał się przez moment. Spojrzał w bok. Jego twarz zdradzała przez chwilę dawny brak pewności siebie. Potem jednak, równie nagle, powrócił młody, pewny siebie monarcha. Podniósł się elegancko i zszedł z tronu, podając rękę swemu najwierniejszemu żołnierzowi.

– Wiem, że martwiłeś się o mnie, generale. Tym bardziej doceniam twoje poparcie.

Torion wciąż nie mógł oprzeć się wrażeniu, że rozmawia z poprzednim władcą.

– Zmiana u szczytu władzy zawsze przynosi ze sobą chwile niepewności. Moje zaufanie i lojalność nie zachwiały się jednak ani na moment, wasza

wysokość.

– Mój dobry, wierny Torion - powiedział król, uśmiechając się nagle w sposób, który też skojarzył się generałowi z uśmiechem Corneliusa. Justynian znów zaskoczył Toriona, tym razem klepiąc go po ramieniu. Dopiero teraz widać było, że są równi wzrostem. Młody monarcha nie garbił się niepewnie jak dotąd. Ten nowy Justynian stał prosto i dumnie, jak wszyscy z jego dynastii.

Generał odpowiedział uśmiechem na uśmiech. Jeśli obserwowana zmiana okaże się trwała, wtedy tych, którzy starali się dowodzić swych praw do tronu, podważając dynastyczne korzenie króla, czekać będzie niemiła niespodzianka.

– Jeśli wolno, chciałem powiedzieć, że bardzo ci pasują te nowe szaty, wasza wysokość - powiedział żołnierz, teraz dużo spokojniejszy niż w drodze do pałacu.

– Prawda? Kto by się tego spodziewał?

Justynian nagle cofnął się, wznosił ramiona i zaśmiał się w sufit. Torion uniósł brwi i spojrzał na Edmuna, który, rozsądnie, znalazł sobie coś bardzo interesującego do oglądania na rękawie.

Król szybko opuścił ręce. Przez jego oblicze znów przemknął cień niepewności.

– Wybacz, generale. To trochę z... hmm... niepokoju. Nie pozbyłem się jeszcze całego napięcia.

Generał Torion, pamiętając to, czego się spodziewał, wyruszając do pałacu, łatwo zaakceptował wyjaśnienie. W miejsce słabego i niedoświadczonego chłopca pojawił się mężczyzna o wiele bardziej kompetentny niż niejeden jego poprzednik. A paru nietypowych zachowań należało się wręcz spodziewać. Każdy monarcha miał swe dziwactwa. To było we krwi.

– Jakimi siłami dysponujemy, Torionie?

Pomimo że generał przebywał w obecności odmienionego Justyniana już parę dobrych minut, tak bezpośrednie pytanie zbiło go kompletnie z tropu.

– Wasza wysokość, raczy wybaczyć?

– Kto mnie poprze generale? I kto już się opowiedział po mojej stronie?

W Torionie zwyciężył profesjonalista. Wymienił szybko kilkanaście nazwisk, kończąc listę słowami:

– ...i oczywiście swego poparcia udzieliła też lady Nesardo.

Młodzieniec spojrział na niego uważnie.

– Lady Nesardo? Jesteś absolutnie pewien?

– Udzieliła ci poparcia bez chwili wahania... i pozwolę sobie dodać... jeśli będziesz nadal wywierać takie wrażenie jak w tej chwili, to ci, którzy się nadal wahają, też wkrótce przejdą na twoją stronę.

Jasnowłosy monarcha ponownie spojrział w bok. Tym razem Torion spokojnie odczekał. Jeśli to miało być jedyne pretensjonalne dziwactwo nowego króla, to Marchia mogła uważać się za szczęśliwe królestwo.

– Masz prawo tak sądzić, generale - odparł w końcu król, znów uśmiechając się tak jak jego ojciec, i dodał: - Przygotujcie audiencję tak szybko, jak to tylko możliwe. Edmun! Zaproś wszystkich, których wskaże ci Torion.

– Tak, wasza wysokość - odpowiedział sekretarz, skłaniając się unizienie.

– Myślę, że przyda się też demonstracja siły. Nieprawdaż, generale?

Wciąż udawało mu się zaskoczyć starszego mężczyznę.

– Wasza wysokość?

– Musimy pokazać, że armia Marchii stoi bezwarunkowo po mojej stronie. Czy możesz to zorganizować?

Generał Torion pomyślał przez chwilę.

– Dużą część armii Marchii stanowią wojska zaciężne, należące do różnych lordów. Oddają nam te wojska jako znak zaufania, jakim darzą monarchę. Wojsk należących do kilku z nich nie chciałbym wykorzystywać do tego typu pokazu... Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Czym zatem dysponujemy?

– Poza lojalnymi nam siłami mogę wezwać siły stacjonujące na granicy Khanduras.

Khanduras było leżącą na północnym wschodzie krainą, z terenów której Marchię często najeżdżały zbrojne bandy. Władcy Khanduras zazdrośnie patrzyli na naturalne bogactwa Marchii Zachodniej. Torion podejrzewał, że bandyci składają im hołd w postaci części zrabowanych w Marchii dóbr. Niestety, nigdy nie udało mu się tego udowodnić.

– To ryzykowne. Niektórym może się to nie spodobać. Zła decyzja na samym początku panowania - zauważył Justynian.

– Twa mądrość wzbudza mój najgłębszy podziw, wasza wysokość.



Król zmarszczył brwi i spojrzał w bok. Znów po chwili jego spojrzenie nabrało stalowej mocy.

– Oczywiście! Jak niemądrze pomyślałem. Straż miejska jest pod twoją osobistą komendą, prawda?

Generał nie był pewien, czy spodoba mu się nowy pomysł króla.

– Tak, jest, ale...

Syn Corneliusa klasnął w dłonie.

– Doskonale! Nie rozumiesz? Tutaj z pewnością nie grozi nam inwazja. A żaden z arystokratów mających chrapkę na tron nie odważy się otwarcie wystąpić przeciw straży. Wykorzystamy ich do parady.

Część nadziei przepełniającej od kilku chwil serce Toriona znikła. Uważał bowiem miejskie mury za istotną część systemu obronnego państwa. Bez względu na odległość dzielącą Marchię od Khanduras czy też Ensteig mocna obrona stolicy gwarantowała silną obronę całego królestwa.

Justynian jednak już zdecydował.

– Niech tak się stanie! Wykorzystamy przede wszystkim ludzi z murów od strony lasu i gór. Stamtąd nie grozi nam nic, poza kilkoma wendigo, prawda, generale? - odezwał się, zanim Torion zdołał zasugerować inne rozwiązanie.

– Najprawdopodobniej - mruknął generał. Przeprowadził w myślach szybkie obliczenia. Rzeczywiście, jeśli już musiał, to najlepiej byłoby pozbawić obrony właśnie te mury, o których mówił król. Tak czy inaczej, Torion musiał zreorganizować zmiany warty, a na to potrzebował czasu, podobnie zresztą jak na organizację całego pokazu. - To zajmie trochę czasu, ale jest wykonalne.

– Wspaniale! - ucieszył się monarcha i znów klepnął go w ramię, perfekcyjnie imitując gest swego zmarłego ojca. - Składam więc przygotowania w twoje ręce.

Torion miał wrażenie, że świat staje na głowie. Kiedy tu przychodził, nie przypuszczał nawet, że coś takiego może się wydarzyć.

– Tak. Wedle życzenia, wasza wysokość.

Przypomniał sobie nagle, z jaką sprawą przybył.

– Królu Justynianie, jeśli wolno...

– Tak, możesz odejść... z moim błogosławieństwem i wdzięcznością.

Justynian odwrócił się, by porozmawiać z Edmunem. Widząc, że audycja dobiegła końca, mężczyzna uklonił się i wyszedł z komnaty. Jego myśli biegły szybko. Rozważał dobre i złe strony nagłej przemiany króla. Gwardziści sformowali za nim szyk, lecz on prawie tego nie zauważył.

Mury powinny być silnie strzeżone. Zawsze tak było - myślał.

Miał też wiele wątpliwości co do wojsk zaciężnych, a do realizacji planu Justyniana musiał zebrać pokaźne siły. Nie miał innego wyjścia. Musiał wykorzystać załogę murów.

Jednak poza tą jedną sprawą... Wychodził z królewskich sal przepętniony nową nadzieją. Syn Corneliusa pokazał dziś więcej determinacji niż przez wszystkie lata znajomości z Torionem. Pod umiejętnym kierunkiem generała to zdecydowanie powinno jeszcze okrzepnąć. Wielu władców przecież zaczynało będąc słabymi i niedoświadczonymi, a kończyli jako legendarni władcy.

To dobry pomysł. - Przekonywał sam siebie Torion, wychodząc na dwór, gdzie nadal było paskudnie. - *To pomoże zachować królestwo. To pomoże ocalić Marchię Zachodnią.*

A przecież właśnie to liczyło się najbardziej.



Sługa podał królowi Justynianowi Czwartemu kielich wypełniony różowym winem. Edmun terkotał, opowiadając władcy o zbliżającej się wielkiej audiencji. Młody monarcha upił łyk.

- Dosyć.

- Wasza wysokość? - Sekretarz przerwał w pół słowa.

- Zostaw mnie samego, Edmunie. Zabierz ze sobą pozostałych.

Edmun uklonił się tak nisko, że Justynian miał wrażenie, iż uderzy swym ogromnym nosem w ziemię.

- Wedle życzenia, wasza wysokość.

Prostując się pstryknął palcami na strażników.

Władca Marchii Zachodniej patrzył, jak wszyscy powoli opuszczają komnatę. Zwróceniem tyłem, nie widzieli, jak oczy króla okrągłeją, jak przepełnia je poczucie niepewności. Usta monarchy wygięły się w dół w rozpacz. Trzymająca kielich dłoń zadrżała. Kilka kropel wina splamiło nieskazitelną dotąd szatę.

Kiedy drzwi zamknęły się wreszcie za ostatnim wychodzącym, ze ściśniętych ust króla dobył się jęk. Justynian pozwolił kielichowi wysunąć się z dłoni. Król zignorował stukot i szybko rosnącą plamę na kamiennej posadzce. Krokiem przypominającym ruchy uwięzionego w klatce zwierzęcia podszedł na środek sali tronowej i rozejrzał się wokół.

– Ach! - Jego wzrok spoczął na pustym miejscu w zacienionym, odległym rogu komnaty. Niespokojnie wyciągnął rękę w tamtą stronę.

– Ojcze! - zajęczał. - Czy dobrze mi poszło, ojcze?



Zaciągnięte ciemnymi, burzowymi chmurami niebo rozjaśniło migotliwe światełko.

Ci, którzy je dostrzegli, mogli pomyśleć, że w tym miejscu chmury rozstały się akurat na tyle, by przedarło się przez nie światło jednej jedynej gwiazdy.

Gdyby jednak zobaczyli, że światełko spada na ziemię, pomyśleliby raczej, że to zwiastun ważnych wydarzeń. Omen.

W obu wypadkach mylili się... i mieliby też zupełną rację.

Światełko nie spadało bezwładnie, jak zazwyczaj robią to tego rodzaju światełka. Obniżało lot szybko, lecz zdążyło w wyraźnie wytyczonym kierunku.

Zatrzymało się tuż nad miastem.

Strażnik, patrolujący zewnętrzne mury, zauważył je, być może wyczuwając niezwykłą zmianę w otoczeniu.

Jego oczy natychmiast stały się szkliste. Odwrócił spojrzenie i wrócił do swych obowiązków. Niezwykły widok wyparował z jego pamięci.

Światełko leciało dalej, opadając na Marchię Zachodnią. Im było niżej, tym bardziej bladło, wtapiając się w szare tło.

Z oczu śmiertelników znikło dokładnie nad domem Nesardo.

OSIEM



Trzy zakapturzone postacie stały przyglądając się krytycznie symbolowi kreślonemu przez Zayla w miękkiej ziemi. Głośne wrzaski i upiorne wycia zamieszkujących dżunglę Kedżystanu nocnych stworzeń odbijały się wielokrotnym echem, podkreślając jeszcze i tak już niezwykłą atmosferę egzaminu nekromanty.

Końcem swego sztyletu Zayl nakreślił dwa łuki ponad przekreślonym okręgiem. Po ukończeniu każdy z elementów znaku rozbłyskiwał czerwonym światłem, by po chwili zmienić barwę na blady odcień zieleni. Oddech młodego czarnoksiężnika przyspieszał wraz z postępem pracy.

– Już prawie skończone - oznajmił Starszym.

– Co powiedział Rathma na temat tego sposobu igrania z Równowagą? - spytała, stojąca w środku trójki Starszych, wymizerowana kobieta z puklami siwych włosów okalającymi policzki. Jej twarz naznaczona była tatuażami przedstawiającymi dwie gwiazdy.

– Rathma głosi, że najmniejsze nawet zakłócenie Równowagi i przechylenie jej w którąkolwiek stronę może prowadzić do katastrofy - odpowiedział natychmiast Zayl.

Kobieta zacisnęła cienkie wargi.

– To standardowa odpowiedź. To wpajamy każdemu akolicie na samym początku studiów, aby zapamiętał, że wiedza, którą mu przekazujemy, nie służy do zabawy. Ty już nie jesteś początkującym akolita, Zaylu, synu Ichariona.

– Wejrzyj głębiej w siebie i w swoje dzieło - podpowiedział łysy mężczyzna o twarzy tak chudej, że niewiele różniło ją od czaszek używanych przez nekromantów do tajemniczych rytuałów.

– Skoncentruj się - powiedział trzeci z obecnych, którego twarz była całkowicie skryta pod szerokim kapturem. Jego głos zdawał się rozbrzmiewać własnym echem, jakby mówił z głębokiej jaskini. – Skup się na swym wnętrzu, stamtąd bowiem wywodzi się cała magia i wszystkie jej skutki.

– Dokończ wzór - dodał mężczyzna przypominający szkielet.

Zayl dorysował falującą linię, symbol wody.

Odchylił się i przyjrzał całości. Niczego nie brakowało. Gdy jedna część jego umysłu skupiona była na symbolu, inna analizowała pytanie. Odpowiedź miała jakiś związek z wzorem, który właśnie ukończył. Stawiane przez Starszych pytania zawsze wiązały się z chwilą obecną. Teraźniejszość jest bowiem najważniejszym aspektem czasu. To ona kształtuje przyszłość i determinuje działania Rathmitów mające na celu zachowanie Równowagi.

Skupił się na symbolach - pęknięte słońce, woda, łuki symbolizujące życie, postrzępione znaki przedstawiające ogień. Z jakiegoś powodu to właśnie one trąciły jedną ze strun w duszy młodzieńca. Rozbudziły dawno pogrzebane uczucia.

Wtedy zrozumiał znaczenie symbolu i poznał odpowiedź, na którą czekali.

– Nie...

– Czego naucza nas Rathma? - naciskała kobieta.

– Nie zmuszajcie mnie do tego...

– Musisz przejść i przez tę lekcję, zanim staniesz się jednym z nas - oznajmił nekromanta w szerokim kapturze. - Uderz we wzór. Uwolnij zaklęcie.

– Najpierw jednak... musisz odpowiedzieć na pytanie. - Przypominający szkielet nauczyciel wymierzył palec w Zayla.

Młodemu nekromancie zadrżała ręka. Niemal sięgnął w dół, by wolną dłonią zetrzeć obrzydliwość, którą właśnie narysował. Nawyki nabyte podczas nauk przeważały. Skupił się na wzorze, starając się patrzeć nań chłodno, bez emocji. Tego się właśnie po nim spodziewali.

– Rathma uczy, że igrając w ten sposób z Równowagą - przełknął głośno ślinę - niszczymy własne skupienie, a wraz z nim niszczymy własne dusze. Jeśli to się stanie, przejdziemy na tę stronę, której wpływy staramy się ograniczać.

– Twoja odpowiedź jest wystarczająco bliska właściwej -przyznała kobieta. - Dokończ zaklęcie, Zaylu.

Zacisnął zęby i wbił sztylet aż po rękojeść w sam środek wzoru.

W dżungli zaległa kompletna cisza. Po chwili wycie rozdarło noc. Tym razem nie dobiegało jednak z dżungli. Jego źródło leżało w miejscu, do którego bramę, łączącą je ze światem śmiertelnych, otworzył Zayl.

Ze wzoru emanowały eteryczne wiązki energii, wznosząc się i wirując nad nekromantą. Włosy i płaszcz Zayla uniosły się jak naelektryzowane. Zadrgały nawet szaty wychudzonego mężczyzny i pokrytej tatuażami kobiety. Jedyne ich skryte w cieniu kaptura towarzysz zdawał się w ogóle nie poddawać wpływom magicznego wiru.

Młodzieniec patrzył na wijące się wokół niego strumienie mocy. Jego oblicze nie zdradzało żadnych emocji. Tylko w oczach widać było cień mrocznego, głębokiego wzruszenia.

Wiele z magicznych wiązek wleciało aż pod sklepienie dżungli, gdzie latały to w jedną, to w drugą stronę. Rozlegające się cały czas wycie przeszło w zawodzenie, wywołujące na skórze Zayla gęsią skórkę.

I wtem... dwie wiązki wróciły do młodego czarownika, zawirowały dookoła niego, by wreszcie osiąść z powrotem tuż ponad znakiem.

– Przyjrzyj im się -polecił mężczyzna w kapturze.

Zayl spojrział posłusznie, choć wolałby przyglądać się czemuś zupełnie innemu. Spojrzałby nawet, gdyby Starszy się nie odezwał. Zmusiłoby go do tego poczucie winy.

Gdy skupił się na wiązkiach, zaczęły przybierać kształty. Niewyraźne, krótkotrwałe, ledwie dostrzegalne kształty...

Mężczyzna. Kobieta. Oboje wyraźnie podobni do Zayla.

Nekromanta błagalnie wyciągnął ku nim rękę.

– Nie chciałem tego! Ja...

Zakapturzony Starszy wyciągnął nogę w żelaznym bucie i zmasał podeszwą zewnętrzny kontur magicznego wzoru.

Wycie i zawodzenie ustały. Wiazki energii momentalnie znikły... Na samym końcu rozplynęły się w powietrzu dwa widniejące przed Zaylem kształty.

– Nie! Wróćcie. Proszę... - krzyknął młody nekromanta, rzucając się naprzód.

– Proszę!

Zerwał się gwałtownie z wyraźnie jeszcze odciśniętą w pamięci wizją. Trzęsąc się, Zayl rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu tych dwojga, których widział jeszcze przed chwilą.

Nie był już jednak w dżunglach Kedzystanu. Nie przeżywał też już tamtej chwili, w której został obdarzony błogosławieństwem Rathmy.

I nie była to też ta chwila, w której mentorzy na zawsze zniweczyli jego najskrytsze marzenie.

Nie. Znajdował się teraz w komnacie, którą przeznaczyła dla niego Salene Nesardo. Był daleko za Bliźniaczymi Morzami. W Marchii

Zachodniej. Nagłymi falami wracała mu pamięć... gospoda, złodzieje, emanująca z domu Nesardo magiczna moc, walka, którą stoczył w krypcie.

Na tym jednak wspomnienia się urywały, jakby zostały przemocą wyrwane przez nieznaną siłę. Próbując się skupić, ścisnął skronie rękoma.

Wtedy poczuł chłód swej prawej dłoni.

– Nie... -Nekromanta spojrzał na swoją rękę, na jej oskarżycielskie palce, na ich trupi kształt.

To, co zrobił, aby odzyskać kończynę, stało w sprzeczności z naukami Rathmy. Wtedy jednak nie miało to dla niego znaczenia. Po prostu musiał postąpić, jak postąpił.

Teraz tę rękę zobaczyła jednak Salene. Ta świadomość sprawiła, że poczuł się tak źle, jak nie czuł się od... od dnia, gdy jego własna głupota uśmierciła dwoje najważniejszych ludzi w jego życiu.

Zacisnął zęby, odwrócił się i spojrzał przez ramię. Czaszka Humbarta Wessela milczała, lecz Zayl nie dał się zwieść.

– Ty nie sypiasz, Humbart, a udawanie martwego jest chyba poniżej twojej godności.

– Poniżej mojej godności nie ma już nic. No, może ten mebel.

Rathmita, ignorując ból w mięśniach, zsunął się z łóżka.

– Oszczędź mi mędrkowania. Co wydarzyło się w krypcie?

– Zapytałbyś lepiej, co się tam nie wydarzyło. - Humbart szybko zrelacjonował to, co zaszło w grobowcu, jak zwykle odpowiednio ubarwiając swoją opowieść. Zayl nie skomentował stylu. Skupił się na oddzieleniu faktów od fantazji martwego najemnika.

Przypomniał sobie już o śmierci Poltha i jakkolwiek słudzy Rathmy nie powinni odczuwać żalu po takiej stracie, wiedząc, że śmierć jest tylko przejściem na inny poziom egzystencji, to ciężko przyjął ofiarę poniesioną przez ochroniarza. Salene miała teraz o jednego obrońcę mniej. To był dla

niej ogromny cios. Była przecież wplątana w sprawy wykraczające poza świat śmiertelnych, a nawet poza królestwo umarłych. W całej tej historii było coś złowróżbnego, co mocno niepokoiło nekromantę. Przeczynał bowiem, że ostatnie wypadki mają jakiś związek ze zniszczeniem Kamienia Świata.

Słudzy Ciemności zasieją zamęt. Usłyszał od ducha, którego wywołał w dżungli, zanim przepłynął się przez morze. *Nawet ci, o których zaginęła słuch.*

– Dobrze zniosła widok twojego... rękodzieła, druhu - wyrwała się Humbartowi spóźniona uwaga. - Oczywiście, jak już wyszła z szoku. Opowiedziałem jej, jak straciłeś dłoń.

– Co zrobiłeś?

– Spokojnie, stary, spokojnie. To silna kobieta. Mogłaby być jednym z was. Przynajmniej, jeśli chodzi o siłę woli. Od razu zrozumiała, co zaszło w Ureh i dlaczego chciałeś odzyskać swą rękę.

Te wyjaśnienia wcale go nie uspokoiły.

– Powiedziałeś jej, że...

Czaszka niemal zmarszczyła brwi.

– Oczywiście, że nie! O pewnych sprawach lepiej milczeć, a nawet zapomnieć.

– Tak... - Zayl poczuł nagle tak silny ból głowy, że aż przysiadł. Oddychał spokojnie, pozwalając uspokoić się ciało. Ból zniknął.

– Czy kiedy byłem nieprzytomny, wydarzyło się coś jeszcze?

– Lady miała gościa. Z tego, co wiem, był tu lord Jitan.

– Naprawdę? Szkoda, że nie udało mi się z nim spotkać - zaciekał się nekromanta.

– Ta wizyta popsuka jej humor - prychnął Wessel.

Zayl postanowił porozmawiać z Salene na temat nieprzyjaznego arystokraty przy najbliższej nadarzającej się okazji. Teraz jednak musiał zebrać się w sobie i spróbować wypełnić białe plamy pamięci.

– A teraz - odezwała się nagle czaszka. - Mów, kim jest ten Karybdus?

– Karybdus? - Rathmita spojrzał na towarzysza badawczo. - O czym ty mówisz?

– Walczyłeś, nawet będąc nieprzytomnym, druhu. Jedyńm, co trzymało cię przy życiu, była obecność lady. Jej dar jest bardzo silny, myślę, że po odpowiednim szkoleniu dorównałaby tobie.

Salene pokazała to już w krypcie. To, co tam zrobiła, stanowiło jednak granicę, której nie mogła przekroczyć, korzystając z magii jedynie przy pomocy instynktu. Arystokratka potrzebowała odpowiedniego szkolenia. Zayl nie mógłby jednak zostać jej nauczycielem. To musiał być ktoś o dużo bardziej akceptowalnych zainteresowaniach.

– I to właśnie mającąc wypowiedziałem imię... Karybdus? - Zayl wrócił do przerwane go wątku.

– Tak, mniej więcej. Kim on jest?

– Nie mam pojęcia - odpowiedział marszcząc brwi.

– Ale bezwiedne wypowiedzanie imion osób, których nie znasz, nie jest do ciebie podobne. W każdym razie nie zauważyłem tego, odkąd cię znam.

– Nie jest. - Nekromanta zastanawiał się nad imieniem. Powtórzył je półgłosem i odmieniał w myślach. Karybdus. Imię brzmiało znajomo, lecz nic więcej.

Luki w pamięci...

– I nie mówiłem niczego więcej ?

– Wolałbym ci powiedzieć co innego, ale nie.

Zayl postanowił, że zastanowi się nad pochodzeniem imienia później. Karybdus mógł być demonem. To by wiele wyjaśniało.

Lecz...

– Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Muszę wrócić do krypty.

– Nie w tym stanie. Nie powinieneś - zauważył Humbart.

Nekromanta przystanął i przyjrzał się sobie. Miał na sobie tylko spodnie, jedyny fragment odzieży, jaki zostawiła na nim Salene. Spodnie były podarte. Buty, o których zapomniał w pośpiechu, stały obok łóżka. Zrozumiał, w jakim chaosie znajduje się jego umysł. Stał bosy, prawie nagi, a chciał wracać do zdradzieckiej krypty. Nie zabrał nawet sztyletu.

– Myślę, że powinieneś sobie usiąść, stary.

– Ja nie... - Przerwało mu niepewne stukanie do drzwi.

– Proszę - bez zastanowienia powiedział Zayl.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Salene. Spojrzała na nekromantę i zachłysnęła się.

Zayl odruchowo uniósł ręce, aby się zasłonić. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że kolejny raz pokazał jej prawą dłoń i skrył ją szybko za plecami.

– Wybacz mój wygląd - wymamrotał.

Kobieta zdążyła się już odwrócić.

– Usłyszałam twój głos i pomyślałam, że leżysz w łóżku. Nierozsądnie z mojej strony, ale tak bardzo mi ulżyło, że odzyskałeś przytomność.

Nekromanta rozejrzał się i znalazł to, co zostało z jego płaszcza. Owinął się i pomimo opłakanego stanu garderoby poczuł się lepiej.

– Nie, to ja zachowałem się nietaktownie. Możesz się już odwrócić.

Gdy spojrzała w jego stronę, zauważył rumieniec na jej policzkach. Nie był przyzwyczajony do takich reakcji ze strony kobiet. Spojrzał więc na zawiniątko, które miała w dłoniach.

– Ubranie?

– Masz podobny rozmiar, co Sardak. Pozwoliłam więc sobie zamówić kilka ubrań. Proste, ale podobne do tych, które miałeś na sobie. Na płaszczu nie ma znaków twojej profesji, ale...

– Będą doskonale, jestem twoim dłużnikiem. - Wziął od niej zawiniątko.

– Nie, nie po tym... wszystkim. - Jej twarz spoważniała.

– Przykro mi z powodu Poltha. Wiem, jak ważny był dla ciebie. Tak samo zresztą jak ty dla niego. Takiej lojalności nie da się kupić.

– Ojciec Poltha służył memu ojcu. - Salene pochyliła głowę. - Tak jak przedtem i jego ojciec. Najwyraźniej klątwa Nesardo spadła także na jego ród. Był ostatni.

Rathmita zastanowił się przez chwilę.

– Jeśli chcesz, mógłbym...

Ucięła spojrzeniem jego niedokończone zdanie.

– Nie. Tego już nam nie trzeba. Pozwólmy Polthowi spoczywać w spokoju. Jemu i mojemu mężowi. To było coś więcej niż nieudana próba. Kosztowała zbyt wiele.

– Paru rzeczy się jednak dowiedzieliśmy. Powiedz, czy mówi ci coś imię „Karybdus”?

– Mi nie... ale wydaje mi się, że ty je znasz, mistrzu Zaylu. Wypowiadałeś je, jakbyś je znał.

– Tak, wiem. Ale najwyraźniej straciłem pamięć, odzyskując przytomność. - Nekromanta z żalem pokręcił głową.

– Może z czasem... - Jej mina wyrażała współczucie.

– Może.

– No, ale do tego wszystkiego możemy wrócić za kilka minut - powiedziała zdecydowanie. - Tymczasem musisz umierać z głodu.

Niezwykłe dla nekromanty uczucie głodu rzeczywiście dawało się już odczuć. Zayl nie chciał przejmować się tak przyziemnymi sprawami.

Pomyślał jednak, że będzie mieć doskonałą okazję, by się ubrać, a Salene mogłaby w tym czasie dobrać do siebie.

– Wystarczy lekki bulion.

– U mnie zjesz więcej. Pozwól, że się tym zajmę. - Odwróciła się.

– Lady Salene - zapytał - jak rozumiem, odwiedził cię lord Jitan?

– Tak. - Wyraz jej twarzy dawał do zrozumienia, że nie cierpi niedawnego gościa.

– Jeśli zdarzy ci się jeszcze raz znaleźć w jego towarzystwie, nie powinnaś wymieniać przy nim imienia „Karybdus”.

– Myślisz, że Jitan mógłby wiedzieć, kim on jest?

Zaklął cicho, gdy zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie zwrócił jej uwagę.

– Proszę, nie wymieniaj tego imienia.

– Nie sądzę, bym szybko miała spotkać go ponownie. O ile będę mieć wybór. Wrócę z posiłkiem. - Odwróciła się od Zayla i zamknęła za sobą drzwi.

Humbart zachichotał głucho.

– Co cię tak śmieszy? - Nekromanta spojrział na czaszkę.

– Wiem, że Rathma uczy wielu rzeczy. Najwyraźniej jednak nie o kobietach... No, chyba że to tylko twoja własna gapowatość.

– Posłucha mnie. Jest rozsądna. Czaszka nie odpowiedziała.

Zdjęty rzadkim dla siebie uczuciem frustracji, Rathmita zaczął się ubierać. Rzeczywiście, ubrania, które przyniosła gospodyni, bardzo przypominały jego poprzedni strój. Nawet płaszcz. Brakowało w nim co prawda wielu wewnętrznych kieszeni, w jakie wyposażono stary płaszcz nekromanty, lecz to można było naprawić w wolnej chwili.

Jedna rzecz jednak nie mogła czekać. Nowy płaszcz, w przeciwieństwie do swego poprzednika, nie został należycie przygotowany.

Zayl rozciągnął szatę na łóżku i wydobyl z sakiewki szkarłatną świecę. Umieścił ją na środku płaszcza, odnalazł krzesiwo i zapalił knot.

Gdy tylko rozblęsa, oliwne lampy oświetlające komnatę przygasły. Pomieszczenie skrył cień. Świeca mocno płonęła, a jej krwistoczerwony płomień przydawał całej scenie jeszcze bardziej niesamowitej aury.

Mężczyzna wyciągnął swą kościaną dłoń i dotknął płomienia.

Świeca wydała dźwięk przypominający cichy, gniewny szept. Nad łóżkiem pojawiła się smużka dymu. Zawirowała i z wolna przybrała kształt ciemnych ust.

– *Zayl* - wychrypiały. Gdy się poruszały, wydawało się, że z za dymu przeblęskują długie, groźne kły.

– Chcę czegoś od ciebie zażądać, X'y'Laq.

– *Prośba. Życzenie.* - Uformowana z dymu paszcza uśmiechnęła się szeroko.

– *Żądanie.* Dobrze wiesz, co mogę z tobą uczynić.

– *Świeca jest coraz krótsza. Niebawem zgaśnie* - zachichotał demon.

– *Będę się tym martwić we właściwym czasie* - zbył przypomnienie.

– *Powinieneś martwić się tym nieustannie, człowieku...*

W lewej dłoni Zayla pojawił się nagle sztylet. Nekromanta przystawił go do knota.

– *Ale póki to nie nastąpi, pamiętaj, co mogę zrobić. Nie jesteś wolny.*

– *Przyzwałeś mnie. Czego potrzebujesz?* - Głos ducha zabrzmiał arogancko.

– *Zrób z tym płaszczem to, co zrobiłeś z poprzednim. Tym razem jednak dodaj do niego Łuskę Trag'Ogula... o której tak łatwo zapomniłeś ostatnio.*

Usta opuściły się tuż nad płaszcz.

– *Nie wymieniłeś. Musisz wszystko wymieniać. Takie są zasady.*

– Wiedziałeś dobrze, czego chcę. - Ciemnowłosy czarnoksiężnik zbył wymówkę. - Ale racja. Powinienem być wymienić. Łuska Trag'Ogula tu! - Dotknął rąbka płaszcza. - Reszta, cała reszta, ma znaleźć się w tych miejscach, co na starym płaszczu. Nie zmieniaj miejsca, nie pomiń żadnego znaku. Chcę dokładnej kopii.

– *Szybko się uczysz, człowieku. Oby inni, tobie podobni, nie byli tak pojętni.* - Usta rozwarły się szerzej. - *Ja zawsze czuję głód.*

– Rób, co ci nakazałem. Teraz. Nie zmarnuję na ciebie więcej knota. - Dla podkreślenia swych słów Zayl dotknął skraju płomienia czubkiem sztyletu.

Istota wydała z siebie coś, co przypominało cichy okrzyk. Demoniczna paszcza zbliżyła się jeszcze bardziej do płaszcza. Przez chwilę nic się nie działo, lecz nagle usta zaczerpnęły głęboko powietrza.

– Nie chcę żadnych pomyłek! - przypomniał Zayl.

X'y'Laq nie odpowiedział. Zamiast tego wydmuchnął powietrze.

Utworzone z dymu symbole rozpierchły się po powierzchni płaszcza. Doświadczony wzrok maga szybko sprawdzał każdą runę, oceniając kształty do najdrobniejszych szczegółów. Korzystając z innych zmysłów, badał magiczną wartość każdego znaku.

Symbole nagle przestały się pojawiać.

– Wszystkie, X'y'Laq.

– *Musiałem zaczerpnąć tchu* - wyjaśnił demon. Dmuchnął ponownie i dwa małe znaki dołączyły do reszty.

Zayl przyjrzał się im wszystkim ponownie, po czym skinął głową.

Zanim skończył przegląd, znaki zdążyły opaść na odzienie, na jego obrzeża i inne wskazane miejsca, nawet pod spód.

Mężczyzna dotknął szaty i pierwsze z run skryzalizowały się. Rozbłyły jasnym, srebrnym światłem, a potem zmatowiały, znikając niemal zupełnie.

Symbol po symbolu rozbłyskały i ciemniały. Zayl patrzył uważnie, do momentu gdy ostatni z nich stał się częścią płaszcza. Kiedy to nastąpiło, odsunął ostrze sztyletu od knota.

– Dobra robota.

– *Czyż mógłbym cię zawieść?*

Ktoś zapukał do drzwi.

– Salene... - W jakiś niezwykle sposób Humbartowi udało się syknąć.

Demoniczne usta uniosły się, zwracając w kierunku drzwi.

– *Kobieta? Niech wejdzie. Chętnie zobaczę, czy jest miękka i krucha...*

Nekromanta schwycił knot prawą ręką i zdusił płomyk.

X'y'Laq warknął gniewnie i zniknął.

– Chwileczkę! - zawołał Rathmita. Znalazł pozostawioną przez Salene wyściełaną rękawicę. Aristokratka widziała już jego makabryczną kończynę, lecz z jakiegoś niezrozumiałego powodu wydawało mu się, że lady zapomni, co zobaczyła, jeśli będzie trzymać dłoń w ukryciu.

– Wejść, proszę.

W drzwiach nie pojawiła się jednak Salene, tylko Sardak. Trzeźwy i wyjątkowo podejrzliwie patrzący Sardak.

– Dowiedziałem się od służby, że odzyskałeś przytomność. Z kim rozmawiałeś przed chwilą? - rozglądał się nie patrząc na Zayla.

– Ze mną- słabym głosem powiedziała czaszka.

Nesardo ledwie spojrzał na Humbarta. Podobnie jak jego siostra zdążył przywyknąć do niezwykle gościa. Pod pewnymi względami Sardak przyjął pojawienie się mówiącej czaszki łatwiej niż Salene. Picie przyzwyczajalo do niepokojącego, a nawet przerażającego, towarzystwa.

– Nie. To był inny głos... pełen zazdrości i straszliwie wygłodniały. W różnych sensach wygłodniały.

– Czym mogę służyć? - zapytał nekromanta.

Sardak zamknął drzwi.

– Krótką, przyjacielską pogawędką, zanim moja kochana siostra wróci z posiłkiem. Nie podobasz mi się, *mistrzu* Zaylu. Nekromanci nie podobają mi się w ogóle. Zajmujecie się rzeczami, którymi nikt nie powinien się zajmować. Przeszłość najlepiej jest zostawić w spokoju...

– Zgadzam się. Dlatego członkowie mojego zakonu robią tylko to, co koniecznie dla zachowania Równowagi.

Młodzieniec obdarzył Zayla kpiącym uśmiechem.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy, i nie obchodzi mnie to ani trochę. Obchodzi mnie natomiast Salene. Dlatego właśnie chciałem się z tobą spotkać przed jej przyjściem.

– W takim razie najlepiej by było, gdybyś przeszedł do rzeczy.

– Rzecz w tym - zaczął Sardak, zbliżając się do stolika, na którym leżał Humbart - że zagrażają jej rzeczy i osoby jeszcze gorsze od ciebie. Wreszcie wytrzeźwiałem na tyle, by dojść do tego wniosku... Jedna z tych rzeczy z czymś mi się skojarzyła... Imię, które padło z ust znajomego pijaka. Zapytaj Salene, a sama ci powie, że jeśli nie tonę akurat w winie, piwie lub czym innym, mam znakomitą pamięć. To zresztą jest jeden z powodów, przez które piję. Mam za dobrą pamięć. Pamiętam wszystko.

Zayl spotykał już takich ludzi wcześniej. Wiedział, co Sardak miał na myśli, mówiąc o trudnych do zniesienia wspomnieniach. Podejrzewał też, że wie, jakie imię ma na myśli brat Salene.

– Ten twój znajomy. Czy wymienił imię „Karybdus”?

Nesardo schylił się i spojrział głęboko w oczodoły Humbarta. Czaszka szczęśliwie milczała.

– Dokładnie tak! Właściwie tylko wspomniał tego człowieka, lecz z dziwnym żalem w głosie. Zapamiętałem to imię tak dobrze, bo jest dość

niezwykłe i brzmi złowieszczo. Ma brzmienie otchłani rozwierającej się tuż pod stopami, gotowej pochłonąć wszystkich i wszystko.

Metafora Sardaka wzbudziła dokładnie takie samo uczucie w Rathmicie.

– Co jeszcze mówił twój kompan?

Sardak nagle podniósł Humbarta i odwrócił go do ściany. Czaszka niewyraźnie zaprotestowała, na co młodzieniec zareagował śmiechem. Gdy jednak spojrzął ponownie na Zayla, na jego twarzy nie było już ani śladu wesołości.

– Nic, cholera. To wszystko, co powiedział. Wydało mi się wtedy, że przestraszył się tego, że wymienił to imię. Nigdy więcej go nie słyszałem. Z tym człowiekiem też zresztą nigdy już nie piłem.

Nekromanta po raz kolejny znalazł się w ślepej uliczce. Choć niezupełnie. Jeśli imię „Karybdus” znane było kompanowi Sardaka, istniało duże prawdopodobieństwo, że to imię człowieka, a nie demona. Z doświadczeń nekromanty wynikało jednak, że niebezpieczeństwo wcale przez to nie malało. Zło czynione przez ludzi często przerastało to czynione przez najprzebieglejsze nawet demony. Była to jedna z przyczyn tego, iż Piekło często i chętnie korzystało z pomocy ludzi.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie. Zrobiłem to dla niej. - Sardak wyglądał na urażonego, choć Zayl nie dał mu ku temu powodów.

– Bardzo ją kochasz.

– Jesteśmy rodziną! Ona jest całą moją rodziną. Jest dla mnie nie tylko jak siostra, ale i jak matka, a niekiedy zastępuje mi nawet ojca. Oddałbym za nią własne życie i zabiłbym każdego, kto by je chciał jej odebrać.

– Wierzę ci - przytaknął Zayl.

Arystokrata podszedł z powrotem do drzwi.

– Tak czy inaczej, pomyślałem, że może ci się to przydać. Nie lubię cię, ale ona ci ufa, a ona lepiej ocenia ludzkie charaktery niż ja.

To był pierwszy raz, kiedy otwarcie powiedział Zaylowi, co o nim myśli. Ostrzegł go też przed skrzywdzeniem siostry.

– Ona tobie też ufa - powiedział nekromanta.

Po raz pierwszy udało się Zaylowi podejść Sardaka.

– Tak... chyba tak.

Strażnik Równowagi rozważył to, czego się przed chwilą dowiedział. Pozostawała mu jedna, mglista nadzieja.

– Ten twój towarzysz od kieliszka? Wiesz, jak się nazywa i gdzie go szukać? Być może, gdyby udało mi się go odnaleźć, powiedziałaby coś więcej.

– Och, jasne, że wiem, gdzie go szukać, ale ty się tam nie dostaniesz. Tacy jak ty nie mają tam wstępu. Skończyłoby się to piękną katastrofą.

Młody Nesardo wybuchnął śmiechem.

– Tak piękną, że prawie wartą zachodu... No, ale to niemożliwe.

Zaylowi stanął nagle przed oczyma obraz samego siebie starającego się wejść na teren Kościoła Zakarum. Reakcja Sardaka świadczyła, że jego znajomy był tam zatrudniony lub wręcz stał się akolitą.

– Należy do Kościoła?

– Dobry Boże! Nie! Choć to też byłoby zabawne. Nie, *mistrzu* Zaylu. Można go znaleźć w jeszcze bardziej niewygodnym miejscu. Edmund jest osobistym sekretarzem naszego nowego, ukochanego króla.

DZIEWIĘĆ



W Zachodnich Królestwach istniała tradycja, zgodnie z którą po śmierci władcy i w czasie przygotowań do objęcia tronu przez jego następcę śmietanka arystokracji zbierała się w stolicy, żeby oddać hołd zmarłemu i dać świadectwo swej wierności nowemu królowi.

Zbierający się tak licznie w jednym miejscu przedstawiciele władzy politycznej i wojskowej byli też w oczach ludu oznaką stabilności państwa.

Niektórzy z nich przybywali wielkimi, wijącymi się karawanami bogato dekorowanych mułów lub koni. Inni przyjeżdżali zwykłymi jednokonnymi powozami. Wielu arystokratów wybierało się do stolicy w otoczeniu dobrze uzbrojonych i nieufnie przyglądających się mieszkańcom oddziałów najemników.

Setki sztandarów łopotało na bramach miasta. Widok ten wprawiał w zdumienie zarówno chłopów, jak i bogatych obywateli. Wielu z nich bowiem przyszło na świat już za panowania Corneliusa i nie miało okazji uczestniczyć w podobnym widowisku.

Goście przybywali do miasta z najrozmaitszych pobudek. Wielu chciało uczcić pamięć zmarłego monarchy, lecz zarazem otwarcie pragnęło pogrzebać jego następcę. Inni natomiast mieli co prawda zamiar oddać hołd Justynianowi Czwartemu, ale bez większego przekonania.

Tak czy inaczej, choć przybywali w różnych celach, najważniejsze było to, że zbierali się w jednym miejscu.

Przynajmniej dla Aldrica Jitana.



Arystokrata spoglądał na gości z wysokości balkonu swej położonej na zboczu wzgórza rezydencji. Widział wjeżdżające do miasta orszaki możnych, obwieszczających swe przybycie dźwiękiem trąb i powiewającymi chorągwiami. Lord Jitan skrzywił się z niesmakiem.

– Czerwono-pomarańczowo-niebieski proporzec barona Charlemore - powiedział pod nosem. - Jak zwykle przybył jako jeden z ostatnich. Puszy się jak paw. - Aldric spojrział przez ramię w głąb ciemnego pokoju. - Brakuje jeszcze siedmiu, może ośmiu, ale i tak zebrało się już wielu. Udało ci się?

Wewnątrz rozbłysło blade, szmaragdowe światło, w którym Jitan zobaczył postać Karybdusa. Stalwooki nekromanta pochylony był nad rozłożonymi na stole mapami nieba. Pulsujące rozbłyki światła dobywały się z małego, ostro wykończonego kryształu, uformowanego na kształt kła. Kryształ kołysał się, zawieszony na srebrnym łańcuszku, w tę i z powrotem tuż nad mapami. Co jakiś czas zatrzymywał się i jaśniał przez krótką chwilę.

– Cierpliwość jest cnotą - przypomniał Karybdus. - Zwłaszcza cnotą przyszłych władców.

– Czuję, że jest coraz bliżej - orzekł Aldric, ponownie przyglądając się wjazdowi barona. - Mówiłeś, że czas nadejdzie, gdy wszyscy się tu zbiorą.

– I tak też się stanie. Wszystkie znaki świadczą o tym nieodmiennie. Pajęczy Księżyc już prawie nadszedł.

– W samą porę, do diaska! A co z tym głupcem mieszącym nam szyki? Co z tym drugim nekromantą? Mówiłeś, że do tego czasu nie będzie już stanowił problemu.

Kolejny krótki błysk ukazał rozzłoszczone oblicze maga.

– Jest dość zaradny, lecz zasiadł do gry, nie znając jej zasad ani innych graczy. Nie mówiąc już o stawce.

Lord Jitan oparł potężną dłoń na rękojeści miecza.

– Skoro, póki co, nie możemy użyć na nim klejnotu, a twoje pułapki zawiodły, może pomogłaby nam zwykła stal?

– Jeśli zajdzie taka potrzeba. - Kryształ zaświecił po raz ostatni, po czym zgasł, znikając w dłoniach nekromanty. Mgnienie oka potem Karybdus stał już obok arystokraty. - Taka śmierć byłaby dla niego ironią losu.

– Co masz na myśli? Mówisz tak, jakbyś go dobrze znał, magu.

– Nie znam - Karybdus pokręcił głową- ale jego reputacja jest znaczna, jak na kogoś tak młodego. Gdyby nie stał po złej stronie, byłby nawet godzien mojego podziwu.

– A czy on wie o twojej obecności?

– Dowiedział się, lecz zdołałem zamknąć tę wiedzę w jego umyśle. - Nekromanta wyprostował się dumnie. - W końcu on to tylko Zayl, a ja to ja.

Aldric chrząknął wymijająco.

– A jednak, mimo to, ten Zayl nadal sprawia nam problemy.

– Już nie. Możemy kontynuować zgodnie z planem. - Karybdus chciał wrócić do ciemnego pokoju, lecz Jitan zatrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Arystokrata nie mógł widzieć miny nekromanty. Gdyby widział, zastanowiłby się dwa razy, zanim zdecydowałby się na taki gest.

– Przypomnij mi, magu, co zyskasz dzięki temu wszystkiemu? Ja wiem, co będzie moją, dobrze zresztą zasłużoną, nagrodą, ale to też możesz mi jeszcze raz powiedzieć. Mam taki kaprys.

Karybdus odwrócił się, a jego mądre, skupione spojrzenie znów nie wyrażało niczego. Mówił spokojnym głosem, jakby prowadził wykład.

– My, którzy podążamy ścieżką Rathmy, służymy Równowadze. Równowaga jest Wszystkim. Bez niej cały świat pogrążyłby się w anarchii i chaosie. Staramy się temu zapobiec. Dbamy o zachowanie porządku. - Skinął głową w stronę Aldrica. - Ty jesteś naczyniem naszego dzieła. Sytuacja w Marchii Zachodniej jest bardzo niepewna. Potrzebna jest tu żelazna ręka. Jesteś potrzebny, aby zapobiec upadkowi Zachodnich Królestw.

Wysoki arystokrata uśmiechnął się, gdyż -jak wielu jemu podobnych - był podatny na pochlebstwa. Nawet tak oczywiste jak to.

– Gdy już obejmiesz władzę, będziesz musiał podjąć kilka decyzji, które niektórzy nazwaliby nikczemnymi, a może i złymi. Wielu nie zrozumie konieczności tego, co zrobisz. Trzeba będzie ofiar. Ofiar, które w dłuższej perspektywie przyczynią się dla dobra ludzkości. Nadejdzie taki czas, gdy ludzie, wymieniając imię „Aldric”, dodawać będą po nim „Wielki”, „Dalekowzroczny” czy „Najlepszy z Ludzi”. - Mężczyzna wskazał siebie. - Co do mnie, moją nagrodą będzie to, że przysłużę się Równowadze i swemu towarzyszowi, jak tylko mogłem najlepiej, powstrzymując falę chaosu. Dlatego pomagam ci zdobyć tron... co stanie się już niebawem.

– Tak, niebawem - zgodził się wpatrzony w sufit Aldric.

Wyobrażał sobie koronację. Pełne uwielbienia, rozradowane tłumy. Głośny dźwięk rogów. Wybiegł myślą jeszcze dalej i zobaczył siebie na czele ogromnej armii. Wznosił wysoko w dłoni Pajęczy Księżyc, szturmował Khanduras, potem Entsteig. Kiedy te królestwa będą już w jego rękach, ruszy na podbój północnych, barbarzyńskich krain. Potem zwróci wzrok w stronę legendarnego Lut Gholein.

Na świecie zapanowałyby porządek... Jego porządek.

A gdy już zyska pewność, że Karybdus nie jest mu dłużej potrzebny, poderżnie mu gardło. Aldric zdawał sobie sprawę, że nekromanta nie mówi

mu o wszystkim. Karybdus miał swoje ukryte cele. Tego arystokrata był pewien. W końcu on sam je miał.

– Och, zapomniałem ci powiedzieć. Dokonałem pewnego odkrycia, mój panie. Odkrycia, które, mówię to z przyjemnością, przyspieszy osiągnięcie naszego celu.

Aldric błyskawicznie wrócił na ziemię.

– Co takiego?

Czarnoksiężnik schował mały, zielony kryształ do kieszeni.

– Dom Nesardo nie jest nam potrzebny.

– Ale...

Odziany w czerń nekromanta zniknął w ciemnościach komnaty. Poirytowany Jitan podążył za nim. Mimo że jego oczy szybko przywykły do ciemności, nie zobaczył nigdzie Karybdusa.

– Jaskinia pod domem Nesardo byłaby świetnym miejscem do naszych celów, ale udało mi się znaleźć poza miastem jeszcze lepszą lokalizację. - Głos Karybdusa rozległ się gdzieś z przodu.

– Lepsze od starożytnej świątyni? - Aldric starał się wyobrazić sobie miejsce, w którym mógłby zaczerpnąć większej mocy niż tam, gdzie kapłani wzniesli monument na cześć swego pana. Starał się, lecz nie wyobraził sobie. - Gdzie?

Nagle rozblęskło przed nim słabe kościane światło.

Jitan krzyknął cicho i cofnął się.

Ponad lśniącem Pajęczym Księżycem pojawiła się twarz Karybdusa. Pajęczy wzór na klejnocie zdawał się pulsować w rytm szybkiego oddechu arystokraty.

– Miejsce, w którym powstał klejnot. Ostatni bastion Dzieci Astroghi po rzezi wiernych w świątyni.

– Myślałem, że to były te ruiny, w których znaleźliśmy klejnot.

Nekromanta podsunął magiczną perłę bliżej, wabiąc nią spojrzenie Aldrica. Jego głos rozległ się echem w głowie arystokraty.

– Ruiny, gdzie znaleźliśmy Księżyc, były miejscem, w którym ukryli go Vizjerei. Mieli nadzieję, że nigdy nie zostanie odnaleziony. Nie posiadali mocy wystarczającej, aby zniszczyć klejnot. Nie byli też w stanie unicestwić tego, przez kogo Księżyc powstał. Nie. Miejsce, które odnalazłem, jest dużo lepsze od poprzedniego. To przejście poza świat śmiertelnych.

– Poza świat śmiertelnych... - powtórzył lord Jitan, odrywając wzrok od klejnotu. - W takim razie nie potrzebujemy już tej k...

– Och, potrzebujemy jej. I to bardzo - przerwał mu nekromanta. - Krew. Pamiętaj. Krew.

– Tak. Zapomniałem o tym. Ona musi umrzeć, prawda?

Błady czarnoksiężnik wręczył Aldricowi Pajęczy Księżyc. Arystokrata wziął go czule do rąk.

– Najprawdziwsza prawda, mój panie, najprawdziwsza. Aldric pieścił magiczną perłę, jego palce gładziły pajaka jak domowe zwierzątko.

– Nie przeszkadzało mi to przedtem i nie przeszkadza teraz, magu.

– Wspaniale. - Karybdus wycofał się z kręgu światła. - Zatem nie mamy się czym martwić.

– Poza tym drugim nekromantą.

W ciemności rozległ się dźwięk. Coś dużego przebiegło po posadzce. Albo po ścianie. Aldric Jitan nie był pewien. Usłyszał, jak Karybdus gaworzy, jakby mówił do niemowlęcia.

– Nie, mój panie. Zayl wkrótce przestanie nam zagrażać. Postanowiłem, że zajmie się nim król.

– Ten niewydarzony... Ach, masz na myśli Corneliusa?

W ciemności znów rozległo się gaworzenie, po nim zaś nastąpił przeciągły syk, do którego Aldric już przywykł. Nie na tyle jednak, by nie wzbudzał w nim niepokoju.

– Tak, dobry Cornelius rozprawi się ze świętokradcą. W samym sercu Marchii.



Zayl schronił się w komnacie, gdzie skupiając się i medytując próbował doprowadzić swe ciało i umysł do jak najlepszego stanu. Godzinami przesiadywał na podłodze obok łóżka. Nawiązał kontakt z rdzennymi mocami zamieszkującymi dom Nesardo. Uczył się od nich.

Kiedy wreszcie stwierdził, że w ten sposób nie dowie się już niczego więcej, postanowił, wbrew radzie Poltha, wyjść do miasta. Salene i nawet Sardak starali się wyperswadować mu ten pomysł, tłumacząc, że słudzy Kościoła Zakarum przy pierwszej lepszej okazji wtrącą go do więzienia i oskarżą o herezję.

Humbart też starał się powstrzymać przyjaciela. Po części dlatego, że Zayl nie chciał zabrać go ze sobą.

– Zabierasz się, druhu, za szukanie jednego jedyne go człowieka w tak ogromnym mieście. Jednego! Jak myślisz, ile tu jest podejrzanych knajp? Jedna? A może dwie? Setka, o ile dobrze pamiętam!

Zayl nie zmienił jednak decyzji. Salene wzięła się pod boki i powiedziała:

– Skoro już zdurniałeś na tyle, by wychodzić do miasta, pójdę z tobą. Przynajmniej nie będziesz musiał pytać o drogę.

– Jeśli tak, kochana siostró, to chyba raczej ja powinienem iść - wtrącił Sardak. - Nikt nie zna takich miejsc lepiej ode mnie.

Nekromanta przerwał im obojgu.

– Moja pani, na ciebie i tak już ktoś czyha. Ktoś lub coś. Na zewnątrz, w tłumie, nie byłbym w stanie cię obronić. W zamieszaniu, jakie mogłoby powstać, mógłby też ucierpieć twój brat i ja sam. Zostaniecie oboje tutaj. Obłożę dom zabezpieczeniami znanymi tylko członkom mojego zakonu. Co do ciebie, Sardaku, to jeśli najcenniejszą osobą na świecie jest dla ciebie siostra, to powinieneś starać się o własną trzeźwość, a nie włączyć się wraz z nią od szynku do szynku, gdzie prawdopodobnie padłbyś ofiarą jednego czy dwóch piw... lub trzech czy czterech.

Młodzieniec nie obraził się, co było jasnym znakiem, że nekromanta użył trafnego argumentu. Salene była co prawda nadal wściekła, lecz Zayl zasiał w niej myśl, że stanowi zagrożenie dla swych towarzyszy. Arystokratka nie miała nic przeciwko ryzykowaniu własnym życiem. Narażanie innych było dla niej zupełnie czym innym. Zayl nie czuł się dobrze, manipulując nią w ten sposób, chociaż zrobił tak dla jej dobra.

– Tylko, proszę, bądź ostrożny - powiedziała kobieta i ku zdumieniu nekromanty pogłaskała go dłonią po policzku.

Zayl pożegnał się szorstko z rodzeństwem i wyszedł. Jego mina nie zdradzała niczego, lecz dotyk Salene nie opuszczał jego myśli jeszcze przez dłuższą chwilę. Rathmita nie był przyzwyczajony do tego rodzaju kontaktów z obcymi. Pomyślał, że chciałby, aby cała ta historia znalazła wreszcie swój kres. Mógłby wtedy, zakładając, że wyjdzie cało, wrócić do swojskich, dzikich dżungli Kedzystanu.

Wszyscy służący robili, co tylko mogli, by przyspieszyć moment, kiedy nekromanta opuści rezydencję. Chudy jak tyka Barnaby błyskawicznie otworzył mu drzwi. Dwóch innych, ubranych w liberie i płaszcze, wybiegło na zewnątrz wprost w nieustannie szalejącą burzę, żeby otworzyć bramę posiadłości. Z takim samym pośpiechem zamknęli ją za Zaylem.

W ten sposób skryty pod kapturem nekromanta mógł po raz pierwszy dobrze przyjrzeć się stolicy Marchii Zachodniej.

W porównaniu z ciągnącymi się po horyzont rzędami budynków gospoda Pod Czarnym Baranem zdawała się jedynie nędzną budą. Najbliżej stały, rzecz jasna, wielkie domy i posiadłości podobne do rezydencji rodu Nesardo. Wkrótce jednak, idąc przez miasto z wdziękiem polującego dzikiego kota, nekromanta dotarł do dzielnicy handlowej. Zobaczył eleganckie sklepy w budynkach pokrytych od frontu kamieniem. Sprzedawano w nich najprzeróżniejsze towary, wśród których Zayl rozpoznał kilka pochodzących z jego rodzinnych stron. Jego uwagę przykuło kilka innych przedmiotów, najwyraźniej skradzionych ze znanych mu świętych miejsc.

Przy wyłożonych brukiem ulicach znajdowały się też gospody o wyższym niż „Czarny Baran” standardzie. Przed drzwiami niektórych stali elegancko odziani, uzbrojeni strażnicy, do których zadań należało nie wpuszczanie gawiedzi do środka. Z wnętrza szynków sączyła się muzyka. Niektóre z melodii podobały się posiadającemu szkolony słuch czarownikowi, inne natomiast brzmiały, jakby odgrywała je orkiestra głuchych demonów, torturująca niewinną ofiarę Mrocznej Trójcy.

Wtem Rathmita zobaczył budynek Kościoła Zakarum.

Bliźniacze wieże, rozmieszczone na przeciwległych krańcach kościoła, wznosiły się wysoko ponad sąsiednie budowle. Sięgały wysoko ku niebu, jakby w niemym pragnieniu, by nadziać anioły na swe ostre szpice. Dach pokrywała łuskowata dachówka, nadając kościołowi, w zasadzie katedrze, wygląd przywodzący na myśl przyczajonego smoka. W ścianach wież i głównej części budynku widniały rzędy zdobionych witrażami okien, z których każde było dwa razy wyższe od Zayla. Wyobrażone na witrażach sceny pochodziły bez wyjątku z pism kościelnych, przez co wydały się

nekromancie odpychające. Przedstawiały uzbrojone w błyszczące miecze, ogniste anioły, zdeformowane bestie, uciekające przed kapłanami, oraz ogromne potwory, pożerające niewiernych. Zayl pomyślał, że hierarchowie specjalnie dobrali te sceny, żeby nieustannie przypominać wiernym, jaki los spotyka tych, którzy nie są wystarczająco posłuszni nauce Kościoła.

Masywnej, drewnianej bramy katedry strzegło czterech strażników w krwistoczerwonych zbrojach z narzuconymi płaszczami, na których ciemniał kościelny symbol. Byli to Rycerze Wiary. Wojownicy fanatyczni zarówno w sprawach wiary, jak i w wykonywaniu obowiązków wobec Kościoła. Zazwyczaj chronili najważniejsze osoby z hierarchii.

Jeden ze strażników spojrzał na Zayła spod uniesionej przyłbicy nieodgadzionym wzrokiem. Nekromanta starał się zachować spokój, przechodząc obok niego. Wiedział, że rycerz dostrzegł w nim coś bardzo niecodziennego, a zatem niebezpiecznego.

Nikt jednak za nim nie krzyknął i wkrótce czarnoksiężnik zostawił budynek Kościoła za sobą.

Odwrócił się dopiero, gdy był już poza zasięgiem spojrzeń. Stwierdził, że nikt za nim nie idzie, i odetchnął z ulgą, po czym podążył dalej.

Ominął pierwsze z napotkanych gospód. Nie wyglądały na takie, które według Sardaka mógł odwiedzać Edmun. Wkrótce jednak pojawiły się przed nim mniej wystawne szynki, a takich właśnie szukał nekromanta. Przyjrzał się najbliższym dwóm lokalom i wybrał znajdujący się po lewej stronie, o bardziej podejrzanym wyglądzie.

Prawie nikt nie zwrócił uwagi na wchodzącego nekromantę. Była to wyraźna oznaka tego, jak nisko upadli bywalcy owego miejsca. Przecież nawet ci, którzy nie znali zakonu Zayła, powinni wyczuć, jak bardzo wyróżnia się spośród innych wędrowców.

Otoczyły go muzyka, śmiechy i odgłosy kłótni. Nie był w stanie stwierdzić, który z dźwięków jest najbardziej natarczywy. Zayl przeciskał się pomiędzy gośćmi, przypatrując im się ukradkiem, poszukując tego, który przypominałby królewskiego sekretarza. W towarzystwie Sardaka byłoby mu o wiele łatwiej, lecz był zadowolony, że ten pozostał z Salene.

Tak czy inaczej, dość szybko stwierdził, że żaden z obecnych z pewnością nie jest człowiekiem króla Justyniana. Nekromanta zawrócił i ledwie unikając pijanego kupca o brzuchu wielkości Trag'Oula - wyszedł ponownie w deszcz. Owinął się szczelniej płaszczem i poszedł do kolejnej tawerny.

Ta wizyta okazała się równie daremna. Tak samo i dwie następne. Do nekromanty zaczęło docierać, jak trudne zadanie postawił przed sobą. Postanowił jednak po raz kolejny zdać się na mądrość Rathmy i pozwolić odszukać się drodze. Zayl był pewien, że wkrótce trafi na jakąś wskazówkę prowadzącą go do Edmuna.

Nekromanta zataił przed Salene inny powód, z jakiego chciał wyjść do miasta sam. Miał bowiem nadzieję, że poza domem Nesardo, poza zasięgiem wypełniającej go magii, jego własne moce odzyskają pełnię sił i dzięki temu łatwiej wyczuje obecność swego tajemniczego przeciwnika, Karybdusa. Mogło się nawet okazać, że wcale nie będzie do tego potrzebna pomoc Edmuna. Postanowił też, że jak tylko odnajdzie kryjówkę Karybdusa, uda się tam natychmiast. To był kolejny z powodów trzymania Salene z daleka.

Nagle zderzył się z mocno zbudowanym człowiekiem w skórzanej zbroi najemnika. Oszołomiony siłą uderzenia, wyrwał się z zamyślenia i spojrzał w górę, w częściowo zakryte oblicze obcego.

– Kapitan Dumon? - wymamrotał nekromanta.

Moment później zrozumiał jednak, że człowiek, na którego wpadł, nie był drugim ocalałym z Ureh. Przypominał go bardzo, lecz różniło ich na tyle dużo, by bez trudu rozpoznać, że ma się do czynienia z kimś innym.

– Powinieneś uważać, jak chodzisz - odpowiedział żołnierz. Jego głos nosił ślady ogłady zbyt dużej jak na kogoś o jego profesji.

– Najmocniej przepraszam...

Najemnik wykrzywił się w uśmiechu.

– Gdybym miał więcej czasu, kazałbym ci postawić kufel w Brodzie Garreta w ramach przeprosin. U „Garreta” dają najlepiej wypić w całym mieście. Wszyscy tam chodzą.

Zayl chciał coś odpowiedzieć, ale żołnierz skinął przyjaźnie i poszedł swoją drogą. Przez chwilę nekromanta patrzył w ślad za nim i również poszedł dalej.

Dotarł do miejsca, w którym obok siebie znajdowało się kilka gospod, i przystanął. Doskonale rozumiał, że poszukiwania Edmuna przypominały poszukiwania przysłowiowej igły w stogu siana. Niestety, nie spełniała się także jego druga nadzieja, żywiona od chwili, gdy opuszczał rezydencję Nesardo. Pomimo nieustannego badania otoczenia za pomocą magii nie mógł znaleźć ni śladu drugiego czarnoksiężnika, czy byłby nim jakiś Vizjerei czy kto inny.

Mógł też, oczywiście, udać się prosto do pałacu i spotkać z nieuchwytnym osobnikiem na miejscu. Zayl uśmiechnął się z żalem na tę myśl. Gdyby się tam pojawił, strażę albo wtrąciłyby go od razu do lochu, albo wypędziły z miasta.

Znów zerwał się wiatr. Szczelnie otulony płaszczem nekromanta nasunął kaptur głębiej na czoło. Nad wejściem do jednego z budynków mocno szarpał się na wietrze drewniany szyld. Każdemu jego wahnięciu

towarzyszył zgrzyt metalu. Kolejny, głośniejszy od poprzednich pisk sprawił, że Zayl rzucił w jego stronę krótkie spojrzenie.

Potem spojrzął ponownie.

Bród Garreta.

Odwrócił się gwałtownie, pewny, że ktoś stanął tuż za nim. Nie było jednak nikogo.

Znów spojrzął na szyld.

Przybrał odpowiednią minę, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Bród Garreta okazał się lokalem dużo bardziej wytwornym od „Czarnego Barana”. Nie był to też jednak szynk o tak wysokim standardzie jak poprzednio mijane gospody. Klienci wyglądali na takich, którzy mogli zostawić tu sporą ilość gotówki, jednak nie całe fortuny. Słychać było przyjazne śmiechy. Grała muzyka. Wewnątrz panował tłok, dzięki czemu nawet ktoś o tak posępnym wyglądzie jak nekromanta nie przyciągał zbyt wiele uwagi.

Tu też jednak nie znalazł Edmuna. Zayl zrugął się za to, że zbyt łatwo uwierzył, iż odnajdzie tu sekretarza. Nekromanta już miał odwrócić się ku drzwiom...

Z ciemnego korytarza wynurzył się nagle człowiek pasujący do podanego przez Sardaka opisu. Twarz miał zarumienioną, najwyraźniej wskutek wypitego alkoholu i czegoś jeszcze. Mgnienie oka później to „coś jeszcze” prześlizgnęło się obok Rathmity w poszukiwaniu kolejnego klienta.

Zaufany Justyniana poprawił strój. Zayl skorzystał z okazji, by do niego podejść.

Mężczyzna spojrzął na zbliżającego się nekromantę i zawył z przestachu. Oskarżycielsko wskazał Zayla palcem.

Teraz na Zayla patrzyła już cała sala.

Edmun odwrócił się na pięcie. Rathmita podążył za nim.

Jednak w tej samej chwili do tawerny wszelkimi możliwymi wejściami wdarli się rycerze, uzbrojeni w błyszczące miecze i zakuci w krwistoczerwone zbroje. Rozpychali się między gośćmi, przewracając stoły, rozrzucając kufle i karty do gry.

Nie zatrzymywany królewski sekretarz przecisnął się pomiędzy dwoma rycerzami. Zakarumici zwarli szereg i zacisnęli krąg wokół nekromanty. Za ich plecami dostrzegł postać kierującą akcją. Twarz dowódcy wyrażała fanatyczne oddanie sprawie. Sprawie, która w tej chwili polegała na schwytaniu Zayla.

Nekromanta szybko nakreślił w powietrzu znak kształtem przypominający zamknięte oko i wypowiedział cicho kilka słów zaklęcia. Nad głowami napastników pojawiły się, widoczne jedynie dla niego, czarne kule. Moment później kule runęły w dół, nakrywając głowy rycerzy.

Atak się nie powiódł. Zakarumici zderzali się jedni z drugimi lub wpadali na stoły i zaskoczonych gości. Poszli w rozsypkę. Rycerze Zakarum dźgali mieczami na wszystkie strony. Ich odziany w długą szatę przywódca także bezładnie wymachiwał bronią.

Zayl wiedział jednak, że ich ślepotą nie potrwa wiecznie. Przykucnął i prześliznął się obok gniewnie rąbiącego mieczem strażnika. Wmieszał się w tłum gapiów. Ludzie rozpierzchli się na boki. Żaden z nich nie chciał dotknąć nekromanty.

Zayl wypadł na zewnątrz, lecz nie uciekł. Zawrócił za rogiem gospody, kierując się ku drzwiom, którymi według niego powinien wyjść Edmun.

Rzeczywiście, otwarte drzwi trzaskały bezładnie. Po mężczyźnie nie było śladu, lecz Rathmita użył swej mocy i wyczuł pozostawiony przez zbiega ślad. Teraz, gdy odnalazł królewskiego sekretarza, nie zamierzał zrezygnować z jego przesłuchania.

Za następnym rogiem dostrzegł Edmuna, wyprowadzającego konia ze stajni. Nekromanta skoncentrował się, zamierzając użyć tego samego czaru, który zastosował na rycerzach Zakarum.

Kiedy jednak zaczął kreślić znak, pomiędzy nim a Edmunem pojawili się nagle zbrojni jeźdźcy. Zayl pomyślał, że to kolejny oddział Zakarum, lecz choć stroje konnych miały czerwoną barwę, nie była to krwawa czerwień Kościoła.

Spróbował zwrócić czar na nich... I nagle zrozumiał, że zaszli go także od tyłu.

Ciężkie, zakute w zbroje postacie powaliły nekromantę na ziemię. Zayl usłyszał komendę i czyjaś ręka w żelaznej rękawicy trafiła go w skroń.

Stracił przytomność.

DZIESIĘĆ



Im dłużej Salene się zastanawiała, tym bardziej żałowała, że pozwoliła namówić się na pozostanie w domu. Nekromanta prawie zupełnie nie znał miasta, a do tej pory atakowano go przez nią już dwukrotnie. Było jej z tego powodu bardzo przykro. Nie należała do tych ludzi, którzy ze spokojem pozwalają innym toczyć za siebie własne bitwy, nawet jeśli byli za to, jak Polth, wynagradzani.

Rozważywszy to wszystko, zdecydowała się wyruszyć do miasta i odnaleźć Zayla, zanim przydarzy mu się coś złego.

Wymknięcie się Sardakowi nie stanowiło dla niej większego problemu. Przyrodni brat był bardzo opiekuńczy. Za bardzo jej jednak przy tym ufał. Gdy oznajmiła, że kładzie się spać, Sardak dał się pocałować w policzek i poszedł do swojej komnaty, znajdującej się niedaleko od jej sypialni, życząc dobrej nocy i obiecując pojawić się na każde wezwanie Salene.

Arystokratka odczekała, aż w domu zapadnie całkowita cisza, po czym włożyła strój podobny do tego, który miała na sobie w krypcie, otuliła się szczelnie płaszczem i ukradkiem wyszła z pokoju. By nie ściągnąć na siebie uwagi Sardaka, poszła dłuższą drogą, obok sypialni Zayla. Droga była dłuższa, ale gwarantowała, że nikt jej nie zobaczy.

Tak przynajmniej myślała.

– Interesujące ubranie jak na przechadzkę po domu. - Usłyszała głos z komnaty nekromanty.

Lady Nesardo z początku pomyślała, że po prostu zignoruje niewidocznego rozmówcę, lecz ten zaczął nagle nucić jakąś piosenkę. Głośno i fałszywie. Zrozpaczona, weszła do pokoju, aby go uciszyć.

– Cicho, Humbart! Obudzisz Sardaka!

– I bardzo dobrze! - odparła czaszka, nieznacznie tylko ścisząc głos. - Nie wyjdiesz sama do miasta, panienko, i bardzo dobrze o tym wiesz.

– Zayl jest teraz sam. W mieście, którego nie zna. Szuka człowieka, którego zna jedynie z niedokładnego opisu Sardaka. Nie wiem, jak mogłam się zgodzić, by poszedł sam.

– Nie wyobrażasz sobie nawet, jak zaradny potrafi być ten chłopak. Jeśli tylko ten Edmund wyjdzie z pałacu, to Zayl go znajdzie. -W głos czaszki wkradł się ton niepewności: - Choć to rzeczywiście bardzo duże miasto...

– A ja je znam o wiele lepiej.

– Tak czy inaczej, ty też nie powinnaś iść sama, moja pani.

– Nie pozwolę Sardakowi ryzykować zamiast mnie - buńczucznie powiedziała Salene.

– Nie myślałem o nim. - W jakiś sposób czaszce udało się drgnąć. - Zabierz mnie. Pójdziemy oboje.

– Ciebie?

– Panienko, większość życia spędziłem poszukując złota i ludzi. Poza tym znam Zayla lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli chcesz go odnaleźć... odnaleźć prędko, to potrzebujesz właśnie mnie.

Humbart mówił do rzeczy, i to właśnie martwiło Salene...

– Sama nie wiem...

– Jeśli czułabyś się niezręcznie, parując ze mną publicznie pod ramieniem, to schowaj mnie w sakiewce. Leży tu, obok. Tak właśnie robi na czas podróży Zayl. Prosiłbym cię tylko, byś mnie co jakiś czas wyjęła, żebym mógł się zorientować, gdzie jesteśmy.

Nadal niepewna, zgodziła się.

– Jesteś pewien, że mnie do niego doprowadzisz? - zapytała otwierając sakiewkę.

– Łączy nas ze sobą nie tylko magia, moja pani... Hej! Ostrożnie!... - Ostatnie słowa odnosiły się do jej niezdarnych prób włożenia czaszki do woreczka bez wypuszczania jej z rąk.

Gdy Wessel spoczął wreszcie w sakiewce właściwą stroną ku górze, kobieta przytroczyła go do swojego pasa.

– Wygodnie?

– Na ile to tylko możliwe w mojej sytuacji.

Salene skrzywiła się. Rozmawiała z czaszką jak z żywym człowiekiem. Jakkolwiek Humbart Wessel sprawiał wrażenie żywej istoty, był przecież martwy.

Nie miała problemów z wymknięciem się służbie pilnującej domu. Dobrze znała ich zwyczaje. Szybko dotarli do pogrążonych w ciemnościach stajni. Przyzwyczajona do samodzielności lady Nesardo osiodłała konia. Nie zauważył jej nikt, aż do momentu gdy natknęła się na samotnego strażnika, pilnującego bramy posiadłości.

– Naprawdę chcesz wyjść w taką pogodę, pani? - zapytał zbrojny strażnik. Służył jej już od lat, więc nawet nie przyszło mu do głowy próbować ją zawrócić. Lady Nesardo robiła to, co chciała, i tyle.

– Tak, Dolf. Tak samo jak wtedy, gdy umarła moja matka.

– Ach. - Strażnik otworzył jej bramę z kamienną twarzą. - Mam nadzieję, że tym razem powiedzie ci się lepiej. Nie powiem nikomu, zwłaszcza pani bratu.

Kiedy znaleźli się już w pewnej odległości od domu, Humbart zapytał:

– Co miałaś na myśli? Tam, przy bramie?

– Moja matka chorowała. Dolf pamięta, jak co noc wymykałam się z domu. Myślał, że szukam dla niej lekarza.

– A było inaczej?

Salene skinęła głową, przypominając sobie smutne chwile.

– Tak, w każdym razie po jakimś czasie. Z początku szukałam pomocy Vizjerei. Myślałam, że nauczą mnie, jak jej pomóc. Niestety.

Czaszka milczała przez chwilę.

– Jeśli coś jest „z początku”, jest też coś „potem”... Co było potem?

– Potem po raz pierwszy szukałam nekromanty.

Humbart nie widział łez mieszających się z deszczem na jej policzkach.

– Wymyśliłam, że skoro nie mogę mieć jej żywej, to każę ją wskrzesić. Chciałam, by została ze mną na zawsze.

Czaszka znów na kilka minut zamilkła.

– Ale nie udało ci się żadnego znaleźć, prawda?

– Nie, nie udało. Na szczęście.

Czaszka rozsądnie nie skomentowała.

Gdy oddalili się od domu Nesardo, deszcz nieco zelżał. Nie umknęło to uwagi Salene. O tym, że jej dom stanowi miejsce, w którym skupiona jest starożytna magia, wiedziała, zanim jeszcze powiedział jej o tym Zayl. Przedtem nie przejmowała się tym wcale. Teraz jednak coś kierowało magiczne moce przeciwko niej.

Zayl wyruszył pieszo. Nie wiedziała, dlaczego tak zrobił, ale teraz dawało jej to przewagę. Mimo że nekromanta poruszał się zwinnie i szybko jak kot, nie był w stanie na piechotę dotrzeć tak daleko, jak ona konno.

Spod kaptura ujrzała pierwsze gospody. Nie wierzyła co prawda, że będzie miała na tyle szczęścia, by znaleźć nekromantę od razu, lecz nie miała też zamiaru ominąć żadnego z miejsc, w których mogła go spotkać.

– Zaczynamy - mruknęła zsiadając z konia. Nagle z sakiewki rozległ się szept Humbarta:

– Tutaj nie ma go już od dobrej chwili. Jedźmy dalej.

Salene przystanęła.

– Skąd wiesz? - zapytała cicho.

– Jak już mówiłem, jest między nami więź - odparł szorstko Wessel. - Nie pytaj. Uwierz mi na słowo. Wiem, że tutaj go nie ma. Jedźmy.

Kobieta wsiadła z powrotem na konia. Odtąd, gdy tylko zbliżali się do jakiejś gospody czy szynku, kładła delikatnie dłoń na sakiewce. Czaszka odpowiadała jednym słowem. Ku jej rozczarowaniu odpowiedź zawsze brzmiała: „Nie”.

Dzięki wskazówkom Humbarta poruszali się dużo szybciej. Salene coraz bardziej martwiła się tym, że Zayl zdążył zabrnąć bardzo daleko w głąb miasta. Jej niepokój wzrósł niepomierne, gdy mijali wielką katedrę Zakarum. Nieufnie patrzący strażnicy zdawali się nie zwracać uwagi na fatalną pogodę. Ich oczy przeczesywały otoczenie w poszukiwaniu heretyków, którzy w ich mniemaniu czaili się wszędzie. Gdyby pojawił się tu nekromanta, z pewnością zwróciłby na siebie ich uwagę, choćby tylko samym wyglądem.

– Zwolnij - nagle usłyszała towarzysza - był tu całkiem niedawno.

Serce zabiło jej mocniej. Tak blisko Zakarum. To nie wróżyło niczego dobrego.

– Zatrzymaj się tu - powiedział równie cichym głosem. - Trzeba sprawdzić najbliższe knajpy. Ślad jest tu świeży.

Salene zatrzymała się naprzeciwko gospody pod nazwą Bród Garetta. Uwiązała konia i poprawiwszy wiszącą u jej pasa sakiewkę, skierowała się do wejścia.

Kiedy stanęła tuż przed drzwiami, te otworzyły się nagle i wpadł na nią wychodzący spiesznie rosły mężczyzna. Wyglądał na zawodowego wojownika. Złapał ją za ręce, ratując przed upadkiem na mokry, uliczny bruk.

– Hej, maleńka! Powinnaś bardziej na siebie uważać! -Niemał oderwał ją od ziemi i postawił obok konia. - Mogłem zrobić ci krzywdę.

– Nic się nie stało - odparła próbując go wyminąć. - Proszę wybaczyć. Szukam przyjaciela.

Wojownik zastąpił jej drogę. Pomimo że jego twarz była skryta pod kapturem, coś w nim przypominało jej Poltha. Nie zlekka się więc zbytnio, nawet gdy znów stanął przed nią.

– To nie jest odpowiednie miejsce dla takich jak ty, panienko. Zwłaszcza teraz. Sprzątają tam po tej awanturze.

Awantura? Salene usłyszała stłumiony dźwięk z sakiewki i pacnęła ją dłonią. Widziała kilka razy, jak robił to Zayl. Humbart umilkł natychmiast.

– Jakiej awanturze? Co się stało?

Jej nowy znajomy skubnął brodę. Nachylił się ku niej gestem spiskowca.

– Był tu taki jeden czarny. Jeden z tych czarnoksiężników, którzy wskrzeszają umarłych. Słyszałem, że też kogoś tu szukał. Nie wiedział tylko, że Zakarum też szukali. Właśnie jego.

Lady zaczęła się modlić, żeby gadatliwy nieznajomy nie zauważył nagłej zmiany w wyrazie jej twarzy. To było wszystko, co mogła zrobić.

– Więc schwytali go kościelni?

– Nekromantę? Neeee... Nekromanta pokazał im, jak są zaślepieni, dosłownie. Potem wymknął się za tym człowiekiem, którego szukał.

Salene odetchnęła głęboko z ulgą. Na szczęście wojownik nie zwrócił na to uwagi.

– Sporo się działo - zdołała w końcu wykrztusić. - Masz rację. Nie będę tu szukać przyjaciela.

– Ta. Poza tym, jeśli wolno mi dodać, twój przyjaciel, moja pani, jest z pewnością w gościnie u kogoś takiego, jak generał Torion, a nie w takiej podejrzanej speluncie jak ta. - Odziany w skórzaną zbroję mężczyzna skinął głową. - Proszę mi wybaczyć, ale muszę już iść. Życzę dobrej nocy, pani.

To rzekłszy, usunął jej się z drogi i oddalił spływającą deszczem ulicą.

Arystokratka zawahała się. Nie dlatego jednak, że nie chciała już wchodzić. Zastanowiły ją słowa nieznajomego.

Twój przyjaciel jest z pewnością w gościnie u kogoś takiego, jak generał Torion...

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej taka możliwość wydawała jej się prawdopodobna. Torion był szefem straży miejskiej. Tego rodzaju incydent szybko by ich tu przyciągnął. Jeśli Zayla nie dostali kościelni, co wiedziała od nieznajomego, to albo dalej krążył gdzieś po ulicach Marchii, albo strażnicy doprowadzili go wprost przed oblicze generała.

Wahała się. Nadal pozostawało wiele niewiadomych. Zdecydowała jednak.

Odwiązała konia i wskoczyła na siodło. Kwatera Toriona, służąca generałowi zarówno jako mieszkanie, jak i biuro była dość daleko. Skoro, chcąc pomóc Zaylowi, zrobiła już tyle, mogła zrobić jeszcze więcej. Torion z pewnością jej wysłucha.

Popędziła konia.

– Jesteśmy sami? - dobiegł ją cichy, nosowy głos z sakiewki.

– Tak, Humbart.

– Wszystko w porządku, lady Salene?

Wyczuła w jego pytaniu troskę, która nie miała nic wspólnego z poszukiwaniami nekromanty.

– Oczywiście.

Zapadła krótka cisza.

– Dokąd jedziemy?

– Do generała Toriona, naturalnie.

– Zechciałabyś mi powiedzieć, po co?

Nie zrozumiała, dlaczego Humbart o to pyta.

– Bo jeśli to nie Zakarumici go schwytali, to najprawdopodobniej dostał się w ręce straży miejskiej.

Znów zapadła cisza. Salene pomyślała, że zaspokoila ciekawość czaszki.

– O co chodzi z tym Kościołem Zakarum?

Zaskoczona jego nieznaną rzeczą, przyhamowała konia. Rozejrzała się wkoło i sprawdzwszy, że nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby ją, mimo deszczu i wiatru, usłyszeć, odparła:

– Słyszałeś przecież o tym, co się stało w gospodzie, prawda?

– W gospodzie? Nie słyszałem nic o żadnej przeklętej gospodzie, lady Salene. Nie usłyszałem też niczego o Zakarum ani o generale Torionie. Dopiero ty mi o tym teraz powiedziałaś. Wcześniej słyszałem tylko coś dziwnego. Jakbyś rozmawiała sama ze sobą.

Zatrzymała konia. Strząsnęła deszcz z kaptura i uniosła sakiewkę do twarzy. Pozbawione ciała oblicze Humbarta odciskało się w materiale.

– Z tawerny wyszedł jakiś mężczyzna! Powiedział mi, że Zayla niemal schwytali Zakarumici! Musiałeś to słyszeć!

Nawet mimo panującego mroku zdawało jej się, że widzi spojrzenie czaszki przez tkaninę... Wydało jej się też, że było to zmartwione spojrzenie.

– Przykro mi, ale nie słyshałem nikogo. Nikogo, moja pani. Słyshałem tylko, jak mówisz do siebie.

Humbart musiał się pomylić. Przecież człowiek, z którym rozmawiała, był tam. Był i nawet, w pewien sposób, zasugerował jej wizytę w kwaterze Toriona.

Torion...

Salene pozwoliła sakiewce opaść u swego boku i ponagliła konia.

– Dokąd jedziemy tym razem, do diaska?

– Tam, dokąd jechaliśmy - odparła przygotowując się na ostrą wymianę zdań z czaszką. - Jedziemy sprawdzić, czy Zayl jest u Toriona. Tylko to się teraz liczy.

W tej samej chwili zabrzmiał potężny grom, zagłuszając ewentualne komentarze Humbarta.

Komentarze, których Salene i tak by nie słuchoła.



– Co ja mam z tobą zrobić, nekromanto?

Nie było to pytanie z rodzaju tych, jakie Zayl lubił słyseć zaraz po przebudzeniu. Nie podobały mu się takie pytania ani taki ton. Rozpoznał głos.

Nadal czuł ból z boku głowy. Otworzył oczy, zwalczając przemożne pragnienie, by spać, dopóki łomotanie w jego głowie nie ustanie.

Tak. Nie mylił się. Generał Torion patrzył na niego z góry złowrogo.

Nekromanta spróbował się podnieść, stwierdził jednak, że przykuto go do ściany.

– Oficer dowodzący strażnikami, którzy cię tu przynieśli, opowiedział mi o przedstawieniu, jakie dałeś w gospodzie. Masz diabelne szczęście, że nie

wypatroszył cię na miejscu, gdy nikt nie patrzył.

Zayl zdołał usiąść. W miarę jak się rozbudzał, docierało do niego coraz więcej szczegółów otoczenia... czy raczej ich brak. Znajdował się w jednej z cel Marchii Zachodniej. Czuł, że tkwi głęboko pod ziemią. Podłogę pokrywała warstwa brudu i mocno zużytej już słomy. Ściany zbudowano z kamieni tak starożytnych, że Zayl bez trudu wyczuwał zawartą w nich magiczną moc, której generał prawdopodobnie nie był nawet świadom. Miejsce, w którym się znalazł, skupiało mroczne wspomnienia. Zupełnie tak, jak krypta pod domem Nesardo. W pobliżu błąkało się kilka dusz, być może nawet były tu więźniami.

W celi panowała wilgoć. Mech porastał jej narożniki. Drzwi wykonano z żelaznej płyty, blokowanej wsuwaną w zewnętrzną ścianę żelazną sztabą. Jedyne okno na świat stanowiła mała kratka w górnej części drzwi. Jedyne źródłem światła była oliwna lampka, trzymana przez tego, który go pojmał.

– Pytam ponownie, co ja mam z tobą zrobić?

– Uwolnić?

Kąciki ust generała uniosły się delikatnie w uśmiechu.

– Nekromanta ma poczucie humoru. Życie nie przestaje mnie zadziwiać.

- Twarz żołnierza ponownie przybrała kamienny wyraz. - A może ty rzeczywiście myślisz, że mógłbym to zrobić?

– Nic nie zrobiłem. To mnie zaatakowano.

– Nie według osobistego sekretarza króla, Edmuna Fairweathera, a Justynian wysłucha jego, nie ciebie. Och, no i Zakarum mają do ciebie słuszne pretensje. Ale to chyba nie powinno dziwić nekromanty, prawda?

Zayl spojrział na generała wzrokiem równie srogim.

– A o co oni mnie oskarżają?

– O bluźnierstwo, rzecz jasna. A także o stosowanie czarów przeciwko obrońcom wiary, no i... nie, samoobrona nie ma dla nich żadnego znaczenia. Nie lubią takich jak ty, nekromanto. Ja zresztą też.

– Rozumiem.

Zdawkowa odpowiedź Zayla wyraźnie poruszyła wojskowego.

– Niemniej uważam, że powinienem zachowywać się po ludzku nawet wobec tych, których nie darzę sympatią. Według mnie nie popełniłeś żadnej zbrodni, więc zrobię, co mogę, by cię stąd wyciągnąć. Gdyby to Zakarum cię dopadli, nie uwolniłaby cię żadna siła. U siebie stosują swoje własne prawa. Byłoby ci tam o wiele cieplej niż tu. Kościół naucza, że ogień ma oczyszczającą moc.

Torion odwrócił się od więźnia i zapukał w drzwi.

Chwilę potem otworzył je od zewnątrz wyraźnie zaaferowany strażnik. Generał wyszedłby z celi bez słowa, lecz nekromanta miał coś ważnego do powiedzenia.

– Generale Torionie! Nie można dopuścić, by Salene miała do czynienia z Zakarum, bo.

Zamilkł widząc srogą minę Toriona.

– Nie waż mi się mówić o niebezpieczeństwach, na jakie narażona jest lady Nesardo! To ty, samym swoim towarzystwem, ryzykowałeś jej życiem! Ty chcesz jej bezpieczeństwa? Nie wymieniaj ponownie jej imienia! Lepiej będzie, jeśli zapomnisz o jej istnieniu, nekromanto. - Zamilkł na chwilę i dodał - och, i nie myśl, że zapomnieliśmy o twoich zdolnościach. Ta część więzienia została zaprojektowana specjalnie dla takich jak ty. Czary tu nie zadziałają. Spróbuj zresztą. Wszyscy próbują. Będziesz przynajmniej mieć jakieś zajęcie w czasie, gdy ja będę zajęty ratowaniem twojej nędznej skóry.

To powiedziawszy, żołnierz wyszedł szybko z celi. Strażnik spojrzał z niepokojem na Zayla, po czym zatrzaskał drzwi. Nekromanta usłyszał

dźwięk zasuwanej sztaby... Potem nastąpiła pełna ciszy ciemność.

Odebrano mu sztylet i sakiewki. Jeśli Torion nie kłamał, odebrano mu też możliwość rzucania zaklęć. Mimo to Zayl myślał o ucieczce. Był przekonany, że znajdzie na to sposób. W Zachodnich Królestwach nigdy nie było wielu nekromantów. Jeśli cela została przygotowana, aby powstrzymać czary Vizjerei, mogło się okazać, że jego własne zaklęcia nie zawiodą.

Na pewno warto próbować. Zdać się na starania generała lub na miłosierdzie Zakarum prawdopodobnie równało się samobójstwu. Lepiej już zostać zbiegiem na ulicach Marchii. Zayl miał ponadto przeczucie, że czas ucieka im wszystkim. Zwłaszcza Salene.

Wypowiedział bezgłośnie zaklęcie, chcąc przywołać swój sztylet. Wiedział, że bez względu na to, gdzie się teraz znajdował, zrobi wszystko, by do niego wrócić. Skoncentrował się i wyobraził sobie kościane ostrze. Wyobraził sobie dokładnie każdy jego szczegół. Broń czerpała moc z jego krwi, stanowiła część jego ciała niemal tak samo, jak ręka czy serce.

Niemal natychmiast poczuł obecność sztyletu. Magiczna broń nie była zbyt daleko. Jednak coś ją powstrzymywało. Być może nie docenił należycie blokujących magię zaklęć, o których wspomniał generał. Nekromanta skupił się bardziej. Na jego skronie, pomimo panującego w celi chłodu, wystąpił pot.

Wtedy, ku swemu zaskoczeniu, usłyszał dochodzące jakby z zewnątrz zawodzenie. Gdy wsłuchał się w nie uważniej, stwierdził jednak, że dźwięk dochodzi z celi.

Nie był sam.

Wpatrując się w ciemność, coraz usilniej starał się przyzwać sztylet. Śpiewne pomruki stawały się coraz głośniejsze. Dochodziły zewsząd. Nie

rozumiał poszczególnych słów, lecz nie miał wątpliwości co do ich złowieszczego znaczenia. Słuchając, poczuł ogarniającą go otchłań czasu...

W zaśpiewie było coś przerażająco znajomego. Chwilę potem Rathmita zrozumiał, że jego źródłem jest ta sama moc, która zaatakowała go w domu Nesardo.

Daremnie szarpnął się w łańcuchach.

Cienie wypełniające celę przybrały odcień świeżo rozlanej krwi. Śpiew stawał się coraz wyraźniejszy. Brzmiał jak inkantacja do ofiarnego rytuału. W umyśle nekromanty pojawiły się nieproszone obrazy. Zniekształcone ciała mężczyzn i kobiet w dziwnych nakryciach głowy, spowitych w płaszcze z kapturami, na których widniał złowieszczy symbol pająka. Wymachiwali zębatymi mieczami. Przed nimi wiły się szeregi bezradnych, mordowanych ofiar.

Wtedy Zayl pojął, że tym, co z początku wydało mu się niezwykle dziwnymi nakryciami głowy, były takie same pająki, jakie kontrolowały potwory w krypcie.

Potrząsnął głową, starając się myśleć jedynie o sztylcie. Śpiew wypełnił mu uszy. Próbując go zagłuszyć i odpędzić ohydne wizje, podniósł swój głos. Nieustannie zaklinał sztylet, wzywając go do powrotu.

Bez ostrzeżenia otworzyły się drzwi celi i stanął przed nim ten sam strażnik, który je wcześniej zamykał.

W jednym ręku trzymał lampę, druga spoczywała na głowni przytroczonego do pasa miecza. Żołnierz pochylił się nad więźniem.

– Ty tu! - warknął. - Przestań mamrotać albo utnę ci język! Cisza, powiedziałem!

Zayl zamilkł. Nie dlatego jednak, że przestraszył się mężczyzny. Umilkł, bo w świetle lampy żołnierza zobaczył, co znajdowało się na przeciwległej ścianie.

Coś wilgotnego skapywało po kamieniach. Strażnik Równowagi wiedział, że była to krew ofiar pomordowanych w jego wizji. Posoka kapłała na posadzkę i tworzyła rosnącą szybko kałużę, rozlewającą się w stronę nekromanty i nieświadomego niczego żołnierza.

– Wynoś się stąd! - krzyknął Rathmita. - Uciekaj, zanim będzie za późno!

– O co ci chodzi? - zastanowił się strażnik, odwracając się z lampą w kierunku, w którym spoglądał nekromanta. - Boisz się paru pajęczyn i kilku szczurów?

Patrzył dokładnie na wzbierającą kałużę krwi. Nie dostrzegając jednak niczego. Postąpił nawet krok w stronę ściany, nieumyślnie wchodząc w makabryczną plamę cieczy.

Zadowolony z tego, że nie zobaczył niczego niezwykłego, wartownik odwrócił się ku Zayłowi.

Wtedy właśnie z lepkiej ściany za jego plecami wyrosły dwa ociekające śluzem kościane ramiona. Nie mogąc sięgnąć żołnierza, niecierpliwie przebierały głodnymi palcami...

Obok pierwszej pary ramion zaczęła wyrastać ze ściany kolejna. I następna.

– Jeśli ci życie i własna dusza miłe - kontynuował Zayl, nie zwracając uwagi na coraz bardziej wściekłą twarz strażnika. - Wyjdź!

Żołnierz zmarszczył brwi i znów spojrzał na ścianę. Nadal niczego nie widział.

Widział natomiast Zayl. Ze ściany wyciągała się teraz setka szkaradnych, kłapiących, próbujących chwycić ramion. Pojawiły się też pozbawione ciała, wściekle patrzące głowy, wyjące potępieńczo od chwili, gdy starożytny kapłan złożył je w ofierze swemu panu.

Żołdak spoliczkował Zayla.

– Nie próbuj na mnie tych swoich sztuczek, czarowniku! Powinieneś zacząć modlić się do bóstwa, któremu służysz, bo kiedy dostanie cię Kościół, to...

Ohydne, szponiaste dłonie wreszcie dosięgły żołnierza. Otworzył szeroko nie pojmujące, przerażone oczy. Ponad tuzin ramion chwyciło go za ręce, nogi, gardło i korpus.

Chwyciły go i bez wysiłku rozdarły na strzępy.

Potworne ramiona rozrzuciły krwawe strzępy ciała po całej celi. Lampa z hukiem upadła na podłogę, przewróciła się, lecz nie zgasła.

Czarnoksiężnik ze zgrozą patrzył na tę rzeź. Jeszcze gorsze sceny rozgrywały się jednak poza światem śmiertelnych. Dusza strażnika, ulotna postać, ledwie kształtem przypominająca człowieka, nadal była uwięziona w uścisku kilku par ramion. Zabity patrzył dookoła szeroko otwartymi oczami. Ramiona chwyciły go mocniej i bezlitośnie przyciągnęły ku ścianie, w stronę wyjących potępieńczo czaszek. Pozbawione ciała głowy dawno zmarłych, przeklętych ofiar otoczyły bezbronną duszę niczym stado drapieżnych ryb, które Zayl widział kiedyś w Kedzystanie. Nienasycone szczęki pożarły ją w mgnieniu oka.

Gdy po duszy strażnika nie było już śladu, uwaga demonów skupiła się ponownie na skutym łańcuchami nekromancie.

Kałuża krwi dosięgła Zayla. Zamiast jednak opłynąć go wokół, zaczęła nań wpływać. Parła w górę po butach i ubraniu. Rozlewała się na nim tak, jakby miała zamiar przykryć całe jego ciało. Poczuł, jak sztywnieją mu nogi. Próbował kopnięciami strząsnąć z siebie ohydny śluz, ten jednak przywarł do ciała jak smoła. Co gorsza, od krwi bił chłód przejmujący bardziej, niż gdyby pokrył go lód. Nekromanta przemarzał na kość.

Zayl mógł wołać o pomoc, zdawał sobie jednak sprawę, że tym samym skazałby każdego na tyle nierozważnego, by wejść do celi, na los podobny

do tego, jaki spotkał nieszczęsnego strażnika.

Kościane ramiona dosięgły wreszcie i uwięzionego nekromantę. Nie rozszarpały go jednak. Zamiast tego dwie ręce rozerwały skuwające Rathmitę łańcuchy, usuwając ostatnią przeszkodę uniemożliwiającą im zawleczenie nekromanty wprost w oczekujące na ścianie głodne paszcze.

Szczęki czaszek rozwarły się szeroko i niecierpliwie. Wrzaski umarłych i odgłosy śpiewu towarzyszącego ich męczarniom przepełniły nekromancie uszy...

Zayl całą siłą swej woli przyzwał sztylet.

Broń przeleciała przez drzwi i wylądowała wprost w jego dłoni. Nie zwlekając machnął ręką, kalecząc trzymające go za ramię pozbawione ciała palce. Gdy odcięte kości spadały na ziemię, nekromanta ciął w oblepiającą dolną część jego ciała purpurową błonę. Wrzaski osiągnęły crescendo, spychając rytualne śpiewy w tło. Nagły podmuch lodowatego wiatru przyprawił Zayla o dreszcze. Nekromanta spojrzał w górę.

Na ścianie wyrosła jeszcze jedna czaszka. O wiele większa niż pozostałe. Sięgała od sufitu po samą posadzkę. Te mniejsze stłoczyły się ciasno. Wielka czaszka rozwarła szczęki. Zayl zobaczył, że jej usta wypełnione są pajęczynami, w których tkwiły wplątane, wychudłe ciała. Każde wyglądało tak, jakby coś wyssało z nich całą wilgoć.

Dopiero wtedy strażnik Równowagi zauważył, że w czaszce ziało osiem oczodołów.

Wypowiedział zaklęcie. Sztylet rozbłysnął. Nekromanta dotknął jego ostrzem złowrogich ramion, które natychmiast go puściły i cofnęły się jak oparzone.

Pełen nadziei Zayl dotknął sztyletem kałuży krwi. Cofnęła się, uwalniając jego tors i nogi.

Nekromanta spojrzał na otwarte drzwi i przetoczył się na bok.

Z groteskowo wielkiej paszczy na ścianie wystrzeliła gęsta biała mgiełka. Pokryła Zayla od stóp do głów, przywierając mocniej niż wcześniej krew. Rathmita walczył zaciekle, lecz w gęstej substancji uwiązał mu nawet sztylet.

– Zi i Odyssian mentus... - krzyknął desperacko.

Wielka paszcza wciągnęła powietrze, a wraz z nim białą sieć z uwięzionym nekromantą.

Sekundę później Zayl zniknął w czarnej otchłani.

JEDENAŚCIE



Zayl runął w pustkę wypełnioną dźwiękami szaleństwa. Krzyki, zawodzenie, śmiech boleśnie raniły jego uszy. Pragnął ogłuchnąć.

Nadal trzymał mocno swój sztylet. Wiedział, że ta broń jest jedynym, co może uchronić go przed losem gorszym, niż mógł to sobie wyobrazić. Rytualne ostrze świeciło jasno, lecz w tak potwornym miejscu stanowiło to niewielkie pocieszenie.

Wtedy, niespodziewanie, oplatająca nekromantę pajęczyna znikła i Zayl poleciał w dół swobodnie.

Chwilę potem uderzył w twarde podłoże.

Nekromanta leżał przez chwilę, ogłuszony upadkiem, niezdolny do jakiegokolwiek obrony. Czekał, aż poczuje rozszarpujące go ramiona, jednak nic takiego się nie stało.

Wreszcie, z niemałym wysiłkiem, udało mu się stanąć na własnych nogach.

Zauważył, że nie ma już na sobie swojego stroju. Ubrany był teraz w szaty, jakie mieli na sobie ludzie, których widział we wcześniejszej wizji z kapłanami noszącymi znak pająka i ohydne nakrycia głowy.

Musisz się spieszyć, święty mężu... - wychrypiał grobowy głos.

Mocne ramiona chwyciły nekromantę i poprowadziły go przez długi, kamienny chodnik. *Księżyc jest wysoko. Ofiara musi zostać złożona i tylko tobie wolno to zrobić.*

– Co? - Zayl spojrział na mówiącego i z trudem powstrzymał się od krzyku.

Twarz człowieka gniła. Była upstrzona nieprzebrany mrowiem maleńkich pajaków. Tam, gdzie pajęczyna nie pokrywała rozkładającego się, zielonego ciała, pająki ucztowały na resztkach mięśni i ścięgien, wysysając je dokładnie niczym wampiry. Jedna z gałek ocznych zwracała się do środka czaszki. Była zupełnie sucha. Drugiej nie było wcale. Pająki zjadły ją dawno temu.

Z tyłu czaszki zwisały długie pasma pokrytych kurzem włosów. Szata gnijącej postaci była ubrudzona ziemią i poszarpana. Na klatce piersiowej wyraźnie odcinały się wystające przez materiał zębra.

Ręka, którą trzymał Zayla, nie była w lepszym stanie. Po całej postaci gnijącego kapłana chodziły pająki, wiele pajaków.

Na szczycie jego głowy widniało to, co mag brał przedtem za niezwykle nakrycie głowy.

Z czubka czaszki kapłana wpatrywały się w nekromantę wrogie, nieludzkie oczy pasożytniczego pająka.

Zayl odruchowo odskoczył w tył, tylko po to, żeby wpaść na kolejnego kapłana. Ten także gnił. Jego dolna szczęka zwisała swobodnie, podtrzymywana jedynie przez resztki mięśni lewego policzka. Miał obie gałki oczne. Obie pożółkłe i suche.

– *Wszyscy zostali dla ciebie przygotowani* - powiedział drugi kapłan takim samym głosem jak poprzedni. - *Oczekują niecierpliwie, aż pošlesz ich w ramiona Astroghi.*

Astrogha? Duch Riordana Nesardo wspominał to imię. Czy mówił też coś o księżycu? Zayl próbował sobie przypomnieć, jednak jego umysł na powrót wypełniły rytualne śpiewy, zagłuszające wszystkie inne myśli.

Nekromanta mocniej zacisnął dłoń na sztylcie, mając nadzieję powstrzymać te głosy, zanim doprowadzą go do obłądu.

Pierwszy z kapłanów nagle wyciągnął rękę po sztylet.

– *To nie będzie ci potrzebne, święty mężu. Tokaric już przygotował odpowiednie ostrze. Pozwól, że uwolnię cię od tego ciężaru.*

– Nie! - Nagle stwierdził, że nie pamięta, dlaczego chce zatrzymać sztylet. Nie wypuścił go jednak.

– *Jak sobie życzysz, święty mężu.* - Koszmarna postać wykrzywiła się w grymasie, który miał być uśmiechem.

– *Jesteśmy już prawie u celu, święty mężu* - dodał drugi. Przy każdym słowie kołysała się jego wisząca szczeka.

Nekromanta spojrział daleko przed siebie. Zobaczył niekończące się szeregi kamiennych ołtarzy. Ciągnęły się jeden za drugim, znikając w oddali. Na każdej z ośmiokątnych płyt wiła się ofiara.

Wszyscy leżący na ołtarzach ludzie zostali żywcem obdarci ze skóry.

– *Krzyczą ze zniecierpliwienia* - powiedział kapłan.

– *Chwała Astrodze!* - dodał drugi podniośle. Nekromanta pokręcił głową.

– *To jest złe. To zachwieje Równowagą Całości.*

Kapłani nie zwrócili uwagi na protesty Zayla. Zaciągnęli go przed pierwszy ołtarz z całą siłą, na jaką tylko pozwalały im przegniłe ciała. Tam, skłaniając się głęboko, dołączyły kolejne dwie postacie w pajęczych szatach.

– *Księżyc już prawie nadszedł* - powiedziała wyższa z nich. Jej ciało uległo takiemu rozkładowi, że jedynie barwa głosu zdradzała, iż była to niegdyś kobieta.

– *Astrogha wschodzi* - dodał drugi z nowych kapłanów, którego gruby brzuch kołysał się pod tętniącymi od wewnątrz szatami. Z otworów w jego płaszczu wypełzło kilka koszmarnych pajaków różnej wielkości.

Leżąca na ołtarzu ofiara krzyknęła niemo.

Gnijąca kapłanka delikatnie gładziła jej obdartą ze skóry głowę.

– *Nie zwlekajmy dłużej, święty mężu. On czeka, by dołączyć do Astroghi w jego chwale.*

– Tak... oczywiście... - Zayl powolnym ruchem wzniosł kościany sztylet.

– *Nie tym ostrzem!* - Kapłanka przerwała natychmiast, łapiąc go za nadgarstek. W swej drugiej, uschniętej, ręce trzymała inny sztylet. Całkiem czarny, ozdobiony jedynie wrytym na nim symbolem pajaka.

W tym czasie inny kapłan próbował rozewrzeć trzymające sztylet z kości palce nekromanty. Nie powiodło mu się jednak i po chwili wszyscy zadowolili się tym, że zdezorientowany Rathmita wziął czarny sztylet w swą lewą dłoń.

– *Tuż nad sercem* - ponaglił gruby kapłan. - *Dwa miękkie cięcia i wychodzi nadal bijąc.*

– Serce - wymamrotał Zayl. Omiótł spojrzeniem wijącą się w agonii postać. Wierzchnie warstwy skóry usunięto z wyraźną wprawą, nie powodując śmierci. Rathmita podejrzewał, że ofiarom aplikowano też jakąś substancję, by nie umierały w wyniku szoku towarzyszącego torturze.

Dwóch gnijących kapłanów pomogło mu odpowiednio ustawić rękę do cięcia. Zayl przygotowywał się, aby rozciąć klatkę piersiową ofiary. Dwa miękkie cięcia. Powinny być też głębokie, jeśli miał sięgnąć w ranę i od razu wydobyć serce.

Spojrzał na swoją bron. Najlepiej byłoby pozbyć się kościanego sztyletu. Nie miał nic wspólnego z ofiarami dla Astroghi i tylko utrudniłby wyrywanie serca.

Zanim jednak zdążył oddać sztylet jednemu z towarzyszy, kapłan z naderwaną szczęką spojrzał w górę i oznajmił:

– *Nadszedł Pajęczy Księżyc! Astrogha jest z nami!*

Zayl podniósł wzrok.

Księżyc był w pełni, okrągły i błyszczący. Z początku całkowicie błąd, lecz po chwili od góry zaczęły pokrywać go cienie. Spływały w dół strumieniami niczym czarne rzeki. Było ich osiem. Gdy pierwsza z nich dotarła do połowy tarczy, pojawiła się nań duża czarna plama.

W przeciągu kilku sekund księżyc przysłonięty został przez zarys ogromnego pająka. Zayl wpatrywał się, urzeczony wiernością rysunku.

– *Musisz zaczynać!* - nagle wyszeptała mu do ucha kapłanka.

– *Tnij!* - zawtórował pierwszy kapłan.

– *Tnij!*

– *Tnij!*

Owinięte w rytualne szaty postacie, stojące przy innych ołtarzach, podjęły nową pieśń:

– *Tnij już! Tnij już!*

– *Tnij, a spłynie na ciebie błogosławieństwo Astroghi!* - powiedział nagle obdarty ze skóry człowiek, leżący na ołtarzu, wpatrując się w Zayla płonącymi, pozbawionymi powiek oczyma. - *Dzięki tobie odrodzę się w chwale, a ty zostaniesz bogiem wśród śmiertelnych.*

Nekromanta opuścił rękę. Pokręcił odmownie głową, a gdy jeden z kapłanów ruszył, by pomóc mu dokończyć dzieła, wyrwał się nagle.

– *Nie! Na Rathmę! Na Odyssiana! Na Theroni! Rozkazuję wam zniknąć!*

Gnijące postacie zbliżyły się do Zayla.

– *Święty mężu, masz przed sobą obowiązek do wypełnienia. To Przeznaczenie. Oddaj mi białe ostrze, a zrozumiesz i zaakceptujesz wszystko* - rzekła jedna z nich.

– *Tak, oddam ci ostrze, żebyś wiedział* - odparł. Zmienił chwyt, jakim trzymał czarny sztylet, i cisnął nim w demonicznego kapłana. Nie mierzył w serce, bo wiedział, że żadne serce nie przetrwałoby tak długiego

rozkładu, lecz w głowę, gdzie znajdowało się źródło siły kierującej gnijącym korpusem.

Ostrze weszło głęboko w czaszkę. Dłonie kapłana wzniosły się, chwytając niepewnie wystającą z głowy rękojeść. Padł na ziemię, zmieniając się w bezładny stos kości, gnijącego ciała i tkanin.

Kapłanka ruszyła wraz z innymi na Zayla.

– *Musisz złożyć ofiarę!*

Wyciągnął w ich stronę swój własny sztylet.

– Na Rathmę! Na Odyssiana! Na Theroni! Na Jalaków! Na Mumryth Skrzydlatą! Na Trag'Oula! Odsyłam was! Zapieram się tego miejsca, tej potwornej dziedziny!

Pozostali nieumarli zbliżali się doń ze wszystkich stron, otaczając go szkaradnym rojem. Wyciągali ku niemu kościste szpony i głodne szczęki. Nekromanta przeżył już coś takiego w Ureh... Tylko że tym razem mógł stracić dużo więcej niż tylko rękę.

Zayl wymamrotał zaklęcie, wzywając Den'trag, Zęby Trag'Oula. W powietrzu przed nim zmaterializowały się błyszczące pociski, które natychmiast pomknęły w stronę hordy koszmarnych napastników. Stojący najbliżej padli, rażeni ostrymi kolcami. Ich ciała skręcały się, topiły i znikały, pozostawiając po sobie jedynie maleńkie, czerwone grudki.

Chmara pozostałych parła jednak dalej. Nie mając wiele nadziei, Zayl obejrzał się za siebie w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Za nim, w odległości zaledwie kilku jardów, widniał zachęcająco biały otwór.

Pobiegł ku niemu, świadomy, że najprawdopodobniej jest to pułapka. Nie mógł tam zostać i walczyć bez końca. Udało mu się wyrwać spod hipnotycznego zaklęcia, jednak tylu nieprzyjaciołom nie wyrwałby się na pewno.

Kiedy zbliżył się do otworu, ten rozbłysnął jasnym światłem. Nekromanta wyciągnął przed siebie sztylet i zakrył oczy. Teraz był pewien, że to pułapka.

Nagle usłyszał za sobą potworny jęk. Ośmielił się obejrzeć za siebie.

Zobaczył, jak pierwsze szeregi kapłanów zamierają w pół kroku i obracają się w pył.

Strażnik Równowagi poleciał się szeptem opiece Trag'Oula i rzucił się do dziury. Wpadając słyszał za sobą wściekły syk czegoś o wiele bardziej złowrogiego niż tłum nieumarłych. Coś uderzyło go w plecy i poczuł, że spada dużo wolniej.

W tej samej chwili otwór się zasklepił.

Moment później na zdeorientowanego nekromantę lunęły strugi ulewnego deszczu. Upadł ciężko na ziemię. Poczuł, jak trzeszczą mu wszystkie kości.

Na chwilę ogłuszył go grzmot. Zesztywniały i słaby, leżał przez kilką minut. Gdyby teraz dopadł go tłum nieumarłych, nie mógłby zrobić nic, żeby powstrzymać ich przed rozszarpaniem jego ciała na strzępy. Stopniowo jednak uspokoił oddech, a agonia, jaką przechodził jeszcze chwilę temu, ustąpiła. Poczuł się lepiej. Mrugając rozejrzał się dokoła.

Znajdował się w gęstym lesie, pośród sosen i dębów. Padał deszcz. Pomimo swojego świetnego wzroku nie widział daleko. Panowała noc, pomyślał więc, że nie upłynęło wiele czasu, odkąd opuścił celę. Otaczający go las przypominał lasy Marchii Zachodniej.

Gdzie jednak było miasto? Zayl dostrzegł wokół tylko drzewa.

Dotarło do niego, że w lewej dłoni wciąż ściska swój sztylet.' Uniósł go i wypowiedział zaklęcie.

Ostrze rozbłysło jasno na chwilę, po czym powoli zmatowiało.

Zayl obracał się dookoła własnej osi, powtarzając zaklęcie. Gdy był w jednej trzeciej pełnego obrotu, ostrze zaświeciło ponownie. Miasto znajdowało się zatem w zasięgu zaklęcia. Nie wiedział jednak, jak bardzo jest od niego oddalony. Podejrzywał, że czeka go długi spacer.

Deszcz nie ustawał. Zaczęła podnosić się mgła, wzmagając mroczną atmosferę lasu. Zayl poprawił płaszcz i kaptur, po czym wyruszył w drogę.

Koszmar, przez jaki dopiero co przeszedł, wypalił wyraźne ślady zarówno w jego umyśle, jak i ciele. Ohydnej istocie, która wtargnęła do celi, prawie udało się go pokonać. Co gorsza, Zayl przypuszczał, że nie zależało jej wyłącznie na jego duszy. Chciała także jego ciała.

Dlaczego? I kim lub czym był ów Astrogha? Jego symbolem był pająk, Mag wiedział, że powinien poznawać imię i znak. Ta wiedza jednak, tak samo jak imię „Karybdus”, znikła zupełnie z jego pamięci.

Obcy nekromanta i Astrogha musieli być ze sobą w jakiś sposób powiązani. Być może Karybdus był jednym z Vizjerei i szukał czegoś, co pozostało po dawnej świetności Astroghi? To, czego doświadczył w wizjach, z pewnością stanowiło zniekształconą wersję rzeczywistych wydarzeń z przeszłości. Kapłani istnieli naprawdę. Śmiertelni mężczyźni i kobiety, całkowicie oddani swemu złemu panu. To nie byłby pierwszy raz, kiedy jakiś chciwy, owładnięty żądzą władzy Vizjerei sięgnął w rejony zakazane i dawno zapomniane.

Idąc w kierunku Marchii Zachodniej, schodził coraz niżej. Przypomniawszy sobie wszystko, co wiedział o kraju, i domyślił się, że musi znajdować się nieopodal gór, które widział przybywając do miasta. Gdyby nie było ciemno i mgliście, mógłby pewnie dostrzec ich szczyty pomiędzy drzewami. Jeśli jego przypuszczenia były słuszne, to rzeczywiście czekała go daleka droga.

A co potem? Na pewno zauważono już jego zniknięcie. Na pewno odnaleziono też szczątki brutalnie zabitego strażnika. Nikt, nawet Salene, nie będzie mieć wątpliwości, że to on go tak okrutnie zamordował. Będą ścigać go wszyscy. Mężczyźni i kobiety.

Salene. Zayl zauważył, że bardziej niż cokolwiek innego martwi go to, iż arystokratka pomyśli, że jest winien. Nie wiedział też, jak miałby ją przekonać do swojej wersji wydarzeń. Sam by w coś takiego nie uwierzył.

Być może najlepiej byłoby wyjechać z Marchii Zachodniej, lecz tego nekromanta nie mógł zrobić. Pomijając to, że wplątał się już w tę historię bardzo głęboko, stało się jasne, że dzieje się tu coś bardzo niepokojącego i złowieszczonego. Gdyby teraz opuścił Marchię, byłoby to tak, jakby sam naruszył Równowagę i oddał świat w szpony Mrocznej Trójcy.

Buty grzęzły Zaylowi w podmokłej ziemi. Poruszał się wolniej, lecz z większą determinacją. Przysięgał duchom Rathmy i Trag'Oula. Poświęcił swe życie powołaniu, porzucając wszystko inne. Droga Rathmy pozwalała mu do pewnego stopnia odkupić swe własne grzechy.

Nekromanta ponownie zatęsknił za obecnością kogoś z jego zakonu. Zwłaszcza za Starszymi, którzy wszystkiego go nauczyli. Falaya, surowy Horus i pozbawiony oblicza Nil znajdowali się jednak daleko za Bliźniaczymi Morzami, o ile od czasu gdy widział ich ostatnio, nie padli jeszcze ofiarą odwiecznej wojny. Prawdopodobnie w Zachodnich Królestwach było kilku innych, młodszych nekromantów. Gdyby jednak znajdowali się w pobliżu, Zayl wyczułby ich obecność, a oni wyczuliby jego.

Wszystko zależy od ciebie - złąjął się nekromanta. - Czyż nie tego zawsze pragnąłeś? Polegać tylko na sobie... zupełnie samemu.

Przez deszcz i burzę przebił się nagle ostry, zwierzęcy ryk. Coś dużego przedzierało się przez skryty we mgle las.

Zayl uniósł sztylet i wywołał więcej światła. Przez mgnienie oka zauważył potężne stworzenie o czerwonych oczach, pokryte gęstym, biało-brązowym futrem. Sposób, w jaki się poruszało, przypominał zarazem człowieka i zwierzę.

Po chwili stworzenie znikło w lesie.

Rathmita nie dał się temu zwieść. Obrócił się, używając sztyletu i wyostrzonych zmysłów, by wyczuć, gdzie podziąła się niezwykła bestia.

Co to było? Nie był to niedźwiedź. To coś za bardzo przypominało człowieka. Kilka szczegółów, które zdołał zapamiętać, przypomniało mu coś innego. Coś, o czym uczył się wcześniej...

Liście za nim zaszeleściły delikatnie.

W samą porę odtoczył się na bok. Potężny kształt spadł na miejsce, w którym przed chwilą stał. Zayl spróbował ciąć bestię, gdy go mijała. Napastnik okazał się jednak zadziwiająco zwinny jak na swoje rozmiary i wykręcił się poza zasięg ostrza.

Nie zwlekając, bestia znikła ponownie w lesie, nie zostawiwszy po sobie najmniejszego śladu. Rathmita czekał, ciężko dysząc. Gdy minęło kilka sekund i nadal nie było widać ogromnej postaci, wstał ostrożnie. W najmniejszym nawet stopniu nie czuł się jednak bezpiecznie. Po dwóch nieudanych próbach stwor na pewno nauczył się go atakować. Następny atak dosięgnąłby go niechybnie.

Zayl nakreślił w powietrzu trzy znaki i skierował ostrze sztyletu w kierunku, gdzie zniknęła nieuchwytna istota. Niestety, blask sztyletu, który miał wskazać pozycję przeciwnika, nie dał żadnej wskazówki.

Czekał. Nic się nie działo. Wreszcie nekromanta został zmuszony, aby pójść dalej. Wiedział, że deszcz i grzmoty zagłuszą wszystko. Wszelkie inne dźwięki zarejestruje zbyt późno na ucieczkę. Każdy krok zajmował wieczność. Świadomość zbliżającego się ataku rosła.

To tylko zwierzę - myślał Zayl. - Ty jesteś człowiekiem. Masz przewagę rozumu.

Jednak nauka Rathmy mówiła, że wszystko, co istnieje w przyrodzie, służy zachowaniu Równowagi. Zatem jeśli ludzie górowali nad innymi stworzeniami rozumem i umiejętnością posługiwania się narzędziami, to te stworzenia przerastały ludzi zdolnością cichego i zwinnego przemieszczania się.

Były także znacznie lepszymi zabójcami.

Znał kilka zaklęć, których mógł użyć przeciwko napastnikowi. Musiał go jednak zobaczyć, zanim zostanie pochwycony. Pod wieloma względami ten przeciwnik był o wiele bardziej niebezpieczny od Vizjerei czy nieumarłych kapłanów.

Błyskawica rozświetliła otoczenie. Nekromanta wykorzystał ten moment i zarejestrował wzrokiem wszystko, co znajdowało się w zasięgu wzroku. Nigdzie jednak nie zauważył przeciwnika ani jego śladów.

Czyżby bestia porzuciła go i udała się w pogoń za jakąś łatwiejszą zdobyczą? Zayl wątpił w to, lecz jeśli zwierzę ścigało go nadal, czemu nie atakowało?

Przedzierał się powoli przez las, przez kilka następnych chwil rejestrując każdy cień i drgnienie otoczenia. Podłoże stawało się coraz bardziej strome. Tak strome, że przemoknięty deszczem nekromanta, schodząc w dół ku bardziej równemu terenowi, musiał trzymać się prawą ręką poszycia.

Strużka wody zwróciła jego uwagę. Spojrzał uważniej i z trudem dostrzegł przed sobą strumień. Bardzo ostrożnie wszedł w nurt jedną nogą, potem drugą...

Wynurzająca się znikąd wielka łapa chwyciła go za twarz.

Mężczyzna poślizgnął się i wpadł do strumienia, wypuszczając z ręki sztylet. Znow usłyszał mrozący krew w żyłach ryk. Po nim nastąpił plusk

wody. Poczul, jak struga uderza go w bok, i spojrzal w gore.

Niebo przeslanial mu zarys ogromnego, prymitywnego stworzenia.

Zayl instynktownie wyciagnal lewa reke. Sztylet zerwal sie z miejsca, w ktorym upadl, i miękko wyladowal w dloni wlasciciela. Uniosl broń i cala silę woli skoncentrowal na swietle.

Calę otoczenie zalal blask tak silny, jakby tuzin błyskawic uderzyl gdzieś obok. Oszolomiona bestia ryknęla i odruchowo zakryla oczy.

Zayl po raz pierwszy ogladal wendigo.

Wendigo rzeczywiście przypominalo kształtem człowieka. Miało jednak inne proporcje. Stworzenie miało dwa razy grubsze niż Zayl, włochate, przypominające pnie drzew nogi i dolną część tułowia. Nogi i krzyż olbrzyma wydawały się jednak karłowate przy zwalistym, beczkowatym torsie oraz potężnych ramionach o rozpiętości co najmniej sześciu stóp. Ramiona musiały być tak potężne, podtrzymywały bowiem parę rąk tak wielkich, że z powodzeniem mogły służyć dowolnej armii jako tarany. Każda z pięści wendigo z łatwością zamknęłaby w sobie głowę nekromanty i z pewnością nie zabrakłoby gigantowi siły, by zgnieść czaszkę człowieka jak łupinę orzecha. To, że Zayl przeżył uderzenie, stanowiło cud. Mniejszym cudem było to, że nie stracił przytomności. Najwyraźniej zaklęcia X'y'Laqa działały.

Łeb wendigo był niski i ciężki. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że uległ przemieszczeniu z właściwego miejsca na karku. Nie był, jak ludzka głowa, osadzony na wystającej z tułowia szyi, lecz wyrastał wprost spomiędzy barczystych ramion, sprawiając wrażenie, że istota jest garbata. Wendigo miało grube łuki brwiowe i płaski nos, przypominało to pysk małych zamieszkujących Kedżystan. Całość fizjonomii miała w sobie jednak coś ludzkiego. Tak samo jak oczy, jeśli pominąć ich agresywny, szaleńczy, czerwony blask.

Gigant zawił znowu, wyszczerzając przy tym długie drapieżne kły, sprawiające wrażenie należących do stworzenia gustującego tak-że w ludzkim mięsie. Zayl znał legendy, według których nie zawsze tak było. Ludzie Dzikcy, jak nazywali przodków wendigo nekromanci, byli niegdyś spokojnym, żyjącym w odosobnieniu ludem. Lecz na przestrzeni kilku ostatnich pokoleń ulegli przemianie. Wpływ Mrocznej Trójcy zdołał wypaczyć nawet ich nieskażone niczym dusze i zmienić w te potwory. Poza szkodami, jakie wendigo wyrządzały ludziom, smuciło nekromantę także to, że były one świadectwem zmian zachodzących w Równowadze. Ludzie zaczęli na nie polować, zwłaszcza że puszyste płaszcze z ich skóry stały się cenionym przez bogaczy towarem.

Zayl cierpiał, myśląc o losie wendigo, nie był to jednak powód, z którego miałby oddać temu stworzeniu swe życie. Kiedy gigant odzyskiwał zmysły, nekromanta obrócił sztylet ostrzem do dołu i rzucił czar.

Bładoniebieski migotliwy blask ogarnął wendigo, jeżąc jego futro. Bestia wydała z siebie krótki ryk, lecz widząc, że nic więcej się nie dzieje, sięgnęła po Zayla.

W tym samym momencie błyskawica trafiła potwora w łeb.

Siła piorunu odrzuciła potężne stworzenie jak zabawkę. Cielsko giganta uderzyło w drzewo, łamiąc je tak, że górna część pnia upadła kilka jardów na prawo od niedoszłej ofiary zwierzoluda.

Strażnik Równowagi podniósł się i stanął na drżących nogach. Spojrzał na ciemny kształt, leżący pośród połamanych gałęzi. Do jego nosa dotarł zapach przypalonego futra.

Wendigo leżało bez ruchu.

– Chwała Rathmie... - powiedział cicho.

Wykorzystując całą dostępną sobie koncentrację i moc, zrobił wszystko, żeby jego ostami czar nie zawiódł. Uczynił ze stwora żywy magnes,

przyciągający magię żywiołów oraz same te żywioły. Rzucając zaklęcie, miał nadzieję, że pierwsza odpowie szalejąca wokół burza.

Na szczęście nie pomylił się.

Trzymając się pnia, odwrócił się od nieruchomego ciała olbrzyma. Nie miał pojęcia, na jak długą drogę wystarczy mu jeszcze sił. Musiał jednak iść dalej. Musiał dotrzeć do Marchii Zachodniej. Nie miał wyboru.

Zza niego dobiegł pomruk i szelest gałęzi.

Zayl obejrzał się przez ramię i ujrzał wendigo powstające jak mroczny feniks z popiołów. Zwierzę potrząsnęło łbem i choć nekromanta nie widział jego oczu, zrozumiał, że patrzą wprost na niego.

Mężczyzna zacisnął zęby i oparł się plecami o pień. Uniósł sztylet, lecz był zbyt zdekoncentrowany, aby rzucić zaklęcie.

Pokryty futrem olbrzym chwiał się niepewnie.

Zayl nie mógł wyjść z podziwu, że wendigo przeżyło uderzenie błyskawicy. Jeszcze bardziej niezwykle było, iż bestia mogła stać i chodzić. Jak można zabić owo stworzenie, skoro nie mogła go powstrzymać nawet błyskawica?

Wendigo potknęło się i upadło na jedno kolano. Widać było wyraźnie, że piorun ranił je ciężko. Nekromanta odetchnął z ulgą. Przyszedł mu do głowy tuzin czarów, którymi mógł sobie poradzić z potwornym przeciwnikiem.

Wendigo jednak zrobiło coś, czego Rathmita nigdy by się po takim stworzeniu nie spodziewał. Opuścił sztylet.

Leśny olbrzym spojrział na niego, wyciągając obie ręce w wyraźnie błagalnym geście.

Wendigo, przerażające leśne monstrum, które dopiero co pragnęło jego krwi i mięsa, prosiło o pomoc.

DWANAŚCIE



– To nie jest dobry pomysł - mruknął Humbart z sakiewki.

Salene lekko uderzyła w woreczek.

– Cisza! Usłyszają cię strażę.

Zatrzymała się przy dwóch żołnierzach pilnujących drzwi wiodących do gabinetu Toriona. Był to już czwarty taki posterunek, jaki minęła, od kiedy tu przybyła. Strata czasu spowodowana postojem przy każdym z nich doprowadzała ją niemal do furii. Lady była dziwnie przekonana, że Torion i Zayl spotkali się ponownie, dokładnie tak, jak to zasugerował bezimienny najemnik. Jeśli tak się rzeczywiście stało, to liczyła się teraz każda chwila. Torion z pewnością nie potraktował Zayla zbyt uprzejmie.

– Jestem lady Salene Nesardo - oznajmiła władczo. - Proszę z łaski swojej poinformować generała Toriona, że chcę z nim pomówić. Natychmiast, o ile to możliwe.

Obaj żołnierze rozpoznali arystokratkę. Starszy strażnik pochylił głowę.

– Przekażę pani wiadomość adiutantowi generała - powiedział.

Po upływie minuty zjawił się młody, ciemnowłosy oficer o długim nosie i spiczastej brodzie. Ukłonił się Salene uprzejmie.

– Moja lady Nesardo! Cóż za nieoczekiwana przyjemność.

– Dziękuję, Alec. Prowadź mnie, proszę, do Toriona. Muszę z nim pilnie porozmawiać.

Twarz adiutanta spochmurniała.

– Moja pani, to nie jest najbardziej fortunny moment. Generał zajmuje się właśnie bardzo ważnymi sprawami i nie jestem w stanie powiedzieć, kiedy będzie wolny. Proszę zrozumieć...

Wiedziała, że jeśli nie przerwie Alecowi wyjaśnień, to on nie przestanie mówić. Zazwyczaj tak właśnie radził sobie z przychodzącymi nie w porę gośćmi generała. Większość ludzi męczyła się wysłuchując potoku słów i godziła się wrócić dopiero wtedy, gdy było to na rękę generałowi. Widziała już, jak stosował tę metodę wobec innych. Nigdy jednak nie zachował się tak wobec niej, ulubienicy Toriona.

Zebrała się w sobie i przerwała przemówienie oficera.

– Rozumiem, jak bardzo Torion jest teraz zajęty, odnoszę jednak wrażenie, że będzie chciał mnie przyjąć. Zapewniam cię, Alec.

– Ależ, lady Nesardo... - zaczął adiutant, świadomy, że ma do czynienia z kimś, kogo nie pozbędzie się zbyt łatwo.

Dalszej dyskusji oszczędził im sam Torion. Generał pojawił się nagle, z rozpiętym kołnierzem i zmierzwionymi włosami. Jednakże wcale nie wyszedł ze swego gabinetu, a przybył tym samym korytarzem, którym chwilę temu nadeszła Salene.

– Proszę o wybaczenie, moja pani - powiedział, próbując ominąć Salene, gdyż nie widział jej twarzy. - Kapitanie Mattheus, chciałbym, żeby pan... - Generał zamrugał oczami i odwrócił się przez ramię.

– Moja lady Nesardo!

Arystokratka zachowała kamienną twarz.

– Generale...

– Cóż, kapitanie, jedna z próśb, jakie miałem do ciebie, właśnie spełniła się sama. Co do drugiej, to chciałbym, żebyś przekazał wiadomość dowódcy zmiany straży. Niech wyśle oddział do domu Nesardo. Albo nie. Niech pan sam poprowadzi ten oddział...

– Torion! - Salene spojrzała nań rozszerzonymi z wrażenia oczami. - Co to ma znaczyć? Żołnierze w moim domu?

Generał zignorował jej wybuch i ciągnął:

– Żołnierze mają zachować najwyższy szacunek dla tego domu i wszystkiego, co się w nim znajduje. Musicie natomiast przeszukać dokładnie każdą komnatę. Chcę mieć pewność, że on się tam nie ukrywa. - Po namyśle dodał - zabierz ze sobą tych dwóch. Chcę pomówić z lady Nesardo w cztery oczy.

– Tak jest! Wy dwaj! Za mną! - Alec Mattheus zsalutował siarczyście.

Kiedy trzech żołnierze wyszli, starający się od dawna o rękę Salene generał mógł wreszcie poświęcić jej całą swą uwagę.

– Właśnie miałem wysłać po ciebie eskortę do domu.

– Po mnie? Ale dlaczego?

Głos Toriona zabrzmiał nieco delikatniej.

– By mieć pewność, że nie będzie cię tam podczas przeszukania. Próbuję cię chronić! Salene, ostrzegałem cię przed tym świętokradcą! Popęłił właśnie najohydniejsze morderstwo. Takich jatek nie widziałem nawet podczas bitew. Zabity strażnik niczemu przecież nie zawinił.

Jej niepokój wzrósł. Generał z pewnością mówił o Zaylu.

– Torion!?! Co się stało?

– Twój przyjaciel, nekromanta, został schwytany przez straż miejską. Moi ludzie ubiegli w tym rycerzy Zakarum. Kościelni twierdzili, że próbował rzucić urok na gości pewnej gospody, a potem użył swych mocy przeciw wyznawcom Kościoła. Wtedy jeszcze nie miało dla mnie znaczenia, na ile prawdziwa jest ta historia...

– Aresztowałeś go zatem i wtrąciłeś do lochu...

Wojskowy wyglądał na obrażonego.

– Wolałabyś, żeby Kościół poddał go oczyszczeniu? Teraz właściwie żałuję, że nie pozwoliłem mu wpaść w ich ręce. Ratowałem go ze względu na ciebie, Salene, i zginął przez to dobry żołnierz. Nie mówiąc już o tym, że ten przeklęty mag zdołał w jakiś sposób umknąć ze specjalnie przygotowanej celi. Salene, ciało tego strażnika było rozszarpane na kawałki. Dosłownie.

Salene była przerażona tym, co właśnie usłyszała, lecz mimo wszystko uspokoiła ją wiadomość, że Zayl jest na wolności.

– Torionie! Zayl nie jest mordercą! - Wymierzyła palec w zbrojną pierś generała. - Pomagał mi, jak tylko potrafił! Sam prawie przez to zginął! To dobry człowiek! Ufam mu...

– Omamił cię! Ostrzegałem cię przed nim! Zdajesz sobie sprawę, że Zakarum już o ciebie wypytują? Jeśli oddam im Zayła, powinni dać ci spokój. - Torion pokręcił głową. - Właśnie teraz, gdy sprawy zaczęły przybierać lepszy obrót. Król wreszcie zaczął zachowywać się jak mężczyzna...

Rudowłosa kobieta nie podjęła nowego tematu i odwróciła się od generała. Jeśli Zayła tu nie było, to z pewnością wrócił do jej domu. Co oznaczało, że i ona musi tam jakoś dotrzeć, i to zanim znajdą się tam wysłani przez Toriona żołnierze.

Poczuła na ramieniu ciężką dłoń.

– Lepiej by było, gdybyś teraz nie wychodziła, Salene. W zasadzie muszę nalegać...

Nie udało mu się jednak dokończyć. Salene odruchowo położyła na jego rękę swą własną. Torion zamilkł w pół słowa.

– Torionie? - Spojrzała w górę, prosto w jego oczy. Generał spoglądał na nią stanowczo, nie odwracając wzroku, bez najmniejszego drgnienia powieki.

Przeszył ją dreszcz. Zdjęła z siebie jego dłoń i cofnęła się. Mężczyzna ani drgnął. Stał w niezmienionej pozycji, z wyciągniętą ręką chwytającą już tylko powietrze.

Arystokratka dotknęła jego ramienia. Było ciepłe. Przytknęła ucho do jego piersi, lecz nie wyczuła oddechu.

– Och, Torion! Co ja ci zrobiłam?

– O czym ty mówisz, panienko?

W pierwszej chwili pomyślała, że adorator odzyskał mowę, lecz potem przypomniała sobie o ukrytym w sakiewce Humbarcie.

– To... Torion! Stoi nieruchomo jak posąg!

Czaszka zakłęła cicho, lecz barwnie i powiedziała:

– Tak właśnie myślałem, że coś poszło nie tak. Słyszałem, jak odsyła pozostałych, więc odważyłem się odezwać. Zrobił się błąd, ziemisty?

– Nie. Wygląda normalnie. Tyle że stoi zupełnie bez ruchu. Nie wyczuwam też oddechu... Zabiłam go!

– Nie, nie - wtrącił szybko Humbart. - Widywałem takie przypadki wcześniej. Prawdopodobnie zmarł. To trochę jak sen. Tylko że bardzo głęboki.

Salene widywała już tak nieruchomo śpiących ludzi. Ale wszyscy oni byli martwi. Pokręciła głową.

– Nie. Ja go zabiłam.

– Nie. Masz dar magii, pokazałaś nam już próbkę. Teraz twoje zdolności znowu się ujawniły. On po prostu śpi. Najpewniej niedługo to minie.

Lady Nesardo modliła się w nadziei, że słowa Humbarta Wessela okażą się prawdą.

– Czy... Czy mogę coś zrobić?

Czaszka prychnęła:

– Nie wiem, co ty możesz zrobić, moja pani, lecz ja na twoim miejscu poszukałbym Zayla. Ten chłopak jest moim przyjacielem.

Salene nie czekała dłużej. Spojrzała zboląłym wzrokiem na Toriona i wyszła. Na szczęście, jedyni strażnicy, na których natknęła się po drodze, byli tymi, których mijała wchodząc. Nieświadomi tego, co zaszło, zegnali arystokratkę ukłonami, nie zatrzymując jej wcale.

Salene wskoczyła na konia i skierowała się ku domowi Nesardo. Pogoda była nadal paskudna, ale ona tak koncentrowała się na tym, żeby dotrzeć do swej rezydencji przed kapitanem Mattheusem i jego ludźmi, że prawie tego zauważyła. Miała nadzieję, iż kapitan stracił trochę czasu, przygotowując ludzi do akcji. Liczyła się każda sekunda.

Wydawało jej się, że zanim dotarła do bramy, minęła cała wieczność. Na szczęście, nie było śladu żołnierzy. Jej własny strażnik zasalutował i szybko wpuścił ją na teren posiadłości.

– Niedługo pojawi się tu oddział wojska - poinformowała.

– Pani...? - Głos mężczyzny brzmiał jak pytanie, lecz jego spojrzenie zdradzało, że domyśla się, kogo poszukują.

– Proszę... Powstrzymaj ich tak długo, jak ci się tylko uda, nie ściągając na siebie kłopotów... proszę.

Strażnik bez wahania skinął potakująco. Zawdzięczała to głębokiej lojalności, którą od zawsze wzbudzała w swych sługach.

– Możesz na mnie polegać, moja pani.

Podziękowała skinieniem i pojechała pod dom. Zeskoczyła z konia pod drzwiami i wbiegła po schodach. Sakiewka z Humbartem kołysała się gwałtownie u jej boku.

Gdy sięgała do klamki, drzwi otworzyły się na oścież. Cofnęła się, zaskoczona, i poczuła, jak zza pasa wyslizguje jej się sakiewka z czaszką.

Schwyciła woreczek w ostatniej chwili i spojrzała na stojącą w drzwiach postać.

– Zastanawiałem się właśnie, gdzie się podziewasz - zauważył opryskliwie Sardak.

– Ja...

– Tak, tak. Wiem. Zayl. Udało ci się wymknąć, mimo że nasłuchiwałem. Zanim się zorientowałem, już cię nie było! Miałem ochotę cię szukać, ale nie chciałem rozminąć się z tobą po drodze...

Nesardo przecisnęła się obok brata, ściskając w dłoni sakiewkę.

– Nie mam teraz na to czasu. Mogą tu dotrzeć lada chwila. Gdzie on jest? U siebie w komnacie?

– Kto? Nekromanta? Nie widziałem go, a przez cały czas byłem w salonie. Czekałem na którekolwiek z was.

Zayla nie było w domu? Salene próbowała zebrać myśli. Przecież była tak pewna, że tu wróci. Do niej.

Właśnie wtedy stanęła jej przed oczyma koszmarna scena, którą opisał jej Torion. Była co prawda pewna, że Zayl nie był winny morderstwa, lecz coś złego się tam jednak wydarzyło, a nekromanta znalazł się w samym centrum tych zdarzeń.

Oboje usłyszeli dochodzące spod bramy okrzyki. Sardak zatrzęsął drzwiami.

– Twoi przyjaciele?

– Kapitan Mattheus z oddziałem straży. Szukają Zayla.

– No cóż. Tu go nie ma, ale tak czy inaczej będą chcieli przeszukać dom. Co sugerujesz, siostrzyczko? Pozwolić im? To chyba rozsądne?

Pomyślała nagle o Torionie. Jeśli adiutant ją tu zobaczy, zacznie się zastanawiać, w jaki sposób wróciła tak szybko, a przede wszystkim, jak udało jej się wymknąć spod opieki generała.

– Najlepiej będzie, jeśli mnie tu nie zobaczą, Sardak. Nie pytaj, dlaczego. Uniósł brwi.

– I pomyśleć, że to ja zawsze byłem tym lekkomyślnym. Zmieniłaś się Salene. - Wyraźnie się zatroskał. - Ale nie uda ci się dobrze przed nimi ukryć. O tym psie łańcuchowym Toriona można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest nieskuteczny. Zajrzy w każdą szczelinę i w każdy zakamarek, jaki można sobie tylko wyobrazić.

Miała gonitwę myśli. Istniało tylko jedno miejsce, do którego Mattheus mógł nie wejść.

– Zatem ukryję się w krypcie.

Humbart próbował protestować, ale przerwał mu zaskoczony Sardak.

– Nie mówisz chyba poważnie? Po tym, o czym opowiadałaś? Już lepiej chyba stawić czoła kapitanowi. Coś ty zrobiła, że uciekasz przed nim w takie miejsce?

– Nie mogę ci powiedzieć - odparła i poszła w głąb domu. Sardak ruszył za nią. - Zresztą nie zejść na sam dół. Zostanę przy schodach. Są tam takie nisze. Mogę poczekać w jednej z nich.

– On może tam zejść, Salene.

– Nie. To byłaby profanacja. Czym innym jest przeszukanie domu czy nawet starożytnych lochów, a czymś zupełnie innym zakłócanie spokoju zmarłym członkom jednego z najstarszych rodów Marchii Zachodniej. Będzie musiał wrócić do generała po zezwolenie, a my zyskamy trochę czasu na myślenie.

– Umieram z ciekawości, jakąż ty mogłaś popełnić straszliwą zbrodnię. - Brat pokręcił głową.

– Potem, Sardak...

Odprowadził ją do samego wejścia do krypty, lecz tam go zatrzymała.

– Tobie powierzam zajęcie się nimi - powiedziała cicho. - I proszę, nie...

– Nie zawieźć? Bez obaw. Nie zawiodę.

– Nie to chciałam powiedzieć. - Salene dotknęła jego policzka. - Wiem, że sobie świetnie poradzisz. Jak zawsze. Nie chcę tylko, żebyś niepotrzebnie ryzykował.

– Ale przecież to akurat wychodzi mi najlepiej - uśmiechnął się Sardak. Jego uśmiech zniknął, gdy usłyszeli dochodzący od frontu hałas.

– Powinnaś już iść. Poradzę sobie z nimi. Nie martw się.

Kobieta obdarzyła brata wdzięcznym spojrzeniem i zeszła. Uwięzione w celach bolesne wspomnienia drgnęły gwałtownie, gdy znalazła się między nimi. Wyrzuciła je natychmiast z umysłu tak, jak robiła to od dzieciństwa.

W końcu dotarła do drzwi krypty. Zatrzymała się przy nich, przypomniawszy sobie, że przed frontowymi drzwiami został jej koń.

Przeklęła się za własną głupotę, jednak nie mogła już nic poradzić. Było zbyt późno, aby wracać, zresztą Alec Mattheus mógł nie poznać jej konia. Być może Sardak Nesardo po prostu powie, że koń należy do niego.

Być może...

Sprawy zaszły za daleko. Salene wiedziała, że powinna wyjść z ukrycia i spotkać się z kapitanem. Z pewnością niedługo odkryją, co stało się z Torionem, a wszyscy będą dobrze pamiętać, kto widział się z nim jako ostatni. Co więcej, jeśli aresztują ją ludzie generała, nie będzie musiała obawiać się inkwizycji.

Tylko że wtedy nie miałyby kto zaopiekować się Sardakiem. Nie pozostałby też nawet cień nadziei na uratowanie Zayla.

O ile nekromanta jeszcze żył.

Drzwi do krypty nie dawały się otworzyć jedną ręką. Lady Nesardo złożyła na podłodze sakiewkę z Humbartem i zaczęła mocować się z ciężką klamką. Czaszka milczała. Wessel wiedział, że każdy dźwięk mógł zwrócić uwagę przeszukujących dom żołnierzy.

Ciągnąc za uchwyt na drzwiach, Salene pomyślała o Zaylu. Czy z celi porwała go ta sama wroga istota, która zaatakowała ich w krypcie? Jeśli tak, to zazwyczaj lekkomyślny Sardak miał tym razem rację. Zejście do starożytnej krypty było szaleństwem.

Nie istniało jednak żadne inne miejsce, w którym mogła się skryć przed adiutantem Toriona. Skrupulatny kapitan mógł zejść na sam dół lochu, lecz nie posunąłby się dalej, nawet podejrzewając, że ktoś jest w krypcie. Musiał mieć nakaz.

W każdym razie taką miała nadzieję.

Nagle, ku swemu przerażeniu, usłyszała dochodzące z góry głosy. Wpatrzona w korytarz, po raz kolejny mocno szarpnęła drzwi.

Zaskrzypiały i uchyliły się akurat na tyle, że mogła wślizgnąć się do wewnątrz. Coraz groźniej brzmiące głosy zbliżały się wyraźnie. Arystokratka weszła do krypty, tak szybko jak tylko mogła, i pociągnęła drzwi mocno do siebie. Skrzypnęły o wiele za głośno i zamknęły się za nią.

Jak tylko weszła, poczuła z lękiem, że nie jest w niej sama. Przyjrzała się uważnie niknącym w ciemności schodom, pewna, że widziała, jak coś się poruszyło.

Ponagliły ją dobiegające tuż zza drzwi głosy. W jaki sposób żołnierze zdołali dotrzeć do krypty tak prędko? Salene odeszła od wejścia, zaskoczona szybkimi postęпами strażników. Czyżby zmusili Sardaka do wyjawienia prawdy? Nie. Kapitan na pewno by się do tego nie posunął.

Nie wiedząc, co dalej robić, zeszła kilka stopni i schowała się w jednej z wnęk, o których wspomniała bratu. Wtuliła się w nią, czekając, by sprawdzić, czy żołnierze, niepomni świętokradztwa, wejdą do środka, czy zawrócą, żeby kontynuować przeszukanie w innej części domu.

Znów poczuła, że nie jest w krypcie sama. Kobieta zadrżała, rozdarta między strachem przed żołnierzami a koszmarnymi wspomnieniami z

ostatniej wizyty w tym miejscu.

Gdybym tylko miała ze sobą światło - myślała Salene, płasko przywierając do kamiennej ściany. –Małe światełko. Takie, którego nie zauważyliby stojący pod drzwiami ludzie Aleca.

W powietrzu przed nią zmaterializowało się małe błękitne światełko.

Salene cicho krzyknęła. Przerażona, że strażnicy usłyszeli jej krzyk, wyczekiwała dźwięku otwieranych drzwi i widoku wpadających do krypty żołnierzy.

Wrota jednak pozostały zamknięte. Czekając wpatrywała się w osłupieniu w unoszące się przed nią światełko. Z jakiegoś powodu nie bała się go. Czowała się z nim bezpieczniej. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że wywołała je sama. Prosiła o światło i oto stało się.

Zafascynowana Salene wyciągnęła ku niemu rękę. W dotyku było przyjemnie ciepłe. Co więcej, jego dotyk odpędzał niepokój wywołany przez panujące w krypcie ciemności.

Lady Nesardo spojrzała na drzwi. Głosy ucichły. Odetchnęła z ulgą. Jej serce zaczęło bić prawie normalnym tempem.

Nagły ruch u dołu schodów przykuł jej uwagę.

Wytężyła wzrok. Wydało jej się, że na samej granicy blasku rzucanego przez magiczne światełko dostrzega zarys przysadzistej postaci. Tę sylwetkę poznałaby wszędzie.

Polth? Salene zeszła stopień niżej. Światełko podążyło za nią. Kontury niewyraźnej postaci zadrgały i odsunęły w głąb krypty.

W jej umyśle strach mieszał się z fascynacją. Zapominając natychmiast o przeszukaniu, ruszyła w dół schodów. Z każdym jej krokiem mglista postać cofała się dalej, cały czas pozostając na granicy światła. Mimo to Salene była pewna, że widzi przed sobą swego ochroniarza.

Polth nie żyje! Próbowała się opamiętać. Zeszła jednak na sam dół. Magiczne światełko nadal było tuż przy niej. Nieuchwytny cień, za którym podążała, zniknął. Czuła już bliskość pierwszych grobów. Mały, wystraszony światłem, pajak czmychnął spod jej nóg. Przypomniała sobie napaść ludzi-pająków.

Powrócił jej rozsądek. Weszła z powrotem na ostami stopień schodów. Lepiej zaczekać we wnęce lub nawet, w miarę możliwości, wyjść z krypty. Popełniła błąd, schodząc tutaj.

Dotknęła ręką pasa i odkryła, że popełniła aż dwa poważne błędy. Sakiewka z Humbartem została przed drzwiami. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że głos, który słyszała zza drzwi, należał do wołającego ją martwego najemnika. Prawdopodobnie starał się zwrócić jej uwagę. Było jednak już za późno. Drzwi stłumiły jego głos na tyle, że go nie rozpoznała.

Salene zaczęła wchodzić po schodach, karcąc się w duchu za własną nieostrożność. Gdyby któryś z żołnierzy odnalazł sakiewkę wraz z jej niecodzienną zawartością, nic nie powstrzymałoby kapitana Mattheusa przed wtargnięciem do krypty.

Gdy wchodziła na kolejny stopień, w jej głowie rozległ się głos:

– *Pani...*

Lady Salene przygryzła wargi i obejrzała się przez ramię.

– *Pani...*

Arystokratka zawróciła. Nie widziała nikogo, lecz głos wydawał się prawdziwy.

– *Pani...*

Zwróciła się w lewo.

Stał tam, wpatrzony w nią, na wpół skryty w ciemnościach, Polth. Mimo straszliwego losu, jaki go spotkał, wyglądał tak jak przed śmiercią. Był jedynie nieco poblady i jakby wydrążony od wewnątrz.

– Polth... To ty? - spytała Salene, wyciągając niepewnie rękę. Jego głowa pochyliła się ku niej i choć nie poruszał ustami, znów usłyszała jego głos:

– *Żyję... by ci służyć, pani.*

Mimo ironii zawartej w słowach ton głosu nie brzmiał drwiąco. Spoglądał na nią smutnym, ale i wyzywającym spojrzeniem.

– Polth, najdroższy Polth. - Salene podeszła ku niemu, lecz gdy padło nań podążające wraz z nią światło, zarys jego ciała zadrgał i rozmył się, on sam zaś wycofał się w cień. Lady Nesardo zrozumiała, że Polth nie może istnieć ani w ciemności, ani w świetle, jedynie na ich granicy. Zatrzymała się natychmiast.

– Co... Dlaczego tu jesteś? - spytała.

– *Żyję... by ci służyć, pani* - powtórzył wyciągając jedną rękę w stronę ciemnej krypty. - *Prawda... tam...*

– Co?... O czym ty mówisz?

– *Tam... Pani... Prawda... o Nesardo... i Jitanie...*

Jitan! Fakt, że duch jej wiernego sługi wspomniał nazwisko Aldrica Jitana, oznaczał, że Polth musiał odkryć coś naprawdę paskudnego.

Salene dobrze wiedziała, co o jej decyzji powiedzieliby Sardak i Zayl, poszła jednak we wskazanym przez zjawę kierunku. Nieustannie towarzyszyło jej magiczne światło, odkrywające swoim blaskiem kolejne części krypty.

Spodziewała się, że widmo wielkoluda zniknie, lecz ono jedynie falowało i załamywało się w miejscach, gdzie stykało się z kręgiem światła. Martwy ochroniarz stale znajdował się w tej samej odległości po jej lewej stronie. Arystokratka czuła się w jego obecności rażniej pomimo tego, czym był teraz.

Ku jej zaskoczeniu ciała zabitych potworów nadal leżały w miejscach, w których padły. Szczury, ucztujące na gnijących zwłokach, uniosły łby w

górze, gdy padło na nie błękitne światło. Mimo to większość z nich nie przerwała posiłku. Salene przyglądała się ciałom bardziej z ciekawością niż z odrazą. Spodziewała się, że znikną jak senne koszmary. To, że pozostały, wzmagало jej poczucie zagrożenia, lecz nadawało niebezpieczeństwu bardziej ziemskiego wymiaru. Te stwory zginęły tak, jak zginęliby ludzie.

Tak, jak zginął Polth...

Pomyślała o tym dokładnie w chwili, gdy mijała miejsce jego śmierci. Na szczęście nie było tam nic. Czar nekromanty zadziałał bardzo dokładnie.

– Polth, czy kiedykolwiek wybaczysz... - Spojrzała na zjawę pełnym uczucia wzrokiem.

Polth uciszył ją skinieniem głowy i wskazał ręką przed siebie. Wiadomość była jasna. Duch chciał, by szła dalej bez oglądania się na cokolwiek. Jego własna śmierć była teraz mniej istotna.

Minęła grób Riordana i groby swoich rodziców. Wkrótce nazwiska widniejące na mijanych sarkofagach poznawała jedynie z mglistych wspomnień. Większości nie znała wcale. Literactwo na płytach stawało się coraz bardziej archaiczne, a same grobowce coraz częściej poznaczone były pęknięciami.

Wreszcie dotarła do końca ogromnej krypty... I do kolejnych starożytnych schodów.

– Tam? - spytała wskazując wiodące na niższy poziom stopnie.

Polth odpowiedział wskazując palcem schody. Najwyraźniej mówienie przychodziło mu z trudem. Po policzku Salene spłynęła łza. Słyszała wcześniej historie o duchach dokonujących wspaniałych rzeczy dla tych, na których im zależało za życia. Nigdy jednak nie przypuszczała, że sama przeżyje coś podobnego.

– Modlę się, byś po tym wszystkim mógł odpocząć w pokoju -cicho powiedziała swemu towarzyszowi.

Polth ani drgnął. Nadal wskazywał na schody.

Nesardo zeszła wraz ze swym nieodłącznym magicznym światełkiem, oświetlającym jej drogę. Kiedy znalazła się na niższym poziomie, owionęło ją gęste, wilgotne powietrze. Zakaszła, lecz nie zatrzymała się.

Ten poziom krypty nie był jej całkiem nieznany. Chowano tu służących, którzy wykazali się wyjątkową lojalnością i oddaniem wobec rodu Nesardo. Znajdujące się tu groby nie były tak wyszukane jak grobowce członków rodu, niemniej pochówek w tym miejscu oznaczał honorowe wyróżnienie. W każdym pokoleniu zaszczyt ten spotykał tylko kilka wybranych osób. Salene miała nadzieję, że także i Polth znajdzie tu miejsce ostatniego spoczynku. Niestety, nie pozostały po nim żadne nadające się do pochówku szczątki.

Jednak widmo ochroniarza nie wydawało się poruszone stratą należnego zaszczytu. Gdy arystokratka spojrzała nań po raz kolejny, duch nadal wskazywał nagleco wzdłuż korytarza.

Wiele spośród starszych grobów pokrywał mech. Na niektórych nie można już było odczytać nazwisk pochowanych. Idąc korytarzem, Salene zaczęła się zastanawiać, czy grzebiąc tu Poltha, rzeczywiście uhonorowałyby jego zasługi. Niższy poziom krypty wymagał przebudowy i gruntownego wysprzątania już wtedy, gdy odziedziczyła dom.

Wówczas wędrujące z nią światełko ukazało coś, co sprawiło, że zwątpiła w sens swojej wyprawy.

Pozostała część sali była zasypana gruzem. Strop musiał się zapaść już dawno temu. Nie polepszało to jednak sytuacji. W zwałach ziemi i skał widniały fragmenty rzeźbionych kamieni oraz kości. Ze szczytu kamiennego zawałiska wystawała płyta. Salene rozpoznała w niej element posadzki, którą wyłożono górny poziom krypty.

Pamiętała, rzecz jasna, rodzinne dzieje. Nesardo musieli poświęcić wiele lat, by odbudować tę część swej rezydencji po trzęsieniu ziemi. Prace koncentrowały się jednak na samym domu i dwóch najistotniejszych dla rodu poziomach krypty. Najwyraźniej nikomu nie spieszyło się do odbudowy jej starszej części. Mówiono wręcz, że dla niektórych trzęsienie stanowiło błogosławieństwo.

Dlaczego zatem widmo ją tu przyprowadziło? Gzy Polth spodziewał się, że będzie potrafiła przelecieć przez zagradzające korytarz skały?

Kobieta przypomniała sobie o swym darze. Nie wiedziała jednak, czy czuje się na tyle pewnie, aby użyć go właśnie tu i teraz. Spojrzała na martwego towarzysza, lecz on stał bez ruchu, jakby w oczekiwaniu.

Tylko magia mogła jej pozwolić na dalszą wędrówkę. Tyle że początkująca czarodziejka nie miała pojęcia, jak zabrać się do czarowania. Wszystkie jej poprzednie zaklęcia wychodziły nieświadomie, w reakcji na potencjalne lub bliskie niebezpieczeństwo.

Stała wpatrzona w olbrzymią stertę gruzu. Być może powinna zacząć od czegoś prostego, jak poruszenie kilku małych kamieni. Gdyby to się udało, spróbowałaby czaru o większej mocy...

Przygotowała się i podeszła bliżej do przeszkody.

– *Nie...*

Duch ostrzegł jednak zbyt późno. Gruz osunął się spod jej stóp, odsłaniając ziejącą, czarną otchłań. Salene desperacko próbowała chwycić się czegokolwiek w zasięgu ramion. Lecz wszystko dookoła spadało wraz z nią. Krzycząc zniknęła w ciemnościach.

TRZYNAŚCIE



Zayl czekał w pogotowiu, w pewnej odległości od wendigo, starając się odgadnąć myśli stworzenia. Ani on, ani bestia nie wykonali żadnego ruchu od chwili, gdy leśny olbrzym wyciągnął swe łapy nie po to, by rozszarpać człowieka, lecz by prosić o jego pomoc.

Pragmatyzm, dominująca cecha w charakterze Zayla, nakazywał pozostawienie wendigo jego własnemu przeznaczeniu. Było to przecież przeklęte stworzenie. Potwór żywiący się ludzkim mięsem. Wendigo było po prostu jednym ze sług Mrocznej Trójcy i niczym więcej. Nie było dla niego odkupienia.

Inna część duszy Zayla, bardziej wrażliwa, rozbudzona ostatnio z długiego snu, mówiła mu jednak, że przecież wendigo nie zachowywało się tak, jak można by się tego spodziewać po krwiożerczym monstrum. Rathmita przypominał sobie starożytne podania, opowiadające o czasach, kiedy to wendigo i jego pobratymcy stanowili spokojne, skryte, żyjące w rozproszeniu w górach i lasach plemię.

Nekromanta przyglądał się niedawnemu prześladowcy przez ponad godzinę. Potem wstał i zbliżył się do rannego giganta. Umięśnione łapy, bez trudu mogące rozerwać go na krwawe strzępy, nawet nie drgnęły, gdy znalazł się w ich zasięgu. Zayl pochylił się i delikatnie dotknął jednej z nich, po czym ostrożnie obrócił ją wnętrzem dłoni ku górze. Rathmita powiedział coś szeptem.

W odpowiedzi wendigo kilka razy zamruczało. Zayl nie wiedział, co stworzenie próbowało mu powiedzieć, lecz ufny ton jego głosu sugerował pokojowe nastawienie.

W ciemności zawsze kryje się światło, a ciemności zawsze kryją się w świetle. Tego nauczał Rathma. Zayl miał nadzieję, że starożytny mistrz się nie mylił.

Obejrzał nogę wendigo w miejscu, gdzie olbrzym ranny był najdotkliwiej. Najwyraźniej noga została złamana wskutek wybuchu i tylko prymitywna siła pozwoliła mu się wcześniej podnieść.

Jednak złamanie nogi nie tłumaczyło zmiany w zachowaniu pokrytego futrem giganta. Jedyne sensowne wyjaśnienie stanowiło to, że spowodowały ją wezwane przez Zayla moce, które sięgnęły na tyle głęboko w serce i duszę wendigo, że wyzwoliły je spod władzy Mrocznej Trójcy.

Mężczyzna ujął w ręce strzaskaną nogę olbrzyma, spoglądając po raz ostatni głęboko w oczy bestii. Uniósł brwi ze zdumienia. Zmiana, jaka w nich zaszła, była wyraźnie widoczna nawet mimo panujących ciemności. Wściekła czerwień źrenic i czająca się w nich furia zniknęły, a w ich miejsce pojawił się niemal ludzki żal.

To spojrzenie przeważało szalę. Nekromanta dotknął zranionego miejsca sztyletem. Drugą ręką nakreślił nad chorą kończyną magiczne symbole.

Wendigo wydało głośny pomruk i uniosło łapę do rannej nogi. Zayl spojrział na wielką pięść, lecz nie przerwał leczenia. Koncentrował się na zaklęciu.

Stworzenie wycofało ramię, pozwalając Zaylowi kontynuować.

Błady blask księżyca padł na kaleką kończynę. W tej samej chwili noga się wyprostowała, zaś rozerwana skóra zasklepiła. Blizny zmalowały, po czym znikły zupełnie. Odrośło nawet spalone futro.

Po skończonym zabiegu Rathmita odetchnął głęboko. Rzucenie zaklęcia nie trwało może długo, lecz kosztowało go wiele energii. Mimo to był zadowolony z rezultatów.

Nekromanta usłyszał głośny ryk i poczuł, jak jego ciało unosi się w powietrze.

Olbrzym dwukrotnie musnął swym wilgotnym nosem nos Zayla, po czym ryknął dłużej, w nieco bardziej wyrafinowany sposób, i odstawił człowieka z powrotem na ziemię.

– Proszę bardzo - odpowiedział Zayl, nie znajdując innych słów.

Gigant mruknął, najwyraźniej lepiej rozumiejąc język nekromanty niż on jego.

Nekromanta spodziewał się, że bestia umknie w las, lecz ta wydała z siebie serię pomruków, wskazując gdzieś poza Zayla. Człowiekowi wydało się z początku, że olbrzym chce go ostrzec przed kolejnym zbliżającym się niebezpieczeństwem, ale po chwili dotarło do niego, że wendigo wskazuje kierunek, w którym leżała Marchia Zachodnia.

– Tak, muszę się tam dostać - powiedział.

Deszcz trochę zelżał. Zayl musiał iść dalej, choć nawet to, czego nauczył się przez lata szkolenia, nie pozwalało mu już ignorować ogromnego wyczerpania i bólu. Gdy ruszył, wendigo poszło za nim.

– Nie musisz za mną iść - rzekł nekromanta, oglądając się za siebie.

Stworzenie odpowiedziało kolejną serią pomruków i ryków. Niektóre z nich brzmiały niemal wytwórnie. Pomimo że mag nie rozumiał słów giganta, ich znaczenie stało się jasne. Wendigo nie miało zamiaru zostawiać Zayla samego.

– Nie jesteś mi nic winien. Możesz wracać do lasu.

Olbrzymi towarzysz nadal nie zniechęcał się ani trochę.

Zayl zmarszczył brwi, po czym zrezygnował wobec nieuniknionego, odwrócił się plecami do wendigo i poszedł dalej. Słyszał za sobą niemal bezszelestne kroki ogromnych stóp. W porównaniu z chodem owej istoty jego własne kroki dudniły jak grzmoty.

Podróż wyczerpała Rathmitę, lecz teraz, w towarzystwie wendigo, wracała mu pewność siebie. Kiedy wreszcie w oddali zamajaczyły mury miasta, odetchnął z ulgą, nie przejmując się tym, że mieszkańcy Marchii pragnęli jego głowy niemal tak zajadle jak niegdyś demony z Ureh.

– Chwała Trag'Oulowi - odezwał się Zayl, odwracając się do swego towarzysza. - Te...

Wendigo jednak zniknęło bez śladu.

Nekromanta uważnie rozejrzał się po otaczającym go lesie. Nic nie świadczyło, że kiedykolwiek podróżował w towarzystwie legendarnego leśnego olbrzyma. Zayl nie mógł wyjść z podziwu nad sprytem wendigo i jego umiejętnością skrytego poruszania się. Biorąc to pod uwagę, mężczyzna uznał, że cudem tylko wyszedł cało z jego pierwszego ataku.

Kiedy tylko na horyzoncie pojawiła się stolica Marchii, stworzenie słusznie stwierdziło, że spłaciło swój dług wobec nekromanty. Zayl nakreślił ręką znak Równowagi, życząc mieszkańcowi lasów bezpiecznego powrotu do legowiska. Rathmita wiedział, że uczynił z tego wendigo odmieńca. Inne nadal pozostawały przecież pod wpływem Mrocznej Trójcy. To, co zrobił, wcale nie oznaczało dla olbrzyma błogosławieństwa. Samotne wendigo do końca życia będzie musiało walczyć z pobratymcami.

Pomimo tego bestia odczuwała wdzięczność za to, że wyzwolił ją spod wpływów złych mocy. Nekromanta był pewien, że w odwrotnej sytuacji poczułby to samo.

Niebo lekko pojaśniało. Była to jedyna oznaka nadciągającego dnia. Pogoda nadal prezentowała się paskudnie. Nekromanta czuł, że przyczynę

tak fatalnej aury stanowi gromadząca się dookoła miasta i wewnątrz niego magia. Być może stali za tym lord Jitan i... i...

W tej chwili, gdy patrzył na miasto, na powierzchnię jego umysłu wypłynęło imię „Karybdus”.

Tyle że tym razem pamiętał je dobrze.

Przypomniał sobie wszystko i przystanął, szeroko otwierając oczy z przerażenia.



Salene stanęła niepewnie na nogi. Spadała bardzo długo. Znajdowała się z pewnością znacznie niżej trzeciego poziomu krypty, do którego jak sądziła, chciał ją doprowadzić Polth. Nie mogła ocenić dokładnie, ale wydawało jej się, że spada o co najmniej trzy lub cztery poziomy głębiej.

Wiedziała, że gdyby nie jej nieprzewidywalny magiczny dar zginęłaby z pewnością. Skały, na których leżała, były ostre, postrzępione. Cudem tylko wyszła z upadku, mając jedynie kilka siniaków. Wszędzie wokół leżał gruz i odłamki skał. Błękitne światełko towarzyszyło Salene nadal, lecz jego zasięg był teraz mocno ograniczony. Oświetlało niemal wyłącznie jej najbliższe otoczenie.

Nie widziała też Poltha. Mimo wszystko nie uważała, że widmo wciągnęło ją w pułapkę. Duch ochroniarza musiał przewidzieć, że ta sama magia, która uchroniła ją przed potworami w krypcie, uchroni ją od śmierci i teraz.

Lady Nesardo żałowała, że sama nie jest tak pewna siebie.

Poszła naprzód, z nieodłącznym światełkiem przy boku. Po raz pierwszy rozdrażniło ją swoim niewielkim zasięgiem. Gdyby świeciło mocniej, być

może dostrzegłaby w porę, że wchodzi na niestabilne podłoże. Z pewnością oszczędziłoby jej to wielu zmartwień.

Skoncentrowała wzrok na magicznym świetle. Chciała więcej. Pragnęła mieć światło zdolne rozjaśnić wszystko to, co znajdowało się przed nią, tak żeby nie wydarzył się już żaden wypadek.

Światelko posłuchało. Urosło kilkukrotnie, rzucając na otoczenie tak silny blask, że Salene musiała w pierwszej chwili zasłonić oczy dłońmi, aby nie oślepnąć.

Kiedy w końcu odważyła się znów spojrzeć przed siebie, zobaczyła coś, co sprawiło, że cofnęła się w przestרחu.

Wąski korytarz, w którym się znajdowała, kończył się dwa jardy przed nią. Gdyby postąpiła choć krok dalej, dowiedziałaby się o tym nawet bez pomocy magicznego światła.

Tyle że wtedy nie zobaczyłaby nawet dziesiątej części tego, co widziała teraz.

Sala rozciągała się w dół i dookoła na kształt olbrzymiej miski. W niecce znajdował się wielki amfiteatr, zdolny pomieścić bez specjalnego problemu setki widzów. Mimo że budowla wyraźnie należała do niezwykle starych, zachowała się świetnie. Jedyne ślady niszczycielskiej działalności czasu były pokrywające wszystko warstwy kurzu, kilka spękanych ławek i dach, który zarwał się nad jedną z części amfiteatru, niszcząc dwa rzędy siedzeń po jej prawej stronie.

Starożytna scena była zdumiewająca. O wiele bardziej zaskakujący widok stanowiło to, co Salene ujrzała po jej drugiej stronie. Ze ściany jaskini na złotej pajęczynie zwisał pająk. Jego ogromny korpus wykonano ze złowieszczo połyskującego, czarnego jadeitu. Każda z wygiętych wieloma stawami nóg zakończona była rubinowym pazurem. Głowa, w której zamiast oczu widniało osiem wielkich diamentów, dorównywała

rozmiarami Salene. Arystokratka szybko odwróciła od nich wzrok. Wyglądały tak, jakby pająk przyglądał jej się drapieżnym, głodnym spojrzeniem. Obrazu całości dopełniała para złotych kłów, zakończonych dwoma szkarłatnymi rubinami.

Przed oczyma stanęło jej żywe wspomnienie potworów z krypty. Rozejrzała się szybko dookoła. Nigdzie nie było śladu napastników, lecz Salene poczuła, że bardzo chce znaleźć się we własnym domu. Lepiej stawić czoła dobremu kapitanowi Mattheusowi, niż zostać tu choć przez chwilę dłużej.

Na przekór tym myślom kobieta, sama nie pojmując dlaczego, postąpiła krok w kierunku amfiteatru. Jej rozsądek krzyczał, żeby zawróciła i uciekała, lecz wielki pająk przyciągał ją ku sobie pomimo całej swej ohydy i przerażającego wyglądu.

Jej stopa dotknęła kamiennej posadzki amfiteatru.

Wokół niej, nie wiadomo skąd, rozległy się szepty. Arystokratka zrobiła kolejny krok naprzód. Szepty odezwały się o ton głośniej. Brzmiały rytmicznie, jak piosenka lub jak rytualny śpiew.

Salene szła dalej i dalej ku pająkowi, jakby schwytna w jego sieć. Śpiew rozlegał się coraz głośniej. Miała wrażenie, że szepty odbijają się echem od ścian amfiteatru. Na ławkach zobaczyła, a może jej się tylko zdawało, ubranych w luźne szaty mężczyzn i kobiety. Wszyscy oni wpatrywali się, nie mrugającymi oczyma, z uwielbieniem, w olbrzymiego pająka. Zjawy klaskały w dłonie w rytm swej pieśni.

Gdy była w pół drogi na dół sceny, wreszcie usłyszała wyraźnie, co śpiewają. To nie było całe zdanie, jak wcześniej wydawało się Salene. To było pojedyncze słowo. Imię.

– *Astrogha...* - zawodziły zjawy – *Astrogha... Astrogha...*

– Astrogha - wyszeptała włączając się w chór. To imię wydało jej się znajome. Niegdyś znane równie dobrze jak własne, tylko zapomniane potem z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu.

– *Astrogha...* - ciągnął widmowy chór, jakby zachęcając ją, by szła dalej ku posągowi pająka. - *Astrogha...*

Salene znalazła się prawie na samym dnie niecki amfiteatru. Olbrzymi pająk wisiał teraz niemal wprost nad nią. Przed sobą zobaczyła ołtarz, którego płytę przecinały szkarłatne zblakłe linie niczym żyły ciała.

Nagle na ołtarzu pojawiła się zjawa leżącej kobiety o szeroko rozwartych, znarkotyzowanych oczach. Za nią stał wychudzony kapłan, odziany w szaty uformowane w kształt kojarzący się z pajęczym bogiem,

– *Astrogho... Astrogho...!* - zakrzyknął. - *Składamy ci dar, by otworzyć bramę, przez którą ku nam powrócisz.*

Z zakamarków obszernego płaszcza wydobył paskudnie wyglądające ostrze.

Śpiew osiągnął crescendo.

W amfiteatrze rozległ się krzyk.

Uwięziona pomiędzy przeszłością i teraźniejszością Salene odwróciła się w stronę, z której dobiegał.

Zakuci w zbroję rycerze, będący zjawami tak samo jak ubrani w powłóczyste szaty widzowie, wpadli pomiędzy zebranych. Tych, którzy stanęli im na drodze, siekli mieczami lub zabijali z łuków. Nie okazywali litości.

– *Synowie Rakkisa!* - wrzeszczały rozpaczliwie zjawy. – *Dopadli nas Synowie Rakkisa!*

– *Dokończyć ceremonię!* - Usłyszała od strony ołtarza. Gdy ponownie tam spojrzała, ujrzała dwie nowe postacie. Kobietę i krępego mężczyznę.

To on właśnie mówił. – *Dokończyć ceremonię, nim pojawią się ci przekłęci Vizjerei!*

Kapłan, który wciąż trzymał w ręku nóż, pokręcił przecząco głową.

– Nie! Księżyc już prawie zaszedł. Czas minął - powiedział i przekazał coś kobiecie. Salene nie widziała dokładnie, co. Okrągły przedmiot.

– Weź - ciągnął kapłan. - Musimy to przechować do chwili, gdy znów nadejdzie czas...

– Ale dokąd mam to zabrać? - spytała kobieta.

– *Dokądkolwiek Na kraniec świata, jeśli będzie trzeba* - zacharował kapłan. Tymczasem w amfiteatrze dawno zmarli rycerze po raz kolejny zabijali tych, których kości już dawno obróciły się w pył. *-I na tak długo, dopóki ci, którzy chcą nam przeszkodzić, będą pamiętać, kiedy i gdzie będzie nam znów potrzebny.*

– *A krew?* - zapytał stojący obok kapłana mężczyzna, wskazując leżącą na ołtarzu kobietę. - *Gdzie znajdziemy inną z jej rodu? To tak samo ważne jak data i faza księżyca!*

Główny kapłan uśmiechnął się ponuro.

– *Sam Rakkis, chcąc założyć dynastię, zapewnił nam jej wiele.* - Celując palcem w kobietę, dodał - *co do niej, to znajdą się inne o właściwej krwi. A teraz idźcie! Prędko! Czuję zbliżających się Vizjerei!*

Kapłanka skinęła; wraz z tym mężczyzną odwrócili się od ołtarza, po czym oboje znikli w pomroce dziejów.

Uzbrojony w sztylet kapłan pochylił się z okrutnym wyrazem twarzy nad ofiarą. Właściwy moment na oddanie jej bóstwu już minął, lecz to nie przeszkadzało mu w zabiciu kobiety dla własnej rozkoszy.

Przeszkodził mu jednak bełt, który nagle przeszył mu krtań.

Sztylet wypadł kapłanowi z dłoni. Martwe ciało opadło na leżącą na ołtarzu dziewczynę. Niedoszła ofiara wreszcie drgnęła. Z jej ust wydobył

się jęk. Spojrzenie nabrało wyrazu. Odwracając głowę, spojrzała wprost na Salene.

Miała jej oczy.

Amfiteatr zamarł.

Salene boleśnie jęknęła i opadła na jedno kolano. Krzyki mordowanych odpłynęły w dal.

Arystokratka potrzebowała około minuty, żeby powrócić do rzeczywistości. Powoli wstała i rozejrzała się wokół siebie. Miejsce wyglądało tak jak przed chwilą, nim się tu znalazła. Kurz, spękane ławy i nic więcej. Znikły gdzieś leżące na posadzce ciała wyznawców pajęczego boga. Zniknęli też gdzieś zbrojni rycerze, którzy chwilę temu wpadali do sali przez to, co teraz było jedynie zawalonym gruzem korytarzem. Wszyscy oni powrócili do przeszłości. Tam było ich miejsce. Salene spojrzała na ołtarz. Nie było już na nim kobiety o jej oczach. Tak samo jak pozostali, była jedynie zapomnianym cieniem. Wstrząśnięta Nesardo zebrała całą swą odwagę i dotknęła jednej ze szkarłatnych żył na płycie ołtarza. Teraz rozumiała, że to ślady krwi pomordowanych ofiar.

– To straszne - wyszeptała. - Straszne.

– Niekiedy doraźne okrucieństwa służą najwyższemu dobru - odpowiedział ktoś nieoczekiwanie.

Odwróciła się błyskawicznie i ujrzała zakapturzoną, zakutą w zbroję postać. Czarne szaty, blada i wychudzona twarz mężczyzny przypomniały jej trochę Zayla.

– Widzisz umarłych niemal tak samo dobrze jak my - beznamiętnym tonem ciągnął owinięty w płaszcz człowiek. - Być może, dzięki temu, co w sobie nosisz, widzisz ich nawet lepiej niż my.

– Kim... Kim jesteś? Wyglądasz jak... jak... - Salene zamilkła.

– Jak Zayl? - Mężczyzna uśmiechnął się upiornie. - To dlatego, że tak samo jak on jestem wyznawcą Rathmy Błogosławionego... Nekromantą, jeśli wolisz. - Odziany w czerń czarownik uklonił się lekko. - Mam na imię Karybdus.

Kobieta zbladła. Odwróciła się gwałtownie od Karybdusa i niemal zderzyła z potwornym stworzeniem, zwisającym z wielkiego, wysadzanego klejnotami pająka.

To także był pająk. Żywy i duży jak ludzkie dziecko. Pluł w jej stronę jadem, dziko poruszając szczękami, jakby próbując wgryźć się w jej twarz. Ohydne, obłe ciało porastało szorstkie futro. Nad nieustannie drgającymi szczękami widniało osiem złowrogich źrenic. Wszystkie wpatrywały się w oszołomioną widokiem arystokratkę.

Salene cofnęła się i wpadła na nekromantę.

Karybdus chwycił ją za nadgarstki i przyciągnął mocno do siebie. Jego siwe, krótko ostrzyżone włosy i twarz naukowca przypominały Salene niektórych wychowawców, którzy uczyli ją, gdy była dzieckiem. Tym bardziej przeraziły ją jego słowa.

– Spokojnie. Spokojnie, lady Nesardo. Nie wolno się bać mojego maleństwa. Skaro jest posłuszny mojej woli, a zapowiedziałem mu, że tobie włos nie może spaść z głowy... Przynajmniej do czasu.

– Puść mnie!

– Zaprawdę powiada Rathma: Równowaga sprzyja cierpliwym. Przybyłem tu, by odnaleźć mały, choć ważny dla naszych celów przedmiot. Sztylet. Tymczasem znajduję tu ciebie, niecierpliwie oczekującą swego przeznaczenia na ołtarzu.

Zacisnęła zęby i spróbowała użyć swej mocy. Jeśli kiedykolwiek jej dar był naprawdę potrzebny, to właśnie teraz.

Magiczne światełko rozbłysło jak słońce. Mężczyzna zawył i zasłonił oczy jedną ręką.

Salene wyrwała się i pobiegła w jedynym możliwym kierunku. Oddalała się od wejścia do amfiteatru, lecz to nie miało znaczenia. Wiedziała, że musi znaleźć się jak najdalej od nekromanty.

Karybdus wyszeptał kilka słów.

Pod jej stopami zatrzęsa się ziemia. Krzyknęła na widok otwierających się dookoła szczelin, z których wyrosły kości. Dawno pogrzebane kości. Czaszki, żebra, kości udowe, łopatki. Całe i potrzaskane, wzleciały ku górze i wirowały wokół niej niczym tornado.

Spróbowała się wyrwać, lecz wirująca ściana poruszała się wraz z nią. Odpychała ją, lecz kości natychmiast wracały na swoje miejsce.

Wtedy niektóre opadły na ziemię. Inne wylądowały na poprzednich, tworząc zwarte, pionowe struktury.

Przed arystokratką powstał mur z ludzkich szczątków. Odwróciła się, ale za nią działo się to samo. Ściana z kości otoczyła ją z każdej strony.

Klatka była dużo wyższa od Salene. Na szczycie wylądowało kilka ostatnich kości, tworząc zadaszanie sprawiające, że ofiara nie mogła się wydostać z potrzasku.

Uderzyła pięścią. Poza nagłym bólem ręki nic to jednak nie dało, choć gdy trafiła w ścianę, wokół jej pięści wybuchły błękitne płomienie.

Dźwięk spokojnych, wyważonych kroków ostrzegł ją o zbliżającym się Karybdusie. Salene zwróciła się ku niemu. Nekromanta nie wydawał się poruszony jej zachowaniem. Wyglądał nawet na zadowolonego.

– W twoich żyłach naprawdę płynie odpowiednia krew. Przeczuwałem to od samego początku. Otworzysz przejście.

– O czym ty mówisz? Dlaczego mi to robisz?

Uciszył ją, jak ucisza się hałaśliwe dziecko.

– Pamiętaj, że to, co robię, robię dla zachowania Równowagi, a więc dla dobra całego świata.

Zza jego pleców wypełził mu na ramię potworny pajak. Ohydne stworzenie przeszło po jego ramieniu i usiadło w zgięciu łokcia.

Karybdus spojrział na pupila. Na jego twarzy wreszcie pojawił się ślad uczucia. Głaskał pajaka po grzbiecie i mówił do niego jak do małego dziecka.

Gdy spojrział ponownie na Salene, czułość opuściła jego oblicze.

– Muszę prosić cię, byś wybaczyła mi to, co za chwilę zrobię. To pewna odmiana tego, co nazywamy Wysysaniem Życia. Jest to konieczne dla powstrzymania cię przed realizacją kolejnych głupich pomysłów.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, nekromanta sięgnął wolną ręką do wnętrza kościanej klatki. Skryta w rękawicy dłoń dotknęła ją tuż nad mostkiem.

Salene poczuła się bardzo słabo. Czuła, jak nekromanta dotykiem wysysa z niej wszystkie siły. Szarpnęła się do tyłu, lecz było już za późno. Traciła przytomność.

Padając na ziemię, słyszała bezosobowy głos Karybdusa:

– Bardzo mi przykro. Naprawdę bardzo.

CZTERNAŚCIE



Generał Torion ciężko sapnął.

Czyjeś silne ramiona pochwyciły upadającą dowódcę.

– Generale! Jak się pan czuje? Czy mnie pan słyszy? - huknął donośnie znajomy głos kapitana Aleca Mattheusa.

– Słyszę! Możesz już mi nie krzyczeć do ucha. - Torion poczuł, że traci resztki sił w nogach. - Krzesło! Szybko!

Przedsiębiorczy adiutant przygotował mebel zawczasu. Przydał się. Generał opadł na krzesło natychmiast.

Torion zbierał siły. Kapitan Mattheus przyklęknął obok swego przełożonego, podając mu kielich ulubionego wina. Generał z wdzięcznością przyjął napój i niemal osuszył naczynie pierwszym potężnym haustem.

– Generale... Co się tu stało? - zapytał Mattheus.

Torion pomyślał chwilę.

– Nekromanta. To jego robota - odpowiedział wreszcie.

– On tu był? Żaden ze strażników nie widział nikogo wchodzącego ani wychodzącego. Poza lady Nesardo...

– I co? Myślisz może, że ona to zrobiła? Powtórzysz mi to prosto w oczy?

– Nie, generale. - Kapitan Mattheus wyglądał na zmartwionego. - Właśnie od niej wracam. Przeszukanie trwa, choć z tego, co zdążyłem

zobaczyć, jest mało prawdopodobne, żeby ten Zayl się tam ukrywał. Chyba, że jest w krypcie.

– I wróciłeś po nakaz jej przeszukania? - Przełożony zmarszczył brwi.

– Biorąc wszystko pod uwagę... i to, że powinniśmy dołożyć wszelkich starań... Tak jest!

Rozważając prośbę kapitana, generał zaczerpnął kolejny łyk wina.

– Nie. Nie sądzę, by to było konieczne - rzekł po chwili. - Jak już powiedziałem, to sprawka nekromanty. Najwyraźniej wdarł się tu i porwał lady Nesardo. Z pewnością więc nie ukrywa się u niej.

Głos generała nabrał mocy. W jego spojrzeniu pojawił się mroczny błysk.

– Posłuchaj, co zrobimy, Alec. Chcę, żeby szukały go wszystkie patrole w mieście. Nie można go nie zauważyć. Jest charakterystycznie ubrany. Mimo to napiszę jego rysopis. Będiesz mógł go przekazać naszym ludziom. Może poruszać się wraz z kobietą. Czy jej brat był w rezydencji?

Alec Mattheus skrzywił się lekko.

– Tak jest. Był tam. Trudno sobie wyobrazić, żeby ci dwaj działali razem...

– Nieważne. Skoro Sardak był w domu, nie znajdziemy go z nekromantą. Niemniej nakaz żołnierzom, by w miarę możliwości nie skrzywdzili lady Nesardo ani nikogo innego, kogo znajdą w towarzystwie tego łotra. Nie chcę, żeby ktokolwiek niewinny ucierpiał. Zrozumiano?

– Dopilnuję jej bezpieczeństwa. Obiecuję. - Adiutant skinął głową.

– Bardzo dobrze. - Torion czuł, że odzyskuje siły. - Pomóż mi podejść do biurka.

Kapitan pomógł. Generał wziął z blatu kawałek pergaminu i gęsie pióro. Szybko spisał to, co zapamiętał z wyglądu Zayla. Wojskowy uważał się za człowieka o doskonałej pamięci. Szczegółowy rysopis nekromanty potwierdzał tę opinię.

– Masz. To powinno wam pomóc. - Gdy młody żołnierz czytał rysopis, generał dorzucił - znajdź go, zanim zrobi to Kościół.

– Odnajdę go szybko, generale.

– Alec, jeśli nekromanta zginie podczas próby zatrzymania, nie będę robił z tego sprawy - mruknął Torion.

– Myślę, że powinienem zająć się tym natychmiast - oświadczył adiutant z niezmiennym wyrazem twarzy, czytając ponownie rysopis.

– Tak jest - powiedział Torion i z ponurym uśmiechem odprowadził wzrokiem kapitana. Mattheus poradzi sobie z cmentarnym złodziejem. Na Salene nie spadnie nawet cień podejrzenia. Wszystko się ułoży, a ona w końcu zrozumie, że to on jest jej przeznaczony.

Do gabinetu generała Toriona wpadł jak burza strażnik.

– Generale! On tu jest!

W pierwszej chwili generał pomyślał, że Zayl okazał się na tyle szalony, żeby dobrowolnie oddać się w jego ręce. Po chwili jednak pomyślał, że aż takim głupcem to nekromanta nie jest.

– Kto? Kto tu jest? - zapytał Torion, wstając zza biurka.

– Król Justynian! Bez straży! Bez zapowiedzi!

Wojskowy szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Co prawda, w zachowaniu króla zaszły pozytywne zmiany, lecz to już nie była odwaga i pewność siebie, tylko zwykła próba samobójstwa. Zdarzało się dawniej, że Cornelius przemierzał miasto samotnie i czasem nawet odwiedzał Toriona, niemniej jego następcą nie powinien tego robić tak wcześnie. Dopóki nie odbyła się planowana demonstracja siły, mająca dobitnie pokazać, jak mocna jest pozycja nowego władcy, stale wisiała nad nim groźba zamachu ze strony tych, którzy mieli chrapkę na tron Marchii.

Generał odłożył te zmartwienia na później. Królewska wizyta była teraz istotniejsza.

– Gdzie jest król? Przygotować odpowiednie przyjęcie! Chcę...

– Tylko bez zbędnej pompy, generale - przerwał mu łagodny głos.

Generał Torion zerwał się z miejsca i stanął na baczność.

– Wasza wysokość! To nieoczekiwana i... i...

– I kłopotliwa wizyta. Wiem, wiem. - Justynian uniósł rękę, żeby nie dać oficerowi okazji do zaprzeczenia.

Młody król ubrany był w strój do konnej jazdy - o takim samym kroju jak szaty, w których Torion widział go poprzednio, z tym że teraz miał na sobie rozszerzane w biodrach spodnie, zaś na ramiona zarzucił złoty płaszcz. Torion pomyślał, że tak odziany król stanowi wspaniały cel dla każdego, kto chciałby jego śmierci.

– Nie zaprzeczaj, proszę. Mam wrażenie, że chcesz mi powiedzieć, że przybycie tu w ten sposób, samemu, było mocno nierozważne.

– Wasza wysokość! Nigdy nie odważyłbym się na takie słowa! Król Marchii Zachodniej uśmiechnął się promiennie.

– A przynajmniej nie ostatnio, prawda? Spokojnie, Torionie. Będziesz musiał przyzwyczać się do jeszcze kilku zmian, jakie we mnie zaszły. W końcu, jeśli mam wytrwać na tronie po oficjalnej koronacji, a nawet do niej, jeżeli wiesz, o czym mówię, to muszę starać się zachowywać bardziej jak mój ojciec.

Jeśli zaczniesz się jeszcze bardziej zachowywać jak własny ojciec, to wkrótce stanie się Corneliusem! - pomyślał Torion. Co zresztą nie byłoby najgorsze, o ile przetrwałby pierwszy rok rządów.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt wasza... - zaczął generał, próbując pozbierać myśli.

– Proszę, nie nazywaj mnie „waszą wysokością”. Mów mi Justynian. Pamiętam, że ojciec także był z tobą po imieniu.

Przywyknięcie do tego zajęło wojskowemu kilka dobrych lat, jednak zmilczał ten fakt.

– Tak jest. Tak właśnie było.

– Więc, proszę, zwracaj się do mnie po imieniu. Ufam ci tak samo, jak ufał ci mój ojciec - uśmiechnął się król.

Torion ukłonił się z wdzięcznością.

– Torionie, przyszedłem tu, bo jest coś, o czym chciałbym z tobą pomówić. Czy moglibyśmy zostać sami? - Justynian spojrzął na oszołomionego strażnika.

On nawet mówi jak Cornelius - pomyślał generał.

– Tak, wasza... Tak, Justynianie.

– Odeślij strażę sprzed gabinetu, a sam wracaj na posterunek -rozkazał generał żołnierzowi. - Niech nikt się tu nawet nie zbliża bez wyraźnego wezwania. Zrozumiano?

– Tak jest, generale!

– Możesz zatem odejść... i zamknij za sobą drzwi.

Gdy zostali sami, generał Torion uświadomił sobie poniewczasie, że nie poprosił gościa, by usiadł. Wyszedł zza biurka i podsunął monarsze swój własny fotel.

– Proszę, Justynianie, nalegam.

– Nie zajmę ci zbyt wiele czasu, ale dziękuję. - Król uśmiechnął się znowu uśmiechem, który generałowi wydał się kopią grymasu dawnego władcy. Justynian usiadł głęboko w luksusowym fotelu z wysokim oparciem, wykonanym na osobiste zlecenie Toriona.

– Bardzo wygodne... Teraz rozumiem, dlaczego bycie głównodowodzącym armii jest dobrym zajęciem.

– Twój nieodżałowany ojciec był dla mnie bardzo hojny. Jeśli uważasz, że za bardzo, to ja...

– Wielkie nieba! Nie! Nie wyobrażam sobie bardziej odpowiedniego człowieka na twoim stanowisku. Wiem, że twoja lojalność i oddanie wobec mnie nie mają sobie równych, a w takich chwilach, jak teraz, ma to dla mnie szczególne znaczenie.

– Jesteś nazbyt uprzejmy. - Starszy mężczyzna ponownie skłonił się władcy.

Justynian nagle spojrział w bok, dokładnie tak jak wcześniej, w sali tronowej. Generał odczekał. Tym razem dziwactwo króla nie niepokoiło go już tak jak wcześniej. Po chwili młody monarcha ponownie spojrział na Toriona.

– Pozwól, Torionie, że przejdę do rzeczy. Słyszałem o pewnym obcokrajowcu. O niebezpiecznym przybyszu zza Bliźniaczych Mórz...

Generał starał się nie dać po sobie poznać, jak bardzo zaskoczyła go wiedza króla. Najwyraźniej jednak nie udało mu się, bo Justynian uśmiechnął się szerzej i dodał:

– Widzę, że wiesz, o kim mówię.

– Rozkazałem, by...

– Wiem też o awanturze w tawernie... i o pewnych drastycznych zajściach w jednej z twoich cel.

– Monarcha jest świetnie poinformowany. - Torion nie próbował już kryć zaskoczenia.

Justynian świdrował generała spojrzeniem. Jego oczy nie były już wodniste.

– Czy nie tak właśnie działał mój ojciec? Ufał ci, lecz korzystał także z innych źródeł informacji.

– To prawda, wasza wysokość. Rzeczywiście. Jest w mieście pewien nekromanta. Jasnoskóry, ciemnowłosa. Znany jedynie pod imieniem Zayl. Schwytano go po awanturze z udziałem ludzi Zakarum...

– ...którzy zdążyli już prosić mnie, bym wydał im tego Zayla. Zaraz po tym, jak uciekł. Zaskoczyli mnie tą prośbą, Torionie.

Generał poprawił kołnierzyk.

– Właśnie miałem cię o wszystkim poinformować, gdy sytuacja wymknęła się spod kontroli. Prawdę mówiąc, Justynianie, on zdołał uciec z jednej ze specjalnych cel, założonych przez twojego ojca właśnie po to, by trzymać tam takich jak on.

– Nie. Niezupełnie. - Młody król spojrział w bok, po czym wydał wargi i ciągnął: - To nekromanta. Oni używają innej magii niż Vizjerei. Cela powinna zostać obłożona zupełnie innymi zaklęciami. To jawne zaniedbanie. - Król gestem uciszył Toriona. - Ale to nieistotne. Nie winię cię za to.

– Tak czy inaczej, to moja wina.

– Zapomnijmy o tym. Jeśli czujesz, że mnie zawiodłeś, możesz to naprawić, chwytając go ponownie. I tym razem chciałbym, żeby przyprawiono tego Zayla prosto do mnie.

Generał wytrzeszczył oczy. Myśl o tym, że Justynian zmądrzał, właśnie się gdzieś ulotniła.

– To nie byłoby mądre. Swoimi ciemnymi mocami...

Następca tronu uderzył się w pierś. Coś zadźwięczało pod koszulą. Torion dopiero teraz zauważył czarny łańcuch na szyi nowego króla Marchii Zachodniej.

– Nie bój się. Jestem pod ochroną.

– Co... - zaczął generał, lecz król znów nie dał mu dojść do słowa.

– Jak idą przygotowania? - zapytał bez ostrzeżenia. - Spodziewam się, że wszystko już gotowe? Ludzie wycofani z murów, i tak dalej?

– Gotowe. Ostatni oddział zszedł z murów dziś rano.

– Mam nadzieję, że żołnierze wypoczywają? Chcę, żeby byli w dobrej formie, gdy będę ich potrzebować.

– Wedle rozkazu. W czasie pokazu będą w pełni sił. Ręczę za to głową. - Przytaknął skinieniem generała.

– Miejmy nadzieję, że taka poręka nie będzie konieczna - lekko zafrasował się Justynian i wstał z fotela. - W takim razie możemy już zająć się wyłącznie nekromantą. Dopilnuj, żeby go schwytano, Torionie. Od tego wszystko zależy. Dosłownie wszystko.

– Mamy z nim problem, to prawda, ale nie aż taki.

– Wystarczy, że mi go przyprowadzisz. - Następca tronu popatrzył generałowi w oczy, który nie mógł, pod wpływem jego zniewalającego spojrzenia, odpowiedzieć inaczej jak tylko skinieniem głowy.

Justynian rozpromienił się ponownie. Okrążył biurko i klepnął Toriona w plecy.

– Stary, dobry Torion! Wiem, że mogę na tobie polegać. Zawsze na ciebie liczyłem. Żegnaj!

Generał Torion szybko otworzył drzwi monarsze. Gdy król wyszedł, generał stał, nadal próbując przetrwać wszystko, co właśnie usłyszał.

W zasadzie ważne było jedynie to, że teraz Justynian był królem, a król zażyczył sobie, by sprowadzono do niego Zayla. Dopóki Salene nie była w to zamieszana, Torion nie widział w tym nic złego. Jeśli natomiast kapitan Mattheus zabije nekromantę podczas próby zatrzymania, Torion po prostu przeprosi króla. Król zrozumie z pewnością.

A jeżeli uda się schwytać Zayla żywcem, to Torion pierwszy zgłosi się na ochotnika jako jego kat. Generał ścisnął mocniej rękojeść miecza, wyobrażając sobie toczącą się głowę nekromanty.

Po jakimś czasie zrozumiałaby i Salene.



Karybdus.

Zayl przywarł płasko do muru, aby uniknąć spojrzenia strażnika. Myślał o tym, co wnosiły odzyskane niedawno wspomnienia. Karybdus. Postać legendarna nawet wśród prowadzących odludny tryb życia nekromantów. Jego wyczyny przedstawiano jako przykłady najdoskonalszej służby Równowadze, ścisłego przestrzegania ścieżki Trag'Oula i nauk samego Rathmy.

I to on właśnie, o mało co, nie zabił Zayła?

Cieężko w to uwierzyć, lecz fakty mówiły same za siebie.

Zayl czytał myśli Karybdusa, a Karybdus z pewnością poznał jego własne. Nigdy wcześniej się nie spotkali, przynajmniej młody czarnoksiężnik nic o tym nie wiedział, ale zdawał sobie sprawę, że starszy nekromanta też go rozpoznał. O niektórych wyczynach Zayła także było wśród nekromantów głośno. Nie przyszło mu jednak do głowy, że słyszał o nim nawet najszynniejszy członek zakonu.

Dość tego! - rozkazał sobie Zayl. Podziw dla przeszłych dokonań Karybdusa niemal przesłonił mu zagrożenie, jakim się teraz stał. Któż mógł lepiej wiedzieć, jak działa Zayl? Karybdus - sprzymierzeniec byłby wielce pomocny, lecz mieć Karybdusa za wroga... Ten scenariusz redukował szansę Zayła niemal do zera.

Wyjrzał ostrożnie zza rogu, obserwując ulicę wiodącą do domu Nesardo. Mimo że rezydencji pilnowali strażnicy, Rathmita wiedział, że nie będzie mieć problemów z dostaniem się do środka bez ściągania na siebie uwagi. Musiał się dowiedzieć, co działo się z Salene. Dopiero gdy upewni się, że ona jest bezpieczna, da radę skupić się na walce z tym, którego siły i umiejętności były tysiącrotnie większe niż jego własne.

Co mogło sprawić, że Karybdus tak bardzo oszedł od nauk Rathmy? Przez całe swoje życie stary nekromanta walczył z tyranami, czarnoksiężnikami i demonami. Poświęcał się na rzecz zachowania Równowagi. To właśnie Karybdus udoskonalił wiele z zaklęć, których uczył się potem Zayl i inni nekromanci. Nekromanci, z powodu niebezpiecznego trybu życia, często ginęli przedwcześnie. Tymczasem o Karybdusie mówiono, że ma ponad sto lat. Pragnienie ujrzenia świata w doskonałej Równowadze dodawało mu sił życiowych. Wielu, w tym i Zayl, wierzyło, że stary czarownik osiągnął perfekcję równą samemu Rathmie.

Musiał istnieć jakiś tragiczny powód tak radykalnej odmiany. Zaylowi przychodził do głowy tylko jeden. Karybdus miał do czynienia z wieloma nieprzyjaciółmi władającymi potężnymi mocami. Słyszał wiele historii o tym, że potrafił używać Wysysania Życia w sytuacjach, w których inni nekromanci nie mogli sobie tego nawet wyobrazić.

Stosowanie tego czaru zawsze jednak wiązało się z poważnym niebezpieczeństwem. Czarnoksiężnik ryzykował stosując go wobec swych wrogów, tak samo jak Zayl ryzykował podczas walki w krypcie. Być może nawet żaden z nieprzyjaciół Karybdusa nie przejął nad nim kontroli, lecz nagromadzone przez lata, małymi porcjami, zło mogło odcisnąć na nim swe piętno. Nawet nieświadomie mógł przeistoczyć się w to, przeciwko czemu całe życie walczył.

Ta myśl wstrząsnęła strażnikiem Równowagi, gdy w strugach deszczu obserwował dom Salene. Oznaczałoby to, że nekromanci powinni działać jeszcze ostrożniej niż dotychczas. Tylko niektórzy dysponowali tak silną wolą, jaką według opowieści miał Karybdus. Być może po starciu w krypcie wystarczyłaby tylko jeszcze jedna walka, by Zayl poddał się siłom ciemności.

Natychmiast odrzucił tę myśl i spojrzał na żołnierza przechadzającego się kilka jardów od domu. Zakuty w zbroję strażnik sprawiał wrażenie odbywającego rutynowy patrol. Stawiał jednak zbyt wyważone i ostrożne kroki. Cień był sprzymierzeńcem nekromantów. Rathmici potrafili skrywać się, wykorzystując cienie tak wąskie, że wydawałoby się, że nic nie może się w nich ukryć. Zayl wtopił się w ciemność. Nawet gdyby żołnierz spojrzał we właściwym kierunku, nie dostrzegłby teraz nekromanty.

Zayl wkroczył na teren posiadłości Nesardo, zanim jeszcze strażnik osiągnął połowę drogi powrotnej na swój posterunek. Zatrzymał się i skrył pod drzewem. Obserwował dwóch, obchodzących dom dookoła, strażników Salene. Byli lojalni wobec swej pani, lecz nie sądził, żeby ujawnienie się stanowiło dobry pomysł. Bardzo możliwe, że oceniliby, iż najlepszym sposobem przysłużenia się lady Nesardo stanie się usunięcie jej kłopotliwego gościa.

Gdy droga była już wolna, Zayl ruszył w stronę budynku. W oknach Salene i jej brata świeciło światło. Przyjrzał im się przez chwilę, szukając wzrokiem okna do komnaty Salene. Po chwili ponownie rozpląnął się w mroku.



Sardak nalał sobie drinka ze swego prywatnego zapasu. Ręce mu się nie trzęsły, był jednak ogromnie zdenerwowany. Dręczyło go przeczucie, że ta noc, i tak już pełna kłopotów, przyniesie jeszcze gorsze wydarzenia.

– *Sardaku Nesardo...*

Dopiero teraz drgnęła mu dłoń. Trzymana przezeń szklanka pękła z brzękiem. Sardak spojrzał w cień i zaskoczenie przemieniło się w gorycz na widok pojawiającej się niczym senny koszmar postaci.

– Ach! Nekromanta! Powinienem być się spodziewać, że kryjesz się gdzieś po kątach! Całkiem dobra sztuczka. Powtórzysz ją na festynie w przyszłym miesiącu? Powinna się spodobać.

– Oszczędź mi tych dowcipów, Sardaku - odparł Zayl z wyrazem twarzy, który nie był tak spokojny jak ton jego głosu. - Byłem w swojej komnacie, potem u twojej siostry...

– To doprawdy nieprzystojne! -Nesardo wyjął z kieszeni jedwabną chustkę i owinął sobie skaleczoną dłoń. - Na szczęście nic nie utkwilo w ranie. Dziękuję bardzo. - Spojrzał na nekromantę. -Chcesz wiedzieć, gdzie jest moja siostra? Moja siostra, która tak wiele dla ciebie ryzykuje?

– Sardak...

Sardak zamachnął się potężnie na Zayla, który z łatwością uniknął ciosu.

– Poszła do krypty! Zaraza! Chciała uniknąć spotkania z człowiekiem Toriona, kapitanem Mattheusem. On ma nos jak pies gończy. Zeszła tam przez ciebie i jeszcze nie wróciła.

– Do krypty? - Zayl nie starał się ukryć zdziwienia. - A ty nie poszedłeś po nią, skoro tak długo nie wraca?

– Myślisz, że nie chciałem? Teraz wejścia do krypty pilnuje dwóch ludzi Mattheusa. Zostawił ich tam, a sam wrócił do generała, by uzyskać pozwolenie na zejście na dół. Nawet Zakarum nie są skorzy do czegoś takiego, ale jestem pewien, że z twojego powodu każdy chętnie uczyni wyjątek.

– Chodź ze mną, jeśli chcesz. - Rathmita zwrócił się ku drzwiom.

– Z tobą? Dokąd?

– Do krypty, oczywiście. Do siostry.

– Ale strażę... - Sardak ruszył za Zaylem mimo jawnej niechęci.

Zayl odwrócił się i spojrzał na niego przez ramię. Sardak zamilkł i zacisnął usta. Jego źrenice zwęziły się z determinacji.

– Poczekaj chwilę. Wezmę miecz. O nic więcej nie proszę.
Nekromanta skinął głową.



Dwójce żołnierzy, którą zostawił na straży krypty, kapitan Mattheus powierzyłby własne życie. Obaj wykonywali powierzane im obowiązki z taką samą jak kapitan starannością i choć jeszcze o tym nie wiedzieli, mieli wkrótce awansować.

Dla Zayla nie stanowili jednak poważniejszej przeszkody. Czar, który na nich użył, był odmianą zaklęcia ślepoty, rzuconego wcześniej na rycerzy Zakarum. W tej wersji czar sprawiał, że ofiary nie były świadome upośledzenia swego wzroku i słuchu.

Zayl i niosący pochodnię Sardak podeszli do ponuro stojących na posterunku strażników na odległość kroku. Kiedy nekromanta otwierał drzwi do krypty, strażnicy nawet nie drgnęli.

Sardak odezwał się dopiero, gdy zamknęli za sobą drzwi i szli oświetlonym przez pochodnię korytarzem.

– Cholera, chciałbym się nauczyć tego zaklęcia. Oszczędziłbym sobie kilku sińców. Mógłbyś mnie tego nauczyć?

– Owszem. Musisz tylko przedtem wejść na ścieżkę Rathmy, porzucić picie na umór i...

– Zapomnij o tym - prychnął brat Salene. - Nie przeskoczę tego z piciem. Będę cierpieć jak dotąd.

Schodzili coraz niżej w głąb lochów. Zayl ponownie poczuł, jak osaczają go uwięzione w nich wspomnienia. Tym razem odciął się od nich natychmiast.

– Nie cierpię tych przeklętych głosów - wymruczał Sardak.

– Nie wiedziałem, że słyszysz je tak wyraźnie - powiedział zaskoczony Rathmita.

– Nie mówię o wszystkim nawet Salene. Dlaczego miałbym powiedzieć tobie?

Najwyraźniej Sardak Nesardo był bardziej uzdolniony magicznie, niż dawał to po sobie poznać. Jego dar musiał być prawie równy temu, jaki miała Salene. Zayl chciał go wypytać dokładniej, lecz nagle jego wyszkolone uszy wyłapały cichy, niemal niesłyszalny dźwięk. Tym razem nie było to zawrodożenie duszy dawno zmarłego więźnia.

Coś wyraźnie mruczało. Nekromanta rozpoznał głos.

– Humbart?! - zawołał.

Mruczenie ustało.

– Zayl! Druhu! Chwała! - dobiegło z korytarza przed nimi.

Minęli róg i ujrzeli drzwi do właściwej części krypty. Były zamknięte, ale przed nimi leżała duża sakiewka, w której znajdowało się coś wielkości melona lub ludzkiej głowy.

Zayl podniósł worek i otworzył go.

Puste oczodoły czaszki spojrzały na niego niemal wesoło.

– A już myślałem, że zostanę tu na wieki! - zadudnił jej głuchy głos. - Myślałem, że przyjdą tu strażnicy. Że będą szukać Salene czy ciebie. Ale nic z tego. Oczywiście, że gdyby nawet mnie znaleźli, pomyśleliby, że ktoś wyniósł mnie z krypty. Zamknęli by mnie w niej. Ha! Wyobrażasz sobie, jak świetnym towarzystwem byłyby dla mnie te stare kości?

– Cicho, Humbart! Co z Salene? Co się stało?

– Paniuszka była strasznie rozkojarzona. Położyła mnie na ziemi i weszła do środka sama. Wołałem ją, ale albo mnie nie słyszała, albo nie zwracała uwagi. Myślę, że po tym, jak zamroziła Toriona, była prawdopodobnie...

– Co zrobiła? - Zayl spojrział na Sardaka.

Brat Salene nic nie powiedział. Za to czaszka chętnie wyjaśniła. Nekromanta słuchał. Opowieść Humbarta przeraziła go i uspokoiła jednocześnie.

Dar Salene ujawnił się w pełni. Niebezpieczeństwo leżało w jej braku umiejętności wykorzystywania go. Zayl podejrzewał, że to, co zrobiła Torionowi, było tylko chwilowym paralizem. Gdy podzielił się tą myślą z towarzyszami, Humbart mruknął ze zrozumieniem, a Sardak odetchnął z ulgą.

– Jest jeszcze coś - powiedziała cicho czaszka. - Słyszałem, jak Salene z kimś rozmawia. Z kimś znajomym.

– W krypcie? - jęknął Nesardo. - Cholera!

Zayl nie chciał tracić więcej czasu. Schował czaszkę do sakiewki i umocował ją do swego pasa.

– Tylko nie zgub mnie jak Salene - rzekł stłumionym przez sakiewkę głosem Humbart.

Sardak pchnął drzwi do krypty z siłą godną Poltha. Szybko zeszli na pierwszy poziom.

– Myślałem, że bardziej tu śmierdzi - oznajmił młodzieniec, czytając napisy na najbliższych grobach. - Wszyscy z prawego łoża. Gdyby nie Salene, nie byłbym godny nawet poziomu dla służby. - Zacisnął wargi. - Jeśli dopadnę tego lorda Jitana, wydlubię mu oczy i nakarmię nimi wendigo.

Nekromanta się skrzywił, lecz Sardak tego nie dostrzegł. Lord Jitan i Karybdus byli ze sobą w jakiś sposób powiązani. Jednak Zayl nie wiedział, jak. Nie powiedział towarzyszom o tym, że wróciła mu pamięć. Nie chciał mieć przy sobie ani Salene, ani Sardaka, gdy dojdzie do starcia z Karybdusem. Rolą Sardaka Nesardo było jedynie ukrycie siostry w jakimś

bezpiecznie odległym miejscu. Młody arystokrata nie miałby najmniejszej szansy w walce z doświadczonym nekromantą.

Co nie znaczyło, że szansa Zayla była szczególnie duża.

Sardak zaklął i wskazał coś pochodnią.

– Czy to te potwory was zaatakowały? - zapytał.

– Tak. - Ciała pajęczych koszmarów leżały gnijąc w ciszy, mąconej jedynie hałasem wydawanym przez pożerające je szczury i innych mieszkańców krypty.

Nekromanta zbadał zaklęciem otoczenie, lecz nie wyczuł nic niepokojącego.

Nie... Jednak coś tu było. Coś znajomego. W momencie, gdy to wyczuł, urosło, jakby pobudzone jego obecnością...

Przed nimi zmaterializowało się widmo Poltha.

– *Rathmito...* - rozległo się w umyśle Zayla.

Nekromanta nie odpowiedział od razu, upewniając się ukradkiem, czy to, co przed sobą widział, było rzeczywiście zjawą ochroniarza. Nekromanci potrafili zmusić widma zmarłych, by mówiły i robiły to, co im nakazali. Zayl odpowiedział dopiero, gdy miał pewność, że przed nim stoi Polth i tylko Polth.

– Dlaczego tu pozostałeś, ochroniarzu? Twe obowiązki wobec życia zostały wypełnione. Powinieneś udać się dalej, jak wszyscy.

– *Zawiodłem... Zawiodłem za życia i zawiodłem po śmierci.*

– O czym on mówi? - zapytał Sardak, co ponownie zaskoczyło Zayla. Nekromanta postanowił przy najbliższej okazji porozmawiać z bratem Salene o rozmiarach jego magicznych uzdolnień. Tymczasem skupił się na rozmowie z widmem.

– Masz na myśli Salene? Czy ona... nie żyje?

Widmo pokręciło głową ku wyraźnej uldze Sardaka i Zayla. Polth wskazał ręką posadzkę.

– *Wysłałem ją tam... ku prawdzie... Nie wiedziałem... nie wiedziałem, że on tam jest... Nie wiedziałem! Zawiodłem ją!*

Zjawa, zrozpaczona losem, który spotkał jej panią, niemal rozplynęła się w powietrzu. Zayl zastanowił się nad tym, co właśnie usłyszał, starając się wyłowić sens ze słów Poltha.

– Czy ona jest na poziomie dla służby? - Sardak chwycił za rękaw Zayla. - Chodźmy! Przeklęty! Może jest ranna!

Nekromanta nie zareagował. Sardak pobiegł naprzód sam. Zayl zobaczył, że Polth kręci głową. Zdziwił się. Jeśli Salene nie znajdowała się na poziomie dla służby, to gdzie mogła być?

W starożytnej krypcie poziom niżej? Może jeszcze głębiej?

Chciał zapytać martwego ochroniarza, lecz ten, wykorzystawszy swój czas, zniknął. Zayl popędził za młodzieńcem, trzymając się nadziei, że młody arystokrata nie wpadł jeszcze w tarapaty. Gdy nekromanta dopadł do wiodących w dół schodów, Sardak był już niżej. Przyspieszył, gnając za migocącym w dali światłem pochodni.

Po chwili dogonił Sardaka, który stał wpatrując się w dno otwierającej się w posadzce dziury. Zayl schylił się, modląc się do Trag'Oula, by nie okazało się, że skończył się już dany Salene czas.

– Ona żyje - wyszeptał jej brat. - Czuję to. Wiedziałem, że to pocuję. Czy to prowadzi na stary poziom?

– Głębiej, o wiele głębiej. - Zayl przesunął się i spuścił nogi do otworu.

– Co robisz?

Spojrzał w zaniepokojone oczy Sardaka. Zaniepokojone losem siostry, a nie tym, co robił nekromanta.

– Wracaj na górę. Dalej pójde sam. Sytuacja jest groźniejsza, niż przypuszczałem.

– Nie zostawię jej tak!

– Posłuchaj, pod domem Nesardo kryją się starożytne moce. W tym miejscu znajdowało się kiedyś coś innego. Miejsce, w którym składano krwawe ofiary. Czuję to i mam wrażenie, że ty także to wyczuwasz.

– I co z tego? - Sardak zacisnął zęby. - Salene jest dla mnie najważniejsza. Albo wskakuj do dziury, albo, do diabła, przesuń się i ja pójde.

– Sardak...

Młodzieniec nagle uderzył nekromantę grzbietem dłoni. Uderzenie nie było na tyle silne, aby wyrządzić Zaylowi krzywdę ani by go ogłuszyć, wytrąciło go jednak na chwilę z równowagi.

Tyle akurat czasu potrzebował Sardak, żeby wskoczyć do otworu w posadzce. Zayl desperackim gestem wyciągnął po niego rękę, lecz było już za późno. Usłyszał cichnące przekleństwa i krzyki Sardaka, a potem zapadła cisza.

Mocno ścisnął w dłoni kościany sztylet.

– Przygotuj się, Humbart.

– Niby jak? - gderliwie odpowiedziała czaszka.

Zayl skoczył w dół.

Staczał się, koziołkując i odbijając się od nierównych, postrzępionych ścian tunelu. Kilkukrotnie uniknął poważniejszych obrażeń jedynie dzięki ochronie, jaką dawał mu płaszcz. Szata broniła go dzięki umieszczonej na nim Łusce Trag'Oula. Przeklinając głupotę Sardaka, zastanawiał się, w jakim stanie jest młody arystokrata, nie mający żadnej ochrony.

Wtedy, gdy już zaczynał myśleć, że spadanie będzie trwać wiecznie, wypadł w otwartą przestrzeń. Upadając, ledwie zdołał się wykręcić i

uniknąć roztrzaskania głowy. X'y'Laq wysłuchał go dokładnie, jeśli chodziło o runy, był jednak na tyle sprytny, by nie obłożyć płaszcz zaklęciami na wszystkie ewentualności.

Czyjeś silne ramiona chwyciły nekromantę za barki. Sardak pomógł mu wstać. Poza otarciem na prawym policzku i skaleczeniu na dłoni brat Salene był cały i zdrowy.

– Jak głowa? - zapytał Zayla. - W porządku?

– Tak, ty też chyba nie ucierpiełeś?

– Wiesz przecież, że w pewnych kwestiach zawsze sprzyjało mi szczęście - odparł tamten. - Możesz czarować?

– Mogę. Dlaczego pytasz? - Rathmita zmarszczył brwi.

Sardak wskazał coś znajdującego się za Zaylem.

– Bo wydaje mi się, że mój miecz to za mało na tę gromadę.

Mag obejrzał się przez ramię i zobaczył grupę mrocznych postaci w szerokich płaszczach, zbliżających się do nich z wolna, lecz nieustępliwie. W sposobie, w jaki się poruszali, było coś, co mocno zaniepokoiło nekromantę. Uniósł sztylet, który rozbłysnął mocniejszym światłem.

W rzucanym przez kościane ostrze blasku ujrzeli twarze umarłych.

– Do diaska! - burknął Sardak. - Nie myślałem, że będą aż tak paskudni!

W zasięgu wzroku były ich całe tuziny. W oddali majaczyli następni. Na martwych ciałach widniały resztki mięśni, co świadczyło o potędze mocy, której służyli. To, że wstali z martwych, świadczyło o obecności kogoś jeszcze.

Karybdus.

Zayl wyczuł obecność drugiego nekromanty. To oznaczało, że prawdopodobnie udało mu się schwytać Salene. Domyślił się też, że Karybdus spodziewał się jego przybycia. Idąc za Salene, zachował się jak marionetka w rękach starszego nekromanty.

– Jakieś pomysły, magiku?

Zamiast odpowiedzi Zayl użył Zębów Trag'Oula. W powietrzu pojawiły się ostre pociski, które pofrunęły ku umarłym z przerażającą celnością. Kiedy jednak miały razić pierwszy szereg upiorów, te nagle znikły, by pojawić się ponownie, gdy pociski znalazły się już za nimi.

– Na Przeklęty Wzrok Barabasza!

– Nie całkiem tego się spodziewałeś, prawda? - mruknął Nesardo, ściskając rękojeść miecza tak mocno, że zbieleły mu knykcie.

Zayl powinien się spodziewać, że Karybdus zabezpieczy nieumarłych przeciw jego czarom. Po raz kolejny młodszy nekromanta poczuł się jak głupiec.

Gdy armia gnijących trupów zbliżyła się jeszcze bardziej, Zayl zauważył kolejny złowieszczy znak. Na resztkach płaszczy, w które były owinięte upiory, widniał ten sam symbol - pajęczy znak. Był to prawdopodobnie symbol związany z olbrzymim, wiszącym w górze i połyskującym w świetle sztyletu pająkiem, który - pomimo że wykonany z klejnotów - wyglądał jak żywy.

Ohydna armia zatrzymała się nagle tuż przed nimi. Najbliższy z upiorów wyciągnął swą kościstą, sękatą rękę.

– *Czekaliśmy na twój powrót, panie... Chodź z nami... Dołącz do nas.*

Głos należał do jednego z kapłanów z koszmaru Zayla. On i wszyscy pozostali wzywali nekromantę do siebie.

PIĘTNAŚCIE



- Znasz tych facetów? - zapytał Sardak z niepokojem.
 - Tylko z koszmarnych snów. - Zayl uniósł swój sztylet wyżej, trzymając upiory w bezpiecznej odległości. - Nie wychodź z za mnie.
 - Donikąd się nie wybierałem.
 - Co się dzieje, druhu? - cieniem głosem zawołał Humbart z sakiewki.
 - Nie chcesz wiedzieć - odpowiedział mu Sardak.
- Czaszka zamilkła.
- Kapłan obdarzył Zayla makabrycznym uśmiechem.
- *Chodź z nami, panie. Twoi wierni akolici już czekają.*
- Na potwierdzenie tych słów pozostali nieumarli przyklękli na jedno kolano. Zaczęli śpiewać pieśń składającą się tylko z jednego słowa:
- *Astrogha...*
- Nesardo nachylił się ku nekromancie.
- Co to znaczy? Co to jest Astrogha?
 - Myślę, że to. - Zayl wskazał wielką figurę pająka.
 - To dlaczego tobie to śpiewają?
 - Chyba się domyślam, ale wolałbym o tym nie mówić. - Pokręcił głową.
 - Niech cię Piekło pochłonie, jeśli zginie przez to moja siostra.
- Gnijący kapłan sięgnął do swego płaszcza. Spomiędzy wnętrzości i kości wy dobył straszliwy sztylet, którym Zayl posługiwał się wcześniej w swym koszmarze.

– *Panie, gdybyś zechciał zakończyć ceremonię ofiarną, stałbyś się na powrót całością...*

– Jestem zupełnie kompletny, dziękuję bardzo. A ty powinieneś już wracać do grobu. - Rathmita wyciągnął ku nim ostrze swego sztyletu. -
Wszyscy! Wracać do grobów!

– *Nie możemy... nie bez ciebie...* - Kapłan znów uśmiechnął się ohydnie.

– Nie podoba mi się to, magiku.

Zayl zgodził się z Sardakiem.

– Dotknij mieczem czubka mojego sztyletu.

– Eee... Co?

– Zrób, co mówię, i to szybko, jeśli miłe ci życie siostry i własne.

Tym razem Sardak posłuchał, i to tak gorliwie, że niemal uciął Zaylowi palec. W chwili gdy oba ostrza zetknęły się ze sobą, blask sztyletu objął najpierw koniec miecza, by szybko rozpląnąć się po całej broni.

– Do diabła! - powiedział Sardak, oglądając swój odmieniony miecz.

– To całkiem możliwe, jeśli tu zginiemy.

Nieumarli powstali już z kolan. Twarz kapłana wyrażała, na ile umożliwiał to jej rozkład, głęboki frasunek.

– *Jesteś wybrańcem, panie... Nie możesz zaprzecić się własnego przeznaczenia... Nie pozwolimy ci na to.*

Zayl miał właśnie zapytać kapłana, na czym polegało jego przeznaczenie, gdy ten ruszył ku niemu na czele upiornego tłumu.

– Zaraza! Podwójna zaraza! - zaklął młody arystokrata.

Wyciągnęły się ku nim szponiaste dłonie nieumarłych. Zaylowi po raz kolejny stanęły przed oczyma wspomnienia z Ureh. Oblicze nekromanty stężało.

– Nigdy więcej... - wyszeptał bezgłośnie. - Nigdy więcej!

Nekromanta pchnął sztyletem.

Karybdus zabezpieczył swe potwory przed wieloma czarami. Nie mógł jednak uchronić ich przed mocą zawartą w kościanym ostrzu. Sztylet wzmocniony błogosławieństwem smoka był pierwszą i ostatnią obroną nekromantów. Kościane ostrze przecięło szaty i żebra kapłana. Upiór wydał z siebie nieludzki jęk, chwycił się rękoma za rozcięte miejsce i wycofał w tłum. Jego miejsce zajęli następni, nie zważając na to, co stało się z kapłanem. Zayl z satysfakcją przeciął sztyletem gardło jednego z nich, a potem wbił ostrze pomiędzy żebra kolejnego. Rażone magiczną bronią upiory umierały jak śmiertelni ludzie. Padały wprost pod stopy swych towarzyszy.

Rathmita obawiał się, że będzie musiał bronić swego towarzysza. Okazało się jednak, że Sardak wprawnie włada mieczem. Ciął raz za razem, odcinając głowy i kończyny, powalając tyle samo przeciwników, jeśli nie więcej, co nekromanta.

Mimo to nieumarłych nie ubywało. Na ich ciałach widać było ślady gwałtownej śmierci. Zayl pomyślał, że zginęli zabici przez wrogów swojego bóstwa. Wskrzeszając ich, Karybdus wykorzystał z pewnością moc ich pragnienia zemsty. Liczba przywołanych z zaświatów upiorów świadczyła dobitnie o granicach, czy raczej o ich braku, umiejętności starego nekromanty.

Ale... Skoro to Karybdus ich przywołał, to dlaczego nazywali swym „Panem” Zayla?

Nekromanta, odpierając ataki roju nieprzyjaciół, nie miał czasu zastanawiać się nad odpowiedzią. Ciął nieustannie, lecz choć upiory padały jeden po drugim, nadal było ich mrowie.

– Ciągłe przybywają nowe! - krzyknął Sardak, odcinając głowę kolejnej gnijącej postaci. Ręce pozbawionego głowy trupa nadal wyciągały się ku niemu, uciął je więc w nadgarstkach i kopnął korpus w nacierających.

– Walcz! Nie ustawaj! - Strażnik Równowagi wyteżał myśli, szukając sposobu na odciążenie uwagi napastników od siebie i Sardaka. Jego spojrzenie padło na wiszącego u powały wielkiego pająka.

– Rathmo, pokieruj mą ręką... - Zatoczył sztyletem szeroki łuk, odrzucając w tył piekielne sługi Karybdusa.

Spojrzał ponownie na wielkiego pająka, skoncentrował wzrok na znajdującej się najwyżej części jego ciała i rzucił czar.

Den'Trag, Zęby Trag'Oula, znów zmaterializowały się w powietrzu. Tym razem jednak Zayl nie skierował ich w stronę armii nieumarłych. Deszcz pocisków runął na posąg pająka. Kilka z nich odbiło się od twardej powierzchni tułowia, lecz nie zmartwiło to nekromanty. Nie mierzył tam. Ochronne czary Karybdusa zabezpieczały upiory. Ich moc nie rozciągała się jednak na całą świątynię. Starożytne łańcuchy, porozciągane na podobieństwo pajęczej sieci, przetrwały wieki, opierając się działaniu żywiołów. Nie mogły jednak przetrwać ataku magicznych Zębów. Pociski przecinały łańcuchy, które w końcu nie mogły dłużej podtrzymać ciężaru wiszącego posągu.

Przy brzęku łańcuchów i głośnym trzasku wielki, wysadzany klejnotami pająk zerwał się i zawisł rozkołysany niczym ogromne wahadło.

Reakcja upiorów zaskoczyła nawet Zayla. W pierwszej chwili zamarli, jakby znikła ożywiająca ich ciała moc. Chwilę potem, gdy posąg uderzył w ścianę, nieumarli zaczęli zawodzić.

– Teraz! Teraz! - krzyknął Zayl, chwytając osłupiałego Sardaka za ramię. Na upiorny tłum i ruiny świątyni sypała się ziemia i wielkie odłamki skał, zgniatając kolejne rzędy ławek. Ziemia i skały pogrzebały dziesiątki upiorów, wiele jednak przetrwało i to.

Wszyscy nieumarli oplakiwali żałośnie upadek swego bożka.

Uderzenie o ścianę okazało się zbyt silne także i dla posągu. Pierwsza pękła najbardziej wysunięta w tył noga pająka. Jej oderwany w stawie segment runął z trzaskiem na środek świątyni, niszcząc w drobny mak kamienny ołtarz, którego krwawe dzieje Rathmita doskonale wyczuwał. Druga kończyzna pajęczego posągu pękła na dwoje. Jedna jej część potoczyła się wprost w płaczący tłum nieumarłych. Druga przeleciała ponad Zaylem i Sardakiem i z łomotem wpadła na ścianę jaskini, wywołując nowy deszcz skał i ziemi.

Amfiteatrem zatrzęsło.

– Cała ta przeklęta sala się zapada, magiku! - krzyknął brat Salene.

– Uciekajmy przez świątynię. Tam powinno być jakieś wyjście!

– Powinno? - parsknął Sardak.

Nagle jeden z upiorów chwycił arystokratę za twarz i rzucił nim o ziemię. Nekromanta obrócił się błyskawicznie i stanął twarzą w twarz z kapłanem.

– *Świątokradca!* - zawył upiór. - *Bluźnierca! Nie możesz być naczyniem jego przybycia! Nie jesteś godzien takiego zaszczytu! Nie zezwalam na to!*

Kapłan dobył rytualnego ostrza. Zayl prawą ręką chwycił go za kościsty nadgarstek. Oblicza obu przeciwników dzieliło tylko kilka cali. Ożywiony trup wydzielał piźmową, suchą woń, na tyle dobrze znaną nekromancie, że mógł się nią nie przejmować.

– Gdzie ona jest? - zapytał ostro Zayl. - Jest z Karybdusem? Dokąd twój pan zabrał kobietę?

– *Mym panem jest Astrogha. Nie służę nikomu innemu.*

– Karybdus! Gdzie jest drugi nekromanta? - Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– *Razem z Księżycem!* - oznajmił kapłan z dumą w głosie. – *Przybliża powrót mego pana. Naczynie powrotu, które wybrał, nie będzie zbyt miłe*

Astrodze, lecz przysłuży się nam lepiej niż ty.

Nieumarły nabrał powietrza. Zayl odepchnął go, wiedząc, że na pewno nie był to zwykły oddech.

Z ust kapłana wylały się setki czarnych pajaków. Kilka spadło na nekromantę i natychmiast wgryzły się w jego płaszcz. Gdy tylko to uczyniły, zmieniły się w białe kupki popiołu i opadły na ziemię. To nie powstrzymało jednak następnych stworzeń próbujących przegryźć się przez materiał. W miejscach, gdzie pająki wbiły swe kły, płaszcz skwierczał trawiony silnym jadem. Koszmarny kapłan wziął drugi głęboki wdech. Tym razem jednak wydał z siebie tylko stłumiony bulgot zaskoczenia. Z jego pozbawionych warg ust wypadło na ziemię jeszcze kilka bezwładnych pajaków. Spojrzał na swą zniekształconą klatkę piersiową i wystający z niej, świecący blado, ostry przedmiot.

Sardak wyciągnął miecz z ciała nieumarłego kapłana. Moc, jaką Zayl obdarzył jego broń, nie słabła ani na chwilę.

– To za Salene - warknął.

Gnijący kapłan osunął się na kolana. Jego głowa odłamała się i potoczyła na bok. Zapadły się ramiona, a potem reszta ciała. Po chwili pozostała z niego jedynie zbitka szmat, kości i zasuszonego ciała.

Zayl spojrział na Sardaka z wdzięcznością, po czym strząsnął z siebie ostatniego z pajaków, które zginęły wraz z upiorem.

Obaj mężczyźni ruszyli biegiem wzdłuż ławek amfiteatru. Po drodze minęli kilka żywych trupów. Żaden z nich nawet nie próbował ich zatrzymać. Starli się tylko z tymi zjawami, które nie zdołały ich wyminąć na czas. Nieumarli ginęli łatwo, rozplątani mieczem Sardaka lub przebijani kościanym sztyletem Zayla. Dookoła narastał chaos, potęgowany przez ukruszone wskutek spadającego posągu skały i ziemię.

Nieumarli przestali stanowić problem. Powstał jednak inny. Nigdzie nie mogli dostrzec wyjścia z jaskini.

– Musi tu być jakieś wyjście - uparcie powtarzał Zayl. - To przecież logiczne!

Nesardo dźgnął skałę ostrzem miecza.

– Ale fakt jest taki, że go nie ma! Może to dlatego oni wszyscy tu zginęli? Nie mogli znaleźć przeklętego wyjścia?

Nekromanta nie mógł w to uwierzyć. Kapłani musieli mieć przygotowaną drogę ucieczki, nawet jeśli nie udało im się z niej skorzystać.

Oczywiście! Zayl złapał się na tym, że myślał tak, jakby nieumarli byli żywymi ludźmi. Tymczasem to Karybdus zaplanował to wszystko. Z pewnością zatem przygotował pułapkę tak, żeby młodszy nekromanta poniósł klęskę, nawet pokonawszy armię nieumarłych.

Poniósł klęskę lub po prostu nie zauważył wyjścia. Karybdus zrobił z Zaylem to, co Zayl zrobił ze strażnikami pilnującymi wejścia do krypty. Wyznawca Rathmy znów był pełen podziwu dla zdolności wrogiego nekromanty, który niepostrzeżenie rzucił na obu mężczyzn jedną z odmian czaru ślepoty.

– Cofnij się, Sardaku!

Sardak wykonał polecenie. Zayl uniósł swój sztylet. Niedosłyszalnym szeptem rzucił czar działający przeciwnie do czaru ślepoty.

– Magiku? Przestali jęczeć! - zauważył nagle młodzieniec.

Zayl zrozumiał, że nieumarli przegrupowują siły. Za dwie lub trzy chwile zaatakują ponownie.

– Tędy! - krzyknął wyczuwając magiczną zasłonę. - Tędy, Sardak! Prędko!

– Przebiegniemy przez to? A niech mnie! - powiedział Sardak, obserwując, jak jego towarzysz wbiega wprost w skalną ścianę.

Chwilę później strażnik Równowagi znalazł się w starożytnym tunelu. Rozejrzał się i nie widząc bezpośredniego zagrożenia, poszukał wzrokiem brata Salene.

Na szczęście Sardak pojawił się znikąd tuż za nim. Zatrzymał się na chwilę i dotknął swej piersi, zaskoczony, że nadal jest cały i zdrowy.

– Niezła sztuczka - orzekł.

– To robota tego, którego szukamy. Karybdusa.

– To on ma Salene? A nie Jitan?

– Idę o zakład, że są razem- odrzekł Zayl, wpatrując się w ścianę, przez którą weszli do tunelu. Nie było śladu pościgu. Nieumarli, jak się tego spodziewał, także nie dostrzegali korytarza.

– Zostawimy ich tam? A co, jeśli zdecydują się pójść na górę?

Tunelem zatrzęsło. Nekromanta wyczuł, że źródło wstrząsu znajdowało się w jaskini, z której przed chwilą uciekli.

– To mało prawdopodobne. Jaskinia się zapada i pogrzebie ich ponownie. Poza tym myślę, że zostali wskrzeszeni tylko ze względu na mnie i teraz, skoro im się wymknąłem, wracają do swych grobów.

– Chwała Niebiosom.

Gdy Sardak wypowiadał ostatnie zdanie, Zayl poczuł coś dziwnego. Obejrzał się za siebie, lecz tunel był nadal pusty.

– Coś nie tak?

Zayl nie zapytał towarzysza, czy coś widzi. Stwierdził, że to, co poczuł, wzięło się z niepokoju o los Salene. Stracili tyle cennego czasu...

Ile go jednak mieli? Co właściwie wiedział o Pajęczym Księżycu? Sny i majaki, jakie przeżył, nie dawały żadnych wiarygodnych informacji, poza tą, że coś ważnego miało się odbyć o ściśle określonej porze nocy. Mówili też o tym gnijący kapłani.

Na ile mógł to ocenić, do nocy pozostawało jeszcze kilka godzin.

– Wydaje mi się, że mamy jeszcze czas! - oznajmił Sardakowi. - Ale musimy się spieszyć!

– Dokąd spieszyć?

– Jeszcze nie wiem, ale chyba wiem, jak się tego dowiedzieć.

Z sakiewki dobiegł stłumiony głos. Rathmita zatrzymał się i wydobył z niej czaszkę Humbarta Wessela.

– Dobrze, że już po wszystkim - westchnęła czaszka. - I cieszę się, że nie musiałem tego oglądać.

– Humbart? Chciałeś czegoś? Mów prędzej!

– Chciałem tylko powiedzieć, że masz większą szansę odnalezienia Salene, jeśli skorzystasz ze mnie, pamiętasz?

– Skorzystać z niego? - zakpił Sardak. - Postawisz go na ziemi i każesz węszyć?

– Coś w tym rodzaju - zachichotała czaszka.

– Jesteś pewien, Humbart? - Zayl nie był przekonany. - Ostatnim razem, gdy użyłem tego zaklęcia, o mało nie odesłałem cię z powrotem. Są inne sposoby...

– Czasochłonne lub niedokładne. Nie pozwolę, żeby wypatroszono tak miłą dziewczynę na ołtarzu jakiegoś pająka z manią wielkości. Za kogo ty mnie masz?

– Za umarlaka? - zasugerował Nesardo.

– Zrób to, Zayl. Poradzę sobie.

– Twoja decyzja. - Nekromanta nie sprzeciwił się dłużej.

Zayl ukląkł i postawił czaszkę na ziemi, twarzą zwróconą naprzód. Potem uniósł nad Humbartem sztylet i nakreślił jego ostrzem znak oka. Smoczego oka.

– Pozwól nam odnaleźć drogę, Rathmo. Dla dobra Równowagi - powiedział cicho i wbił sztylet w czaszkę.

Sardak aż jęknął, widząc, jak łatwo ostrze weszło w kość. Zagłębiając się w czaszce, sztylet rozbłysnął jasnym światłem, które objęło całego Humbarta.

Tego czaru Zayl nie nauczył się od żadnego ze swoich mentorów. Wymyślił go kiedyś sam, zmuszony sytuacją. Teraz miał nadzieję, że zaklęcie pomoże mu przedrzeć się przez magiczne zapory, ustawione przez wrogię nekromantę.

Czaszka zatrzęsała się, jakby coś uwięzionego wewnątrz starało się wydostać na wolność. Z pustych oczodołów wystrzeliły długie na kilka jardów, zielone promienie. W ich świetle zamajaczyły dwie niewyraźne sylwetki. Postać w czarnym płaszczu i lady Nesardo.

– Salene! - zawołał Sardak i spróbował chwycić widmo. Jego palce przeszły na wylot przez ramię siostry.

Zayl przyjrzał się najpierw kobiecie, oceniając jej stan. Z niewyraźnego obrazu wywnioskował, że została wprowadzona w trans. Była blada, szła z opuszczonymi wzdłuż ciała ramionami, wpatrując się niemrugającymi oczyma przed siebie.

Zadrzał widząc tak niegodnie wykorzystaną wiedzę przekazaną nekromantom przez Rathmę i Trag'Oula. Po chwili spojrzał na więżącego Salene nekromantę.

Wygląd Karybdusa znał jedynie z opowiadań, lecz nie miał wątpliwości, że to właśnie jego ogląda. Świadczyły o tym krótkie siwe włosy i ostre, inteligentne rysy twarzy, a także zbroja z metalu i kości, którą stary nekromanta sam sporządził, przygotowując się do sławetnego pojedynku ze spaczonym przez zło Vizjerei zwanym Armin Ra.

Obrazy znikły, by pojawić się kilka metrów dalej. Wyglądały niemal identycznie jak poprzednio. Karybdus szedł obojętnie przed siebie, nie oglądając się na posłusznie idącą za nim Salene.

Wyznawca Rathmy podniósł czaszkę z ziemi i wyciągnął z niej sztylet. Minio że ostrze nie tkwiło już w kości, Humbart nadal świecił bladym światłem, a promienie padające z jego oczodołów nadal wyświetlały idącą dwójkę.

– Chodź - powiedział nekromanta.

Sardak ruszył z determinacją za trzymającym przed sobą Wessela Zaylem. Co kilka sekund ukazywały się ich oczom obrazy Salene i Karybdusa. Te krótkie sceny, jakkolwiek smutne, przynosiły mężczyznom pewną pociechę. Nic się nie zmieniało. Stary nekromanta i pojmana przez niego kobieta cały czas szli tunelem.

– A myślałem, że tacy jak ty cierpią po prostu na brak zrozumienia u innych - mruknął młodzieniec, patrząc na migocące widmo Karybdusa - i że wcale nie jesteście źli. Czy nie to wmawiałeś mojej siostrze?

– To, co robi Karybdus, nie jest zgodne z nauką Rathmy w moim rozumieniu. To odstępstwo. Według mnie on padł ofiarą zła, którego niszczeniu poświęcił swe życie.

– Ofiarą?

– Najwyraźniej - przytaknął.

Pomruk Sardaka świadczył o tym, że młody mężczyzna nie był do końca przekonany.

Według obliczeń Zayla szli przez tunel dobrą godzinę. Zarówno on, jak i Sardak zdawali sobie sprawę, że dawno już opuścili granice miasta, lecz nadal nie widzieli końca.

Wreszcie Zayl poczuł na twarzy ożywczy powiew.

– Zbliżamy się do wyjścia - oświadczył.

Sardak przygotował miecz.

Wyszli do lasu przez z dawna zarośnięte jeżynami i przykryte ziemią przejście. Otwór był zupełnie niewidoczny z zewnątrz. Rathmita wyczuł

też, że przejście chroniły niegdyś zaklęcia, które usunął Karybdus.

– Starczy nam czasu, żeby pójść po pomoc? - zapytał arystokrata, rozglądając się dookoła.

– Obawiam się, że nie. Widzisz?

Najnowszy obraz ukazał, jak ich przeciwnik przyspiesza kroku, pociągając za sobą Salene.

– Skoro tak, to trudno.

– Masz jeszcze szansę wrócić do domu - powiedział Zayl, kładąc rękę na ramieniu Sardaka.

– Ale przyda ci się moja pomoc, prawda?

– Tak. Ktoś musi wykraść Salene, kiedy ja zajmę Karybdusa.

– Więc nie marnujmy więcej czasu. - Sardak ruszył naprzód.

Ścieżka była śliska wskutek nieustannie padającego deszczu. Obaj mężczyźni kilkakrotnie się przewracali. W pewnym momencie Zayl, potykając się, niemal zgubił Humbarta.

Wtedy gdy znajdowali się w głębi gęstego lasu, obrazy z czaszki nagle znikły.

– Co do diabła? - Nesardo obrócił się wkoło. - Gdzie następny obraz? Musimy zobaczyć następny!

Czaszka nadal świeciła. Bez względu jednak na to, w którą stronę obrócił ją Zayl, obraz Salene się nie pojawiał.

Kiedy nekromanta już chciał się poddać, nagle ukazało im się widmo Karybdusa.

Sardak zobaczył je w tym samym momencie, co Zayl i zadał głośno pytanie, nad którym właśnie zastanawiał się nekromanta:

– Czy on nie patrzy na nas?

– Uciekaj! - syknął Rathmita.

Przerażające stworzenia wypadły z głębi lasu. Kolejne zeskakiwały z drzew. Były to takie same, podobne do pajaków, demony, z jakimi walczyli w krypcie. Tym razem jednak było ich więcej. Dużo więcej. Zayl widział około tuzina, a szelest listowia zdradzał, że następne już się zbliżały.

Monstra rzuciły się za mężczyznami jak polujące koty. Sardak, który natychmiast wziął sobie radę Zayla do serca, biegł kilka kroków przed nekromantą. Ścigające ich potwory skakały po gałęziach drzew, biegły po ziemi, używając dowolnej ilości odnóży, przeskakiwały z pnia na pień. Syczały zajadle. Co chwila obok któregoś z uciekających ludzi głośno skwierczała ziemia lub krzak, trafione wprawdzie wystrzelonym jadem.

– Myślałem, że większość już uśmierciłeś, magiku?

– Zawsze znajdują się jacyś nowi nieszczęśnicy, których można poświęcić dla chorej ambicji. - Zayl nie miał wątpliwości, że te stwory przedtem należały do wiernych sług lorda Jitana lub najętych przez niego wojowników. Pamiętał widziane w krypcie złowieszcze pająki, uczone głowy potworów, i wiedział, że gdyby mógł się dokładniej przyjrzeć, znalazłby takie same na głowach nowych prześladowców.

Jeden z potworów skoczył na Zayla, próbując przebić się swymi kłami przez chroniący nekromantę płaszcz. Rathmita odgryzł się pchnięciem sztyletu. Ostrze przeszło przez nieforemny łeb stworzenia i przebiło siedzącego na nim mniejszego pająka. Ohydna, zgniłozielona ciecz wytrysnęła z rany, lecz szczęśliwie nie trafiła Zayla w odsłonięty fragment ciała.

Gdy tylko pozbył się pierwszego napastnika, spadł na niego kolejny, zwalając nekromantę z nóg. Przez chwilę Zayl widział jedynie jego ciało, w którym straszliwie mieszały się cechy ludzkie i pajęcze. Ostre kły bezustannie ociekały jadem. Jedna kropla upadła na policzek nekromanty, parząc go boleśnie. Zayl wiedział, że Karybdus obłożył swe monstra

ochronnymi zakłęciami. Uciekł się więc do bardziej przyziemnej obrony i wbił palce w to, co wyglądało na gardło napastnika. Taki cios nie udałby się zbyt wielu ludziom, jednak wyznawców Rathmy szkolono w różnych technikach walki wręcz. Znali także lepiej niż przeciętni ludzie budowę i działanie żywego ciała, ucząc się jego skomplikowanej budowy dzięki pracy ze zwłokami.

Palce Zayla weszły głęboko. Pająk zaczął się głośno dławić. Gwałtownym ruchem głowy nekromanta uchylił się przed strumieniem jadu.

Napastnik odturlał się na bok, ściskając dwiema kończynami zmiażdżone gardło. Rathmita oszczędził mu dalszych cierpień pchnięciem sztyletu w kark.

Z boku doleciało go kilka barwnych przekleństw Sardaka, który właśnie rozplątał mieczem atakującego potwora. Stwory cofnęły się, lecz zarazem już szykowały się do następnego ataku.

– Gotowy do biegu, magiku?

Zanim Zayl zdołał odpowiedzieć, w lesie rozległo się echem zwierzęce wycie. Nim ludzie i potwory zdążyli zareagować, na jednego z koszmarnych stworów runął olbrzymi kształt. Mroczny gigant z dziecinną łatwością uniósł w powietrze dwa potwory i zderzył je ze sobą z taką siłą, że Zayl usłyszał trzask pękających kości. Olbrzym cisnął zwiotczające ciała w dwie następne, szykujące się do ataku, pajęczę istoty. Jedna z nich nie zdążyła wykonać uniku. Uderzenie odrzuciło ją wraz ze zwłokami w tył. Druga zdołała ominąć pociski i skoczyła na nekromantę. W tej samej chwili dwa nowe koszmary zeskoczyły z drzew.

Potwory myliły się jednak, jeśli sądziły, że wreszcie dopięły swego. Mocno umięśniona pięść leśnego giganta zgmiotła jak muchę tego, który atakował Zayla. Atak dwóch pozostałych, które rzuciły się na olbrzyma,

okazał się równie bezsensowny. Wydając prawie ludzki, drwiący pomruk, wielkolud zdarł z siebie kolejno oba stwory. Jad, którym strzykały w olbrzyma, palił futro, nie wywierając jednak poza tym większego wrażenia. Gigant odwrócił pająki głowami do dołu i wbił je z impetem w ziemię.

Pozostali napastnicy wycofali się pospiesznie, widząc, że nie mają szans w walce z nowym przeciwnikiem. Olbrzym zawył wyzywająco, śledząc wzrokiem ich ucieczkę, a potem zwrócił się ku mężczyznom.

– Wendigo! - Sardak aż przykucnął. - Chyba było nam lepiej z pajakami.

Zayl wiedział, że jest inaczej. Podszedł ku zdyszanemu wielkoludowi, który na jego widok gwałtownie ryknął.

Nekromanta wyciągnął ku niemu lewą rękę. I wendigo umilkło, po czym powtórzyło gest Zayla. Ich palce zetknęły się opuszkami.

Uleczone przez nekromantę wendigo odnalazło go ponownie mimo ogromu otaczającego lasu.

SZESNAŚCIE



Aldric Jitan nigdy nie domyśliłby się, że leżące przed nim nieregularne wzgórze kryje w sobie potężną magię oraz jest miejscem narodzin najdroższego klejnotu, spoczywającego właśnie na jego dłoni. Nie domyśliłby się też, że wzgórze stanowi w istocie sztuczną, zniszczoną przez upływający czas budowlę. Ambitny arystokrata pomyślałby z pewnością, że to po prostu kolejne ze zbyt wielu pagórków, gęsto znaczących ziemię, która miała wkrótce stać się jego własnym królestwem.

To, co Jitan mógłby pomyśleć, nie miało jednak w tej chwili żadnego znaczenia. Ważne było, że jego zakapturzony towarzysz rozpoznał we wzgórzu miejsce, którego obaj szukali od początku. To arystokracie wystarczało w zupełności.

Tu narodził się klejnot. Tu także miała mieć swój początek droga Jitana do wytęsknionej władzy nad światem.

Póki co byli tu sami. On, Karybdus i ta dziewczyna...

Ściśle rzecz biorąc, byli tu jedynymi ludźmi. Kilkoro Dzieci Astroghi kręciło się w pobliżu, czujnie wypatrując intruzów i oczekując na rozkazy. Lord Jitan nie czuł żadnych wyrzutów sumienia, przemieniając w potwory niemal wszystkich swych ludzi. Pod nową postacią służyli mu jeszcze lepiej.

Owinął się szczelniej swym płaszczem z futra wendigo i podszedł do Salene. Lady Nesardo stanowiła przyjemny widok. Większa część nienawiści, jaką do niej czuł, brała się z jej nieposłuszeństwa. Teraz, gdy jej

wola nie stanowiła już przeszkody, nie mógł się oprzeć jej urodzie. Wyciągnął ku niej rękę...

– To nie jest odpowiedni moment na folgowanie tego rodzaju żądy - oświadczył Karybdus, który wyrósł znikąd u boku Jitana. - Musisz się całkowicie skoncentrować na zaklęciu, które ci przekazałem. Pamiętasz je całe?

– Pamiętam cały ten bełkot – odparł Aldric. - Mimo że nie rozumiem z niego ani słowa.

Błady nekromanta przechylił głowę na bok.

– Wolisz uczyć się obcego języka, czy wolisz mieć pewność, że przestaną cię dręczyć koszmary? Nie wspominając o twym przyszłym królestwie. - Karybdus dotknął dłonią skroni Jitana. - Pomyśl ! Miałeś ostatnio jakieś koszmary?

Nie miał. Odkąd wszedł w posiadanie magicznej perły, jego sny wypełniły się pożądliwymi wizjami panowania. Czyż potrzebował wdzięków lady Nesardo, skoro już niedługo posiadzie setki najpiękniejszych kobiet królestwa?

Żałował, że nie skosztuje jej ciała, lecz jeśli miał tym okupić absolutną władzę, to mógł się na to zgodzić. Chciał ją co prawda poślubić, ale głównie po to, żeby wejść w posiadanie jej domu i tego, co znajdowało się pod nim, a nie po to, by znaleźć się z nią w alkowie.

Od samego początku potrzebna była jedynie jako ofiara.

Tak. Od Salene Nesardo potrzebował tylko jej serca i krwi.

– Więc? - niecierpliwie zapytał arystokrata. - Gdzie może być wejście?

– Tam. - Karybdus wskazał gestem wyjątkowo nieatrakcyjne miejsce na wzgórzu.

Aldric spojrział i zrozumiał, że jeżeli nawet znajdowało się tam wejście, to skrywały je tony skał i ziemi.

– Oczyszczenie tego zajmie im tygodnie! - uznał. - Lepiej zrobmy to w świątyni.

– Zapominasz o tym, co trzymasz w dłoni, mój panie. - Pokręcił głową nekromanta.

– To pomoże nam usunąć cały ten gruz?

– Wystarczy, że wyrazisz takie życzenie.

– Pokaż mi, jak mam to zrobić! - niecierpliwie zażądał lord Jitan.

– Unieś klejnot nad głową. Jak koronę. Skup wzrok na miejscu, które wskazałem. To otworzy przejście. - Karybdus pozwolił sobie na cień uśmiechu.

– I to wszystko? - Aldric udał się w dogodniejsze miejsce i zrobił, jak powiedział mu nekromanta. Trzymał Pajęczy Księżyc najwyżej, jak mógł, i patrzył na wzgórze.

– Czy widzisz ten łukowaty występ, mój panie? Na nim skoncentruj spojrzenie. Już? Dobrze. Teraz wydaj rozkaz Księżycowi. Sam wiesz, czego zażądać.

Arystokrata patrzył w skupieniu. Usłyszał szept. Szept, który przerodził się w melodyjny zaśpiew, w pieśń, którą zdążył już poznać.

– *Astrogha... Astrogha...*

W jego umyśle słowo to brzmiało jednak inaczej...

Aldric... Aldric...

Gdy wyobraził sobie niewidzialny tłum, sławiący jego imię, pajęczy wzór pokrywający klejnot drgnął. Najdalej wysunięte kończyny pająka wyprostowały się, niemal dotykając palców arystokraty.

Wzgórzem zatrzęsło.

– *Otwórz się dla mnie!* - Aldric wydał niemy rozkaz. - *Otwórz się dla mnie!*

Rozległ się głośny jak grzmot trzask i wzgórze pękło na dwoje. Tony skał potoczyły się w dół. Zmutowani słudzy Jitana pierzchli w popłochu, unikając zmiżdżenia.

Zapadło się całe zbocze wzgórza. Zwały gruzu i ziemi zatrzymały się tuż przed mężczyznami.

– Stało się - powiedział Karybdus. - Poczekajmy chwilę, aż opadnie pył.

Aldric opuścił klejnot. Serce biło mu gwałtownie. W żyłach krążyła adrenalina.

– Fantastyczne!

Nekromanta zbliżył się do Jitana.

– A to tylko mała część darów Astroghi. Wyobraź sobie, mój panie, co będzie, gdy pełnia mocy boga-pajaka stanie się twoim udziałem.

– Ile jeszcze trzeba czasu? Przeklęty! Jak długo mam jeszcze czekać?

– Pierwsza faza rozpocznie się za niewiele ponad dwie godziny. Powinniśmy rozpocząć przygotowania - doradził nekromanta, spoglądając na niebo.

Kiedy skończył mówić, pył wreszcie osiadł i ich oczom ukazało się miejsce narodzin klejnotu.

W szczelinie stały dwa bliźniacze posągi, przedstawiające wojowników o pajęczych głowach i ośmiu ludzkich ramionach. W każdym z ramion dzierżyły broń innego rodzaju. Figury złowrogich strażników były dwa razy wyższe od dorosłego człowieka. Wyrzeźbiono je tak pieczołowicie, że nawet po wiekach spędzonych pod wzgórzem wyglądały, jakby w każdej chwili były gotowe stanąć w obronie świętego miejsca.

– Wejdziemy, mój panie? - zapytał Karybdus uprzejmie.

Ledwie nekromanta skończył mówić, a lord Aldric już szedł w stronę starożytnej budowli. W jednej dłoni trzymał Pajęczy Księżyc. Drugą ręką czule gładził perłę niczym dziecko lub ulubione zwierzątko. Orszak

złożony z Jitana, Karybdusa i pajęczych sług arystokraty, stanowiących rodzaj straży honorowej, przeszedł między pilnującymi wejścia posągami i wkroczył do wnętrza. Od razu zauważyli, że budowla była o wiele większa, niż wskazywały na to rozmiary wzgórza.

Tak, jak i świątynia sięgała ona głęboko pod powierzchnię ziemi. Schody, po których schodzili, wykuto z opalizującego materiału, przypominającego ten, z którego wykonano Pajęczy Księżyc. Przy każdym kroku zdawało się Aldricowi, że widzi poruszające się wewnątrz stopnie kształty stworzeń o ośmiu kończynach, takie same jak ten zamknięty w klejnocie.

Żaden z nich nie miał ze sobą pochodni. Mimo to wewnątrz było jasno jak w dzień. Światło nie miało żadnego wyraźnego źródła. Zdawało się po prostu pojawiać znikąd, tam gdzie było potrzebne. Dla Aldrica Jitana stanowiło to kolejne świadectwo tego, jak potężna jest moc, którą miał wkrótce zawładnąć.

Po jakimś czasie zobaczyli przed sobą coś, co ostatecznie potwierdzało, że ukryta we wnętrzu wzgórza budowla to miejsce, którego szukali. Szeroki, owalny ołtarz z wyrytym nań symbolem pająka.

Jednakże zobaczyli też coś innego, co sprawiło, że Karybdus, zaskoczony jak nigdy, aż syknął.

Tuż przed ołtarzem leżały trzy szkielety, trzy zmumifikowane ciała, ubrane w szaty, których krój wydał się Jitanowi dziwnie znajomy.

– Te ciała... wyglądają zupełnie jak tamten z grobowca - orzekł mrużąc oczy Jitan. - Mają na sobie takie same przeklęte kolorowe szmaty. Jak ich wtedy nazwałeś? Vazjero?

– Vizjerei. - Nekromanta prawie splunął wypowiadając tę nazwę. - Jak już ci mówiłem, to najniższa kasta magów. Zepsuci i niosący zniszczenie.

Nie powinno ich tu być. Z moich dociekań wynika, że jest tu tylko jedno wejście.

– No cóż. Przecież oni też mieli kiedyś Księżyc. Mogli otworzyć wzgórze tak, jak my przed chwilą.

Myśli Jitana zaprzętało jednak coś innego. Czy te ciała wyglądały rzeczywiście dokładnie tak samo jak Vizjerei z grobowca? Nie musiał tego wyjaśniać nekromancie, który już rysował ostrzem sztyletu w powietrzu swoje symbole. Mamrotał przy tym zaklęcia składające się ze słów, których większość Aldric słyszał pierwszy raz w życiu. Rozległ się syk, jakby coś wysssało powietrze z całej sali. Kolejno wszystkie trzy szkielety wyschły i zapadły się. Suche kości skręcały się i chudły. Ciała zwijały się, aż zmieniły się w trzy kopczyki, nijak nie przypominające ludzkich szczątków.

Karybdus zacisnął pięść w powietrzu i kopczyki obróciły się w pył.

– Nie musisz się już niczym niepokoić, mój panie.

Uspokojony Aldric skinął głową i podszedł do ołtarza. Stojący za nim mag jeszcze raz omiół wzrokiem całą salę, po czym podążył za Jitanem. Za nekromantą, z pustym wzrokiem, kroczyła Salene.



– Jesteś istną skarbnicą dziwów, magiku - oznajmił Sardak, wytrzeszczając zdumione oczy. - Oswoiłeś wendigo! Długo miałbym co opowiadać po tawernach!

– Ja go nie oswoiłem - odparł Zayl, nadal dotykając czubkami palców dłoni wendigo. - Można powiedzieć, że zrzuciłem z niego klątwę.

– Czysta poezja! Powinni napisać o tym baśń!

Nagle z sakiewki przy łokciu nekromanty dobiegł głos Humbarta:

– On takie cuda robi już nie po raz pierwszy! Gdybyś z nim podróżował, co chwila spotykałoby cię coś interesującego.

– Dziękuję, ale zdecydowanie wolę knajpiane przygody. Przy nim mam trochę zbyt dużo wrażeń.

Zayl był tak samo podekscytowany jak jego towarzysze. Dużo bardziej jednak interesował go dziwny zbieg okoliczności. Leśny olbrzym odnalazł go w miejscu bardzo oddalonym od tego, gdzie spotkał go po raz pierwszy. Co więcej, wendigo nie miało przecież żadnego powodu, by go szukać, a co dopiero pomagać mu w tak trudnym momencie.

Będąc wyznawcą Rathmy i sługą Równowagi, Zayl nie wierzył, że mógł to być czysty przypadek.

– Więc co teraz z tym zrobimy? - Sardak zadał pytanie nurtujące wszystkich obecnych.

– To nie jest zwierzę, głupcze! Wendigo to „on”. Nie mów tak na niego. To nieuprzejme.

Czaszka miała rację i nekromanta zdziwił się, że sam nie zwrócił na to wcześniej uwagi.

– Więc, zapytam jeszcze raz, co... - Wiedza Humbarta nie wywarła na Sardaku dużego wrażenia.

Nie dokończył pytania. Przerwało mu wendigo, wydając serię pomruków i wskazując ręką w stronę, w którą natychmiast poszło.

– Chce, żebyśmy za nim szli - powiedział nekromanta.

– Iść za tym? A co z Salene?

– Podejrzewam, że wendigo prowadzi nas właśnie do niej.

– Mam tylko nadzieję, że nie prowadzi nas do swojej spiżarni. - Arystokrata trzymał miecz skierowany w kierunku wendigo.

Poszli dalej. Myśli Zayla przeniosły się ze szczęśliwego powrotu wendigo na zastawioną przez Karybdusa pułapkę. Starszy nekromanta

zdawał się być przygotowanym na przyjęcie Zayla zawsze i wszędzie. Nie tylko wiedział dokładnie, że młody Rathmita pójdzie jego śladem, lecz także wybierał najlepsze miejsca na atak.

We wszystkich napaściach, jakich Zayl doświadczył, wyczuwał jednak dwie sprzeczne intencje. Zarówno zła istota, która porwała nekromantę z celi, jak i armia nieumarłych starały się nakłonić go do wspólnej realizacji ich planu, jakikolwiek by on nie był. Karybdus natomiast zdawał się być zdecydowanym na dobre usunąć młodego nekromantę z ułożonego przez siebie równania. Bez względu na wszystko inne.

– Coś się dzieje przed nami - ostrzegł Humbart. - Czuję to. Ty nie, druhu?

– Czuję.

Wendigo dodało do rozmowy kilka pomruków i wskazało na zbocze wzgórza. Zayl i Sardak poszli za olbrzymem. Po chwili dotarli do miejsca, gdzie zobaczyli budowlę, do której Karybdus zaprowadził Salene. Złe przecucie tknęło Zayla, gdy tylko spojrzął na posągi strażników. Uważnie omiótł wzrokiem otoczenie. W pobliżu wejścia, na zboczu i na wierzchołkach drzew, czuwało na warcie kilkoro ludzi-pająków.

– Czy przybyliśmy za późno? - zapytał Sardak, potrząsając mieczem.

– Myślę, że nie. - Strażnik Równowagi spojrzął w niebo. - Noc się dopiero zaczyna. Wydaje mi się, że oni muszą czekać, aż księżyc znajdzie się w określonym miejscu nieba. Tak czy inaczej, czas ucieka.

– No to chodźmy - zerwał się Nesardo.

Powstrzymało go wendigo. Wielkie łapy uniosły mężczyznę z zadziwiającą u krwiożerczego stworzenia delikatnością. Gigant postawił szarpiącego się Sardaka obok Zayla i napomniął go karcącym pomrukiem.

– Postaraj się trochę ochłonać - dodał Zayl. - Musimy poczekać, aż nie będą mogli się skupić wyłącznie na nas.

– Przecież i tak na pewno wiedzą, że za nimi idziemy. Te potwory, z którymi walczyliśmy, na pewno wróciły i doniosły o porażce. Na co mamy czekać? Chwyćmy za broń i ruszajmy! Nie będą przygotowani na tak śmiały atak.

Zayl nie winił go za lekkomyślność. Sardakowi bardzo zależało na uratowaniu siostry.

– Znajdziemy inny sposób. Obiecuję ci, Sardaku.

– Ale jaki?

Wendigo nagle mruknęło, wskazując kierunek przeciwny temu, w którym znajdowała się uwięziona Salene.

– Nie jestem całkiem pewien - odezwał się Humbart. - Ale myślę, że on znalazł ten sposób.

Nie on jeden tak myślał. Gdy szli za wendigo, mag zastanawiał się nad metodami działania nekromantów i nad tym, że Karybdus spodziewał się ataku z zupełnie innej strony.



Karybdus zamarł. Zwężonymi oczyma spojrzął w tył ku wejściu.

– Coś się stało? - Aldric zauważył nagły gest nekromanty.

– Zastawiłem pułapkę, lecz zwierzyna umknęła.

– Co oznacza, że idzie tu ten Zayl? Jak udało mu się uciec tak wielu naszym? Idzie tu z wojskiem?

– Nie. On w ten sposób nie działa. Nie mam pewności, co się tam stało. Umysły tych, którzy przetrwali, są w nieładzie.

– Czar nekromanty. Sam mi o nim mówiłeś. Na pewno możesz temu zaradzić.

– To nie czar - zafrasował się nekromanta. - To jakieś... całkowite pomieszanie. - Siwowłosa Rathmita pociągnął nosem. - Ale to zupełnie nie twoje zmartwienie, mój panie. Teraz, gdy wiemy, że Zayl nadchodzi, powitamy go odpowiednio.

– Tak jak w Marchii Zachodniej? - Jitan podniósł wzrok znad ołtarza. - Powstrzyma go Cornelius? Czy może martwi kultysty?

Kpiący ton Aldrica nie zbił z tropu Karybdusa.

– Cornelius jeszcze odegra swą rolę. To on wraz z Edmunem przygotowali pułapkę z udziałem Zakarum. To, że Kościół nie działał wystarczająco szybko, wiedząc, że mają do czynienia z nekromantą, to już wina Kościoła. Ostrzegaliśmy ich, że Zayl jest niebezpieczny. Cornelius też dopilnował, żeby generał Torion całą swą uwagę poświęcił schwyтaniu nekromanty. – Karybdus przekrzywił głowę. - Tak czy inaczej, Cornelius już i tak bardzo się nam przysłużył.

– Skoro tak mówisz, to pewnie tak jest. Masz pokrętny umysł, magu. Nie chciałbym grać z tobą w szachy. Nie wiedziałbym nawet, czy wygrywam, czy przegrywam. - Arystokrata spojrział na Salene. - Czy już czas?

W odpowiedzi Karybdus strzelił palcami. Salene natychmiast podeszła do ołtarza i jakby układając się do snu, spokojnie położyła się na kamiennej płycie.

Starszy mężczyzna schował do pochwy swój kościany sztylet i wydobył jedno z rytualnych ostrzy. To tego właśnie sztyletu szukał, gdy lady Nesardo pojawiła się w świątyni. Dla Karybdusa jej niespodziewane przybycie stanowiło wyraźny znak, że jego dzieło na rzecz Równowagi zmierza do szczęśliwego końca.

Kilkoro zmutowanych ludzi Jitana czekało przykucniętych dookoła ołtarza. Wyglądali na równie zniecierpliwionych, co Aldric.

– Wkrótce zawładniesz potężną mocą, mój panie - powiedział śpiewnie nekromanta. - Władza i legiony wyznawców. Wszystko dzięki jednemu sprawnemu cięciu.

Z zakamarków szaty nekromanty wynurzył się jego ośmionogi ulubieniec. Wielki pająk wdrapał się Karybdusowi na ramię i przycupnął.

Aldric uniósł Pajęczy Księżyc z wyczekiwaniem. Klejnot zajaśniał.

– Tak, mój panie. Widzisz? Zaczęła się pierwsza faza.

– Zatem wypatrosz ją wreszcie!

– Cierpliwości. Najpierw należy wypowiedzieć wiele słów. - Mag przeszedł na przeciwną stronę ołtarza, trzymając rytualny sztylet nad rozciągniętym ciałem Salene. Na moment podniósł wzrok na klejnot i zadowolony z tego, co zobaczył, zaczął mamrotać zaklęcie. Jitan zrozumiał tylko jedno słowo... *Astrogha*.

Koszmarni słudzy Aldrica Jitana zaczęli cicho syczeć. Śpiewali pieśń Dzieci Astroghi. Uczepione ich głów niniejsze pająki zdawały się patrzeć na nekromantę z niecierpliwością w swych okrągłych źrenicach.

Karybdus opuścił sztylet.

Nacięcie na szyi Salene było maleńkie, ledwie powierzchowne. Z rany wyciekło tylko kilka kropli krwi, lecz to wystarczało nekromancie. Karybdus upewnił się, że odpowiednia ilość krwi znalazła się na czubku noża i wyciągnął dłoń do Aldrica.

Jitan opuścił Pajęczy Księżyc tak, że pajęczy wzór na perle zetknął się z krwawym ostrzem. Odnóża pająka z klejnotu drgnęły.

– Jest czysta - oznajmił siwowłosa. - Czysta krew Astroghi.

Skąpane w bladym świetle klejnotu oblicze lorda Aldrica Jitana wyglądało przerażająco. Żądza rozbudzona obietnicami nekromanty wyprała je z wszelkich ludzkich cech.

– Zrób to - zasyczał.

Karybdus spojrział nagle w bok, w ciemność. Na jego przypominającej maskę twarzy nie było najmniejszego znaku jakichkolwiek emocji.

– On już tu jest.

– Kto? Znów ten przeklęty Zayl? - Aldric spojrział na swe sługi. Ludzie-pajaki natychmiast zerwali się z miejsc i przy akompaniamencie złowrogich syków pognali ku wejściu.

– Zbliża się. Nie ma innej drogi niż ta, którą my tu przyszliśmy, ale on nie przejdzie tamtędy tak po prostu. Użyje magii. - Zakuty w zbroję nekromanta zbadał zaklęciem otoczenie. Niczym drapieżny ptak wietrzący świeży łup Karybdus skupił swe zmysły w jednym miejscu, na prawo od wejścia. - Powinienem go właściwie pochwalić. Jest już tutaj.

– Nic nie widzę.

– Ale zobaczysz. - Czarnoksiężnik nakreślił w powietrzu znak.

Ostra jak igła kościana włócznia - Szpon Trag'oula - zmaterializowała się tuż przed nekromantą i natychmiast wystrzeliła w kierunku, w którym patrzył. Gdy dotarła do wejścia, powietrze przy nim zafalowało i można było dostrzec zarys zakapturzonej, owiniętej w płaszcz postaci. Postaci, której pierś przeszła magiczna broń.

– Ha! - wyszczerzył zęby w uśmiechu lord Jitan.

Trzech spośród pozostających w sali ludzi-pająków pomknęło do wejścia, aby sprawdzić, czy intruz jeszcze żyje. Karybdus zszedł z ołtarza, trzymając w dłoni ofiarny sztylet.

– Zdziwiałe. Zabiłem go z pewnością, lecz nadal wyczuwam jego obecność.

Arystokrata także podszedł do leżącego nieruchomo ciała.

– To niemożliwe. Nikt nie przeżyłby...

Nagle salę wypełnił przeraźliwy krzyk, rozlegający się z każdej strony, odbijający się tysięcznym echem. Aldric, Karybdus i słudzy zaczęli się

rozglądać dookoła - w poszukiwaniu źródła dźwięku.

Wielkie kawały marmuru runęły na zmutowanych ludzi Jitana.

Karybdus zaklął i uniósł swój płaszcz. W tym samym momencie powalone włócznie zwłoki zapadły się w siebie i buchnęła z nich gryząca chmura, przepełniona wonią rozkładającego się ciała. Ohydny obłok w jednej chwili urósł trzykrotnie i objął zbliżające się doń pajęcze monstra.

Stojący najbliżej z nich zasyczał, wydał dźwięk podobny do suchego kaszlu, zdołał jeszcze odwrócić się od trupa i bezwładnie padł na posadzkę. Dwóch stojących dalej zdążyło jeszcze zobaczyć śmierć towarzysza, po czym chmura trujących oparów objęła i zdusiła także i ich.

W tej właśnie chwili z ciemności w jednym z narożników sali wypadli Zayl i Sardak. Pojawili się tak nagle i niespodziewanie, że zdawało się, iż atakują, wychodząc wprost ze skalnej ściany. Pozbawiony swego płaszcza Zayl wyciągnął rękę i coś uniosło obszerną szatę, skrywającą leżące przy wejściu ciało. Kiedy płaszcz wzleciał w górę, stało się jasne, że zabity Szponem Trag'Oula intruz był jednym z ludzi-pająków Jitana. Zadana sztyletem rana na karku stwora świadczyła o tym, że był martwy, zanim jeszcze przewierciła go mistyczna włócznia.

Sardak rozplątał mieczem jednego z potworów i znalazł się u boku siostry.

– Salene, Salene, zbudź się! - krzyknął.

Okrzyk Sardaka zwrócił uwagę lorda Jitana.

– Ty tam! Zostaw ją, tawerniany szczurze! Ona jest nasza!

Młodzieniec zaklął i rzucił się na arystokratę. Aldric instynktownie uniknął ataku, rzucając się w bok, cały czas trzymając w ręku magiczny klejnot.

Sardak zwrócił się znów ku siostrze i mocno uderzył ją w twarz. Salene jęknęła głośno i obróciła głowę w stronę brata. To było jednak wszystko.

Płaszcz Zayla, unoszony w powietrzu przez kościany sztylet, powrócił do właściciela. Nekromanta zarzucił go sobie na ramiona. Szata owinęła Zayla sama niczym żywa istota. Sztylet wylądował wprost w jego dłoni. Kościane ostrze związane z jego własną energią życiową. Rathmita wykorzystał to dla zmylenia starszego nekromanty. Wiedział, że Karybdus, znając tylko jedno wejście do sali i wyczuwając w nim energię życiową Zayla, założy, że to właśnie on nadchodzi.

Ani Karybdus, ani lord Jitan nie znali tajnego przejścia dla kapłanów, które za to było dobrze znane wendigo. To dzięki temu obaj zdołali podejść tak blisko nieprzyjaciół.

Zayla nurtowało wiele pytań w związku z wendigo i jego dziwnie przyjaznym zachowaniem. Teraz jednak miał ważniejsze sprawy na głowie. Nadal przecież życie Salene, jego samego i Sardaka znajdowało się w poważnym niebezpieczeństwie.

Kiedy tylko o tym pomyślał, ujrzał Karybdusa, malującego w powietrzu dwukrotnie przekreślony okrąg. Rąbek płaszcza starego nekromanty nadal zasłaniał jego nos i usta,

Zayl poczuł, jak opuszczają go siły. Natychmiast odparł czar Karybdusa identycznym znakiem, do którego dodał jednak trzecią linię, tym razem pionową, dzielącą okrąg na dwoje. Siły wróciły mu natychmiast.

Starszego mężczyznę zakrył nagle cień. Nekromanta spojrzał w górę i rzucił się w bok, jak tylko mógł najdalej. Tuż obok niego grzmotnął o posadzkę kawał marmuru.

Gdy kamienny pocisk roztrzaskiwał się na podłodze, wendigo już atakowało Dzieci Astroghi, zmieniając jedno z nich w krwawą miazgę. Dwa pozostałe potwory wskoczyły na olbrzyma i zaczęły kęsać. Ich kły nie mogły jednak przebić grubej skóry, a jad jedynie plamił futro.

Zayl podbiegł do Sardaka.

– Zabierz ją stąd! Prędko!

– Nie mogę jej dobudzić. Trzeba ją będzie nieść!

– Poczekaj, zobaczę. - Nekromanta pochylił się nad Salene. Rzucony na nią czar nie należał do tych, których uczono nowicjuszy. Zayl jednak, podobnie jak Karybdus, wielu zaklęć wyuczył się sam w późniejszych latach. Nekromanci stosowali wszystkie czary, które mogły służyć zachowaniu Równowagi, pod warunkiem, że nie szkodziły rzucającemu. Przykrył swą skrytą w rękawicy prawą dłonią twarz kobiety. Sardak głęboko wciągnął powietrze, co stanowiło wyraźną oznakę, że nie zapomniał, co znajdowało się pod rękawicą. Zayl szybko wypowiedział zaklęcie, które w swej pierwotnej wersji miało na celu wybudzenie duszy z wiecznego snu. Dawno temu zmodyfikował ten czar, i teraz służył do przebudzenia obłożonych klątwą ludzi.

Jedynym problemem było to, że zaklęcie nie zawsze działało. Tym razem jednak Trag'Oul mu sprzyjał. Salene jęknęła i otworzyła oczy, trzepocząc powiekami.

– Uwaga! - krzyknęła od razu.

Aldric Jitan, trzymając w dłoni Pajęczy Księżyc, patrzył na całą trójkę złym spojrzeniem niczym rozgniewane bóstwo.

Zanim arystokrata zdołał rzucić na nich zaklęcie, rzucił się na niego Sardak. Ostrze miecza ugrzęzło głęboko w ramieniu Jitana, który głośno zawył i niemal upuścił złowieszczą perłę.

Ratując Zayla i Salene, Sardak odsłonił jednak sam siebie i nie zauważył czającego się z boku wroga. Ośmionogi potwór pochwycił brata Salene i poderwał go z ziemi, zanim tamten zdążył zareagować.

– Sardak! - krzyknęła Salene, wyciągając rękę ku bratu. - Sardak! Nie!

Z jej rozczapierzonej dłoni buchnęła struga ognia. Płomień przeleciał przez salę i uderzył w trzymającego młodzieńca stwora z siłą, która

powaliła go natychmiast na ziemię. Wywołana przez lady Nesardo moc nie uczyniła Sardakowi najmniejszej krzywdy. Gdy płonąca masa, która niegdyś była jednym z ludzi Jitana, wpadła z impetem na przeciwległą ścianę, młody mężczyzna chwycił się za gardło i zatoczył się kilka kroków w tył.

Salene wyrwała się Zaylowi. Stawiając niepewnie kroki, podbiegła do brata i podtrzymała go, chroniąc przed upadkiem.

Nekromanta chciał pobiec za nią, lecz nagle dwa martwe pajęczce monstra podniosły się i zagroziły mu drogę. Za nimi Zayl zobaczył Karybdusa, który z obojętnym wyrazem twarzy wymachiwał sztyletem, nie tylko w stronę wskrzeszonej dwójki, lecz także w kierunku pozostałych zabitych potworów.

Młody Rathmita zaklął i pchnął sztyletem w głowę najbliższego przeciwnika. Ostrze weszło głęboko. Stwór zadrżał i zwiotczał.

W tej samej chwili drugi z wskrzeszonych szarpnął się i eksplodował.

Zayl krzyknął. Siła wybuchu odrzuciła go w tył, wprost na ołtarz. Uderzył plecami tak mocno, że poczuł wyraźnie ból w każdej ze swych kości. Leżał nie mogąc się poruszyć. W skroniach czuł bolesne pulsowanie. W oczach mu się mąciło. Półświadomie pomyślał, że Karybdus znów go przechytrzył. Wskrzesił martwe ciała, aby potem użyć zmagazynowaną w nich złą energię. To, co właśnie zrobił mag, stanowiło mistrzowsko wykonaną dwustronną wariację ataku, jaki Zayl zastosował w krypcie.

Nekromanta obserwował zdarzenia zamglonym wzrokiem. Akcja ratunkowa wymknęła się spod kontroli. Umierający Sardak spoczywał w ramionach siostry. Sama Salene nie zwracała uwagi na zbliżającego się do niej Karybdusa. Wendigo opadły Dzieci Astroghi w takiej liczbie, że zdołały wreszcie powalić olbrzyma na kolana. Zayl nadal nie mógł ani wstać, ani pomóc towarzyszom w jakikolwiek inny sposób.

Jitan ruszył do Salene, lecz zatrzymał go Karybdus, wskazując na wendigo.

– Zajmij się tamtym! Ja przygotuję kobietę.

Arystokrata uśmiechnął się. Ściskając Pajęczy Księżyc, wskazał pokrytego futrem giganta.

Gdy tylko to uczynił, tuż przed nim rozbłysło jasne światło. Jitan zawył i zakrył oczy klejnotem. Wtedy właśnie wendigo zdołało podnieść się na nogi. Ryknęło rozdzierająco i odrzuciło napastników od siebie niczym piórka. Jednego z potworów, który zdołał utrzymać się na jego futrze, oddał przemocą i gruchnął nim o ziemię. Miażdżący ruch nogi uczynił z człowieka-pajaka martwy zewłok.

Leśny olbrzym zwrócił wzrok na zajętego Salene Karybdusa. Ten jednak, jakby ostrzeżony jakimś szóstym zmysłem, odwrócił się w ostatniej chwili/ żeby uniknąć ciśniętego w siebie trupa. Po raz kolejny gwałtowny uskok uratował mu życie.

Wendigo podbiegło do Zayla. Umięśniona łapa uniosła leżącego bezradnie nekromantę w powietrze.

– Nie - wyjęczał. - Nie mnie... Innych...

Wendigo, jakby rozumiejąc człowieka, podbiegło do Salene i jej brata. Mając jednak zajęta jedną rękę, podniosło tylko kobietę.

– Sardak! - krzyknęła Salene. - Nie mogę go tu zostawić!

Olbrzym zlekceważył jej protesty. Trzymając w ramionach dwójkę ludzi, biegiem ruszył ku wyjściu.

– Za nimi! - dobiegł Zayla krzyk Karybdusa. - Mój panie! Wyślij za nimi potwory!

Jitan warknął wściekle i za uciekinierami rozległy się gniewne syki, oznaczające, że Dzieci Astroghi ruszyły do ataku. Strażnik Równowagi spróbował ostrzec wendigo, lecz z jego gardła dobył się jedynie skrzek.

Opuścili świątynię i zbliżyli się do ciemnego schronienia, jakie dawał las. Za nimi pędziły Dzieci Astroghi. Zayl, nie mogąc zrobić nic innego, poddał się woli wendigo. Usłyszał, jak Salene łka za bratem, i przepełnił go żal. Sardak okazał się odważnym, dzielnym człowiekiem, który za nic miał poświęcenie samego siebie dla dobra przyrodniej siostry, obdarzonej przywilejami, jakich sam został za młodu pozbawiony.

Nekromanta nagle uniósł głowę.

Przyrodni brat.

W jego żyłach krążyła przynajmniej częściowo ta sama krew.

Ta sama krew...



Aldric Jitan rzucił barwną wiązkę przekleństw, którymi zadziwił nawet bywałego w świecie Karybdusa. Siwowłosy nekromanta pozwolił arystokracji wyładować złość, zanim powiedział:

– Uspokój się, mój panie. Sytuacja nie jest tak zła, jak myślisz.

– Nie jest zła? - Nie rozumiejące oczy płonęły. - Ten Zayl ma chyba więcej żyć od przysłowiowego kota! Jak możesz stać tak spokojnie? Po raz kolejny zrobił z ciebie głupca!

– Nauka nigdy nie jest głupotą. A Zayl nauczył mnie niejednego i za to go szanuję. Jest jeszcze bardziej pomysłowy, niż o nim mówią.

– Pomysłowy? - Aldric warknął ostro. - Oględnie powiedziane! To było wendigo, przyjacielu! Wendigo! Skąd on, do diabła, wytrzasnął to zwierzę?

– Jak już mówiłem, jest pomysłowy - przytaknął Karybdus. - A nawet twórczy. Choć nie wystarczająco. - Nekromanta pozwolił sobie na chwilę zamyślenia. - Co do wendigo, to miałeś przecież doskonałą okazję, by pozbyć się tego stworzenia. Co się stało?

– To przez to przeklęte światło! Nie widziałeś go? Przysięgam! Było jasne jak słońce!

– Jasne światło? - Karybdus zacisnął wargi. - Z pewnością to kolejna ze sztuczek Zayla. A może nawet i tej kobiety. Drzemie w niej ogromna moc. Ciekawie byłoby móc ją przebadać.

– Ciekawiej byłoby mieć ją tu, na ołtarzu! Konwergencja minęła! - Arystokrata wyglądał tak, jakby miał za moment użyć Pajęczego Księżycy na siwowłosym magu. - Odebrano mi chwilę mej chwały! -Przez jego twarz przebiegł cień. - Wrócą koszmary...

– Nie wszystko stracone, mój panie. - Karybdus uspokajająco uniósł dłoń. - Mamy wszystko, czego nam potrzeba. Możemy kontynuować nasze dzieło zgodnie z planem.

– Jak to?

Nekromanta wskazał na dwóch pozostałych w sali ludzi-pająków, a potem na skuloną nieopodal ołtarza postać. Na Sardaka.

– Rzuciłem zaklęcie od razu, gdy tylko spostrzegłem, że go ukąsił. Jego krew jest jeszcze ciepła, a czar nie pozwala jej wyciekać.

Aldric obrzucił ciało Sardaka takim spojrzeniem, jakim potraktowałby robaka znalezionego w zupie.

– Ten bękart? Przecież nie przyniesie nam więcej pożytku niż kupa odpadów. To utracjusz i pijak. - Lord Jitan potarł ranę zadaną mu przez utracjusza. - Kazałbym wyrzucić jego ścierwo na zewnątrz, tylko że przyciągnęłoby następne wendigo.

– Nie marnowałbym tak cennego towaru na wendigo - oświadczył Karybdus, gdy Dzieci Astroghi podnosiły ciało Sardaka, i dodał: -Nie, jeśli może nam się przydać do osiągnięcia celu. Jest jej przyrodnim bratem. Ma w sobie jej krew. Częściowo.

Towarzysz nekromanty wreszcie zrozumiał. Arogancka twarz arystokraty rozpromieniła się w niemal dziecinnie radosnym uśmiechu.

– Możemy złożyć go w ofierze? Nawet po śmierci?

– Dokładniej rzecz ujmując, on jest na granicy śmierci. - Nekromanta zaczekał, aż ciało Sardaka spocznie na ołtarzu, i wydobył swój sztylet. - A to wszystko, czego nam trzeba.

Zakuty w zbroję nekromanta spojrzał na Aldrica.

– Zechcesz zająć swe miejsce, mój panie?

Szczerząc się jeszcze szerzej, Jitan nie zwlekał.

SIEDEMNAŚCIE



Zasnuty mgłą las przesuwiał się przed oczami niesionego przez wendigo Zayla serią urywanych, koszmarnych, niewyraźnych obrazów. Za nimi, po drzewach, wśród gałęzi, gnały żwawo czarne kształty. Ściagały ich niczym sycząca wilcza horda, której jedynym celem stało się zabicie olbrzyma, jego i być może Salene.

Wyczerpana ucieczką i bólem po stracie brata arystokratka milczała. Zayl nie wiedział, czy usłyszałaby jego głos, lecz i tak nie miał zamiaru rozmawiać z nią o Sardaku. Mógłby w takiej rozmowie zdradzić się przed nią ze swymi obawami, że dzięki niemu Karybdus i lord Jitan dopięli wreszcie swego.

Zayl miał nadzieję, że jad potwora zabił Sardaka, zanim Karybdus zdołał zainterweniować. To było ważne nie tylko ze względu na duszę brata Salene, ale i ze względu na dusze wszystkich ludzi na świecie.

Jedynie Humbart Wessel, schowany w mocno przytroczonej do pasa sakiewce, odważył się na jakikolwiek komentarz.

– Co się, do diabła, dzieje? Czy to było trzęsienie ziemi? Co się z nami dzieje?

Nie otrzymawszy odpowiedzi przez dobrych kilka minut, czaszka zamilkła.

Szybki bieg i ciężar dwóch dorosłych ludzi, nie licząc czaszki, nie wydawały się męczyć wendigo. Jednak ścigające ich potwory także się nie zniechęcały, bezustannie gnając za zręcznie mknącym przez las olbrzymem.

Utrzymywały równe tempo, nie zbliżając się do uciekinierów. Nekromanta zaczął odzyskiwać nadzieję, gdy zauważył, że kilka potworów zostało z tyłu.

Nagle dwoje Dzieci Astroghi zaskoczyło wendigo od przodu. Olbrzym wypuścił ich z rąk. Salene krzyknęła. Z ust Zayla dobył się jęk. Nekromanta padł tuż obok powalonego pnia drzewa. Dzięki swej kociej zwinności natychmiast podniósł się na nogi i rozejrzał za kobietą. Zamiast niej zobaczył jednak wendigo z uczezionymi jego ramion i piersi monstrami. Gigant odwracał się właśnie twarzą w kierunku zbliżającego się pościgu.

Zayl, skupiając się na dwóch najbliższych potworach z nadciągającej hordy, nakreślił sztyletem w powietrzu łukowaty symbol. Oba stwory zatrzymały się nagle i odwróciły w stronę towarzyszy, na których ruszyły z tą samą zaciętością, z jaką przed chwilą ścigały uciekinierów.

Zaczarowane przez nekromantę Dzieci Astroghi rzuciły się na pobratymców, rozrywając ich ciała i wgryzając się w ich gardła. Na skłębione ciała walczących wpadały kolejne stwory, potęgując jeszcze ogólny chaos.

Wykorzystując zamieszanie, Zayl podbiegł do miejsca, w którym jak sądził, upadła Salene.

Nie zobaczył jej jednak. Ogarnęło go przerażenie na myśl, że porwał ją już któryś ze sług Jitana, być może jeden z tych, co walczyli z wendigo. Jednakże chwilę potem usłyszał szelest gałęzi i zobaczył lady Nesardo. Gorzej jednak, że Salene biegła z powrotem tam, gdzie pozostał jej brat.

Nekromanta, starając się pozostać w ukryciu, podążył za nią. Z tyłu dolatywały go ryki wendigo, którym akompaniowały wściekłe syki ludzopająków. Zayl żałował, że nie może pomóc leśnemu gigantowi, ale musiał powstrzymać Salene przed szaleńczym powrotem. Zdawał sobie sprawę, że

jeśli Sardak umarł, zanim Karybdus zdołał zabezpieczyć jego krew, to arystokratka jest nadal potrzebna Jitanowi i jego towarzyszowi.

Salene gnała niemal na oślep, wciąż nieco oszołomiona. Zayl gonił ją, omijając zagradzające mu drogę pnie, wystające korzenie i gałęzie, tak zręcznie, jakby znał ten las od urodzenia.

Po niedługim biegu nekromanta doścignął Salene. Nie słyszała, jak się zbliżał. On natomiast wyraźnie słyszał każdy jej nerwowy oddech, słyszał też, jak cicho powtarza imię brata. To właśnie troska o Sardaka dodawała jej sił. Zayl rozumiał, że arystokratka nie zatrzyma się, nie odszukawszy brata, chyba że on sam ją powstrzyma.

Wyciągnął rękę, chcąc złapać ją za płaszcz.

Wtedy tuż przed nią jak spod ziemi wyrósł jeden z koszmarnych napastników. Chwycił ją czterema odnóżami. Kły sięgnęły do gardła zaskoczonych Salene.

Moment później potwór zawył. Z jego pleców wykwitł język płomienia. Drgając bezwładnie, człowiek-pająk rozluźnił uchwyt i padł na ziemię.

Ogień zgasł dokładnie w chwili, gdy stwór wydał ostatnie tchnienie. Niewielki płomyk wciąż pełgał na dłoni arystokratki. Salene spojrzała przelotnie na leżącego przeciwnika i pobiegła dalej.

Czas, który straciła na walkę, pozwolił Zaylowi znów ją dognać. Schwycił ją prawą ręką za ramię.

– Lady Nes...

Salene spojrzała na niego przez ramię ze strasznym wyrazem twarzy. Instynktownie chwyciła jego ukrytą w rękawicy dłoń.

Rękawica stanęła w płomieniach.

Gdyby nekromanta chwycił ją lewą ręką, ucierpiałby okrutnie. Puścił ją natychmiast i zdarł z siebie płonący materiał.

Widok nagich kości jego prawej ręki sprawił, że kobieta wreszcie oprzytomniała. Spojrzała na szkielet dłoni, na płonącą rękawicę i wreszcie w twarz nekromanty.

– Ja nie chciałam... ja...

– Nie musisz mnie przeproszać - przerwał jej cicho. - A teraz chodź ze mną. Szybko!

Spróbował poprowadzić ją w stronę Marchii Zachodniej, trzymając dłoń szlachcianki lewą ręką. Wyrwała mu się jednak.

– Nie! Sardak mnie potrzebuje! Potrzebuje mnie!

– Sardak nie żyje - powiedział nekromanta przez zęby. - Oddał swe życie, próbując ocalić twoje. Nie pozwól, by jego... - prawie powiedział „ofiara”, lecz powstrzymał się w porę - odwaga poszła na marne. Musimy iść do miasta.

– Nie możemy tam iść. Torion...

– ...nie pozwoli, by coś złego ci się stało. Torion ochroni cię, jak tylko będzie mógł, moja pani.

– A ty? - Salene zakryła usta dłonią.

– Poradzę sobie. A teraz...

Odwróciła się od niego.

– Nie. Musi być jakieś inne wyjście. - Spojrzała znów na Zayla. Na jej twarzy widać było zmęczenie. - Poza tym czuję go. Wiem, że Sardak mnie potrzebuje.

Ona go czuje? Czyżby ich wzajemna więź była na tyle silna, że Salene mogła poczuć, czy jej brat żyje, czy nie? Sardak już wcześniej dał to nekromancie do zrozumienia. Ta myśl spotęgowała obawę Zayla, który niepokoił się, że Karybdus będzie mógł wykorzystać krew Sardaka zamiast krwi jego siostry.

Nie mógł jednak ryzykować aż tak. Salene dla swego własnego dobra i dla dobra wielu innych istnień musiała z nim pójść.

Spojrzał jej w oczy i wydobył swój sztylet.

– Wybacz mi, Salene.

Dotknął rękojeścią tyłu jej głowy. Jęknęła i padła naprzód. Nekromanta ledwo zdołał uchronić ją przed upadkiem.

– Coś ty zrobił? - rozległo się z jego boku. Humbart do tej pory milczał. Wiedział bowiem, że rozpraszenie walczącego przyjaciela może okazać się niebezpieczne. Teraz jednak odważył się odezwać. -Nie widzę, ale wiem, że zrobiłeś coś panience.

– Cicho, Humbart. Nie miałem wyboru.

Czaska mruknęła, lecz nie powiedziała już nic.

Zayl odwrócił Salene twarzą do siebie. Miała otwarte oczy. Odczekał chwilę i gdy upewnił się, że kobieta nie mruga, powiedział:

– Pójdziesz ze mną, Salene Nesardo. Wrócisz do miasta. Nawet jeśli mi się coś stanie, zrobisz wszystko, aby wrócić do Marchii i ostrzec generała Toriona.

Zayl wiedział, że Torion jej wysłucha. Co więcej, jak nekromanta powiedział wcześniej, wiedział, że Torion ochroni Salene. Nic nie daje lepszej gwarancji niż miłość.

Puścił arystokratkę. Salene wyprostowała się. Nadal patrzyła spod nie mrugających powiek, lecz odwróciła się w kierunku niewidocznego stąd miasta. Zayl skinął głową i ruszył w kierunku, w którym spoglądała. Salene poszła za nim, dokładnie imitując każdy jego ruch. Pamiętał, że dokładnie to samo zrobił z nią wcześniej Karybdus. Dręczyło go poczucie winy, choć nie miał przecież innego wyboru.

W lesie nagle zaległa cisza. Zakapturzony nekromanta nie wiedział, czy wróżyło to dobrze, czy źle. Wendigo okazało się tak samo dobrym

towarzyszem, jakim był w Ureh kapitan Kentril Dumon. Leśny gigant kilkakrotnie zaryzykował swe życie, żeby bronić Zayla i jego przyjaciół.

To tylko wzmogło postanowienie nekromanty, by dotrzeć do miasta bez względu na wszystko.

Za nic nie chciał wracać do Marchii podziemiami pod domem Nesardo. Nawet jeśli jaskinia nadal istniała, wciąż mogli się w niej skrywać nieumarli wyznawcy Astroghi. Zayl co prawda podejrzewał, że utrzymująca ich przy życiu magia przestała już działać, nie chciał jednak ryzykować życiem Salene.

Musieli wrócić główną bramą.

W ciszy rozległo się wycie. Po nim usłyszeli kolejne i jeszcze jedno.

– A to co znowu?

– Powiedziałem, bądź cicho, Humbart. Ja...

Dopiero teraz zauważył, że choć dzień już dawno ustąpił, niebo świeciło silnym blaskiem.

Nekromanta spojrział w górę i zobaczył księżyc. Jednakże tak wyglądającego księżycyca nie widział nigdy wcześniej. Mimo że to nie była odpowiednia kwadra, osiągnął pełnię. Wydawał się też o wiele bliższy ziemi niż normalnie.

Tarczę satelity zaczął pokrywać od góry dziwny, niepokojący cień.

Cień o ośmiu odnóżach, sięgających niżej i niżej.

– Na Klin Odyssiana! - zaklął nekromanta i przyspieszył kroku. Salene natychmiast uczyniła to samo. Niemal biegli.

– Rozumiem, że cokolwiek się dzieje, to dobrze chyba nie jest - powiedział z troską Humbart. - Szkoda, że nie mogę ci pożyczyć dodatkowej pary nóg.

Zayl nie odpowiedział. Słyszał wycie coraz większej liczby wilków. Rozległy się też głosy sów i innych nocnych stworzeń. Leśne istoty

wyczuwały niezwykle zmiany, jakie zachodziły w księżycu.

Nekromanta bez przerwy rozglądał się dookoła, pościgu jednak nie było. Być może wendigo zabiło wszystkie potwory, zanim samo poległo. Możliwe też, że ludzie-pająki zgubili trop i szukali zbiegów gdzie indziej. Obie możliwości dawały Zaylowi nadzieję.

Istniała jednak trzecia możliwość. Możliwość, której najbardziej się obawiał. Potwory mogły porzucić pościg i wrócić do Jitana dlatego, że Zayl i Salene nie byli już potrzebni ani zjadanemu ambicją arystokracie, ani też Karybdusowi. Jeśli zdołali wykorzystać krew Sardaka, to ucieczka Zayla sprzyjała ich planom.

Zatrzymał się gwałtownie. Salene zrobiła to samo. Nekromanta postąpił krok w stronę ruin, w których skrywał się Karybdus. Salene poszła za nim.

Nie mógł jej zabrać z powrotem. Wyciągnął ku niej swą okaleczoną dłoń.

– Salene, usłysz mnie! Dalej pójdziesz już sama. Zakłęcie...

Rozległ się trzask gałęzi. Nekromanta odwrócił się w miejscu. Spodziewał się ujrzeć Dzieci Astroghi lub cudem ocalałe wendigo.

Usłyszał jednak ciche rżenie konia.

Ze wszystkich stron opadli go zbrojni jeźdźcy. Wszyscy trzymali w rękach nagie miecze, skierowane ostrzami w stronę nekromanty. Nie spuszczać z niego oczu, okrążali go powoli.

Jeden z jeźdźców zbliżył się nieco za bardzo do Salene. W obawie, by nic się jej nie stało, Zayl przyciągnął ją bliżej siebie.

– Zabieraj od niej swe brudne łapska, nekromanto. I rzuć ten sztylet.

Żołnierze zatrzymali się. Spomiędzy nich wyjechał oficer w hełmie zdobionym ptasimi piórami. Mag nigdy go wcześniej nie widział, lecz żołnierz odezwał się do niego tak, jakby dobrze się znali.

– Fortuna mi sprzyja - powiedział z triumfem w głosie. - Nieuchwytny Zayl! Tak myślałem, że nie ma cię już w mieście i zgłosiłem się na

ochotnika na ten wypad. Nie przypuszczałem nawet, że będę mieć aż takie szczęście. - Oficer wyciągnął miecz i uczynił gest taki, jakby chciał ściąć nekromancie głowę. - Nie będziesz już siać zła.

- Posłuchaj mnie - przerwał żołnierzowi Zayl. - Królestwo jest w niebezpieczeństwie! Musisz...

- Milcz, psie! - krzyknął jeden z żołnierzy i zamachnął się mieczem na Rathmitę, który odskoczył w porę, żeby uniknąć ostrza.

Salene także odskoczyła, naśladowując ruch nekromanty.

- Jak śmiałeś tak ją potraktować? - Dowódca patrolu zaklął. - Jeśli chcesz zachować choć cień nadziei na ocalenie, to natychmiast zdejmij z niej ten czar!

Zayl wątpił, czy w tych okolicznościach może zachować jakąkolwiek nadzieję na ocalenie, posłuchał jednak rozkazu. Bez względu na to, co czekało jego samego, musiał zadbać o bezpieczeństwo Salene.

Do zdjęcia czaru wystarczył nieznaczny ruch ręką. Arystokratka zakaszła. Mrugając gwałtownie oczami, rozejrzała się wokół i zobaczyła otaczających ich żołnierzy. Spojrzała na dowódcę.

- Alec?

- Kapitan Mattheus, jeśli wolno, moja pani. - Żołnierz dotknął palcami hełmu na znak szacunku. - Proszę pozwolić mi powiedzieć, że jest mi niezmiernie miło widzieć, że ten nędznik pani nie skrzywdził.

- Kto? Zayl?

- Moja pani - wtrącił się zakapturzony nekromanta. - Teraz najważniejsze jest, żebyś pojechała z tymi żołnierzami do generała Toriona i opowiedziała mu o tym, co widzieliśmy...

- Ty! Siedź cicho! - warknął żołnierz, który wcześniej zamachnął się mieczem na Zayla.

Tym razem uderzył nekromantę płazem miecza w ramię. Czarownik jęknął i zatoczył się na kilka kroków, zanim odzyskał równowagę.

Salene posiniała z wściekłości.

– Przestań! - krzyknęła ostro na zdumionego żołnierza. Zwróciła się do kapitana:

– Alec, kapitanie Mattheus, Zayl jest moim przyjacielem i dopiero co ocalił mi życie.

– Jest heretykiem i stanowi zagrożenie dla królestwa.

– Heretykiem? A ty zostałeś nagle rycerzem Zakarum? I powiedz mi, proszę, jakież on stanowi zagrożenie dla królestwa? Tylko dzięki niemu i Sardakowi... - Salene zadrżała. - Biedny Sardak... - Otrząsnęła się. - Jeśli szukacie kogoś zagrażającego królestwu, powinniście odnaleźć lorda Aldrica Jitana, który jeszcze dzisiejszej nocy chciał złożyć mnie w ofierze!

Mina oficera wyrażała, jak Zayl się tego spodziewał, głębokie powątpiewanie.

– Chcesz mi powiedzieć, że lord Jitan, wysoki rangą członek Rady Arystokratów, chciał złożyć cię w ofierze, moja pani? W ofierze czemu, jeśli wolno spytać?

– Jakiemuś demonicznemu pająkowi! Ja...

– Najwyraźniej nekromanta nie zdjął z ciebie wszystkich swych ohydnych zaklęć - przerwał jej Mattheus. - Albo też to wszystko, przez co przeszłaś, pomieszało ci zmysły i mylisz nekromantę z lordem Jitanem!

– On nie rozumie - powiedział Zayl do Salene. - Najlepiej będzie, jeśli...

– Nie rozumie? - powtórzył gniewnie dowódca. - Nie usłyszałem dotąd niczego, co można by zrozumieć lub nie! - Ku zaskoczeniu nekromanty kapitan Mattheus schował miecz do pochwy. - Ale najwyraźniej sytuacja jest bardziej złożona, niż myślałem. Będziemy musieli zabrać was oboje do generała Toriona, który wybije ci te wszystkie, wybacz mi, pani, nonsensy z

głowy. - Zanim Salene zdążyła zaprotestować, Mattheus dodał: - Co do ciebie, nekromanto, udało ci się uzyskać ułaskawienie. Czasowe ułaskawienie. Brennard! Zwiąż temu kundlowi ręce na plecach. Yorik! Daj swojego konia damie. Pojedziesz z Samuelem. On ma największego i najsilniejszego wierzchowca.

- Tak jest! - krzyknęli żołnierze. Brennard, brodaty, stary wojak z blizną biegnącą przez nos, podszedł do Zayla z taką obawą, jakby nekromanta był samym Diabło.

- Łapy do tyłu! - rozkazał.

Nekromanta posłuchał. Wiarus zaklął widząc z bliska prawą dłoń nekromanty.

- Kapitanie! Ręka przegniła mu do kości. Nie ma nic prócz szkieletu i kilku ścięgien!

- A czego się spodziewałeś po kimś takim? Ale ręka to ręka! Nie martw się, jeśli spróbuje czegokolwiek, odwołamy jego ułaskawienie ! Zrozumiano, mistrzu Zaylu?

Nocną ciszę rozdarło kolejne wycie. Kilku żołnierzy rozejrzało się wokół niespokojnie.

- Przeklęte bestie! Popisują się - mruknął Yorik, który właśnie zsiadł z rumaka.

- To tylko psy wyją do księżyca - powiedział Mattheus. - Jeśli mamy do czynienia z czymkolwiek niezwykłym, to z tym tutaj!

Zayl nie zwracał uwagi na oficera. Bardziej zajmował go wygląd księżyca. Tylko tak mógł ukryć swój strach. Odnóża pająka sięgały już niemal dolnej krawędzi tarczy.

Zrozumiał, że Pajęczy Księżyc to nie tylko magiczny klejnot, lecz także faza samego księżyca. Perła znajdowała się w rękach Jitana, a odpowiednia faza zbliżała się nieuchronnie. Zayl mógł tylko zgadywać, co zdarzy się,

gdy tarcza księżycy przybierze wygląd dokładnie odpowiadający rysunkowi na klejnocie.

Był jednak pewien, że - w najlepszym razie - całe miasto czeka wtedy katastrofa.

- Chcę cały czas widzieć twoje oczy! - rozkazał kapitan. Zarówno on, jak i pozostali żołnierze zdawali się nie widzieć zmian na księżycu.

Nekromanta nie mógł wracać do miasta. Nie miał na to czasu. Musiał za to wracać - i to jak najprędzej - tam, gdzie Karybdus i Jitan przygotowywali się do mrocznego rytuału.

Poruszył lekko biodrami, kołysząc wiszącą u pasa sakiewką.

Kapitan Mattheus natychmiast zwrócił uwagę na woreczek.

- Brennard! Zobacz, co on tam ma!

Brennard nie wyglądał na zachwyconego, lecz wykonał rozkaz. Kiedy tylko dotknął sakiewki, wydobył się z niej gniewny głos:

- Uważaj, na kogo podnosisz rękę!

Żołnierz odskoczył. Kilka koni zarżało niespokojnie. Zaczęły przebierać kopytami.

- Czy ja cię obmacuję? - ciągnął Humbart. - Obmacuję? Raczej nie, prawda? I nie mów mi nawet, że nie mam rąk!

Konie zatańczyły w przestachu. Yorik starał się powstrzymać swojego wierzchowca w miejscu.

Zayl rzucił się na spieszonego żołnierza, wpadając na niego z impetem. Mimo że Yorik był większy i cięższy od nekromanty, potoczył się w tył, zaskoczony.

Rathmita jednym, zwinnym ruchem znalazł się w siodle. Wyciągnął kościaną dłoń, do której natychmiast powrócił leżący na ziemi sztylet. Osłupiały Brennard patrzył bez ruchu.

Zareagował jedynie dowódca. Wydobył miecz i ruszył na Zayla.

– Samuel! Odpowiadasz za lady Nesardo! Zabierz ją i resztę ludzi do miasta! Was sześciu za mną! Chcę tego psa!

Salene wyciągnęła rękę ku nekromancie.

– Zayl! Zabierz mnie ze sobą!

– Musisz ostrzec generała Toriona. - Pokręcił głową. - Powiedz mu, że dziś w nocy wydarzy się coś strasznego. Niech rozpali ogień na murach! Przekaż mu, że muszą uważać na pająki!

– Zayl... - Jeśli nawet powiedziała coś więcej, on już tego nie usłyszał.

Skradziony koń okazał się, zgodnie z przewidywaniami, znakomitym wierzchowcem. Rumaki ścigających nekromantę żołnierzy nie były jednak gorsze. Zayl przeklął w myślach tę część Równowagi, która sprawiała, że jego los sprowadzał się do ciągłej ucieczki przed kolejnymi napastnikami. Szczególnie bolało go to, że kapitan Mattheus i jego ludzie są mu wrody jedynie z powodu swej niewiedzy. Mimo że starał się ocalić im życie, to właśnie jego ścigali, a nie szlachetnie urodzonego lorda Jitana.

Karybdus musi mieć ze mnie nielichy ubaw - pomyślał. – Jestem przy nim niczym pchła.

Wilki wyły bezustannie. Rathmita spojrział na księżyc. Cień na tarczy coraz bardziej przypominał wygłodniałego pająka. Nekromanta przestraszył się, że jest już za późno.

Kapitan Mattheus i jego podwładni ścigali go w milczeniu, trzymając broń w pogotowiu. Żołnierze rozproszyli się między drzewami. Każdy z nich starał się wybierać taką drogę, która jak najszybciej pozwoliłaby dopaść zbiega. Wiedzieli, że generał Torion chętnie odznaczy orderem tego, kto przyniesie mu głowę Zayla.

Nekromanta zapędzał się coraz głębiej w las, wciąż nie mogąc zgubić pościgu. Paradoksalnie nie robił tego wyłącznie dla siebie. Istniało ryzyko, że w lesie nadal szukają go potwory Jitana, na które mógł wpaść niczego

nie podejrzewający Mattheus. Strażnik Równowagi nie miał jednak żadnego sposobu na zawrócenie czy choćby powstrzymanie wojowników. Żadnego, rzecz jasna, poza zatrzymaniem się i okrzykiem „Litości!”

Zayl poganiał konia. Ponownie spojrzął na księżyc, niemal w całości pokryty już złowrogim cieniem. Nekromanta zwrócił wzrok na drogę.

Na jego twarzy pojawił się niepokój. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że las zupełnie ucichł. Wilki i inne stworzenia zamilkły.

Nie mogąc się powstrzymać, Zayl po raz kolejny spojrzął w górę.

Wtedy właśnie coś spłoszyło jego konia. Zwierzę stanęło dęba. Zayl nie mógł wiele zrobić, aby utrzymać się w siodle. Koń kopał wściekle przednimi kopytami w ciemność. Nagle bryknął.

Mężczyzna spadł na ziemię.

Rzuc z przerażenia, zwierzę zawróciło i pobiegło w stronę stolicy. Zayl przetoczył się kilka jardów i wreszcie zatrzymał się tuż przy kępie gęstych krzewów.

Wstając na nogi, usłyszał tętent kopyt i krzyki dowódcy. Pościg był tuż tuż.

Nekromanta rzucił się w gąszcz i owinął wokół najbliższego drzewa. Przywarł mocno do pnia, w nadziei, że czarne szaty, a przede wszystkim płaszcz, ukryją go przed wzrokiem prześladowców.

Obok niego pojawił się jeździec. Nie był to kapitan, lecz jeden z żołnierzy, wielki niemal jak wendigo, czujnie badający otoczenie wzrokiem. Zatrzymał konia dokładnie w miejscu, w którym skrył się nekromanta. Spojrzął przez ramię wprost na Zayla.

Nie dostrzegł go jednak. Nieruchomy Rathmita miał dużą szansę pozostać niezauważonym.

Żołnierz odwrócił się w końcu. Badając wzrokiem ścieżkę przed sobą, popędził konia powoli naprzód. Po chwili zniknął w lesie.

Gdy Zayl odsunął się od pnia, odezwał się cicho Humbart:

– Co się dzieje, druhu? Zaraza, nie lubię tkwić w tej sakiewce!

– Ciszej, Humbart! Jesteśmy znów w tym lesie. Powiem ci, jeśli coś się zacznie dziać. - Po chwili milczenia nekromanta dodał - dziękuję ci za pomoc.

– Nie ma za co. A teraz bądź ostrożny. Coś tu jest nie tak.

Czaszka nie miała na myśli księżycy. Zayla także ogarnął nagły niepokój. Coś się do nich zbliżało. Nie byli to raczej słudzy Jitana, ale...

– Stać! Stój i ani drgnij!

Nagle z lasu wynurzył się kapitan Mattheus z jednym z żołnierzy. Zayl zaklął. Skoncentrowany na nagłym przeczuciu, zapomniał o pościgu.

Odwrócił się i zaczął uciekać. Wpadł jednak na następnego jeźdźca. Nekromanta uniósł sztylet, lecz zanim zdążył rzucić zaklęcie, poczuł mocne uderzenie w plecy.

Upadł na twarz. Nie zdążył się podnieść. Żelazny but wcisnął go w ziemię.

Brzęk metalu ostrzegł go o zbliżającym się kolejnym przeciwniku. Moment później usłyszał głos kapitana Mattheusa:

– Wreszcie! Skończmy z tym! Odwróćcie go! Zrobimy to tak, żeby wyglądało, że się na nas rzucił.

– Tak jest, kapitanie. - Żołnierz, który powalił nekromantę, przekręcił go na plecy.

– Ty szumowino! Wiadomość o twojej śmierci ucieszy generała.

Strażnik Równowagi spróbował przywołać swój sztylet. Coś jednak nie pozwalało ostrzu wrócić do właściciela. Spojrzał w stronę, gdzie powinna znajdować się broń, i zobaczył, że oficer stoi na kościanym nożu.

– Co to, to nie - rzekł adiutant Toriona i rzucił do żołnierza: - Skończ z nim wreszcie!

Podwładny przystawił ostrze miecza do piersi Zayla. Uniósł ramiona najwyżej, jak mógł, chcąc wbić żelazo wprost w serce nekromanty. Zayl ponownie spróbował czaru, lecz nie starczyło mu na to ani głosu, ani koncentracji. Nadzieja go opuściła. Zaczął się przygotowywać do podróży na kolejny poziom istnienia. Modlił się, by Rathma i Trag'Oul uznali jego dotychczasowe uczynki za godne pochwały.

Alec Mattheus spojrział nagle ponad jeńcem.

- Co to?

Sekundę później jeden z żołnierzy wrzasnął. Koń zarżał. Coś przemknęło tuż obok głowy Zayla. Zbyt małe, aby być jednym z ludzi-pająków, emanowało jednak podobną do nich energią.

– Ściągnijcie to ze mnie! - krzyknął inny z wojowników.

Ktoś zaklął. Rozległ się tętent końskich kopyt, jakby jeden z jeźdźców próbował ucieczki. Po chwili zabrzmiał kolejny ludzki krzyk i końskie rżenie.

Stojący nad Zaylem żołnierz zawahał się. Patrzył w to samo miejsce, co kapitan.

Nekromanta podciął go uderzeniem nóg. Mężczyzna upadł.

Kapitan Mattheus rzucił się na Zayla, zapominając o atakującym jego ludzi, nieznanym wrogu. Ostrze jego miecza wbiło się w ziemię dokładnie w miejscu, w którym jeszcze przed sekundą leżał czarownik.

Obok nekromanty przebiegły dwa następne mroczne kształty. Zayl zobaczył akurat tyle, żeby wiedzieć, jak wielkie niebezpieczeństwo ciążyło nad nimi wszystkimi. Rzucił okiem na księżyc. Jego tarczę zupełnie zakrył pajęczy cień. Spełniły się jego najstraszniejsze obawy.

Od strony leżącego żołnierza rozległ się krzyk. Zayl spojrział i zobaczył okropny widok. Na twarzy nieszczęsnego rycerza tkwił uczepony,

kosmaty, ośmionogi kształt. Oczy pająka patrzyły nieludzko ponad ostrymi kłami.

Takie same pasożytnicze pająki widział na głowach zmutowanych sług Jitana.

Choć żołnierz starał się, jak mógł, nie potrafił oderwać od siebie wściekle atakującego stworzenia. Nagle jednak podbiegł ku nim kapitan Mattheus i dźgnął je w tułów. Niestety, ostrze zabiło także leżącego pod pająkiem człowieka.

– Zaraza! Zaraza! - Wściekły oficer zwrócił się do Zayla: - Odwołaj je, czarnoksiężniku! Odwołaj je, a ocalę ci życie! To twoja ostatnia szansa!

– Nie mogę im rozkazywać kapitanie... One służą lordowi Jitanowi... przynajmniej na razie.

Oficer jednak nie uwierzył. Alec Mattheus uderzył, nie zwracając uwagi na swych, walczących o życie, towarzyszy. Jego ludzie, na klęczkach lub leżąc, rozpaczliwie próbowali pokonać uczezione ich głów potworne ośmionogi. Większość koni zdołała zbiec. Dwa jednak leżały sparaliżowane. Na ich głowach tkwiły już pasożyty.

Nagle pierwszy z zaatakowanych żołnierzy zamarł w bezruchu. W jego wyglądzie nie zaszła żadna zmiana, co zaskoczyło Zayla, który spodziewał się ujrzeć mutację taką, jak u pozostałych Dzieci Astroghi. Miast tego wojak, ze sterczącymi mu z głowy odnóżami tkwiącego na niej pająka, ruszył do Mattheusa i nekromanty.

– Powinieneś uciekać, kapitanie! - ponaglił oficera Zayl. - Biegnij do miasta ile sił w nogach! Gnaj, jakby goniła cię cała Mroczna Trójca, bo to niezbyt odległe od prawdy.

Kapitan Mattheus był jednak uparty.

– Nie próbuj mnie przestraszyć, magu! Ostrze w twoich plecach zatrzyma czar i uwolni moich ludzi!

Nekromanta po raz kolejny uniknął ciosu. Oficer przygotowywał się właśnie do następnego cięcia, gdy na jego ramię wskoczył pająk. Mattheus starał się go strząsnąć, lecz równie dobrze mógł próbować oderwać sobie rękę.

Kolejny pasożyt wskoczył mu na plecy.

– Precz, przeklęte! -krzyknął. Pragnąc pozbyć się uczepionego pleców pająka, zrzucił hełm z głowy.

Rathmita wiedział, jak fatalny był to błąd.

– Kapitanie! Hełm! Nałóż go, zanim...

Mattheus nie słuchał. Ciął mieczem w stronę Zayla.

Pająk, siedzący mu dotąd na ramieniu, wskoczył na głowę oficera.

Żołnierz przeraźliwie wrzasnął, gdy uzbrojone w pazury odnóża przebiły mu ciało i kości. Raz jeszcze spróbował strząsnąć stwora, po czym padł na kolana.

Widząc, że nie ma sposobu na uratowanie żołnierzy, Zayl rzucił się do ucieczki. Strząsnął z płaszcza dwa siedzące już na nim pająki, lecz po dwóch krokach stanął twarzą w twarz z innym niebezpieczeństwem.

Drogę ucieczki blokowali żołnierze z siedzącymi im na głowach pasożytami. Wpatrywali się pustym wzrokiem w nekromantę. Broń trzymali w pogotowiu.

Zayl przywołał sztylet i wyciągnął go w kierunku zaklętych ludzi. Tak, jak się tego spodziewał, napastnicy cofnęli się przed światłem.

Nagle jednak coś uderzyło go w ramię. Opuścił kościany sztylet. Światło przybladło.

Ktoś chwycił go od tyłu. W jego uszach rozległ się głos kapitana Mattheusa:

– Nie walcz, czarnoksiężniku. Opierasz się na próżno!

Głos należał do kapitana Mattheusa.

Lecz ostatnie słowa wypowiedział lord Aldric Jitan.

OSIEMNAŚCIE



Salene dotarła do generała Toriona bez trudu. Żołnierz, odpowiedzialny za dostarczenie jej z powrotem do Marchii Zachodniej, zaprowadził ją wprost do niego, nie zatrzymując się przy żadnym z mijanych po drodze posterunków straży.

Dotarcie do Toriona nie stanowiło problemu. Salene miała dużo więcej kłopotów z przekonaniem go do jej własnej wersji wydarzeń.

– Lord Jitan? - mruknął generał. Wziął ją pod ramię, lecz po chwili zmienił zdanie, usiadł na skraju biurka i spojrzał na nią z zatroskaną miną. - Salene, pozwól, że poślę po kapłana! Najwyraźniej nadal jesteś pod wpływem zaklęć tego niegodziwca. Jedyłą osobą stanowiącą zagrożenie dla Marchii jest właśnie on!

– Ale Jitan...

– Nie cierpię tego aroganckiego bękarta, to prawda, ale po części dlatego, że on też stara się o twoją rękę. Nie mam jednak żadnego dowodu na poparcie twojej opowieści. Z pewnością za taki dowód nie mogę brać słów jednego arystokraty wymierzonych przeciwko drugiemu. Gdybym tak robił, to miałbym cele pełne szlachetnie urodzonych.

Lady podeszła do Toriona i złożyła smukłą dłoń na jego piersi. Spojrzała mu w oczy.

– Torionie... Dopilnuj przynajmniej, żeby podwojono straże na zewnętrznych murach. Zayl mówił coś o pajakach...

– Po pierwsze, nie sądzę, żebyśmy musieli obawiać się akurat pajaków. - Generał przerwał jej po raz drugi. - Być może, gdybyśmy byli w Lut Gholein lub w tym zatęchłym Kedzystanie, gdzie urodził się twój nekromanta, to gromada jadowitych Tkaczy mogłaby zagrozić paru wieśniakom, lecz tu, przy tak znikomiej liczbie śmiertelnie jadowitych pajaków, nie ma powodu do paniki...

– Torion! Pamiętaj, że ukąszenie jadowitego pająka zdecydowało o tym, kto zasiadł na tronie!

– Jeśli nawet, to był to szczęśliwy traf. Ale nie o tym miałem mówić. Zresztą nawet gdybym chciał spełnić twoją prośbę, to nie mogę. I nie tylko dlatego, że rozesłałem liczne patrole w poszukiwaniu tego przekłętego czarnoksiężnika. Jutro ma się odbyć wielka parada, pokaz siły. Zdjąłem już ponad połowę obsady murów. Król chce mieć wypoczętą, silną armię, którą pokaże tej bandzie kundli ostrzającej sobie zęby na tron. Gdy oni...

Tym razem przerwała lady Nesardo. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Mury... - wyjąkała. - Zdjąłeś strażę z zewnętrznych murów?

– Tylko na czas jutrzejszej uroczystości. Poza tym osłabiłem obronę niemal wyłącznie murów od strony lasu. Stamtąd nic nam nie grozi, może poza bandą maruderów lub kilkoma wendigo.

– Mury... - Salene starała się zebrać myśli. - I prosił cię o to sam Justynian?

– To rzeczywiście nietypowa prośba, ale jak najbardziej możliwa do spełnienia. Król ma rację, chcąc zademonstrować swoją siłę, a odpowiednią liczbę ludzi mogłem zebrać jedynie w ten sposób. - Torion westchnął. - Salene, niekiedy wydaje mi się, że on jest zmartwychwstałym Cornelusem. Ma jeszcze co prawda kilka dziwacznych zwyczajów, ale powoli z nich wyrośnie.

Arystokratka nie wierzyła własnym uszom.

– Justynian - powtórzyła cicho. - Rozkaz samego Justyniana...

Torion nagle powstał, patrząc ponad Salene.

– Skoro mówimy o Justynianie... Oto i Edmund Fairweather.

Salene odwróciła się i niemal zderzyła z królewskim sekretarzem. Edmund Fairweather cofnął się o krok i z uśmiechem, uprzejmie, uklonił się arystokratce.

– Czarująca lady Nesardo! Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. Dopiero co wspominał o tobie król.

– A my właśnie rozmawialiśmy o królu - wtrącił Torion. - Czym mogę służyć, Edmunie?

– Cel mojej wizyty stoi tuż przede mną. Jego wysokość, chcąc jak najdobitniej pokazać wszystkim, że może liczyć na poparcie ze strony arystokracji, chciałby porozmawiać z najwspanialszą jej córką, obecną tu lady Nesardo. Całe miasto przemierzyłem w poszukiwaniach.

Jego słowa rozdrażniły Salene do tego stopnia, że niemal wybuchła. Powstrzymała się jednak w ostatniej chwili. Pomyślała przy tym, że do konieczności wzmocnienia obsady murów łatwiej będzie przekonać króla niż Toriona. Tym łatwiej, że królowi bardzo, zależało na jej poparciu.

Nie chciała jednak jechać do króla sama z Edmunem. Wątpiła w czystość jego zamiarów.

– Będę zaszczycona, mogąc spotkać się z królem - oświadczyła. - Nalegam jednak, żeby towarzyszył nam generał Torion.

– Z przyjemnością - powiedział Torion, zanim Edmund zdołał zaprotestować.

Wiedziała, dlaczego zgodził się tak łatwo. Generał miał nadzieję, że uda mu się wyperswadować jej obronę Zayla i powstrzymać ją przed

rozpowiadaniem historii o pajęczym demonie. Nie miała jednak zamiaru rezygnować. Król dowie się wszystkiego w odpowiedniej chwili.

Miała tylko nadzieję, że Justynian jej wysłucha.



Lady Nesardo po raz ostatni była w pałacu co najmniej rok przed śmiercią starego Corneliusa. Z Justynianem nie rozmawiała zaś o rok dłużej. Zapamiętała go jako płochliwego marzyciela. To, co zobaczyła teraz, całkowicie zmieniło ów obraz.

Justynian, uprzedzony przez służbę o przybyciu gości, przyjął ich w sali tronowej. Salene wiedziała już od Toriona, że król podejmie ich właśnie tam, a nie w swej niegdyś ulubionej kuchni. Gdy strażnicy zapowiedzieli całą trójkę, monarcha siedział wygodnie na tronie, z kielichem w ręku. W drugiej dłoni trzymał jakiś pergamin.

Od władcy biła taka pewność siebie, że Salene zaczęła się zastanawiać, czy nie jest to jedynie aktorstwo.

Justynian natychmiast odstawił kielich na mały, stojący obok tronu stolik. Nie wypuszczając dokumentu z ręki, przywitał się z generałem.

– Torion, twoje towarzystwo jest dla mnie zawsze wielką radością.

Oczy króla rozbłysły na moment na widok drugiego gościa.

– Lady Nesardo! Czy kiedykolwiek ci wyznałem, jak bardzo za tobą wzdychałem?

Młody monarcha nie był zbyt wiele starszy od niej. Jego słowa pobrzmiwały więc obietnicą, że mogła zostać królową. Gdyby jej ojciec żył, to kandydatura Riordana, nawet zakładając, że rodu nie spotkałyby finansowe kłopoty, wyglądałaby przy takiej ofercie bardzo blado.

A to, że Salene nie chciałyby zostać królową, nie miałyby wtedy żadnego znaczenia.

Mimo że nie miała na sobie sukienki, zachowała określone protokołem zasady i dygnęła.

– Wasza wysokość czyni mi wielki zaszczyt.

– Nie, moja droga Salene. To ty czynisz mi zaszczyt. - Król spojrział na Edmuna. - Możesz odejść.

– Wedle życzenia. - Królewski sługa uklonił się nisko.

– Znakomicie.

Kiedy tylko Edmun zniknął, władca Marchii Zachodniej wręczył Torionowi pergamin.

– Przejrzałem to, Torionie. Jest dobrze, owszem, ale ja chcę jeszcze czegoś.

Król wdał się w rozważanie szczegółów dotyczących uroczystości towarzyszących objęciu tronu. Salene próbowała skupić się na rozmowie, lecz kiedy słuchała mówiącego Justyniana, zdało jej się, że słyszy szept. Rozejrzała się ukradkiem, szukając wzrokiem Edmuna lub któregoś ze strażników. Nie dostrzegła jednak nikogo.

Im bardziej jednak koncentrowała się na szepcie, tym wyraźniej go słyszała. Co więcej...

Co więcej, szept powtarzał słowo w słowo to, co mówił Justynian. Nie! To Justynian powtarzał to, co moment wcześniej powiedział cichy głos.

Gdy tylko to do niej dotarło, szept urwał się nagle. Salene odniosła nieprzyjemne wrażenie, że ktoś ją obserwuje, lecz tym kimś nie mógł być ani Torion, ani król.

Jakkolwiek chwilę później to właśnie Justynian spojrział na nią badawczo. Zmarszczył brwi i nie spuszczał z niej wzroku, powiedział do generała:

– Torionie, właśnie przypomniała mi się pewna, niezwykle pilna sprawa. Lord Vermilion zgłaszał zaginięcie syna. Prawdopodobnie jest w jakimś burdelu, lecz możliwe też, iż znalazł się w mniej przyjaznym miejscu. Sprawa jest delikatna, dlatego chciałbym, żebyś dopilnował, by młodzieniec wrócił bezpiecznie do ojca. Sam wiesz, jak bardzo potrzebujemy Vermiliona...

– Tak, wasza wysokość. Zajmę się tym natychmiast.

Salene nie spodziewała się, że król odeśle Toriona, a już na pewno nie myślała, że zrobi to tak wcześnie. Wolałaby mieć generała przy sobie, lecz nie mogła znaleźć odpowiedniej wymówki. Torion ucałował ją w rękę, po czym, nachylając się ku niej, powiedział cicho:

– Uważaj, o czym mówisz.

Justynian wziął jego szept za pożegnanie kochanków.

– Dobrze się nią zaopiekuję, Torionie. Oddam ci ją, zanim się zorientujesz.

Gdyby słowa te padły z ust kogoś innego, wojskowy poczułby się głęboko dotknięty. Żołnierz nie mógł jednak obrazić się na swego króla. Torion uklonił się i rzekł:

– O niczym innym nie marzę. Dobrej nocy, wasza wysokość.

Lady Nesardo odprowadziła generała wzrokiem. Po chwili zrozumiała, jak to wygląda, i szybko odwróciła się do króla. Kiedy na niego spojrzała, stał z pustym, skierowanym w prawo spojrzeniem.

Równie błyskawicznie jak zaniemówił, spojrzał na nią bystro. Jego uśmiech wydał jej się zbyt sztuczny. Poczula się nieswojo.

– Mam nadzieję, że nie czujesz się zagrożona, będąc sam na sam ze mną, moja pani? - zapytał.

– Ty jesteś tu królem.

– Dyplomatyczna odpowiedź - zachichotał.

Tajemniczy szept rozległ się znów. Tym razem jednak kobieta nie zrozumiała słów. Zmarszczyła brwi, starając się bardziej skupić. Justynian zauważył to natychmiast.

– Coś cię rozprasza, lady Nesardo. Czy nie jesteś aby chora? Nie jest ci słabo? A może słyszysz głosy?

Salene odruchowo cofnęła się o krok.

– Wasza wysokość raczy wybaczyć...

Oblicze władcy zmieniło się w koszmarną parodię uśmiechu.

– Mówisz do mnie... Czy może do mojego ojca?

– Do twojego... ojca?

– Och, czyżbyś go nie widziała? Stoi przecież tuż obok mnie! Myślałem, że skoro go słyszysz, to widzisz go tak samo jak ja.

Salene zmrużyła oczy i przez chwilę wydało jej się, że dostrzega niewyraźny kształt, ledwie tylko przypominający człowieka. Ledwie.

– To... jest król Cornelius?

Justynian Czwarty klasnął w dłonie.

– Tak, tak! To on! Przyszedł do mnie w godzinie potrzeby, lady Salene! Tak bardzo się bałem, tak bardzo martwiłem! Przecież ja nigdy nie chciałem zostać królem! Miał nim zostać mój brat! Ja miałem po prostu żyć i nic nie robić. Czyli, między innymi, nikomu swoim zachowaniem nie zaszkodzić.

– Lecz twój brat zmarł...

– Zapewniam cię, że to właśnie ja płakałem po nim najbardziej. Bardziej nawet niż ojciec. Mimo to nadal wydawało mi się, że ojciec będzie żyć wiecznie. Zawsze był twardy. Najtwardszy! -Justynian pokręcił głową żałośnie. - Lecz jak się okazało, nie dość twardy.

Salene znów usłyszała szept. Mimo że nie rozumiała słów, domyślała się, że mowa jest o niej.

– Masz rację, ojciec - powiedział monarcha, kiwając chłopięco głową. - Powinna! Powinna i myślę, że poczuje się tym bardzo zaszczycona.

Zaszczycona? Z jakiegoś powodu Salene mocno wątpiła, czy to, o czym mówił Justynian, miało cokolwiek wspólnego z zaszczytem. Zrozumiała, że przychodząc tu, popełniła straszliwy błąd. Kto mógł jednak przypuszczać, że Justyniana nawiedził duch twierdzący, że jest jego własnym ojcem? To, co Torion mówił o przemianie, jaka zaszła w królu, mogło dać jej do myślenia, lecz nawet wtedy nie spodziewałaby się przecież czegoś takiego.

Justynian uklonił jej się nisko.

– Lady Nesardo, niniejszym oznajmiam, że udzielam ci przywileju zostania mym gościem dziś wieczór... i być może także i jutro, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Twym gościem? Wasza wysokość, ja nie mogę. ..

– Odrzucić takiego zaproszenia? Och, oczywiście, że nie. - Młodzieniec spojrział na mroczny kształt u swego boku. - Dobrze, prawda, tato? Tak myślałem! Czy dobrze się uczę?

Znów rozległ się szept. Salene skupiła się, mając nadzieję lepiej usłyszeć i zobaczyć widmo zmarłego króla. Bez skutku. Wątpiła, żeby był to przypadek. W sali tronowej działo się coś bardzo złego. Rady, których widmo udzielało Justynianowi, nie pasowały do Corneliusa, jakim go pamiętała.

Nadal nie mogła zrozumieć słów widma, widziała je jednak już nieco wyraźniej. Zjawa rzeczywiście przypominała Corneliusa. Dostrzegła zarys jego brody, nosa i innych charakterystycznych szczegółów. Zobaczyła dokładnie tyle, ile potrzebowała, żeby uwierzyć, iż widmo jest zmarłym królem. Nadal pozostając w skupieniu, wyczuła jednak coś jeszcze. Wokół ducha rozciągała się aura z pewnością nie należąca do Corneliusa. Aura, jakby narzucona na zmarłego króla siłą.

Czy to był czar?

Salene żałowała, że nie ma z nią Zayla. On wiedziałby, co to wszystko oznacza. Znalazłby sposób na wyjaśnienie tego, co zobaczyła...

Jednakże Zayl zawsze ufał przecież w jej własne zdolności. Arystokratka skupiła się tym razem na samej aurze. Wydała jej się złowieszczo znajoma. Z początku nie rozumiała, skąd to wrażenie, lecz im dłużej się wpatrywała, tym bardziej nabierała przekonania, że rozpoznaje jej źródło.

W jej umyśle pojawił się obraz Karybdusa.

To on zaklął ducha.

Justynian był powolny widmu sterowanemu przez nekromantę.

– Justynian... - zaczęła mówić.

– Milcz, moja pani. - Młody król przerwał jej rozkazującym gestem. - Nie teraz.

Salene zamilkła. Otworzyła usta. Nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk.

Król spojrzał gdzieś poza nią i klasnął w dłonie. Zniewolone widmo nadal tkwiło u jego boku. Nesardo odwróciła się i zobaczyła oczekującego poleceń Edmuna Fairweathera.

– Wasza wysokość.

– Czas zamykać pałac.

Tyczkowaty sługa skłonił się z drapieżnym uśmiechem.

– Jak rozkażesz, wasza wysokość.

Kiedy się oddalał, Salene zauważyła, że nie patrzył na Justyniana, lecz na Corneliusa. Jęknęła, zaskoczona, że sekretarz również widział widmo.

Justynian chwycił ją za ramię i obrócił ku sobie.

– Tak jak myślałem. Ojciec nalega, byś została w pobliżu. - Uśmiechnął się. - Mówi, że mogłabyś zrobić coś głupiego, a ja nie chciałbym musieć cię skrzywdzić.

Monarcha przyglądał się przez chwilę wysiłkom arystokratki, która na próżno starała się wydobyć z siebie głos, po czym wykonał jakiś gest ręką.

– Możesz znowu mówić.

– Wasza wysokość! Tu się dzieje coś złego! Twój ojciec zachowuje się zupełnie nie jak on. Jest pod kontrolą złego nekromanty imieniem Karybdus!

Króla natychmiast opuściła wesołość.

– Karybdus zwrócił mi ojca! Przyszedł do mnie wtedy, gdy najbardziej tego potrzebowałem! Nie wolno ci źle mówić o tak dobrym człowieku!

Pchnął ją na podest tronu.

– Usiądź tam!

Jego słowa nie brzmiały jak zwykła prośba. Był to raczej rozkaz, któremu nie mogła się sprzeciwić. Ciało usiadło na podeście wbrew jej woli.

Salene nie słyszała nigdy przedtem, by ktokolwiek z królewskiego rodu przejawiał magiczne zdolności. Założyła więc, że źródłem umiejętności Justyniana był również Karybdus. Być może z pomocą Aldrica Jitana. Ktokolwiek go tego nauczył, młodzieniec wyraźnie upajał się swoją mocą.

Jego wściekłość znikła równie nagle, jak się pojawiła. Podeszedł do swego kielicha i pociągnął spory łyk. Potem, zachowując się jak mały chłopiec, dzielący się swą tajemnicą, usiadł obok lady Nesardo.

– Dzisiaj się zacznie! Nikt nie zakwestionuje mego prawa do tronu! Gdy będzie już po wszystkim, wszyscy pojmą, że to ja jestem prawowitym królem. I nikt nie nazwie mnie już Justynianem Szerokookim.

– Co... co masz na myśli, wasza wysokość? - Salene przerażała myśl, że domyślała się odpowiedzi.

– Taki sprytny plan! Cała arystokracja w stolicy! Straże zdjęte z zewnętrznych murów. To był pomysł ojca! Gdy miasto zostanie

zaatakowane, zaczekam na odpowiednią chwilę i uratuję je! Pójdę na czele sił, które przygotował dla mnie Torion, ale dopiero wtedy, gdy będę pewien, że nie zaszkodzi mi żaden z tych uzurpatorów. - Wyszczrzył się w szerokim uśmiechu. - To ja będę tym, który uratuje Marchię Zachodnią przed pajakami! Ja!

On wiedział. Justynian wiedział o wszystkim i mimo to siedział teraz tutaj i zajmował się wygłupami. Chciał czekać, popijając wino, podczas gdy tam, na zewnątrz, mieli ginąć ludzie. Ginąć lub cierpieć jeszcze bardziej.

Co gorsza, wyglądało na to, że Salene nie mogła temu w żaden sposób zapobiec.



Zayla złożono na kamiennej posadzce z zadziwiającą delikatnością. Nekromanta uniósł głowę i ujrzał buty bez wątpienia należące do legendarnego Karybdusa. Karybdus nie patrzył jednak na Zayla. Spoglądał na zaklętych żołnierzy z wyrazem twarzy, w którym tylko inny nekromanta mógł dostrzec irytację. Wyciągnął rękę i jeden z wojowników podał mu sztylet Zayla oraz podartą sakiewkę, zawierającą czaszkę Humbarta Wessela.

Mag podniósł woreczek do oczu. Nie otwierając go, rozpoznał, co kryło się w środku.

- Ożywiona. Zabawne, lecz bezużyteczne.

- Uważasz, że jestem zabawny? - rozległ się głęboki głos martwego najemnika. - Gdybym tylko miał szczęki, to odgryzłbym ci nos! To dopiero byłoby zabawne!

- Cisza! - Oczy Karybdusa zwęziły się.

Przekleństwo Humbarta urwało się w połowie.

Czarnoksiężnik odłożył sakiewkę na posadzkę i przyjrzał się broni Zayla.
– Świetnie wyważony - pochwalił - i szczególnie starannie wykonany.

Zayl nie skomentował.

– Wypełniście swoje zadanie - powiedział do żołnierzy zadowolony Karybdus. - Możecie odejść.

Tamci nie ruszyli się z miejsca.

– Pozwól mi, magu - rozległ się głos jednocześnie znany i obcy. - Idźcie! Wezwę was, gdy będziecie znów potrzebni.

Żołnierze odwrócili się w tył jak jeden mąż, wykonując rozkaz niczym marionetki. Więzień zobaczył lorda Aldrica Jitana, który teraz zupełnie nie przypominał samego siebie. Jitan stał przy ołtarzu, na którym spoczywało wiotkie, blade ciało Sardaka Nesardo. Arystokrata dzierżył w jednej ręce rytualny sztylet, a w drugiej ścisnął Pajęczy Księżyc.

Wydawał się dwakroć wyższy niż poprzednio. Włosy sterczały mu ku górze jak naelektryzowane. Jego oczy połyskiwały szkarłatem, a skóra miała kolor kości słoniowej. Taką samą barwę miał magiczny klejnot. Nekromanta wyczuł rozsnutą wokół Jitana czarną aurę. Nieludzką aurę.

Uśmiechając się do więźnia, lord Jitan nonszalancko wbił sztylet w rozdartą pierś Sardaka. Dopiero teraz Zayl spostrzegł, w jak okrutny sposób zaszlachtowano brata Salene. Jego ciało zostało pozbawione krwi. Wyrwano mu także serce. Arystokrata wraz ze swoim współnikiem odrzucili na bok resztę wnętrzości Sardaka. Niczym zbędne podroby.

Zayla przepełniło nagłe pragnienie, by rzucić się na Aldrica Jitana z pięściami. Udało mu się jednak powstrzymać emocje. Lecz stary nekromanta zdążył zauważyć, o czym myślał wróg, tak samo jak młodszy czarownik wcześniej wyczuł jego irytację.

– To niestosowne. Pozwalasz, by przywiązanie kierowało twymi czynami, odwracając twe oczy od rzeczywistego przepływu Równowagi.

– Przynajmniej nie odwróciłem się od tego, czemu przyrzekałem służyć.

– Ani ja.- Karybdus pociągnął nosem. - Teraz jestem lepszym sługą Równowagi niż kiedykolwiek przedtem. Składam jej w ofierze jedno poświęcenie za drugim.

Młodszy nekromanta ośmielił się usiąść. Wskazał ręką krwawe zwłoki i ohydne, niegdyś będące ludźmi stworzenia.

– Tak pojmujesz poświęcenie, Karybdusie? Co się z tobą stało? Z pewnością wpadłeś w pułapkę zaklęcia Wysysania Życia.

Na te słowa siwowłosy wybuchnął śmiechem.

– Tak myślisz, młodzieńcze? Myślisz, że ja, walcząc od dawna z demonami i złymi czarnoksiężnikami, przyjąłem w siebie zbyt wiele energii zła i stałem się jednym z nich? Coś takiego mogło spotkać tylko kogoś mniej zdolnego. Ale ja nazywam się Karybdus! Czyż nie?

Zayl spróbował wstać, lecz niewidzialna siła zatrzymała go na klęczkach. Rzucił okiem na Aldrica, który przypominał dziecko cieszące się z nowej zabawki. Bardzo zabójczej zabawki... zabawki, której skutków użycia z pewnością nie pojmował.

– Jeśli to nie to, to co się stało? Co cię odmieniło?

Siwowłosy nekromanta nachylił się nad Zaylem.

– Nic mnie nie odmieniło, młody Zaylu. Nadal wierzę w to, w co wierzyłem w dniu, w którym otrzymałem płaszcz. Nic nie jest ważniejsze niż Równowaga i robię to, czego wymaga ode mnie jej zachowanie. Spośród wszystkich ludzi właśnie ty powinienesz to docenić. - Wyprostował się. - Gdy po raz pierwszy wyczułem twoją obecność, rozważałem przez chwilę, czy nie poprosić cię, byś dołączył do mojej krucjaty. Prawie natychmiast zrozumiałem jednak, że jesteś zaślepiony, że wpadłeś w tę samą pułapkę, która pochłonęła tak wiele naszych braci i sióstr.

– Czyli? - zapytał Rathmita, szukając sposobu na niwelację zaklęcia i przerwanie tej farsy, zanim będzie za późno.

– Istnieją dwie strony Równowagi. Zawsze. - Czarnoksiężnik przyjął mentorską pozę. - Jakże inaczej mogłaby być nazywana Równowagą?

– Dobro i Zło. Tak wiem. Nie mówisz mi niczego nowego.

– Pozwól zatem, że powiem ci jeszcze i to...

– Czy to konieczne? Kolejna faza... - wtrącił się lord Jitan.

Zakuty w zbroję nekromanta spojrział na współnika.

– Od następnej fazy dzieli nas jeszcze kilka minut, mój panie. A chciałbym, żeby Zayl zrozumiał, dlaczego robię to, co muszę. Zasłużył na to. W końcu to on w imię Równowagi pozwolił zginąć własnym rodzicom.

Zayl miał wrażenie, iż Karybdus wyciął mu serce rytualnym sztyletem. Potrząsnął głową gwałtownie.

– Nie zrobiłem tego! - krzyknął.

– Dobrze wiesz, że zrobiłeś. I wiesz, że wszyscy zrozumieli. - Starszy mężczyzna zmusił Zayla do spojrzenia mu w oczy. - Wiesz? Znałem ich oboje. Walczyłem u ich boku, zanim jeszcze się narodziłeś. I mogę cię zapewnić, że oboje są dumni z tego, co zrobiłeś. Przynajmniej od momentu, gdy przestali czuć ból i przenieśli się na inny poziom egzystencji.

– Przestań! Milcz, kłamco!

Starszy nekromanta nie przerwał.

– Jeśli istnieje Dobro, musi też istnieć równoważące je Zło. Twój czyn jest tego dobrym przykładem. Musiałeś doprowadzić do ich śmierci, gdyż tego właśnie wymagała Równowaga. Ostatnio jednak zbyt wielu nekromantów poświęca się walce ze sługami Piekła. Wszyscy przeszli na stronę Dobra! To powoduje ogromne zaburzenie Równowagi. Trzeba zrobić coś, co przywróci światu jego naturalny stan.

Rathmita wreszcie zrozumiał, co miał na myśli Karybdus. Zrozumiał i zdjęła go odraza.

Nekromanci od stuleci walczyli ze sługami Mrocznej Trójcy, starającej się poddać świat śmiertelnych własnej woli. Według Zayla ta walka nigdy nie była zbędna. Świat w rękach Mrocznej Trójcy byłby światem pozbawionym Równowagi, a więc światem zgubionym na zawsze.

Karybdus jednak, który sam niezliczoną ilość razy pokonał siły Ciemności, uważał, że nekromanci zrobili aż nazbyt wiele. W jego ocenie Równowaga świata przechyliła się za bardzo na stronę Światła. Według nauk Rathmy taka sytuacja mogła doprowadzić cały świat do stagnacji, a jego mieszkańców do zaniku sumienia, co przywiodłoby do równie strasznego końca, jak zwycięstwo sił Ciemności.

Na przestrzeni stuleci nekromanci często spierali się co do tego, na ile powinni ingerować w bieg rzeczy. Zayl nie pamiętał jednak, by ktokolwiek dotąd proponował coś równie szalonego jak Karybdus.

– Tego, co zrobiłem - rzekł cicho. - Tego, co się wtedy stało, nijak nie można porównać do tego, co teraz robisz ty, Karybdusie.

– Twój ojciec i twoja matka mogliby mieć odmienne zdanie.

– Moi rodzice zginęli przez pomyłkę! Przez mój błąd! - Zayl poderwał się na równe nogi. - To ja zniszczyłem statek i zabiłem wszystkich jego pasażerów. I biorę całą winę na siebie. Nigdy się jej nie wypierałem!

Młody czarownik chwycił Karybdusa swą prawą, kościaną dłońią za gardło. Starszy nekromanta jęknął i spróbował oderwać od siebie pozbawione ciała palce.

– Mój panie - powiedział z ironią. - Gdybyś był tak uprzejmy...

Magiczna siła rozwarła palce Zayla i rzuciła go z powrotem na ziemię. Tym razem nekromanta nie mógł nawet drgnąć.

Karybdus rozmasował gardło.

– Wielka szkoda, że nie potrafisz tego pojąć. - Uniósł sztylet Zayla. - Naprawdę bardzo mi przykro, że muszę to zrobić. Przepenia mnie szczerzy podziw dla twoich umiejętności, Zaylu, nawet jeśli służą złej sprawie.

– To ty służysz złej sprawie - wykrztusił skulony na ziemi Zayl.

– Siła jego woli jest wprost zdumiewająca - zauważył Jitan.

– To prawda. Gdy już będzie martwy, nie przywołam jego cienia. Byłby zbyt uparty - syknął Karybdus. - Dusze moich braci i sióstr są kiepskimi sługami. Tak samo było z jego rodzicami. Po, wskrzeszeniu musiałem bardzo szybko odesłać ich z powrotem. Wielka szkoda.

Słyszając to, młody strażnik Równowagi wydał z siebie wściekły pomruk. Najgłośniej jak mógł.

Stary nekromanta pochylił się nad nim i powiedział:

– Nie obawiaj się. Wkrótce będziesz mógł porozmawiać z nimi na temat swoich przewin i motywów osobiście. Żegnaj.

Zayl zebrał się w sobie. Wiedział, że jeśli zostanie zabity własnym sztyletem, nie pozostanie mu nawet cień nadziei na wskrzeszenie, nawet gdyby jego ciało odnalazł inny nekromanta.

Nagle w sali pociemniało. Nie był to jednak zwykły cień. Zamiast zwykłej czerni komnatę zalała szkarłatna ciemność.

Aldric wydał zdumiony jęk. Karybdus wziął głęboki wdech. Zayl wyczuł, że starszy nekromanta opuścił ostrze.

– A więc to już, prawda? - zapytał arystokrata. - Księżyc wszedł w drugą fazę!

– Tak. - Kroki Karybdusa oznajmiły, że porzucił leżącego na posadzce więźnia. - Cykl Pajęczego Księżyca osiągnął swój szczyt. Nadszedł czas, byś przyjął dar Astroghi.

– Nie... - dyszał Zayl, starając się ostrzec Aldrica. - To... nie... jak ci... wydaje.

Lord Jitan nie słyszał. Uśmiechnięty, zajął miejsce przy ołtarzu. Stojący naprzeciwko nekromanta schował sztylet pojmanego i wy dobył rytualne ostrze. Podał broń arystokracie. Sztylet pokrywała zakrzepła krew Sardaka.

– Dotknę tym środka wzoru - wyjaśnił Karybdus Aldricowi. - Potem wznies klejnot nad głowę. Powinieneś trzymać go tak, żeby niemal dotykał twojej czaszki.

Zayl nie mógł już nic zmienić. Bezradnie patrzył na wykonującego polecenia Jitana.

W chwili gdy krew na sztylecie zetknęła się z pajęczym rysunkiem, ten drgnął, jakby ożywiony. W tym samym momencie w sali rozległ się grzmot i zajaśniała błyskawica.

Na zewnątrz wył wiatr.

Przez jakąś małą szczelinę w powale przebił się promień księżycowego światła i padł na magiczną perłę dokładnie w tym miejscu, w którym dotknęło ją zakrwawione ostrze sztyletu.

Naładowana energią aura, roztaczająca się wokół Aldrica, urosła. Stał niczym anioł śmierci. Jego twarz wyglądała przerażająco. Wszyscy zmutowani ludzie Jitana padli twarzami na ziemię, oddając hołd swemu panu. Syczeli, a w ich syku brzmiały jakieś słowa, czy raczej jedno słowo...

– *Astrogha.*

– Niewiarygodne! - wykrzyknął podekscytowany lord Jitan. - Czuję, jak żyły nabrzmiewają mi mocą! Wyczuwam też, gdzie są wszystkie pająki! Widzę, jak wynurzają się z ciemności i idą na miasto. Czuję...

Nagle opadła mu szczęka.

Klejnot, który trzymał nad głową, otworzył się.

Z Pajęczego Księżyca wystrzeliło osiem odnóży zakończonych krwawo-czerwonymi pazurami i silnym chwytem zamknęło się na głowie arystokraty.

– Magu! Karybdus! Co to ma znaczyć? Coś jest nie tak! Pomóż mi!

W odpowiedzi Karybdus cofnął się o krok i patrzył w milczeniu.

– Wszystko idzie zgodnie z planem. Przykro mi, ale robię jedynie to, co konieczne.

– Ale... - Lord Jitan nie powiedział nic więcej.

Pajęcze odnóża wbiły się mocno w jego czaszkę.

Krzyczał jeszcze przez kilka sekund. Potem krzyk przeszedł w żalodne łkanie. Z ran w głowie trysnęła krew. Jasnym było, że nie może tego przeżyć, ale nie upadł, tak samo jak nie padali żołnierze w lesie.

W sali iskrzyły wiązki energii pochodzącej z innego świata. Zayl poczuł, że wgniatająca go w podłogę siła nieco zmalała. Nadal jednak nie mógł się podnieść.

Siwowłosy okrążył ołtarz. Wciąż trzymając w dłoni rytualne ostrze, zbliżył się do Jitana. Pająk, który wyszedł z klejnotu, był kilka razy większy niż widziane wcześniej przez młodego nekromantę pasożyty. Jego oczy zbiegały się w osiem skupisk po osiem źrenic każda. Z paszczy zwisały nie kły, lecz ostre, stworzone do rozrywania macki.

Z fałd płaszcza Karybdusa wypełzł pająk i wszedł mu na ramię. Oba pająki wydały się Zayłowi podobne do siebie, mimo że jego rywal zdawał się tego nie dostrzegać.

– Zarakowa ilan tora Astroghath! - zaintonował siwowłosy nekromanta i nakreślił sztyletem ośmiokątny symbol. - Istarian domu Astroghath!

Wokół arystokraty tańczyły tysięczne wiązki magicznej mocy. Wielki pająk zajął swe miejsce. Nie usiadł jednak, jak inne, na samym czubku głowy Jitana, a pokrył swym ciałem większą część jego twarzy.

Z wykrzywionych ust arystokraty dobył się potworny śmiech, z pewnością nie pochodzący od ludzkiej istoty.

– Powróciłem do świata śmiertelnych! - zasyczał odrażający głos, zupełnie niepodobny do głosu Jitana. - Uwolniono mnie z mrocznego więzienia!

Karybdus ukląkł.

– Witam ponownie, Astrogho, mój panie... witam ponownie.

Istota zajmująca cielesną powłokę, która kiedyś należała do Aldrica Jitana, nie spojrzała jednak na Karybdusa. Zarówno pajęczymi, jak i ludzkimi oczyma spojrzała na Zayla.

I wszystkie źrenice demona wpatrywały się w nekromantę głodnym wzrokiem.

DZIEWIĘTNAŚCIE



Mimo że było ich dwa razy mniej niż zwykle, strażnicy strzegący bramy prowadzącej z miasta do wielkiego lasu byli spokojni. Od tej strony miastu nie groziło żadne niebezpieczeństwo, jeśli nie liczyć wendigo i innych leśnych bestii. Żołnierze czuliby się mniej pewnie, gdyby, na przykład, wysłano ich na patrol, tak jak tych, którzy pojechali do lasu z kapitanem Mattheusem. Wróciła tylko ta grupa, która przywiodła do Marchii lady Nesardo. Po całej reszcie, w tym po kapitanie, zaginął ślad.

Kiedy strażnik z murów zauważył zbliżającego się samotnego jeźdźca, ludzie poczuli więc ulgę, ale i niepokój. Tożsamość jeźdźca można było stwierdzić po hełmie z pióropuszem, na długo, nim na jego twarz padły światła pochodni.

– To kapitan Mattheus! - krzyknął żołnierz. - Kapitan Mattheus! Otwórzcie bramę!

Strażnicy ruszyli do miejskich wrót. Przy tak małej załodze dwóch z nich musiało zejść po drabinach, żeby wspomóc resztę ludzi otwierających ciężką drewnianą bramę, stanowiącą pierwszy element systemu obronnego miasta.

Adiutant generała Toriona przejechał przez wrota w milczeniu. Jeden z żołnierzy podbiegł, by pomóc mu z koniem.

– Kapitanie - powiedział wpatrując się w głowę wierzchowca. - Co się stało zwierzęciu? Został ranny? Dlatego ma obwiązany łeb?

Koński łeb i kark został obwiązany płaszczem oficera. Żołnierz zdziwił się, że koń cokolwiek widzi spod tego opatrunku.

– Tak. Ranny - odpowiedział jeździec. Nie wypuszczając lejc z dłoni, kapitan Mattheus odwrócił się i spojrział na bramę. - Zgaście pochodnie i lampy.

Stojący najbliżej kapitana żołnierze otworzyli szeroko oczy ze zdumienia.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie, każe pan zgasić światła? - zdumiał się ten, który chciał pomóc oficerowi przy koniu.

Kapitan Mattheus zerknął na niego. Krawędź hełmu rzucała cień na jego twarz.

– Zgaście pochodnie i lampy. Pogasić wszystkie światła!

– Co się tu dzieje? Co za gaszenie światła? - zapytał wynurzający się z mroku żołnierz. Jego zbroja była w dużo lepszym stanie niż te, które mieli na sobie pozostali. Widniały na niej epolety wskazujące, że ich właściciel jest dowódcą straży.

– Kapitanie Mattheus! - Przybysz szybko zasalutował. - To pan wydał ten rozkaz?

– Zgaście pochodnie i lampy. Wszystkie światła! - powtórzył jeździec.

– Grozi nam jakiś atak?

– Tak. Atak - rzekł tamten po chwili milczenia. - Zgaście wszystkie światła. Szybko!

Dowódca straży zwrócił się do swoich ludzi.

– Słyszeliście rozkaz kapitana! Stefan! Ty gasisz pochodnie na murze! Wy trzej! Zajmijcie się lampami! Prędko!

Alec Mattheus patrzył na to wszystko, nie zsiadając z konia. Za każdym razem, gdy gasło kolejne światło, przytakiwał ruchem głowy.

– Jeszcze jakieś rozkazy? - zapytał dowódca straży, gdy żołnierze dogaszali ostatnie pochodnie.

Oficer spojrzął badawczo na żołnierza.

– Zdejmijcie hełmy. Schowajcie je gdzieś.

– Przepraszam bardzo, kapitanie. To rozkaz?

– Rozkaz. - Skinął głową.

Dowódca straży wzruszył ramionami i dał swym ludziom sygnał, by wykonali polecenie. Teraz w hełmie był już tylko kapitan Mattheus.

Gdy wszyscy żołnierze stali z gołymi głowami, oficer nagle spiął konia. Zbici z tropu żołnierze patrzyli przez chwilę za odjeżdżającym mężczyzną.

– Jeszcze jakieś rozkazy? - zapytał wreszcie dowódca strażników.

– Zostańcie na posterunkach. - To było wszystko, co znikający w mroku oficer miał do powiedzenia.

Kiedy Mattheus odjechał, najstarszy stopniem strażnik zwrócił się do podkomendnych.

– Zamknijcie tę bramę! Słyszeliście przecież, że spodziewamy się ataku!

Zamykanie bramy w ciemnościach szło trudniej. W końcu jednak miejskie wrota zostały ponownie zamknięte. Przełożony strażników zastanowił się nad rozkazami Aleca Mattheusa. Pierwsze lata służby spędził podlegając bezpośrednio generałowi Torionowi. Wiedział więc, jak wielkim zaufaniem generała cieszy się kapitan. Gdyby było inaczej, nie zostałby jego adiutantem. Jednak wszystkie rozkazy, które właśnie od niego usłyszeli, wydawały się żołnierzowi pozbawione sensu. On i jego ludzie wykonali je jedynie z żołnierskiego obowiązku.

Choć może...

– Do diabła z takimi rozkazami! Nawet jeśli to on sam je wydał! - zagrzmiał oficer. - Niech ktoś odnajdzie mój hełm! Stefan! Zapalaj pochodnie!

– Ale kapitan Mattheus powiedział...

– Całą odpowiedzialność biorę na siebie! Gerard! Słyszeliście mnie! Ej, co się tak trzęsiesz?

– Chyba coś słyszałem. - Żołnierz wpatrywał się w ciemność.

– Nikt tu mi nie będzie bał się ciemności tuż przed atakiem! Boromir! Przejmij jego posterunek! Natych...

Stworzenie wielkości kota przemknęło obok nogi żołnierza, do którego zwracał się dowódca. Zanim zdołał dobrze mu się przyjrzeć, zauważył następne zbliżające się do Gerarda.

– Coś mi siedzi na plecach! - wrzasnął nagle Stefan.

W tej samej chwili z nocy wynurzyły się dziesiątki innych czarnych stworzeń. Do dowódcy dotarło, że musiały wspiąć się po murach, wykorzystując ich nieuwagę.

Żołnierze krzyczeli. Oficer, widząc zbliżające się doń trzy czarne kształty, wyciągnął miecz. Kiedy podeszły bliżej, przebił jedno ze stworzeń, lecz pozostałe rozbiegły się na boki, zachodząc go z dwóch stron. Zrozumiał, że gdy zacznie walczyć z jednym, drugie zaatakuje go od tyłu. Wtedy wreszcie zobaczył, co ich napadło.

Pająki. Morze olbrzymich pajaków.



Krzyki ucichły równie nagle, jak rozbrzmiały. Istota, która władała teraz ciałem Aleca Mattheusa, wsłuchiwała się w nie niczym w muzykę. Usadowiony pod skrywającym go hełmem pajak nakazał ustom Mattheusa wykrzywić się w parodii uśmiechu.

Droga była wolna. Inni mogli wejść do miasta.

Wkrótce wszyscy będą mieć swe ciała. Wkrótce wrócą dni potęgi Dzieci Astroghi.



– Nie musisz się nim kłopotać, mój panie - powiedział Karybdus. - On właściwie już nie żyje. Zabiję go ku twojej chwale.

– Nie. - W głosie wydobywającym się z ciała Jitana zabrzmiała skrzypiąca nuta. Zayl zdrzął. Opętany przez demona arystokrata odrzucił pusty Pajęczy Księżyc niczym rozłupaną skorupę i podszedł do leżącego na ziemi nekromanty. W odróżnieniu od pozostałych ten pająk miał całkowitą kontrolę nad ciałem gospodarza. Mimika twarzy Aldrica Jitana była nie do odróżnienia od tej, którą arystokrata prezentował za życia.

– Nie. Jego należy oszczędzić.

– Wedle życzenia - odrzekł zdumiony Karybdus. - Wedle życzenia, Astrogho, mój panie.

– Moje dzieci idą do miasta ludzi - wyjąwił Astrogha obu nekromantom. - Ciała gospodarzy znajdą. Moja potęga wszędzie na nowo! Bogiem znów będę!

– Nigdy... nie byłeś bogiem! - zdołał wreszcie wykrztusić Zayl, patrząc na makabryczną postać. - Jesteś jedynie podrzędnym demonem, Astrogha! Jesteś i zawsze będziesz tylko tym! Podnóżkiem Diabła! Prawdziwego Pana Terroru!

Ciało pająka pulsowało. Twarz Jitana skrzywiła się we wściekłą maskę. Uniósł rękę. W jej rozcapierzonych palcach zmaterializowała się kula ciemnych płomieni. Po chwili jednak ogień zgasł, zduszony w pięści arystokraty. Astrogha uśmiechnął się twarzą swego gospodarza.

– Nigdy nie odebrałbym tego tytułu Panu mojemu, Diablo. Tylko jego wasalem jestem. Rządzę jednak w jego imię, i to mu nie przeszkadza. To królestwo ludzi przekształcone zostanie wedle mej woli. Służyć jednak będzie zaspokojeniu żądz wielkiego Diablo!

– Karybdus! Nie widzisz, do czego doprowadziłeś? - Spojrzał na starszego nekromantę. - Tego właśnie chcesz?

– Tak. Chcę właśnie tego. Tego potrzebuje świat.

– Przechylnasz Równowagę na korzyść sił Ciemności!

– Nie. Równowaga zostanie zachowana. - Zakuty w zbroję nekromanta pokręcił przecząco głową.

Zayl patrzył na niego, zastanawiając się, jak Karybdus mógł w to wierzyć, nawet jeśli oszalał.

– Słów już starczy - zazgrzytał Astrogha i zwrócił się w stronę ołtarza. - Moja władza nie jest jeszcze prawdziwa. Trzeba więcej czasu.

– Wszystko odbędzie się w porę - zapewnił demona Karybdus, spuszczać wzrok.

Więzień dostrzegł w oczach nekromanty coś, czego nie widział Astrogha. Karybdus rzeczywiście chciał zachować Równowagę. Planował w jakiś sposób zdradzić demona. Tylko kiedy? Na pewno już po tym, jak niezliczeni ludzie zginą z rąk sług fałszywego bóstwa.

Zayl poczuł chęć, żeby powiedzieć o tym demonowi, lecz wątpił, by ten go wysłuchał. Podobnie jak wiele innych sług Piekła był próżny aż do przesady. Nie przyjąłby do wiadomości, że mógł istnieć ktoś zdolny, aby go przechytrzyć.

Jeśli jednak ktoś taki rzeczywiście istniał, to był nim właśnie Karybdus.

Opętany Jitan podszedł do rozplatanego ciała Sardaka. Astrogha umoczył palec w zastygłych płynach ustrojowych i uniósł dłoń do ust Aldrica.

– Tak dawno nie kosztowałem tego nektaru. Tak długo, jak byłem zamknięty w tej przeklętej bańce. - Targnięty nagłym gniewem arystokrata odepchnął ciało Sardaka. - To było niesprawiedliwe! To była zwykła zbrodnia!

– Nie rozumieli - wymamrotał stary Rathmita pocieszająco.

– Nie rozumieli - zgodził się Astrogha. - Dawałem taką władzę, tak ogromną wiedzę... Prosiłem tylko o kilka dusz i krew w zamian! To tak mało w porównaniu z chciwością śmiertelnych! - Demon spojrzał na Zayla. - Ale inni... Zazdrośni byli! Kazali mym wyznawcom mnie zdradzić! I stworzyli to! - Wskazał na porzuconą skorupę Pajęczego Księżyca. - Właśnie tu, gdzie zbiegają się różne poziomy istnienia. Tu, gdzie najłatwiej uwięzić moją potęgę!

Kiedy Astrogha ujawnił się wiernym po raz kolejny, kapłani, ryzykując życiem, uwięzili go w perle. Jego lojalni wyznawcy wykradli jednak magiczny klejnot, nazwany ze względu na swój wygląd Pajęczym Księżcem. Po przeprowadzeniu wielu skomplikowanych obliczeń stwierdzili, że w pewnych momentach czasu, oddzielonych od siebie całymi stuleciami, świat śmiertelnych zbliża się na tyle do Piekła, że można wykorzystać wtedy piekielne moce do uwolnienia uwięzionego bóstwa. Potrzebne było jednak coś jeszcze, coś, co wiązało demona z ich własnym światem.

Krew jego dzieci.

Demony i śmiertelnicy mogli się ze sobą krzyżować. Działo się to zazwyczaj bez zgody ludzi. Jednak niewiele dzieci zrodzonych z takich związków przeżywało. Ginęły albo w trakcie porodu, albo potem, zabijane przez tych, którzy znali prawdę o ich pochodzeniu. Jednakże dzieci Astroghi, pomimo odrażającego wyglądu ojca, wyglądały ładnie, niektóre były wręcz pięknymi istotami ludzkimi. Dlatego jego krew przetrwała. Dla

wyznawców pająka dzieci z tej linii były bardzo cenne. Zwłaszcza przez kilka pierwszych pokoleń, gdy krew demona nie stała się jeszcze zanadto rozrzedzona ludzką.

Niezrażeni tym, że u dalszych potomków krew mogła zostać tak rozrzedzona, że nie była już w żaden sposób związana z przodkiem z innego świata, kapłani robili jedyną rzecz, jaka im w tej sytuacji pozostawała.

Za każdym razem, kiedy tylko dowiedzieli się, że w czyjejs krwi może znajdować się część dziedzictwa Astroghi, porywali i zabijali taką osobę na ołtarzu. Za pomocą złożonych zaklęć zachowywali przy życiu krew potomków demona i ich serca. Innymi czarami oczyszczali krew w nadziei, że w odpowiedniej chwili będzie można jej użyć.

Rzeź, jakiej się dopuszczali, nie mogła na długo pozostać niezauważona. Znaleźli się tacy, zwłaszcza Synowie Rakkisa, którzy odkryli prawdę o tajnym kulcie. Z pomocą magów o podejrzaney reputacji, między innymi Vizjerei, udało im się odkryć świątynię ukrytą pod budynkiem, który wtedy był kościołem. Kościół stał w miejscu, w którym ogniskowała się magiczna moc sięgająca samego Piekła. Stanowił więc wymarzone miejsce dla kultystów. Kres ich praktykom położyli żołnierze Synów Rakkisa wraz z magami. Uwolnili niedoszłe ofiary i wybili niemal wszystkich wyznawców Astroghi.

Ci, którzy ocaleli z pogromu, zbiegli za morze, gdzie ukryli się w oczekiwaniu na chwilę mającą dopełnić ich przeznaczenia. Uciekając zabrali ze sobą zachowane serca i nieco oczyszczonej krwi Astroghi. Gdy wreszcie księżyc znalazł się w odpowiednim położeniu na niebie, kultyści przeprowadzili odpowiedni rytuał. Okazało się jednak, że ich plan nie był doskonały. Rozrzedzona krew pozwoliła co prawda wywołać Astroghę, ale

tylko pod postacią ducha, istoty zbyt słabej, by walczyć z Vizjerei, którzy dowiedzieli się o jego powrocie.

– Do ucieczki mnie zmuszono. Z powrotem w nadziei, że kiedyś prawdziwa krew mojego potomstwa zwiąże mnie mocniej z tym miejscem - syczał pająk. - A zapach tej krwi dolatywał mnie nawet spoza Bliźniaczych Mórz.

Potem Synów Rakkisa już nie było. Tajemnicy ich upadku nie znał nawet demon. W miejsce ich imperium rozkwitło królestwo zwane Marchią Zachodnią. Pozostający przy życiu wyznawcy kultu ukryli swego osłabionego bożka w ruinach, które niegdyś były fortecą ich wrogów. Zapewniwszy mu bezpieczeństwo, poszukiwali ludzi o odpowiedniej krwi.

Lecz Vizjerei następowali im na pięty. Działali przy tym szybciej, niż spodziewał się sam Astrogha. Większość jego ludzkich marionetek została wybita, a ich energię magowie wykorzystali przeciwko demonowi. Vizjerei nie byli dość silni, żeby go zniszczyć. Udało im się jednak znowu zamknąć demona w Pajęczym Księżycu. Straż przy uwięzionym demonie pozostawili w rękach jednego ze swoich poległych braci. Potem przybyli do miejsca, w którym więziono teraz Zayla, chcąc je kompletnie zniszczyć.

– To miejsce powstało, by jak najbardziej wzmocnić więź łączącą sfery istnienia - uprzejmie wyjaśnił młodszemu nekromancie Karybdus. - Gdyby udało im się je zniszczyć, więź ta osłabłaby na tyle, że nawet czysta krew Astroghi nie wystarczyłaby do jego uwolnienia. Vizjerei jednak nie zdołali tego zrobić. - Siwowłosy nekromanta syknął - stąd wzięły się ciała, które tu znalazłem.

– Moja zemsta bywa niekiedy powolna, lecz sięga celu nieuchronnie - powiedział Astrogha drwiąco, smakując ponownie krew Sardaka. - Gdy tu się znaleźli, pokąsały ich moje dzieci. Najmniejsze, lecz najbardziej jadowite. Czuję, jak ginęli, nawet z głębin mojego przekłętą więzienia.

– Mój panie, następna faza jest tuż tuż - powiedział wspólnik pajęczego demona, spojrzawszy na powagę. - Powinieneś rozpocząć przygotowania.

– Tak. Rację masz. - Astrogha wyciągnął skrwawioną dłoń w kierunku Zayla. - Podejź do mnie, wybrańcze.

Te słowa zaskoczyły obu nekromantów. Pierwszy zareagował Zayl. Przypomniał sobie przerażającą wizytę w podziemnym królestwie i późniejszą rozmowę z nieumarłym kapłanem.

– To ty - odgadł. - To ty wykradłeś mnie z celi. Ty stałeś na czele nieumarłych kultystów w świątyni.

Karybdus spojrział na Zayla, jakby ten oszalał wraz z demonem.

– O czym ty mówisz? To ja wskrzesiłem wyznawców Astroghi pod domem Nesardo... I o jakiej celi mówisz?

Uwięziony nekromanta spojrział tamtemu w oczy.

– Czyżbyś jednak nie wiedział o wszystkim? Myślałem, że jesteś wszechwiedzący. Prawda, ty wskrzesiłeś nieumarłych, ale poprowadził ich potem sam Astrogha. Karybdusie! Oni przede mną klęczeli! Nazywali mnie swym panem! Aż do teraz nie rozumiałem, dlaczego.

– Bajdurzysz! Astrogha był cały czas uwięziony w perle. Nie mógł stamtąd oddziaływać na nasz świat.

– Mógł. Księżyc znajduje się niemal we właściwej fazie. Sfery istnienia zbliżają się ku sobie. Co nieco jednak mógł. - Rathmita uśmiechnął się szyderczo. - Sam mu pomagałeś, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Za co nagroda cię nie minie - obiecał demon ustami Jitana. - Zaraz po tym, jak to lepsze naczynie dostanie się w moje ręce i odzyskam pełnię swej chwalebnej mocy.

– Ale przecież naczynie, które ci dostarczyłem, jest doskonałe, mój panie - powiedział siwowłosey nekromanta. - W jego żyłach płynie właściwa krew. Wykazywał uśpione zdolności magiczne. On...

– On nie jest właściwym naczyniem. - Aldric oblizał wargi. - Ten tu jest dużo lepszy. Przyglądałem mu się od dawna. Jest doskonały.

– Ale nie płynie w nim właściwa krew!

– Do moich celów niekonieczna jest właściwa krew. - Astrogha zwrócił się do Zayla - Chodź...

Nekromanta wstał wbrew własnej woli. Karybdus, jak tylko mógł, starał się ukryć swe emocje, lecz Zayl, doświadczony w odczytywaniu uczuć swych braci, dostrzegł w nim narastającą konsternację. Niezależnie od tego, w jaki sposób mężczyzna chciał pozbyć się Astroghi z tego świata, wybór młodego mistrza jako ostatecznego gospodarza demona najwyraźniej pokrzyżował mu plany. Ciało i dusza nekromanty uczyniłyby pająka jeszcze potężniejszym. W ohydne łapy Astroghi dostałaby się cała wiedza i wszystkie umiejętności Zayla.

Mimo całej swej ogromnej wiedzy Karybdus popełnił poważny błąd.

Tym razem jednak młody strażnik Równowagi nie cieszył się z błędu przeciwnika. Podchodząc coraz bliżej do Astroghi, rozpaczliwie próbował znaleźć sposób na wyrwanie się spod władzy demona. Wiedział, że przestanie istnieć dokładnie w momencie, gdy odnóża pająka przebiją mu czaszkę.

Mimo wysiłków nic nie przychodziło mu do głowy. Co ciekawe, pomimo strachu, który przepęłniał mu duszę, bardziej martwił go los niewinnych mieszkańców Marchii Zachodniej. Przede wszystkim niepokoił go los Salene Nesardo.

Opętany przed demona Aldric Jitan chwycił go za ramiona. Rozległ się obrzydliwy dźwięk odkorkowywanej butelki i siedzący na czubku głowy arystokraty pająk wyciągnął swe odnóża z czaszki nosiciela. Z ziejących w głowie Jitana otworów i z pajęczych nóg połała się krew.

Pająk - Astrogha przykucnął i przeskoczył z głowy lorda Jitana na czubek skrytej pod kapturem głowy Zayla.

Nekromanta chciał strząsnąć napastnika, lecz ten trzymał się mocno. Jednym odnóżem zrzucił kaptur, jedyną obronę, jaką Rathmita dysponował.

W tej samej chwili ciałem Jitana wstrząsnęło. Poluzował uścisk, w jakim trzymał Zayla. Rozbiegane oczy odwróciły się w głąb czaszki i ciało ambitnego arystokraty runęło na ziemię, zamieniając się w odrażający zewłok.

Zayl kątem oka dostrzegł, jak Karybdus przechodzi na bok. Stary nekromanta nie zrobił jednak nic ponadto. Jedynie patrzył. Jeśli w ogóle chciał coś zrobić, żeby powstrzymać pająka przed wchłonięciem wiedzy i mocy młodego Rathmity, to najwyraźniej czekał do chwili jego śmierci.

Sparaliżowany nekromanta czuł pieszczące jego czoło pajęcze odnóża. W jego umyśle rozbrzmiał głos Astroghi:

– Tak, doskonały jesteś... staniemy się jednością... a wszyscy inni zostaną moimi dziećmi...

Zayl poczuł rozrywający czaszkę ból.



Pająki były wszędzie.

Z początku ich fala przelewała się jedynie przez pozbawione obrony mury, lecz po chwili strażnicy, będący teraz gospodarzami Dzieci Astroghi, otworzyli ponownie bramę, wpuszczając przez nią kolejne grupy napastników.

Morze pajaków zalewało najbliższe budynki, wciskając się do nich przez szczeliny dużo mniejsze niż ich ciała. W ciągu kilku chwil powietrze wypełniły krótkie, urwane krzyki.

Gdy część Dzieci znalazła już dla siebie ciała, gromada ruszyła dalej. Miasto ludzi było bardzo duże. Gospodarzy było dość dla wszystkich.

Poza tym ci, którzy nie znajdą gospodarzy dla siebie tutaj, pójdą dalej, ku następnym ludzkim osiedlom.



Generał Torion przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zawrócić do pałacu i zabrać stamtąd Salene, lecz odrzucił ten pomysł. W towarzystwie Justyniana lady Nesardo była przynajmniej bezpieczna. Poza tym powrót po nią mógł obrazić króla, czego Torion wolał w tej delikatnej chwili uniknąć.

Załatwiwszy to, o co prosił go młody monarcha, Torion nie miał już nic pilnego do zrobienia, ale nie chciał po prostu wracać do domu. Wydarzenia dzisiejszego dnia odcisnęły na nim zbyt silne piętno.

Po zastanowieniu postanowił pójść na obchód. Nie musiał tego robić. Zazwyczaj załatwiali to za niego zaufani ludzie, tacy jak kapitan Mattheus. Tym niemniej miał nadzieję, że powrót do dobrze znanych czynności przyniesie mu ukojenie.

Najpierw chciał pojechać do zachodniej bramy, lecz zmienił zdanie i ruszył ku tej, co znajdowała się w północno-wschodnim zakątku miasta. To ona właśnie, wychodząca na wielki las, została najbardziej ogołocoła z załogi. Była to świetna chwila na udzielenie lekcji tym, którzy pełnili tam straż. Musieli nauczyć się starannego wypełniania swych obowiązków pomimo faktu, że było ich mniej niż zwykle.

Mijani po drodze strażnicy miejscy salutowali generałowi. Torion, podobnie jak oni, miał na głowie hełm. Nie lubił go nosić, był bardzo

niewygodny, lecz znów rozpadał się deszcz, a przyłbica chroniła przed nim lepiej niż jakikolwiek kaptur.

Gdy dotarł do celu, od razu spostrzegł, że coś jest nie w porządku. Przed wszystkim bramę zbyt słabo oświetlono. Nawet przy takiej pogodzie powinno przy niej płonąć co najmniej kilka lamp. Cienie dookoła poruszały się niczym żywe istoty.

Wtedy usłyszał pierwszy krzyk.

– Na Rakkisa! - krzyknął generał, dobywając miecza i poganiając konia. Dobrze wyćwiczony wierzchowiec jednak nie usłuchał. Torion nie mógł w żaden sposób zmusić zwierzęcia do postąpienia naprzód dalej niż na parę kroków, po których cofało się na powrót.

W powietrzu rozległ się kolejny wrzask. Coś przebiegło w cieniu. Stworzenie dorównujące wielkością kotu. Tyle że jak na kota miało zbyt wiele nóg.

Co mówiła Salene? Jakąś bajkę o pająkach?

– To niemożliwe... - wymamrotał. - Niemożliwe...

W takiej chwili nie chciał jednak ryzykować. Coś było zdecydowanie nie tak.

Odwrócił się za siebie, w kierunku ostatnio mijanego posterunku straży.

– Alarm! Alarm! Atak na bramę! Atak na...

Coś ciężkiego spadło na głowę jego wierzchowca. Koń zarżał przeraźliwie. W tej samej chwili wojskowy poczuł uderzenie w ramię. Torion kątem oka zobaczył istotę o wielu oczach i wielu odnóżach.

Generał pchnął stworza mieczem przez tułów. Stworzenie zasyczało i oderwało się od jego ramienia. Zaraz potem na ramionach oficera wylądowały dwa kolejne.

– Alarm! Alarm! - krzyczał bez przerwy, strząsając z siebie jednego z napastników.

Usłyszał okrzyki innych żołnierzy. Pierwszy z nich dobiegł go jednak od strony bramy. Torion rozpoznał zbliżającego się człowieka. Biegł ku niemu jeden z niższych rangą oficerów.

Żołnierz zbliżał się doń niezdarnymi ruchami. Generała ogarnęło złe przeczucie.

– Ty tam! - krzyknął zabijając drugiego z atakujących go stworów. - Co tu się dzieje? Gdzie reszta twoich ludzi?

Żołnierz nie odpowiedział, tylko nadal zbliżał się do dowódcy. Za nim wynurzyło się z ciemności dwóch innych strażników, idących tak samo niezgrabnie.

Torion spróbował zawrócić konia, zwierzę stało jednak jak wryte. Generał zobaczył siedzącego mu na głowie pajaka. Ciął go natychmiast mieczem, uwalniając wierzchowca. Uderzenie bronią pozostawiło w głowie konia ponad połowę z ośmiu odnóży pajaka, co królewski dowódca zobaczył na sekundę przed tym, jak zwierzę upadło. Generał spróbował rzucić się w bok. Nie zdążył.

Uderzył głucho o bruk. Poczował ból w lewej nodze. Spróbował nią poruszyć, lecz zrozumiał, że przygniotło ją ciało konia.

Pajak skoczył na pierś Toriona. Generał spróbował go strząsnąć, lecz napastnik uczepił się kłami jego rękawicy. Oficer ucieszył się, że stworzenie nie zdołało przebić mu skóry, spodziewał się bowiem, że zęby pajaka są nasączone jadem.

Tymczasem wpełzały na niego kolejne pająki. Torion nie wiedział, dlaczego żaden z nich nie zdołał go dotąd ukąsić. Podejrzewał jednak, że nie gryzły, bo po prostu nie chciały.

Zobaczył kogoś nad sobą. To był ten sam żołnierz, którego ujrzał na ulicy jako pierwszego. Tamten wyciągnął rękę ku głowie generała. Nie! Nie sięgał do głowy, a raczej po hełm.

Torion wykręcił się na bok. Żołnierz spróbował mu ściągnąć hełm po raz drugi.

Wtedy dopiero zobaczył, że hełm wojownika nie leży równo na głowie. Na dodatek coś się pod nim poruszało.

Generał dźgnął z całej siły. Ostrze miecza przebiło gardło żołnierza. Z głowy ranionego spadł hełm.

Tak samo jak na głowie konia, na głowie żołnierza siedział pająk. Torion nie musiał zgadywać, skąd się tam wziął.

Oficer starał się wyrwać, nie mógł jednak wydobyć nóg spod końskiego ciała. Zaklął, wiedząc, że powoli traci szansę przetrwania.

Wtedy właśnie zobaczył światło. Usłyszał krzyki, w których brzmiała konsternacja, ale i zdecydowanie. Siedzące na nim pająki rozpierzchły się, uciekając przed zbliżającym się światłem pochodni.

– Jesteśmy z panem, generale - powiedział żołnierz, chwytając dowódcę za ramiona.

– Nie zdejmujcie hełmów! - ostrzegł Torion. - Uwaga na cienie! Nie pozwólcie zbliżać się pająkom!

Mówiąc to, usłyszał kolejny krzyk, świadczący, że jednego z żołnierzy ostrzegł zbyt późno.

Rozległ się szcęk broni. Generała podniesiono na równe nogi i zobaczył dwóch podwładnych walczących z dwoma opętanymi strażnikami bramy. Żołnierze z pająkami na głowach, mimo że poruszali się niezręcznie, dawali radę parować uderzenia strażników, a nawet wyprowadzali ataki.

Wojskowy dokonał przeglądu swoich ludzi. Mógł liczyć na siedmiu. Rzut oka w ciemności dookoła wystarczył, by zrozumieć, że było ich zbyt mało.

– Wycofujemy się! Odwrót! Trzymajcie pochodnie i lampy w ich stronę! Prędzej!

Większość żołnierzy błyskawicznie wykonała rozkaz. Jednak jednemu z opętanych udało się strącić, nagłym wypadem, hełm z głowy toczącego z nim bój strażnika. Na gołą głowę mężczyzny natychmiast wskoczył pająk i zatopił swe odnóża w jego czaszce przy wtórze wyraźnego odgłosu pękających kości. Żołnierz padł na kolana i trwał tak przez chwilę, po czym wstał z takim samym pustym wzrokiem, co inni opętani, i poszedł za swym niedawnym przeciwnikiem.

– Cofamy się! Zaraza! - rozkazywał Torion. Obrzucił wzrokiem najbliższe otoczenie. - Oczyszczyć te budynki!

Ze wskazanych przez niego domów dobiegły jednak krzyki i generał zrozumiał, że jest już zbyt późno, żeby pomóc mieszkającym tam ludziom. Klnąc, wycofywał się przez chwilę, po czym przystanął, wpatrzony w jedno z okien.

– Ty tam! - zawołał przerażonego żołnierza. - Daj lampę! Szybko, człowieku!

Prawie wyrwał ją z rąk swego podkomendnego i wrzucił do środka domu przez okno. Mosiężna lampa zabiła szybę. Z rozbitej lampy wylała się oliwa.

Buchnął ogień, ogarniając natychmiast wiszącą w oknie zasłonę.

W świetle płomieni Torion po raz pierwszy mógł dokładnie przyjrzeć się pająkom.

Takich jak one nie widział nigdy wcześniej, choć wydały mu się nieco podobne do legendarnych Tkaczy. Zrozumiał jednak, że stworzenia te były po prostu groteskowymi demonami, i skoro odstraszał je ogień, chciał go mieć wokół jak najwięcej.

Nawet kosztem pożaru w całym mieście.

– Drugą lampę do tamtego budynku! - rozkazał, nie troszcząc się o tych, którzy mogli być wewnątrz. Wiedział, że albo już nie żyli, albo spotkał ich los gorszy niż śmierć.

Budynki po obu stronach ulicy stanęły w ogniu. Płonęło kilka obrzydliwych pajaków. Reszta wycofała się przed płomieniami.

Torion obawiał się, że nieustannie padający deszcz może zgasić pożar razem z resztką nadziei obrońców. Jak dotąd jednak jego plan wydawał się działać. Pajaków nie przybywało. Krążyły bezładnie wokół, jakby nie wiedziały, co robić dalej.

Wtem jeden z ludzi generała jęknął i padł na ziemię. Oficer odwrócił się i zobaczył nad nim człowieka na pierwszy rzut oka wyglądającego tak samo, jak reszta strażników. Dopiero gdy podniósł głowę, generał zobaczył, że hełm nie leży na nim równo, jakby coś pod nim ukrywał.

Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, opętany żołnierz zdarł hełm z głowy ogłuszonego strażnika. Z pleców napastnika zeskoczył pajak, który wylądował na leżącym człowieku i natychmiast wbił mu w głowę swe odnóża.

Torion pojął, że grożące miastu niebezpieczeństwo było o wiele poważniejsze, niż dotąd myślał. Opętany żołnierz nie przyszedł od strony bramy. Zaszedł ich od strony centrum miasta.

Generał zaatakował obu żołnierzy, natychmiast przebijając stojącego, po czym jednym cięciem rozplatał głowę leżącego wraz z uczepionym pasożytem. Inny z wojaków zabił pajaka kryjącego się w hełmie pierwszego.

Torion uwolnił ostrze miecza ze zwłok i ujrzał narastającą znów pajęczą falę.

– Odwrót! Odwrót! Zaraza! Odwrót! I niech każdy przyciśnie mocno hełm do głowy! Nieposłuszeństwo będzie karane egzekucją! Zrozumiano?!

Nie czekał na potwierdzenie. Deszcz padał zbyt słabo, by zgasić pochodnie, ale ta bitwa była już przegrana. Torion zaklął, wiedząc, że

wojsko, które ewentualnie mogło przyjść mu z pomocą, stacjonowało daleko w centrum miasta. Sam ich tam wysłał na rozkaz króla.

Król! Torion chwycił jednego z żołnierzy.

– Wskakuj na konia i pędź do pałacu ostrzec króla! Powiedz mu, że całe miasto jest zagrożone! Powiedz, że potrzebujemy wszystkich dostępnych ludzi, łącznie z tymi szykującymi się na jutrzejszą paradę. Spróbujemy je powstrzymać, jak tylko będziemy mogli!

Gdy posłaniec zniknął, krzyki rozległy się także w innych częściach miasta.

– Są wszędzie - mruknął doświadczony w bojach generał. - Są wszędzie.

Najwięcej pajaków nadciągało ze strony, z której spodziewała ich się Salene. Torion niemal zaczął żałować, że nie kazał posłańcowi przyprowadzić tu lady Nesardo. Generał chętnie wypytałby ją o inne szczegóły dotyczące tej podstępnej inwazji. Wyobraził sobie jednak Salene z pajakiem na głowie. Nie, tego ryzyka nie mógł podjąć. Najlepiej będzie, jeśli Salene zostanie tam, gdzie jest. W pałacu była bezpieczna.

Poza tym Justynian, jak tylko dotrze do niego posłaniec, z pewnością ruszy mu na pomoc...

DWADZIEŚCIA



Salene aż podskoczyła z przerażenia, gdy usłyszała pierwszy krzyk. To, że mogła go usłyszeć nawet w pałacu, stanowiło złą wróżbę dla całego miasta.

Justynian wziął ją za rękę. Spróbowała zrobić z nim to samo, co wcześniej z Torionem. Tym razem jednak jej dar nie zadziałał. Król szarpnął ją z powrotem na podest, siłą przyciągając bliżej do siebie.

– Powinnaś się uspokoić! Musimy tylko poczekać na odpowiedni moment! Wtedy już wszystko będzie dobrze. Zobaczysz!

– Dobrze? Wasza wysokość, ale co z ludźmi? Co z tymi wszystkimi cierpiącymi ludźmi? Tam giną niewinni!

Przez chwilę Justynian wyglądał tak samo niepewnie jak za dawnych czasów. Zadrżała mu dłoń. Spojrzał szybko w bok, gdzie unosiło się widmo Corneliusa. Widmo, które nie mówiło słowami mądrego Corneliusa, lecz sączyło w królewskie uszy jad Karybdusa.

Rozległ się szept. Lady Nesardo nadal nie rozumiała ni słowa. Niepokój błyskawicznie zniknął z twarzy młodzieńca. Odetchnął głęboko i spojrzał na Salene.

– Widzisz? Prawie udało ci się mnie przerobić! A będzie dobrze, tak jak mówiłem! Tak mówi mój ojciec, a on wie, co mówi! Zawsze!

Salene raz już powiedziała Justynianowi, co spotkało duszę Corneliusa, lecz ten nie uwierzył. Spróbowała więc po raz drugi.

– Wasza wysokość, wierzę ci, że to zjawia twego znakomitego ojca, naprawdę, ale ty też mi uwierz. Proszę. On padł ofiarą zaklęcia. Przemawia słowami złego i kłamliwego nekromanty Karybdusa! Twój ojciec nigdy i za nic nie dopuściłby do takiej rzezi. Jego duch zmuszony jest mówić rzeczy, których nie chce...

– Czy naprawdę chcesz, żebym cię znów uciszył, lady Nesardo? Wiesz, jak bardzo cię lubię, ale jak możesz mówić takie rzeczy o moim ojcu? Oskarżasz go, że jest czyjąś marionetką? I to marionetką zacnego Karybdusa?

Salene zrezygnowała. Justynian albo nie potrafił, albo nie chciał uwierzyć, że ktokolwiek mógł kontrolować jego ojca, choćby i po śmierci. Co gorsza, uważał nekromantę za swego zaufanego doradcę.

Ciekawe, od jak dawna Karybdus planował tę przebiegłość?

Coraz więcej krzyków przebijało się przez grube, pałacowe mury. Król pociągnął następny łyk wina i poczęstował Salene. Odmówiła.

Z korytarza dobiegły ich podniesione głosy spierających się mężczyzn. Zciekawiony Justynian nastawił ucha. Kobieta także nachyliła się ku drzwiom, chcąc lepiej słyszeć rozmowę. Frustracja, jaką słyszała w jednym z głosów, pasowała do jej własnego nastroju. Domyśliła się, że ktoś próbuje ostrzec króla, lecz nie może wejść.

Chwilę potem do sali wślizgnął się Edmun Fairweather. Salene uważała go wcześniej za zwykłego, nieszkodliwego sługę króla. Teraz jednak stał się jej przeciwnikiem, niemal tak wrogim jak lord Jitan czy Karybdus. Podejrzewała, że zupełnie świadomie brał udział w organizacji tych przerażających scen, które właśnie się rozgrywały na zewnątrz.

– Kto zakłócił nasz spokój, Edmunie? - zapytał król.

– Tak, jak się spodziewaliśmy. Jeden ze strażników. Powiedział, że przysłała go generał Torion. Oznajmiłem mu, że teraz nie wolno ci

przeszkadzać, a on zaczął się awanturować. W końcu rozkazałem strażom go pojmać i wtrącić na noc do celi. Za twoim, wasza wysokość, pozwoleniem, rzecz jasna.

– Cóż, jeśli to rzeczywiście niezbędne - powiedział Justynian po chwili namysłu. - Ale dopilnuj, by miał wszelkie wygody i aby dostał coś z mojej kuchni, Edmunie. Ten człowiek wykonywał jedynie swoje rozkazy. Nie wie tego, co wiemy my.

– Wedle życzenia, wasza wysokość.

– Edmunie Fairweather - lady Nesardo nie wytrzymała - rozumiem postępowanie króla, ale twoje? Przecież ty dobrze wiesz, co się tam dzieje! Zamierzasz przyglądać się tym okropieństwom z założonymi rękami?

– Żyję tylko po to, by służyć swemu władcy - odparł z niezmiennym wyrazem twarzy. Tylko w jego oczach zamigotały przez chwilę niebezpieczne ogniki. - On wydaje polecenia, ja je wykonuję.

– Zachwyca mnie twoje oddanie, Edmunie - oznajmił rozpromieniony Justynian.

Sługa uklonił się nisko i wyszedł.

Salene zamyśliła się. Odniosła wrażenie, że Edmun Fairweather, mówiąc o swym władcy, nie miał na myśli króla. Może służył Jitanowi? Karybdusowi? Nie, raczej nie jemu. Nie mogła wyobrazić sobie Edmuna służącego nekromancie.

Skrzywiła się. Te rozważania prowadziły donikąd. Czas było działać.

Ale co mogła zrobić? Kiedy chciała wyjść, Justynian zatrzymał ją z dziecinną łatwością. Miał do dyspozycji magię, podczas gdy jej moc, której i tak nie była w stanie kontrolować, zawodziła zupełnie. Była przekonana, że tę jej niemoc spowodował król. Nie wiedziała tylko, jak.

Świadoma, że każde słowo dotrze do uszu Corneliusa, rzekła:

– Chciałabym o coś zapytać waszą wysokość. Czy swe zdolności magiczne odziedziczyłeś po przodkach? Nie słyszałam nawet legend...

Zgodnie z jej przewidywaniami monarcha chętnie mówił o sobie. Być może nawet pomyślał, że Salene jest nim zainteresowana. Taka manipulacja młodym królem nie bardzo jej się podobała, lecz nie miała wyboru.

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. To wyłącznie moja moc. To jeden z darów, jakie otrzymałem. - Uniósł dłoń do szyi, na której kobieta zauważyła czarny łańcuszek. Cokolwiek na nim wisiało, skryte było na piersi króla. - Czy mogłabyś.

Rozległ się gwałtowny szept. Tym razem Salene nie miała wątpliwości, czego dotyczył. Na potwierdzenie jej przypuszczeń Justynian szybko przysunął dłoń do swego policzka. Udał, że chciał się jedynie podrapać.

– Chciałem powiedzieć - kontynuował król - że jestem pierwszym z rodu, u kogo ujawnił się ten talent. Być może ten dar wziął się z linii mojej matki. Pochodziła z królewskiego rodu z Lut Gholein. Tam, o ile wiem, takie rzeczy często się zdarzają. Tak. Na pewno odziedziczyłem to po jej przodkach.

Justynian wyglądał na zadowolonego, choć nie udało mu się przekonać Salene.

Arystokratka skinęła głową ze zrozumieniem, lecz jej myśli cały czas krążyły wokół czarnego łańcuszka i tego, co na nim wisiało. Salene podejrzewała, że - czymkolwiek to było - stanowiło źródło magicznej mocy króla i powód utraty jej własnej.

Krzyki narastały. Słyszeć je było niemal bez przerwy. Dłonie Salene drżały.

– Wasza wysokość, chyba jednak skosztuję wina - powiedziała.

– Oczywiście! - Król sięgnął do stolika, z którego wziął drugi kielich. Nalał wino i podał je gościowi.

Arystokratka sięgnęła po kielich. Ich dłonie zderzyły się w powietrzu. Kielich upadł na posadzkę. Wino rozlało się dookoła. Justynian odruchowo sięgnął po naczynie.

Salene Nesardo szybkim ruchem wyciągnęła rękę i zdarła z szyi króla czarny łańcuszek.

– Co... - Tyle tylko zdążył powiedzieć młody monarcha, zanim Salene wyciągnęła spod jego koszuli przymocowany do łańcuszka przedmiot, po czym natychmiast odskoczyła w tył.

Na kołyszącym się w jej dłoni łańcuszku wisiał trójkątny, brązowy medalion, na którym wygrawerowano oko otoczone zębami. Z medalionu emanowała taka sama mroczna energia, jaką lady wyczuwała za każdym razem, gdy schodziła do podziemi w swym domu. Jasnym było, że twórca tego medalionu nie chciał przy jego pomocy czynić dobra.

– Oddaj mi to! - syknął Justynian, wyciągając ręce do Salene. - To jest mi potrzebne!

Zamknął wokół niej ramiona.

I nagle Salene stała tuż za nim.

Sama nie wiedziała, w jaki sposób się tam znalazła. Młodzieniec odwrócił się w miejscu, z malującą się na twarzy rozpaczą. Coraz bardziej przypominał takiego syna Corneliusa, jakiego pamiętała - niepewnego i strachliwego.

– Wszystko zepsujesz! Cały misterny plan! - Znów rzucił się na Salene.

Po raz kolejny znikła, by pojawić się gdzie indziej. Tym razem stała obok drzwi. Zauważyła, że za każdym razem, gdy chciała uciec Justynianowi, medalion rozbłyskiwał.

Poczuła też, że ponownie krąży w niej magia. Najwyraźniej działanie medalionu było bardzo złożone. Justynianowi, który miał bardzo małe lub wręcz żadne wrodzone zdolności magiczne, dawał tylko tyle, żeby

młodemu królowi mogło się wydawać, iż jest niezwyciężony. Jednak wobec mocy uwolnionych przez Karybdusa i Jitana królewskie zdolności okazałyby się niczym.

Ludziom takim jak obdarzona uśpionymi zdolnościami Salene medalion oferował znacznie więcej. Wzmacniał jej własną moc do tego stopnia, że mogła ją kontrolować jak nigdy przedtem.

To oznaczało, że wreszcie mogła coś zrobić. Musiała tylko zbiec z pałacu.

Czyjeś ręce schwyciły ją od tyłu. Poczowała na szyi gorący oddech i usłyszała odrażający głos Edmuna Fairweathera.

– Co ty wyprawiasz, moja pani?

– Jak wspaniale, że jesteś ze mną, Edmunie. - Justynian klasnął w dłonie.

- Zabrała mi medalion!

– Widzę, wasza wysokość - powiedział sekretarz, po czym wyszeptał Salene do ucha: - Ale mój pan, Astrogha, do tego nie dopuści.

Przytrzymując ją przy swej piersi, sięgnął wolną ręką za siebie.

– Edmun! Nie trzeba! Zabierz jej tylko ten...

Nie chcąc biernie czekać na to, co zrobi Fairweather, Salene spróbowała zaatakować go tak, jak wcześniej Zayla. Dotknęła jego dłoni, skupiając we własnej całej swą wściekłość.

Spodziewała się, że oparzy go na tyle, by móc się uwolnić. To, co się stało, wprowadziło ją jednak w zdumienie.

Rozległ się hałas, któremu towarzyszył dźwięk podobny do odgłosu wydawanego przez płonące mięso. Stojący za nią mężczyzna wrzasnął.

Wyrwała się z jego objęć w samą porę, aby uniknąć silnego, gorącego podmuchu. Zatoczyła się na parę kroków, po czym odwróciła się.

Edmun Fairweather zamienił się w żywą pochodnię. Płomienie trawiły całe jego ciało, nie obejmując jednak nic innego. Podłoga nie była nawet

osmalona. Ogień wybuchł tak szybko, że królewski sekretarz jeszcze żył. Nie trwało to jednak długo.

Nadal krzycząc, Edmund upuścił coś na posadzkę. Ku swemu przerażeniu Salene stwierdziła, że to taki sam sztylet, jakim posługiwał się lord Jitan, gdy chciał ją złożyć w ofierze.

Mój pan, Astrogha - wyszeptał przedtem. Macki pająka sięgały zdumiewająco daleko. Ciekawe, od jak dawna Fairweather służył demonowi?

Ważniejsze jednak, że jego służba dobiegła właśnie końca. Zdradziecki sługa postąpił ku niej dwa kroki i upadł z cichym jękiem. Szalejące płomienie nadal trawiły jego poskręcane ciało, nie zostawiając na dywanie najmniejszego śladu.

Justynian zachłysnął się i opadł na tron. Siedział i trząsł się.

– Ojczy... ojczy... - władca Marchii Zachodniej wykrztusił po chwili. - Co ja mam zrobić?

Słyszając to, Salene odwróciła się, szukając konfrontacji z duchem. Nie mogła dopuścić, żeby z ust Corneliusa nadal sączył się jad słów Karybdusa. Okazało się jednak, że choć widmo nadal unosiło się w powietrzu, to aura starego nekromanty znikła. Cornelius był wolny. Lady Nesardo zrozumiała, że zerwanie medalionu z szyi syna naruszyło także czar zniewalający cień zmarłego króla. Co więcej, mina Justyniana świadczyła o tym, że młody król nie słucha już poleceń Karybdusa.

– Co zrobiłem? - Pobladł i przerażony pokręcił głową. - Ja nie chciałem. Robiłem to wszystko tylko po to, żebyś mógł być ze mnie dumny...

– Wasza wysokość - przerwała lady Nesardo, zwracając się naraz do ojca i syna - generał Torion przysłał posłańca! Powinniście z nim jak najszybciej porozmawiać! Miasto opanują potwory... -kontynuowała dalej swoją opowieść, starając się powiedzieć jak najwięcej w jak najkrótszym czasie.

– Tak. Oczywiście - podsumował Justynian, gdy skończyła. Król nerwowo stukał palcami w poręcz tronu. - Powinniśmy użyć wojska przygotowanego na paradę. Musimy oczyścić dzielnice opanowane przez pająki. Straż! Straż!

Justynian musiał krzyczeć dość długo. Wreszcie zjawili się żołnierze, najwyraźniej odesłani wcześniej spod drzwi przez Edmuna Fairweathera. Monarcha wydał kilka rozkazów roztrzęsionym głosem, spoglądając przy tym kilkukrotnie w bok, na widmo ojca. Na szczęście zjawę widzieli tylko on i Salene.

Gdy skończył komenderować, zwrócił się do ducha ponownie:

– Tak! Tak, ojczu. Powinien wiedzieć!

– O co chodzi, wasza wysokość?

– Torion! Trzeba dać mu znać, że nadchodzi pomoc. Musi wiedzieć, że warto próbować wytrwać za wszelką cenę. Do diaska! Gdzie jest ten jego posłaniec?

Salene dotknęła palcem medalionu. Przez głowę przemknęła jej śmiała myśl.

– Być może jest inny, szybszy sposób, by przekazać mu tę wiadomość.

Król pojął od razu. Zrozumiał i zląkł się o jej bezpieczeństwo.

– Nie mówisz chyba poważnie, lady Salene. Najlepiej by było natychmiast pozbyć się tego parszywego medalionu. Sama widziałaś, jakiego głupca ze mnie zrobił...

– Nie mam wyboru, wasza wysokość. Oboje nie mamy wyboru.

– Zabraniam ci!

Zignorowała królewski zakaz. Zamknęła oczy i mocno przycisnęła medalion do piersi, starając się nie myśleć o chłodzie, jaki z niego emanował. Wyobraziła sobie Toriona. Nie miała pojęcia, w jaki sposób ma się do niego teleportować, miała jednak nadzieję, że pomoże jej instynkt...

Stała w deszczu.

Rozejrzała się. Jej uszy wypełniły krzyki. Wszędzie dookoła płonęły ognie. Niektóre z nich przygasały, tłumione nieustającym deszczem. Kolejny wrzask zmroził ją do szpiku kości.

I wtedy zobaczyła Toriona.

Generał stał na tle płomieni, wykrzykując komendy łucznikom, którzy strzelali strzałami owiniętymi w szmaty. Salene domyślała się, że szmaty nasączono olejem.

Nagle usłyszała za sobą cichy syk.

Arystokratka odwróciła się bez zastanowienia i wyciągnęła przed siebie rękę. Wystrzeliła z niej ognista kula, w samą porę, by strącić z powietrza pajaka szybującego już ku jej głowie.

Olbrzymie stworzenie pisnęło i runęło na ziemię. Jego odnóża skręcały się w płomieniach.

– Salene! - Torion ruszył ku niej. - To ty! Przeklęta kobieto! Co ty, do diabła, tu robisz? Wracaj natychmiast...

– Torion, cicho! Musisz mnie wysłuchać. - Kiedy generał w końcu zamilkł, szybko zrelacjonowała mu wydarzenia.

– Zaraza! Powinienem był wiedzieć. Powinienem był! Za bardzo ufałem chłopakowi!

– Nie można było nic zrobić - oznajmiła z naciskiem. - Nie można było. Uknuli to: Edmun, Jitan i Karybdus.

– No cóż, przynajmniej możemy postawić krzyżyk na drogę naszemu poczciwemu Edmunowi...

Kolejne wrzaski przerwały ich rozmowę. Po lewej stronie bastionu pojawiła się fala pajaków. Dwóch ludzi padło. Stado pajaków przetoczyło się po ich ciałach. Na głowach, zgodnie z rozkazem Toriona, mieli ciasno

założone hełmy. Na nieszczęście, stwory, nie mogąc dobrać się do ich głów, zaczęły kąsać.

Jad działał błyskawicznie. Obaj ludzie krzyknęli i zaczęli się spazmatycznie szarpać.

Mgnienie oka potem już nie żyli.

Generał Torion zaklął.

– Dajcie tu pochodnie! Przynieście następną beczkę oleju. Jeśli tu się poddamy, będziemy musieli wycofać się prawie pod sam pałac!

Mógł wybierać pomiędzy spalaniem stolicy a poddaniem się pająkom. Salene doskonale rozumiała potworność wyboru, przed którym stanął.

Jej wzrok padł na beczkę z olejem. Spojrzała na nią, potem na medalion Karybdusa i znów na beczkę.

– Torionie... Każ im się odsunąć od tej beczki... i od tamtej też.

Generałowi wystarczyło tylko spojrzenie. Doświadczony dowódca szybko oczyścił teren ze swoich ludzi i dał jej znak ruchem głowy.

Nie mając pewności, co właściwie chce zrobić, Salene skupiła się na obu beczkach, ściskając mocno medalion.

Beczki gwałtownie wzniosły się w górę niczym wystrzelone z katapulty. Spadając, bezbłędnie wycelowały tam, gdzie kłębiło się najwięcej przerażających istot.

Tuż przed zderzeniem z ziemią kobieta wskazała je wyciągniętą dłonią.

Z jej palców wystrzeliły wiązki płomieni. Ogień leciał z taką prędkością, że Salene bała się nawet mrugnąć, żeby nie przeoczyć efektów czaru.

Beczki eksplodowały niemal równocześnie. Ognisty deszcz pokrył cały obszar... i znajdujące się tam pająki. Potwory ginęły setkami, płonąc błyskawicznie, tak jak ten, który wcześniej zaatakował Salene. Przeraźliwy syk płonących pajaków sprawił, że niejeden z obecnych zakrył uszy.

Lady Nesardo ciężko westchnęła i pochyliła się. Zaklęcie wyczerpało jej siły. Nawet z pomocą medalionu jej moc nie była nieograniczona.

– Salene, co się stało? Źle się czujesz?! - zawołał Torion, widząc, co się dzieje.

– Nie... nic... dobrze... muszę tylko... odpocząć. - Salene zatoczyła się na niego.

– Nic dziwnego. Po czymś takim! Jak ty to...

Pokręciła głową, dając generałowi do zrozumienia, że nie chce o tym mówić.

Torion pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym spojrzał ponad nią na jednego ze swoich ludzi.

– Ty tam! Przynieś wody dla lady! Prędko!

– Torion... - zapytała cicho rudowłosa kobieta - czy... czy je powstrzymałam?

Generał spojrzał w piekło płomieni. Kilka pajaków przetrwało, kręciły się jednak bezradnie. Reszta gromady zamieniła się w zwęglone szczątki.

– Dałaś nam dużo czasu Salene... Tak... Powstrzymałaś.

– To tylko czas.

– O ile nie przestanie ich przybywać, to tak - przyznał.

W tej sytuacji mogła zrobić tylko jedno. To, co powinna była zrobić na samym początku.

– Muszę do niego iść.

– Hmm... Do niego? - Generał wyprostował ją. Jego oczy błyszczały w świetle płomieni. - Nie mówisz chyba o tym diabelskim czarnoksiężniku...

– On ma na imię Zayl -jej głos zabrzmiał delikatniej - po prostu Zayl.

– Salene, zabraniam ci!

Uniosła rękę w jego kierunku. Torion skrzywił się i cofnął odruchowo.

– Niczego nie możesz mi zabronić, Torionie. Muszę do niego iść. On jest naszą jedyną nadzieją.

– W takim razie idę z tobą.

Salene mocno ścisnęła medalion w dłoni i pomyślała o Zaylu. Ujrzała w wyobraźni jego odważne, blade oblicze, rozumne oczy i ten jeden jedyny, krótki uśmiech, jakim ją obdarzył. Zwizualizowała nawet jego prawą dłoń bez rękawicy. Nie czuła już do tego widoku odrazy. Rozumiała.

Coś ścisnęło wszystkie jej wnętrzności. Miała wrażenie, że powietrze wycieka jej z płuc.

Upadła na twardą, wilgotną ziemię. Siła uderzenia wytrąciła z jej dłoni magiczny medalion. Gdy toczyła się w lewo, usłyszała odgłos przypominający plusk wpadającego do wody kamienia.

Toczyła się siłą rozpędu jeszcze przez kilka sekund. Wreszcie udało jej się uchwycić krzaka, którego gałęzie drapały twarz. Jej nogi poleciały jeszcze naprzód, lecz chwilę potem wyhamowała.

Przez cały czas starała się nabrać w płuca jak najwięcej powietrza. Nie myślała o zimnej ziemi, mroźnym powietrzu. Miała wrażenie, że w jej głowie galopuje setka koni, razem z jeźdźcami.

Wtedy jej uwagę zwróciło jasne światło, rozbłyskujące gdzieś przed nią. Zatrzepotała powiekami, próbując się na nim skupić. W tej samej chwili ból głowy ustąpił, a oddech się wyrównał.

Wracając do niemal normalnego stanu, przypomniała sobie o Zaylu.

Obawa o jego los dodała jej sił i pozwoliła się podnieść. Mokra włosy oblepiały jej ramiona i głowę. Odgarnęła kilka kosmyków z twarzy i rozejrzała się dookoła. Mimo deszczu i mgły było na tyle jasno, że dokładnie widziała otoczenie.

Niestety, nie zobaczyła medalionu. Wkrótce ze zgrozą zrozumiała, co się z nim stało. Niezbyt daleko od miejsca, w którym stała, płynął wezbrany

deszczem strumień. Przypomniała sobie plusk.

Stała przed wyborem. Mogła, tracąc czas, szukać medalionu w potoku lub poszukać Zayla tylko własnymi siłami. Nawet nie wiedziała jednak, gdzie jest. Podejrzewała, że czar zaniósł ją tak daleko, jak tylko mógł.

Pojawiło się kolejne pytanie. Czy mogła o własnych siłach dotrzeć do Rathmity? Skoro nawet moc zawarta w medalionie wystarczyła tylko na to, by rzucić ją gdzieś w głąb wielkiego lasu, to nie miała zbyt wielkich nadziei, że kolejna próba przyniesie lepszy rezultat. Zanim zabrała medalion Justynianowi, nie próbowała nigdy takiego zaklęcia.

Przestań! - złała się w duszy Selene. - *Sardak nie żyje, Torion i całe miasto znajdują się w niebezpieczeństwie, a Zayla mogą dzielić już tylko minuty od śmierci.* Z tej listy najbardziej przerażał ją los Zayla.

- Poszukam tylko chwilkę - powiedziała półgłosem. - Jeśli go nie znajdę od razu, spróbuję teleportować się sama.

Ślizgając się na podmokłej ziemi, Salene podeszła do strumienia. Było w nim dwa razy więcej wody niż zazwyczaj, a jego prąd stał się tak rwący, że zaczęła zastanawiać się, czy medalion nie spłynął już wraz z nurtem. Niewielka, lekka błyskotka mogła znaleźć się już daleko.

Musiała jednak poszukać. Ostrożnie weszła do potoku jedną, a potem drugą nogą. Spojrzała w wodę. Na szczęście noc była na tyle jasna, że widziała dostatecznie dobrze.

Zastanowiło ją to. Noc była niezwykle jasna. Uniosła głowę.

Pajęczy cień zakrywał niemal całą tarczę księżyca.

- Nie... nie...

Rozmiary pająka na księżycu oznaczały, że nie pozostało jej zbyt wiele czasu. Karybdus i Jitan czekali właśnie na tę chwilę. Przerazona, pochyliła się nad rwącą strugą i rozpryskując wodę, zaczęła szukać medalionu.

Niekiedy udawało jej się dostrzec fragment dna, lecz były tam tylko kamienie i wodorosty.

Salene zaczęła się trząść.

Wtem, z jej lewej strony, pomiędzy drzewami, pojawiło się światełko. Przypominało tamto kojące światełko, które dodało jej otuchy, gdy kilka chwil temu starała się zebrać siły. Usłyszała też, dochodzący od strony światełka, delikatny, lecz wyraźny dźwięk. Muzyka?

Lady Nesardo spojrzała prosto na światło i ujrzała odcinający się na jego tle zarys wspaniałej postaci w srebrnym płaszczu z kapturem. Przez moment wydawało się jej także, iż dostrzega ogniste skrzydła, lecz gdy mrugnęła, skrzydeł już nie było.

– Kto idzie? - zawołała w noc. Wiedziała, że nie może zaufać żadnemu napotkanemu w lesie obcemu.

Postać nie odpowiedziała, lecz nadal zbliżała się do Salene. Przybysz zdawał się być mężczyzną, wyższym od niej, a nawet od Zayla.

Arystokratka pochyliła głowę. Dźwięk dochodzący od tajemniczego osobnika poruszał ją bardziej niż jakakolwiek muzyka.

– Nie zbliżaj się! Powiedz najpierw, kim jesteś!

Nadal nie otrzymała odpowiedzi. Salene spięła się w sobie. Wiedziała, że nie starczy jej siły, by użyć magicznego ognia. Nie zdołałaby nawet zapalić świecy, nie mówiąc o starciu z nieznanym. Nie miała jednak zamiaru po prostu czekać w obliczu ewentualnego niebezpieczeństwa.

– Ostrzegam po raz ostatni! - krzyknęła i uniosła rękę, przygotowując się do walki. Może uda jej się wyczarować choć tyle ognia, aby przestraszyć obcego...

Światło za nieznanym zgasło tak nagle, że kobieta musiała zamknąć na chwilę oczy. Gdy je znów otworzyła, ujrzała, że przybysz nie jest człowiekiem.

To było wendigo.

Co więcej, rozpoznając jego futro, blizny i oczy, zrozumiała, że patrzy na to samo wendigo, które wyniosło ich ze świątyni.

DWADZIEŚCIA JEDEN



Gdyby Karybdus nie potrafił lub nie chciał przystosowywać się do zmieniających się warunków, nie przeżyłby stulecia z okładem. Okazało się, że nie doceniał zdolności Astroghi do oddziaływania na świat śmiertelnych z wnętrza klejnotu. Było to poważne niedopatrzenie, lecz nadal mógł je nadrobić. Stary nekromanta zawsze miał w zanadrzu plan awaryjny, wiedział więc, co powinien uczynić.

Jeśli Astrogha chce ciała Zayla, to Karybdus mu go użyczy... Na jakiś czas. Nikt przecież nie znał mocnych i słabych stron nekromanty lepiej niż inny nekromanta i na tym właśnie polegała przewaga Karybdusa. Ciało Aldrica Jitana też obłożył już wieloma subtelnymi zaklęciami, które miały pomóc magowi w odesłaniu demona z powrotem, gdy tylko Równowaga świata zostanie przywrócona. Za pomocą podobnych czarów mógł przygotować również ciało Zayla. Ochronne czary i moc młodego nekromanty zamaskowałyby je jeszcze lepiej niż te, którymi obłożone zostało ciało naiwnego arystokraty.

Musiał jednak działać szybko. Demon przygotowywał właśnie ciało Zayla na przyjęcie własnej osobowości. Robił to w sposób niewidoczny dla śmiertelnych oczu. Poza, oczywiście, oczami doświadczonego czarnoksiężnika. Opór, jaki Zayl stawiał demonowi, był większy niż Astrogha się spodziewał. Staremu Rathmicie spodobał się sposób, w jaki młodszy mężczyzna walczy z intruzem, nawet jeśli opór był daremny.

Dowodziło to jego niezwykłych umiejętności, a Karybdusowi dawało więcej tak potrzebnego, na przygotowanie zaklęć, czasu.

Dzieci Astroghi, będące niczym więcej jak tylko słabymi odbiciami istoty swego pana, łatwo dało się wywieść w pole. Karybdus skoncentrował się. Nie potrzebował przygotowywać się zbyt długo.

Wyciągnął zza pasa zabrany młodszemu nekromancie, kościany sztylet. Ostrze stanowiło teraz kluczowy element jego planu. Odmiana czaru Wysysania Życia miała spowodować, że w odpowiednim czasie pajęczy demon przekona się, iż jego „lepsze” ciało jest jeszcze bardziej delikatne niż to, które opuścił.

Zajęty zaklęciami Karybdus przeoczył leżącą nieopodal czarną sakiewkę. Gdyby na nią spojrział, ujrzałby w niej dwa zagłębienia przypominające oczodoły. Oczodoły wpatrzone wprost w niego.



Pajęcze odnóża zaciskały się na głowie Zayla z taką siłą, że jego czaszka mogła pęknąć w każdej chwili. Nekromanta zdawał sobie jednak sprawę, że to, co go czeka, będzie o wiele gorsze niż roztrzaskana głowa. Każde z odnóży starało się prześwidrować kość i zagłębić się w jego mózgu. Tam połączyłyby się z jego umysłem. Potem nie byłoby już Zayla, pozostałby Astrogha.

I nawet to nie byłoby końcem koszmaru. Przejąwszy ciało nekromanty, Astrogha zyskałby dostęp do umiejętności i wiedzy Zayla. Wzmocniłby dzięki nim swą własną potęgę. Do i tak rozległej wiedzy magicznej demona doszłaby znajomość tajemnic nekromantów. To oznaczało, że świat śmiertelnych znalazłby się w znacznie bardziej poważnym niebezpieczeństwie.

Jak Karybdus mógł do tego dopuścić? Rathmita nie myślał już, że starszy nekromanta padł ofiarą zbyt wielu walk stoczonych z siłami Ciemności. Nie. Opiewany w legendach nekromanta po prostu oszalał. Co zresztą nie niosło Zaylowi pokrzepienia.

Podstępny głos Astroghi znów zabrzmiał w jego umyśle:

– *Poddaj się mej woli, śmiertelniku, a zostaniesz bogiem...*

– *Zostanę nicością* - odparł nekromanta. – *Bierz, co musisz, lecz dobrowolnie nic ode mnie nie dostaniesz.*

Nie rozumiał, dlaczego demon nie chce go po prostu opętać, tak jak to uczynił z lordem Jitanem. Ich czaszki musiały przecież być podobnej grubości.

Dlaczego? Czyżby pajęczy demon nie mógł tego zrobić przemocą z powodu wiedzy i mocy Zayla? Czy nekromanta musiał poddać się sam? Możliwe, że gdyby Astrogha wziął ciało nekromanty siłą, nie zyskałby dostępu do jego zdolności.

Być może miał jeszcze jeden atut w ręku. Teraz już rozumiał, z jakiego powodu demon chciał pozyskać Zayla z pominięciem Karybdusa. Po tylu przegranych potyczkach z czarnoksiężnikami, między innymi z Vizjerei, pająk chciał uniknąć podobnych porażek.

Zayl jednak wolał stać się pustą skorupą, na podobieństwo lorda Jitana, niż użyczać swej mocy demonowi. Wzmocnił jeszcze swój opór i poczuł wściekłość Astroghi, który pojął, że zdobycz nie podda się bez walki.

Strażnik Równowagi miał nadzieję, że Astrogha nie zdaje sobie sprawy z ograniczonej siły ludzkiej woli. Nekromanta chciał doprowadzić demona do utraty cierpliwości. Zayl miał nadzieję, że zanim opadnie z sił, broniąc się, zostanie przez demona zabity. Gdyby Astrogha zauważył, że opór człowieka słabnie, wygrałby nieuchronnie.

– *Wszystkie twoje marzenia zostaną spełnione* - mruczał demon. – *Bogactwa, niewolnice, władza... imperium...*

– *To ty będziesz je mieć...*

– *Nie zrobię z tobą tego, co uczyniłem z tym głupcem* - Astrogha starał się uspokoić ofiarę. - *Czyżbyś nie pamiętał, jak moi wyznawcy nazywali cię swym panem ? Podziel się ze mną swymi tajemnicami, a ja zdradzę ci swoje...*

Demon nie starał się skusić Zayla samymi tylko słowami. Te były prostymi, jawnymi oszustwami. W każdej wypowiedzianej przez Astroghę sylabie czaiła się jednak magia, świdrująca nieprzygotowany umysł na podobieństwo robaka drążącego gnijące zwłoki. Sam fakt słuchania głosu Astroghi dawał tej magii dostęp do umysłu ofiary... Chyba że ofiara miała, tak jak Zayl, doświadczenie w odpieraniu tego rodzaju sztuczek.

Niemniej i ta umiejętność nekromanty miała swoje granice... i Zayl zbliżał się do nich szybciej, niżby sobie tego życzył.

Nadal jednak nie miał innego pomysłu, niż modlić się, by śmierć nadeszła przed opętaniem. Nikt nie mógł przyjść mu z pomocą. Jedyne z obecnych przyjaciół, Humbart, nie miał nawet szkieletu, nie wspominając o nogach.

Tylko jedna rzecz niosła mu ukojenie w obliczu nieuchronnej śmierci. Salene była w mieście. Uciekła. Zawiódł w wielu sprawach, ale nie w tej jednej.

Salene była z pewnością bezpieczna.



Generał Torion w ciągu swego żołnierskiego życia brał udział w wielu bitwach. Teraz zamieniłby tę obecną na najkrwawszą z przeszłych. Jedyne

sukces, jakim mógł się pochwalić, stanowiło to, że jak dotąd jego ludziom udawało się utrzymać pozycje. Otrzymał niewielkie posiłki, lecz informacje docierające z innych dzielnic miasta świadczyły, że nawet gdy jeszcze dotrą żołnierze wysłani przez Justyniana, będzie ich zbyt mało. Większej części wojowników, na których przybycie liczył generał, potrzebowano teraz gdzie indziej. Pająki złamały obronę murów z każdej strony miasta.

Jednak nie to było najgorsze. Coraz więcej informacji mówiło o tym, że wielu żołnierzy i cywilów zmieniło się w żywe trupy, z usadowionymi na ich głowach pasożytniczymi istotami. Kilka barykad padło, ponieważ wojsko nie przykładano należytej wagi do odpowiedniej ochrony własnych głów. Całe szczęście, że dzięki Torionowi udało się szybko rozprowadzić wśród obrońców ostrzeżenie przed takim zachowaniem.

Pająków stale przybywało. Każdego usmażonego w oleju lub przebitego mieczem zastępował tuzin lub nawet setka następnych.

Skąd się one biorą? - zastanawiał się doświadczony dowódca, pomagając wytoczyć kolejną beczkę oleju. W płomieniach stała, lub była już spalona, co najmniej piąta część stolicy. Gdyby nie wzmagający się deszcz, spłonęłaby już znacznie większa część miasta.

Każdy z ogni musiano zasilać olejem lub innym palnym płynem, zapasy jednak były już na wyczerpaniu. Kilka z magazynów oleju zostało opróżnionych jeszcze przed atakiem. Z tego, co Torion zdołał ustalić, rozkaz ich spustoszenia wydał Edmun Fairweather. Wojskowy bezustannie przeklinał zmarłego w nadziei, że jego śmierć w płomieniach była bolesna i długa. Co i tak oznaczało zbyt łagodną karę, jak na generalski gust.

Torion przekazał beczkę żołnierzowi i zatrzymał się, aby zaczerpnąć tchu. Justynian, któremu wrócił zdrowy rozsądek, powierzył większość obowiązków związanych z obroną miasta doświadczonemu Torionowi. Generał wiedział, i nie była to jedynie próżność, że bez niego wysiłki

obronne nie zostałyby tak świetnie zorganizowane. Oczywiście, pomogło mu w tym to, że przy życiu pozostało kilku z jego najlepszych oficerów. W miarę możliwości powierzał im dowództwo nad kolejnymi odcinkami obrony. Martwiło go tylko, że nikt nie wiedział, gdzie jest Alec Mattheus. Jedyną wiadomością, jaką otrzymał o swoim adiutancie, była informacja, że wcześniej wieczorem, gdy jeszcze jedyny problem stanowiło schwywanie Zayla, Mattheus z oddziałem wyruszył na patrol za miasto.

Torion ze smutkiem podejrzewał, że dzielny oficer, który miał go kiedyś zastąpić, poległ, walcząc do końca z ośmionóżnym wrogiem.

Biorąc kolejny głęboki wdech, generał rozejrzał się dookoła. Oddział łuczników słał nasączone olejem strzały tam, gdzie ognia potrzebowano najbardziej. Łuczników chroniła piechota, uzbrojona w miecze, piki i, rzecz jasna, pochodnie. Od północy...

Na północ od miejsca, gdzie stał generał Torion, pojawiła się postać do złudzenia przypominająca zaginionego kapitana Mattheusa.

Umęczony dowódca rozpromienił się w uśmiechu. Ruszył ku oficerowi. Alec, ze srogim wyrazem twarzy, powolnym ruchem zasalutował generałowi. W drugiej dłoni trzymał miecz, na którym widniały wyraźne ślady walki.

– Alec, stary druhu! - zawołał Torion, ignorując zasady protokołu. Tak bardzo się ucieszył widząc adiutanta. Nie mając własnych dzieci, traktował Mattheusa jak syna. - Gdzieś się, do diaska, podziewał? Nic ci nie jest?

Nastąpiła chwila ciszy, po której podchodzący coraz bliżej oficer odparł:

– Nie. Nic mi nie jest. - Jego głos brzmiał jednostajnie, co jednak nie zdziwiło starszego rangą. Wszyscy żołnierze byli u kresu sił, a Alec wyglądał, jakby go ciągnano po ulicach.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, druhu. - Generał obejrzał się za siebie, spoglądając na mężczyzn przetaczających beczki. - Może przejąłbyś tu

dowództwo na chwilę? Ja sprawdziłbym, jak...

Kątem oka Torion zauważył, że adiutant sięga do jego hełmu.

Nawet wyćwiczony w bojach refleks żołnierza ledwie uchronił go przed utratą osłony głowy. Pobladły dowódca patrzył na kapitana, nie dając wiary oczywistej prawdzie.

Wystarczyło tylko spojrzeć na hełm Aleca, by dostrzec, że siedzi na jego głowie nieco zbyt wysoko. Być może, gdyby chodziło o kogoś innego, zauważyłby to wcześniej. Mając przed sobą ulubionego oficera, nie dał jednak wiary, że coś takiego mogło się stać.

Teraz jednak rozumiał, że stojąca przed nim istota nie jest już jego zaufanym adiutantem.

Gdy Torion sięgnął po miecz, kapitan zaatakował. Generał zasyczał z bólu, czując ostrze przebijające mu szyję, niemal rozrywające tętnicę.

Odparował kolejne pchnięcie, z lękiem dostrzegając, że przeciwnik walczył w podobnym stylu, co prawdziwy kapitan Mattheus. Wiedząc, jak dobrym fechtmistrem był kapitan, Torion zaatakował bardziej zdecydowanie.

Generał zauważył lukę w gardzie kapitana i pchnął. Miecz sięgnął celu. Ostrze rozcięło niechronione gardło Mattheusa.

Ze straszliwej rany buchnęła gęsta, na wpół zestalona ciecz, która musiała być krwią, jednak przeciwnik Toriona nawet nie zwolnił.

Oficer zaklął i uskoczył w tył, w samą porę, by uniknąć wymierzonego w głowę cięcia. Częścią umysłu zarejestrował, że kapitan nadal stara się pozbawić go hełmu, drugą częścią zastanawiał się, jak można zabić kogoś martwego. Pająk, który owładnął ciałem Mattheusa, miał najwyraźniej większą kontrolę nad ciałem gospodarza niż pozostałe.

Torion zacisnął zęby i zaatakował ponownie. Tym razem nie mierzył w ciało, lecz - tak jak robił to Alec - starał się trafić w hełm.

Nawet za życia Mattheus nie był tak dobrym fechtmistrem jak generał, któremu udało się to, co przed chwilą nie wyszło adiutantowi. Skrajem ostrza trafił w brzeg hełmu, ten zaś przekręcił się na bok i spadł na ziemię.

– Na Rakkisa! - ryknął Torion, widząc swego prawdziwego wroga. Pająk zasyczał, a ciało Aleca odpowiedziało na syk, wyprowadzając w generała serię cięć i gwałtownych wypadów. Przez chwilę zmusił wojskowego do obrony. Ów zaczynał tracić siły.

Nie! Nie dopuszczę do tego! Spojrzał w twarz człowieka, którego uważał za swego następcę i syna, po czym modląc się o jego duszę, ciął.

Ostrze rozplatało pająka na dwoje. Obrzydliwa, zielona maź wytrysnęła z ciała potwora.

Twarcz Aleca wykrzywił grymas. Jego ciałem zatrzęsły groteskowe skurcze.

I wreszcie Alec Mattheus, nadal ściskając miecz w dłoni, miękko upadł na bruk.

Dyszząc ciężko, generał Torion przyglądał się zwłokom. Ta śmierć bolała go o wiele bardziej niż pozostałe. Odwrócił się ku reszcie żołnierzy, walczących ramię w ramię z cywilami przeciwko narastającej fali zła.

Mimo odniesionego przed chwilą zwycięstwa głównodowodzący armii Marchii Zachodniej zrozumiał, że nie są w stanie zrobić nic więcej poza próbami utrzymania pozycji. On sam i jego ludzie byli śmiertelni, a pajaków stale przybywało.

Wtedy dotarło do niego, że wszystko zależy teraz od Zayla. Wszystko zawisło na człowieku, którego do niedawna ścigał.

Wszystko zależało od nekromanty... i, to też Torion zrozumiał dopiero teraz, od Salene.



Odwlekasz tylko to, co nieuniknione... - syczał Astrogha w myślach nekromanty. - *Będziemy jednością... jednością...*

Zayl czuł, jak słabnie jego wola. Wiedział, że demon wyczuwa to równie dobrze.

A gdy już będziemy jednością, pozwolę ci zażyć rozkoszy zadania powolnej śmierci siwemu starcowi, który uważa mnie za głupca...

Mówił o Karybdusie. Astrogha nie był zatem ślepy. Rozumiał, że mimo wszystko Karybdus jest nekromantą, a zatem zagrożeniem dla demona.

Tylko czy wiedział, jak bardzo przebiegły jest Karybdus? Tego Zayl nie był pewien. Tak czy inaczej, świat śmiertelnych czekało cierpienie.

Wtedy pająk zrobił coś, co wstrząsnęło człowiekiem. Nie przerywając mentalnych zmagania z nekromantą, zaczął wypluwać z paszczy obrzydliwą, lepka maź. Pajęczynę.

Prawdziwe pająki produkowały swe sieci inaczej, lecz forma, jaką przybrał Astrogha, była jedynie podobna do pająka, a nie pająkiem. Pajęczyny przybywało. Owijała się wokół stóp i nóg Zayla. Sięgała coraz wyżej.

Astrogha przygotowywał się na chwilę, gdy ofiara podda się jego woli. Demon chciał przybrać swą prawdziwą, piekielną formę, a ciało Zayla miało posłużyć do jej odtworzenia.

Uwięziony nekromanta nie mógł mu w tym przeszkodzić.



Karybdus obojętnie przyglądał się, jak pająk oplata Zayla. Wiedział, że księżyc już niedługo zmieni pozycję na niebie i rzadka chwila, gdy ciała niebieskie ułożone są w odpowiedniej pozycji, przeminie. Nie wątpił

jednak, że Astrogha zdąży do tego czasu dokonać pełnej przemiany. Zakuty w zbroję nekromanta schował sztylet Zayla za pasem. Wszystko już było gotowe. Astrogha wróci na krótko do świata śmiertelnych, zrobi to, co konieczne dla przywrócenia Równowagi, a wtedy Karybdus odeśle pająka na zawsze do Piekła. Oczywiście, było to jak stąpanie po kruchym lodzie. Wypuszczenie demona na wolność w Marchii Zachodniej, jak inne podobne uczynki, należało mieć pod stałą kontrolą. Siwowłosa Rathmita jednak kontrolował sytuację.

Kiedy pozbędzie się już Astroghi, zajmie się innymi dziełami. Nekromanta spodziewał się, że będzie mieć jeszcze dużo pracy, zanim Równowaga stanie się doskonała. Zbyt wiele pokoleń nekromantów poświęciło się jedynie zwalczaniu zła. Prawdopodobnie przywrócenie właściwego stanu rzeczy zajmie jeszcze ponad wiek.



Wendigo niosło Salene przez las z oszałamiającą prędkością. Kudłaty gigant potrafił z dziecinną łatwością omijać wystające konary i przeskakiwać nad wykrotami, nawet będąc obciążonym ciężarem człowieka. Gdy las ustąpił wzgórzom, wendigo okazało się równie zręcznym wspinaczem. Mknął w górę po skałach i zręcznie unikał spotkań z potwornymi sługami Aldrica, których obecność zdawał się wyczuwać, zanim jeszcze ich zobaczył.

Salene nadal nie rozumiała znaczenia wizji, której doświadczyła tuż przed zaskakującym powrotem wendigo. Po namyśle stwierdziła, że wizję spowodowało wyczerpanie w połączeniu z ryzykownym wykorzystaniem magii, wszystko to, nakładając się na siebie, doprowadziło do chwilowego

zmącenia jej zmysłów. Jednakże dużo bardziej niż niezwykła wizja martwiło ją to, czy zdoła odnaleźć Zayla na czas.

Wydawało się, że dokładnie w tym chciał jej pomóc leśny olbrzym. Nie rozumiejąc pomruków wendigo, Salene doszła do wniosku, że Zayl musiał w jakiś sposób porozumieć się z gigantem i pokazał mu, jak ma ją odnaleźć. Tylko tak mogła sobie wytłumaczyć pojawienie się olbrzyma w odpowiednim miejscu i czasie.

Odzyskała nadzieję. Niewielką, ale zawsze.

Teraz jednak ogarnął ją lęk. Zbliżali się do miejsca, w którym o mały włos, a złożono by ją w ofierze demonowi. Jej strach wzmagął widok kilku pajęczych sług Jitana oraz około pół tuzina ludzi, o ile można było te istoty nazywać jeszcze ludźmi. Chodzili w tę i z powrotem, jakby we śnie. Każdy z nich miał coś dziwnego na głowie. Ich oblicza, na ile to mogła ocenić w słabym, dochodzącym z wnętrza świetle, wyglądały na puste i pozbawione życia.

Co gorsza, w kilku z nich rozpoznała ludzi Aleca Mattheusa, którzy wraz z kapitanem ruszyli w pościg za nekromantą.

Biorąc pod uwagę, że znajdowali się teraz pod kontrolą wroga, zrozumiała, że Zayl musiał dostać się w ręce Jitana i Karybdusa. Salene wyczuwała złowrogą energię bijącą od ruin. Gdyby Zayl był wolny, na pewno zlikwidowałby już jej źródło.

– Jest w środku, prawda? - wyszeptała do wendigo. - Schwytali go, prawda?

Nie zrozumiała pomruku, którym odpowiedział olbrzym. Coś w jego głosie utwierdziło ją jednak w przypuszczeniach.

Uwięzienie Rathmity przez lorda Jitana i Karybdusa nie zwiastowało niczego dobrego. Kobieta wiedziała, że musi go uwolnić, nawet jeśli nie zdołają działać nic więcej. Choć coś mówiło jej, że jeżeli już dokona tego

czynu, to nekromanta z pewnością znajdzie sposób, żeby powstrzymać szaleńców.

Salene nie widziała innego sposobu na dostanie się do ruin jak wtargnięcie głównym wejściem. Wendigo pokazało jej co prawda ukryty tunel z tyłu, lecz ten był strzeżony przez ludzi-pajaki i wydawało się, że większą szansę powodzenia miała wchodząc głównym wejściem.

Chciała przyjrzeć mu się dokładniej, lecz z jakiegoś powodu olbrzymi towarzysz nie chciał dopuścić jej bliżej. Zachowywał się tak, jakby wyczuwał coś, o czym ona nie miała pojęcia.

Przypominając sobie wszystko, czego dokonała z pomocą medalionu i bez niego, Salene rozważała różne możliwości. Jej cel był jasny. Sposób, w jaki miała go osiągnąć, był już mniej oczywisty.

– Gdyby tylko udało nam się ich odciągnąć. - Lecz tym razem wypatrzyła o wiele więcej strażników, niż było tu poprzednio. Ponadto Salene dostrzegła pełzające po wzgórzu pajaki. Było ich niewiarygodnie dużo.

Ten widok przypomniał jej o Marchii. Spojrzała na wendigo, zastanawiając się, w jaki sposób udało im się ominąć ogromną, pajęczą gromadę. Ponownie przyszła jej do głowy wizja zakapturzonej, uskrzydłonej postaci, ale jej towarzysz nie przypominał jej ani na jotę.

Nie było czasu, aby się nad tym zastanawiać. Pajęczy Księżyc wisiał wysoko nad ich głowami. Lady Nesardo czuła, że wkrótce zniknie, a wtedy wszystko zostanie stracone.

– Wydaje mi się, że wiem, jak mogłabym kilku z nich odciągnąć - wyszeptała przyglądając się koszarnej straży. - Ale...

Dopiero wtedy zauważyła, że mówiła w pustkę. Jak udało się olbrzymowi porzucić ją tak niepostrzeżenie? Rozejrzała się dookoła w obawie, że coś złego spotkało wendigo...

Sekundę później rozległ się potężny ryk i odgłos zgniatania. Po nich usłyszała stłumiony syk i zrozumiała, że właśnie zginął jeden z ohydnych strażników.

Większa część pozostałych sług Aldrica ruszyła hordą tam, skąd dobiegały odgłosy walki. Za nimi podążyli żołnierze i pająki. Kilka pozostało na straży, lecz w Salene wstąpiła nadzieja. Gdyby tylko udało jej się powtórzyć to, co zrobiła w sali tronowej...

– Proszę - modliła się, nie wiedząc do kogo. - Niech się uda...

Skupiła się na znajdującym się w pobliżu wejścia miejscu, gdzie akurat nie stała straż.

I nagle właśnie tam się znalazła.

Jeden z pozostałych na czatach potworów zaczął odwracać się w jej stronę. Salene skoncentrowała się tym razem na wywołanym w pamięci obrazie wnętrza ruin. Myślała o punkcie w pobliżu wewnętrznych drzwi. Miała nadzieję, że teleportując się w tak ustronne miejsce, nie zostanie natychmiast dostrzeżona.

Znikła, tuż zanim na miejsce, w którym stała, padł wzrok strażnika.

Mgnienie oka później znalazła się w samym środku koszmaru.

Zayl miał właśnie zostać pożarty.



Jego siła woli była na wyczerpaniu. Wiedział, że za parę sekund ostatnie zapory pękną i Astrogha dostanie wszystko, czego chce. Potem wystarczy mu już tylko kilka minut, by w pełni objawić się w świecie śmiertelnych.

Gdyby tylko miał swój sztylet, sprawy miałyby się inaczej. Będąc tak blisko pająka, wykorzystałby moc zawartą w ostrzu, aby skuteczniej przeciwstawić się demonowi.

Lecz nie miał sztyletu.

Miał go Karybdus.



Karybdus usłyszał wycie. Skupił się na poszukiwaniu jego źródła. Tuż na granicy obszaru, który mógł spenetrować swymi zmysłami, wyczuł wendigo. Zastanowiło go to, że bestia znajdowała się właśnie tam, gdzie ledwie mógł ją wyczuć. Rathmita nie wierzył w przypadki. Coś było nie w porządku.

Chwilę potem poczuł obecność kogoś jeszcze.

Kogoś znajomego.

Kobieta. Lady Salene Nesardo.

Pomimo zaskoczenia zachował kamienny wyraz twarzy i odwrócił się szybko patrząc tam, gdzie powinna stać. Nie zobaczył jednak nikogo.

Karybdus zmarszczył brwi i zrozumiał, co się dzieje.

Zrozumiał jednak zbyt późno. Strumień ognia trafił zakutego w zbroję nekromantę w pierś, odrzucając go z hukiem na ścianę za plecami.



Salene, drżąc, wpatrywała się w odzianego w czerń maga, modląc się, by nie wstał od razu. Karybdus jednak leżał nieruchomo na ziemi. Arystokratka odwróciła się ku rozgrywającemu się w sali przerażającemu spektaklowi.

Nieopodal dostrzegła zbezczeszczone ciało Sardaka. Na widok okrucieństw, jakich się na nim dopuszczono, zrobiło jej się niedobrze.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że pomimo iż była zatruta jadem, użyli jego krwi, tak jak chcieli użyć jej własnej.

Jeszcze bardziej przeraziło ją to, co działo się z Zaylem. Nekromanta żył, był jednak niemal całkiem owinięty w wielki kokon, z którego wystawała jedynie głowa i część pozbawionej mięśni i skóry ręki.

Na samym czubku kokonu siedział pająk, tak ohydny, że wydało się niemożliwe, żeby pochodził z tego świata. Z paszczy potwora wypływała lepka, oplatająca nekromantę sieć. Odnóża pająka mocno ścisnęły głowę Zayla.

Oczy pająka rozbłysły i Salene pojęła, że odkrył jej obecność. Tym niemniej nie zareagował, a jedynie dalej owijał swą ofiarę pajęczyną. Demon zachowywał się tak, jakby nie musiał się jej obawiać.

Arystokratka szybko zrozumiała, dlaczego. Drgnienie ponad nią ostrzegło kobietę przed atakiem. Wyciągnęła dłoń ku górze i w ostatniej chwili trafiła płomieniem jednego ze zmutowanych sług Aldrica. Jego płonące, poskręcane truchło upadło tuż obok. Salene zastanawiała się, gdzie może być zdradziecki arystokrata. Odpowiedź otrzymała sekundę później, gdy spojrzała poza Zayla. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na to, co zostało z Jitana, by zrozumieć, że nie ma czasu do stracenia.

Co gorsza, zewsząd pojawiały się kolejne bestie Aldrica Jitana. Wiedziała już doskonale, czemu siedząca Zaylowi na głowie istota nie przejęła się jej wtargnięciem. Demon wezwał mutanty na pomoc. Póki co ludzie-pająki, wiedząc, jak rozprawiła się z Karybdusem, zachodzili ją ostrożnie. Czekali do chwili, gdy zbierze się ich odpowiednia liczba. Tymczasem zyskiwali czas dla swego podstępного pana.

Salene spojrzała na Zayla. Jej najbardziej udane czary polegały na teleportowaniu się lub strzelaniu płomieniami. Żaden z nich nie mógł teraz

pomóc nekromancie. Nie wiedziała, jak ma zabić pająka, nie uśmiercając przy tym Zayła, lecz nie mogła dłużej tak po prostu stać.

– Panienko! - rozległ się nagle znajomy głos. Poczowała ulgę. - Moja pani! - krzyknął znów Humbart. - Tutaj! Tu z boku!

Dwa potwory rzuciły się na nią z sykiem. Lady Nesardo nie użyła płomienia, tylko odruchowo usunęła im się z drogi. Stała tuż koło sakiewki z Humbartem. Potwory wpadły na siebie, tworząc splątany kłęb. Pozostałe monstra zawahały się, nie wiedząc, jak zachować się w obliczu nowego przeciwnika.

– Świetnie, panienko! - pochwaliła ją czaszka. - Bardzo sprytna sztuczka!

– Przestań! Jak mogę pomóc Zayłowi?

– Daj mu jego sztylet! To pomoże. Obiecuję!

– A gdzie on jest? - Rozejrzała się gwałtownie wokół.

– Ten przekłety Karybdus ma go za pasem. Tam go widziałem!

– Za pasem? - spytała Salene, spoglądając na leżącego nieruchomo nekromantę.

– Tak. To nasza jedyna szansa.

Ta zachęta wystarczyła. Kobieta raz jeszcze spojrzała na Karybdusa, chcąc się upewnić, że nawet jeśli żyje, to jest nieprzytomny.

Skupiła się i natychmiast znalazła się przy ciele nekromanty. Sprawdziła, czy nie ma w pobliżu żadnego z potworów, pochyliła się i odsunęła na bok płaszczy mężczyzny.

Jest! Salene wyciągnęła kościany sztylet zza pasa...

Wtedy właśnie Karybdus otworzył oczy.

– Nie - powiedział cicho. - Raczej nie!

Schwycił jej nadgarstek. Salene Nesardo spróbowała teleportować się jak najdalej od niego. Czar jednak nie zadziałał. Spróbowała razić ogniem. Także bez skutku.

– Znam obie twoje sztuczki - oświadczył siwowłosa takim tonem, jakby właśnie sprawdzał swego ucznia. - I obie zablokowałem. Nic już nie możesz zrobić.

Desperacko zamachnęła się sztyletem. Nekromanta schwycił jej drugą rękę.

– Nic - powtórzył. - Absolutnie nic.

DWADZIEŚCIA DWA



Salene szarpnęła się, ale nekromanta trzymał ją zbyt mocno. Starła się nie patrzeć Karybdusowi w oczy. Wiedziała dobrze, czym to grozi. Zdawała sobie jednak sprawę, że wcześniej lub później mag wyssie z niej energię, tak samo jak w świątyni, albo użyje przeciwko niej jakiegoś innego czaru.

Spojrzała na sztylet Zayla. Gdyby choć udało jej się w jakiś sposób przekazać go młodemu nekromancie. Wtedy jej śmierć nabrałaby sensu. Humbart mówił przecież, że ze sztyletem w dłoni Zayl miał szansę.

Gdyby...

Niewidzialna siła wydarła jej sztylet z dłoni. Pomyślała, że zabrał go Karybdus, lecz rozdrażniony pomruk starego mężczyzny świadczył, że stało się inaczej.

Sztylet zawisł w powietrzu, jakby czekając. Salene wpatrzyła się w niego, skupiając myśli na życzeniu, by powrócił do Zayla.

Kiedy tylko o tym pomyślała, kościane ostrze pomknęło ku młodemu nekromancie.

Salene zrozumiała, że sztyletem kierowała jej własna wola. To ona sprawiła, że broń poleciała ku Zaylowi.

– Nie! - syknął Karybdus, starając się ustawić ją tak, żeby musiała spojrzeć mu w oczy. Lady Nesardo wyrywała się, próbując bez przerwy patrzeć w stronę Zayla.

Nagle do sali wtargnął olbrzym.

Wendigo krwawiło na całym ciele. Ramię zwisało mu bezwładnie. Ciało giganta uczepiło się kurczowo kilku ludzi-pająków. Kolos stawiał kroki z wyraźnym trudem. Parł jednak niepowstrzymanie naprzód. Jeden z uwieszonych jego futra mutantów znalazł się w pewnej chwili zbyt blisko sprawnej ręki. Olbrzym chwycił go za głowę i zmiażdżył ją w żelaznym uścisku.

Pojawienie się wendigo odciągnęło pozostałe sługi Jitana od Salene. Rozumieli, że ten przeciwnik stanowi dla ich pana śmiertelne niebezpieczeństwo.

Także Karybdus stał przez chwilę zdezorientowany. Na to tylko czekała Salene. Wspięła się lekko na palce i spojrzała na wystającą z kokonu rękę Zayla.

Kościany sztylet wleciał pomiędzy pajęczyny, lądując idealnie w pozbawionej skóry i ciała dłoni nekromanty.

Kobieta poczuła, że starzec rozluźnił uchwyt. Zanim jednak zdążyła odpowiednio zareagować, palce Rathmity zacisnęły się na jej gardle.

– Chcesz zakłócić Równowagę - powiedział. Tylko lekkie drżenie jego głosu zdradzało, jak bardzo jest wściekły. - A nie ma większej zbrodni niż ta. Poniesiesz karę.



Zayl był otępiały. Nie mógł zebrać myśli. Jedyne resztkami woli stawiał jeszcze opór demonowi.

Wtedy poczuł w dłoni ciepły, cudownie znajomy kształt. Kościana ręka nekromanty zacisnęła się na rękojeści sztyletu.

Natychmiast odzyskał nadzieję.

Instyktownie wyszeptał kilka słów. Słów w tajemnym języku, który wieki temu Trag'Oul przekazał Rathmie.

W odpowiedzi na zaklęcie sztylet rozblęsnął światłem. Ostrze przepełniła magiczna moc.

Zayl poczuł, że pajak wzdrygnął się z odrazą. Nekromanta starał się kierować sztylet w kierunku Astroghi.

Demon zdjął jedno odnóże z głowy Rathmity. Jednocześnie zelżał napór, jaki pajak wywierał na umysł nekromanty. Zachęcony tym sukcesem Zayl poruszał sztyletem w przód i w tył. Kolejne pajęczce odnóża odrywały się od jego czaszki. Pocięta pajęczyna opadała na ziemię.

Mogąc swobodniej poruszać głową i ramieniem, szarpnął się, chcąc uwolnić się z odrażającego kokonu.

Wtedy poczuł gwałtowny ból w głowie i zrozumiał, że Astrogha rozpaczliwie próbuje dostać się do wnętrza jego umysłu.

– *Zabraniam ci!* - powiedział do demona. – *Możesz mnie zabić, lecz nigdy mnie nie dostaniesz!*

Astrogha zrezygnował. Nekromanta czekał, podejrzewając w tym podstęp.

Pajak zeskoczył mu z głowy.

Zayl ucieszył się, lecz zastanawiało go, co planuje pajęczy demon. Moment, w którym Astrogha mógł pojawić się ponownie w świecie śmiertelnych, nieubłaganie przemijał. Demon tracił czas. Musiał zatem mieć inny plan.

Skupiony na tym Zayl rozciął z furią oblepiającą go pajęczynę. Cały czas spodziewał się ataku ze strony samego Astroghi lub któregoś z jego sług. Atak jednak nie nastąpił. Gdzie był Karybdus? Przecież nie mógł mu tak po prostu pozwolić uciec.

Pozbywając się kokonu, usłyszał dziwne dźwięki. Bardzo niepokojące dźwięki. Dobiegł go przepełniony bólem ryk, który mogło wydać tylko wendigo. Usłyszał też opętańczy syk ludzi-pająków, którzy z pewnością atakowali leśnego giganta. Następnie doleciało nekromantę wołanie Humbarta.

– Zayl, druhu! Zayl! On ją złapał! Ten bękart ją dopadł! Karybdus! On... Wielkie nieba! Uciekaj stamtąd, druhu! On puchnie!

Ostatnie słowa Wessela odnosiły się do czegoś, co właśnie zobaczył też i Zayl.

Nekromanta wyczuł, że Astrogha próbuje odtworzyć swą prawdziwą postać, wykorzystując osłabione granice pomiędzy sferami istnienia.

Ale czyjego ciała użył?

Zayl uniósł wzrok i pojął. Pajęczy demon dopełził do ciepłego jeszcze ciała lorda Jitana i przejął nad nim władzę. Większą część ciała arystokraty pokrywała już pajęczyna. Rozpoczęła się przerażająca przemiana. Zwłoki Aldrica Jitana nabrzmiały. Były już większe niż ciało zwykłego, dorosłego człowieka. Po chwili demon dorównywał już rozmiarami wendigo i rósł nadal.

Strażnik Równowagi wypowiedział zaklęcie i cisnął sztyletem. Ostrze przecięło powietrze i uderzyło w wielki kokon. Odbiło się jednak od niego niczym od stalowej tarczy.

Sztylet wrócił nekromancie do ręki i w tej samej chwili Zayl usłyszał żalosne wycie. Horda napastników powaliła w końcu wendigo. Odważny olbrzym padł na kolana. Udało mu się jeszcze zmienić w krwawą miazgę jednego z mutantów, po czym z głuchym jękiem padł twarzą na kamienną posadzkę.

Zayl nakreślił w powietrzu magiczny znak. Natychmiast zmaterializowały się Zęby Trag'Oula i pomknęły ku siedzącym na wendigo

potworom. Dzieci Astroghi zginęły w jednej chwili, przebite magicznymi pociskami. Przeżyły olbrzyma jedynie o kilka sekund.

Czarownik nie zabił jednak wszystkich. Co gorsza, pod ścianą ujrzał zmagającą się z Karybdusem Salene. Wokół starego nekromanty zbierała się magiczna aura. Domyślił się, że starzec szykuje się do rzucenia na lady Nesardo najstraszniejszego czaru.

Zayl zacisnął zęby i spojrział na martwe wendigo. Nie mógł dopuścić, by Karybdus otrzymał następną okazję, aby skrzywdzić Salene albo kogokolwiek innego.

Słowa zaklęcia były proste, lecz wypowiedzenie ich kosztowało nekromantę niemal wszystkie siły. Mimo to zobaczył nad ciałem olbrzyma wirujące pasma mgły. Uśmiechnął się z ponurą satysfakcją.

– Karybdusie! - krzyknął Zayl. - Karybdusie! Skoro nie używasz już własnej duszy, nie widzę powodu, byś musiał ją mieć!

Tak, jak się spodziewał, przeciwnik spojrział w jego stronę, tracąc w ten sposób koncentrację konieczną do rzucenia własnego zaklęcia.

Nad ciałem wendigo zmaterializował się duch w kształcie szkieletu przypominającego nieco zabitego olbrzyma. Rozwinął wielkie skrzydła. Istota przypominała upióra, z którym Zayl walczył w krypcie, była jednak o wiele większa.

Wyjąc mściwie, upiór pomknął ku Karybdusowi.

Stary nekromanta miał doskonały refleks, lecz nawet on nie mógł usunąć się w porę. Zdążył jednak zasłonić się Salene tuż przed tym, nim dosięgła go zjawa.

Jednakże w odróżnieniu od upióra z krypty duch, przywołany przez Rathmitę, atakował wybiórczo. Istota nie zagrażała tym, których ocalenia chciał młody nekromanta. Salene była więc zupełnie bezpieczna, nawet jeśli Karybdus użył jej jako żywej tarczy.

On sam bezpieczny nie był. W mgnieniu oka upiór ominął lady Nesardo i wbił swe kościane szpony w pierś starego nekromanty, zanim ten zdążył krzyknąć.

Sekundę później wyrwał je z ciała mężczyzny. Tym razem miał na nich lekko jaśniejącą mgiełkę. Wrzeszcząc przeraźliwie, widmo powróciło do ciała wendigo i poprzez nie powróciło do krainy umarłych.

Upiór uniósł ze sobą duszę Karybdusa.

Czyżby? Kiedy Salene ruszyła biegiem do Zayla, siwowłosa nekromanta, który jeszcze chwilę temu wyglądał, jakby miał upaść, wyprostował się ponownie.

Znów był groźny, choć twarz miał poszarzałą.

– Utrata... fragmentu... duszy - wystękał - nie... jest... tak... kłopotliwa... jak... to... sobie... wyobrażasz... młody Zaylu... Zdarzało mi się... to... i przedtem... lecz zawsze... zastępowałem ją... nową. - Czarnoksiężnik uniósł dłoń, mierząc w biegnącą Salene. - Którą... zabierałem... tym... którym... już... nie była... potrzebna.

– Salene! - krzyknął Zayl, przerażony, wiedząc, że nie zdąży zareagować na czas. - Uważaj!

Karybdus rzucił zaklęcie, lecz w tej samej chwili, gdy pojawił się przed nim Szpon Trag'Oula, kobieta rozplynęła się w powietrzu. Kościana włócznia przemknęła przez salę i uderzyła w ścianę z taką siłą, że zatrzęsły się skały, a z powały posypały się fragmenty starożytnej zaprawy murarskiej. Uderzenie wywołało reakcję łańcuchową. Szybko rosnące szczeliny w skałach zbliżały się do miejsca, gdzie stał siwowłosa mag.

Salene tymczasem stała już obok starego nekromanty. W jej ręku widniała broń, aż nazbyt dobrze znana Zaylowi. Arystokratka trzymała rytualny sztylet, którym pozbawiono życia Sardaka.

– To za mojego brata! - krzyknęła.

Zamachnęła się sztyletem, uderzając nim w plecy Karybdusa. Natychmiast skoczył na nią jego odrażający, pajęczy pupil. Salene uniknęła ugryzienia i jednym pchnięciem zabiła stworzenie.

Mężczyzna zachowywał się tak, jakby cios dosięgnął i jego. Jęknął w niezwykły dla siebie sposób i odepchnął kobietę do tyłu. Zabity pająk wpadł mu w ramiona. Mag przyklęknął, rozpaczliwie próbując zaleczyć ranę w plecach.

Roztrzęsiona Salene zmaterializowała się obok Zayla. Pomogła mu wstać i spojrzała na niego czerwonymi od łez oczyma.

– Zayl, ja...

– Nie przejmuj się - odrzekł i odepchnął ją, usuwając z drogi ataku jednego z ludzi-pająków. Uniósł sztylet, którego blask oślepił napastnika w powietrzu. Potwór wpadł na ołtarz i zanim zdążył się pozbierać, Zayl przebił mu czaszkę wraz z siedzącym na niej pasożytem. Chwilę później podniósł broń na wysokość ust i wymamrotał zaklęcie. Dookoła nich wyrósł kościany mur, o który rozbiły się kolejne ataki potworów.

Nekromanta odetchnął głęboko i powiedział:

– Musimy skończyć z Astroghą, zanim będzie dla nas wszystkich za późno.

Salene Nesardo spojrzała na przeistaczającego się demona i przytaknęła skinieniem, niezdolna powiedzieć choć słowa. Zayl doskonale rozumiał, co czuła. Przemiana Astroghi stała się już niemal całkowita. Napuchnięty kokon był dwa razy większy od wendigo. Wewnątrz, widoczne w bladej poświacie, poruszało się coś, co już nie było Aldrikiem Jitanem. Istota w kokonie przypominała nieco zmutowanych ludzi, lecz wyglądała jeszcze bardziej przerażająco i odpychająco. Miała kształt trochę jak pająk. Tak jak i pająki, miała osiem odnóży. Kilka jej cech przywodziło jednak na myśl człowieka. Demon miał wielką, niezgrabną głowę z kilkorgiem oczu,

umieszczonych blisko siebie. Na jego twarzy poruszało się coś, co z pewnością było owadzimi szczękami. W wielu miejscach, przez pajęczynę kokonu, przebijały się czarne włosy, sierść demona.

Zayl spojrział na sufit. Nekromanta wyczuł, że Pajęczy Księżyc niedługo zajdzie, a pokrywający go cień zniknie. Wiedział, że jeśli to nastąpi, a im nie uda się powstrzymać demona, to ów dopełni przeistoczenia i pozostanie w świecie śmiertelnych - w swej prawdziwej postaci i w pełni swej mocy.

Wtedy nie byłoby już ratunku dla Marchii Zachodniej ani - prawdopodobnie - dla pozostałych Zachodnich Królestw.

Co jednak mógł uczynić? Jak dotąd jedynie zawodził. Nie udało mu się przechytryć ani demona, ani Karybdusa. Jedyne efekty jego akcji ratunkowej to złożenie Sardaka w ofierze...

– *Oczywiście!* - Skojarzył nagle w myślach. - *Krew!*

– Posłuchaj mnie - powiedział, zwracając się do Salene. - I wybac mi to, o co poproszę, pani. Jest tylko jedna rzecz, która może powstrzymać Astroghę przed całkowitym wniknięciem do naszego świata. Twoja krew...

– Co?

– Spokojnie! Nie potrzeba jej wiele. Nawet nie tyle, ile ci utoczyłem przed przyzwaniem Riordana. Wystarczy tyle, by zabarwić czubek sztyletu, który zabrałaś Karybdusowi. Jesteś potomkiem Astroghi! Twoja krew należy do obu sfer.

– Pochodzę od tej rzeczy? - Salene nie mogła w to uwierzyć.

– Łączy was jedynie krew! - oświadczył z naciskiem Rathmita. - Nic więcej. Jesteś w pełni człowiekiem i należysz do tego świata, a to, że masz wspólną z demonem krew, okaże się nie tylko naszym zbawieniem, ale i jego zgubą. To, co może pomóc mu przyjść do naszego świata, może go również stąd wygnać.

W sali rozległ się przeraźliwy dźwięk rozdieranego kokonu. Z pajęczyny wyłoniła się ohydna kończyzna, zakończona pięcioma ludzkimi, lecz uzbrojonymi w szpony dłońmi.

– Co mam zrobić? - Twarz lady Nesardo stężała.

– Daj mi ten sztylet... i odsłoń nadgarstek.

Salene usłuchała. Zayl z przepaszającym wyrazem twarzy wytarł ostrze do czysta i nakłuł jej skórę.

Krew, sprzeciwiając się grawitacji, wpłynęła w górę po ostrzu. Nekromanta czekał cierpliwie, ignorując potwory bezustannie atakujące mur z kości. Nie zwracał też uwagi na wychodzącego z kokona Astroghę.

– Już! - oznajmił po chwili. Wyszeptał nad ostrzem kilka słów i spojrzał z satysfakcją na słabą, zieloną poświatę otaczającą krew i sztylet. Zwrócił broń towarzyszce.

– Tylko ty możesz to zrobić. Jego ród, twoja krew, twoja ręka. Wybacz, ale to musi się odbyć w ten sposób...

Salene machnęła sztyletem niczym amazonka.

– Powiedz mi tylko, jak mam go trafić. Zbyt wiele straciłam przez tego diabła.

– Uderz w głowę. To musi być cios w głowę. Między oczy. Nie mamy już wiele czasu.

– Powinnam więc iść, tak? -powiedziawszy to, zniknęła.

Zayl przez krótką chwilę chciał ją zatrzymać, lecz wiedział, że to nie zmieniloby niczego. Oboje zdawali sobie sprawę, że mogła zginąć, nawet jeśli udałoby się jej pokonać demona.

Jednakże nekromanta chciał zrobić wszystko, co w jego mocy, by do tego nie dopuścić. Trzymając swój sztylet w pogotowiu, zwrócił się w stronę Astroghi. Demon zdążył już uwolnić z pajęczyn dwie kolejne kończyzny, którymi próbował właśnie odsłonić głowę.

– *Takkkkk!* - zasyczał Astrogha. - *Powróciłem w chwale! Dzieci moje poźrą ten świat!*

Tuż za pajęczym demonem zmaterializowała się Salene. Bez wahania wbiła sztylet we wskazane przez Zayla miejsce.

Demon zawył w agonii. Sztylet wszedł miękko w jego czaszkę. Ciało Astroghi drgnęło gwałtownie. Salene nie upadła jedynie dzięki temu, że mocno ścisnęła rękę sztyletu.

Rathmita się przeliczył. Demon nie zginął. Pajęczy Księżyc znajdował się już w takiej fazie, że nie można było zgładzić Astroghi nawet w ten sposób. Arystokratka z pewnością zadała mu cierpienie, lecz nic więcej.

Szponiaste ręce demona opadły na lady Nesardo, rozdzierając jej szaty z diabelską zawziętością. Zayl zrozumiał, że Salene jest tak roztrzęsiona, iż straciła zdolność do teleportacji.

– Do mnie! - krzyknął. - Weź sztylet! Prędko!

Ściana z kości zatrzęsła się nagle, lecz nie spowodowała tego ataki Dzieci Astroghi.

Za ścianą stał poblądły Karybdus. Z grymasem bólu na twarzy wyciągał rękę w stronę swego rywala. Ściana znów zadrżała. Tym razem odpadło z niej kilka kości.

– Nie... dopuszczę... byś zmarnował... lata... mojej... pracy. Otrułem następcę tronu... zwiódłem tego arystokratycznego bufona... udało mi się opanować umysł następcy tronu... Nie pozwolę ci na to!

Kościany mur rozpadł się na kawałki i w tej samej chwili Salene zmaterializowała się przed Zaylem, wpadając mu w ramiona.

– Nie... nie zadziało, Zayl.

– Wiem, ale nadal mamy szansę. Masz sztylet?

W odpowiedzi uniosła broń. Na ostrzu poza krwią Salene Nesardo znajdował się teraz ciemny śluz z ciała demona. Mimo siły, z jaką

arystokratka zadała cios, na sztylcie widniało jedynie kilka kropel tej mazi.

Tyle jednak powinno wystarczyć. Tylko że teraz stał im na drodze Karybdus.

– Salene, atakuj Karybdusa wszystkim, co masz! Już!

Zakuty w zbroję stary nekromanta szykował się właśnie do rzucenia zaklęcia. Salene posłała w jego kierunku strugę płomieni.

Tym razem mężczyzna był lepiej przygotowany na ognisty atak i odbił go z łatwością, kierując płomienie wprost na kilkoro Dzieci Astroghi, które spaliły się natychmiast. Czar musiał jednak zacząć od nowa, a tylko o to chodziło Zaylowi.

Tymczasem w kokonie zostało jeszcze tylko jedno koszmarne odnoże demona. Gdzieniegdzie na jego ciele zwisały strzępy stroju Aldrica Jitana. W ohydnych, pajęczym ciele Astroghi można też było dostrzec niejaki podobieństwo do zabitego arystokraty. Pająk nie przejął wiedzy i zdolności nekromanty, lecz to, co zabrał Aldricowi, z pewnością i tak zwiększyło jego potęgę. Demon stał się teraz o wiele silniejszy niż wtedy, gdy walczył z Vizjerei.

Dwoma kończynami Astrogha zacisnął kurczowo ranę w głowie, z której buchnęły języki czarnego ognia. Demon się leczył.

Strażnik Równowagi zdawał sobie sprawę, że nie był już w stanie zniszczyć potwora. Miał jednak inny plan.

Wyszeptał słowa zaklęcia i nakreślił ręką w powietrzu owalny kształt, w nim zaś umieścił trzy krzyże. Potem dotknął czubkiem swego sztyletu koniuszka rytualnego ostrza, które podała mu Salene. Trzymając je razem, skierował ostrza nie na demona, lecz na to, co pozostało z Pajęczego Księżyca.

W tym miejscu sfery istnienia zbiegają się najbardziej, a dzielące je granice są najcieńsze. Przypomniawszy sobie, skupiając się. Dlatego właśnie

Vizjerei stworzyli klejnot i dlatego chcieli zburzyć potem świątynię.

Dobiegł go krzyk Salene, lecz nie odważył się zakłócić swej koncentracji. Miał tylko jedną szansę...

Skorupa Pajęczego Księżyca rozwarła się niczym rozkwitający kwiat... lub może raczej jak wygłodniała paszcza. Klejnot urósł. Zayl poczuł zrywający się gwałtowny wiatr. Wiatr gnający do wnętrza magicznej skorupy.

– Na powrót jestem całością! - zasyczał olbrzymi pająk, który nie widział tego, co działo się za jego plecami. Wpatrywał się w nekromantę. - Twojej krwi skosztuję pierwszej!

Cztery pajęcze odnóża sięgnęły po Zayla, który ani drgnął, pozostając w skupieniu.

Szarpiące szponami powietrze ręce demona znalazły się o kilka cali od nekromanty, lecz nie posunęły się dalej. Demon został schwytany przez niewidzialną, niezwykłą siłę.

– Co to ma znaczyć? - zapytał zaskoczony Astrogha.

– Zwracam cię jednemu światu, w którym będziesz kiedykolwiek władać, demonie! - krzyknął nekromanta. - Jedynemu, na jaki zasługujesz!

Ogromny pająk spojrzął za siebie.

– Nie! Nie tam! - Zayl po raz pierwszy usłyszał w głosie demona lęk. - Nie wrócę tam! Już nigdy!

– Nie ma dla ciebie innej drogi! Musisz wrócić!

Wewnątrz klejnotu, który teraz był już duży, ziała bezkresna otchłań. Wiatr wzrastał się z każdą chwilą. Płaszcz Zayla szarpał się dziko, unoszony podmuchami ku magicznej perle. Nekromanta jednak stał mocno na nogach.

Od ściany oderwał się jeden z mutantów Jitana. Przeleciał obok człowieka i demona, po czym zniknął wewnątrz perły. Za nim wiatr porwał

następne monstra. Były Dziećmi Astroghi. Dziedziczyły więc po swym ojcu jego przekleństwo i musiały podzielić jego los.

Wtedy zdarzyło się coś, czego nekromanta nie przewidział. Leżące na ziemi obok ołtarza ciało Sardaka drgnęło, jakby brat Salene nagle ożył. Przesunęło się kawałek w stronę otwartej muszli klejnotu, zatrzymując się na kilku oderwanych z powały odłamkach skał.

Członkowie rodu Nesardo także byli związani z demonem. Im także groziło wessanie przez magiczną perłę.

W obawie o Salene Zayl oderwał swe myśli od zaklęcia.

Dopiero wtedy zobaczył, że arystokratka leży nieruchomo na posadzce. Jej wsysane przez wichur otchłani ciało także zakleszczyło się pomiędzy skałami.

Nekromanta spróbował przyciągnąć ją do siebie. Nagle poczuł, że coś ciągnie go do szarpiającego się rozpaczliwie demona. Astrogha zdołał pochwycić jego nogę. Małe, lecz czepiające się zajadle, szponiaste dłonie rozrywały ubranie i cięły skórę Zayla. Wykręcając niemal nogę, nekromanta zburzył stworzony do zaklęcia układ sztyletów i ciął swym kościanym ostrzem trzymające go palce.

Demon zasyczał i puścił, po czym chwycił się ścian ogromnego teraz klejnotu, rozpaczliwie starając się wydostać z objęć wichru. Strzyknął w Rathmitę pajęczyną. Zrobił to jednak zbyt lekko i sieć spadła na ołtarz. Jeśli Astrogha spodziewał się, że ciężka, kamienna płyta pomoże mu wyrwać się z wciągającego go klejnotu, to pomylił się okrutnie. Wiatr wsysał go coraz mocniej. Mocowanie ołtarza zaczęło drżeć. Kamienna płyta oderwała się wreszcie i uderzyła demona w tułów. Astrogha puścił ściany klejnotu i zniknął w czarnej, bezkresnej otchłani.

– Nieee... - zawył wirując w pustce. - Nieee...

Demon zniknął, lecz Pajęczy Księżyc nadal wsysał wszystkich z nim związanych. Wewnątrz perły znikła reszta, rozpaczliwie szukających ocalenia, Dzieci Astroghi.

Zayl poczuł, że wiatr wsysa nawet rytualny sztylet. Jednak nekromanta potrzebował go jeszcze. Musiał mieć absolutną pewność, że magiczny kamień się zamknie.

Ręka w ciężkiej rękawicy chwyciła go za gardło.

– Zniszczyłeś wszystko! - wycharczał mu Karybdus do ucha. - Równowaga nigdy nie zostanie odzyskana! Ty ślepy głupcze!

– Jedynym ślepcem - wystękał Zayl, odwracając się twarzą do napastnika - jesteś ty! Zaślepiło cię szaleństwo!

– Daj mi sztylet! - zażądał stary nekromanta, nie zwracając uwagi na słowa młodszego. - Nadal można to odwrócić!

Zayl czuł wściekłość jedynie kilka razy w życiu. Największej doświadczył wtedy, gdy swym zaklęciem, rzuconym przeciw złu, zwalczanemu przez niego oraz jego rodziców, wywołał pożar, w którym zginęli wszyscy prócz niego. To, że wtedy przeżył, i to niemal bez zadraśnięcia, zasiało w jego duszy gniew, z którym zmagał się potem przez długie lata. Ta walka z samym sobą doprowadziła nawet do tego, że próbował czynu niewyobrażalnego. Chciał wskrzesić rodziców, a swoją duszę oddać królestwu umarłych w zamian. Tylko mądrość nauczycieli chłopaka uchroniła go od rozpętania katastrofy jeszcze gorszej niż pożar. Także tylko dzięki swym mentorom pogodził się wreszcie z faktem, że nie jest w stanie zmienić tego, czego zmienić się nie da, że musi pogodzić się z odejściem jedynych osób, na których naprawdę mu zależało.

Taki sam gniew, jak ongiś wobec siebie, czuł teraz wobec Karybdusa, którego przecież tak bardzo dawniej podziwiał. Ten mężczyzna w obrzydliwy sposób wypaczył wszystko, w co Zayl wierzył. Stary

nekromanta stał się takim nekromantą, jakiego we wszystkich Rathmitach widzieli ludzie spoza zakonu. Co gorsza, pomiędzy nimi leżało ciało kobiety przybyłej Zaylowi na pomoc, kobiety, do której młody nekromanta poczuł coś, czego nie potrafił nawet nazwać. Myśl o tym, że ona zginęła z ręki Karybdusa, stała się kroplą przepełniającą ocean wściekłości.

– Tak, zwrócę ci sztylet! - wykrzyknął Karybdusowi w twarz. - Niech Smok przyjmie ciebie i jego.

Zayl pchnął starca rytualnym ostrzem w pierś. Opatrzonych zaklęciami zbroji nie dałoby się przebić zwykłą bronią, jednak demoniczny sztylet, obłożony zaklęciami i wzmocniony dodatkowo siłą woli młodego mistrza, przebił ją niczym kartkę papieru.

Karybdus szeroko otworzył oczy, czując, jak sztylet wbija się w jego czarne, pozbawione duszy serce.

Zayl odwrócił maga tak, że ów stanął plecami do ziejącej w Pajęczym Księżycu otchłani.

– Równowaga zostanie zachowana - wyszeptał do starego nekromanty i popchnął go najmocniej, jak mógł, puszczając jednocześnie rękojeść sztyletu.

Karybdus rozpaczliwie spróbował uchwycić się poły płaszcza Zayła. Nie udało się.

Siwowłosy nekromanta runął z krzykiem w pustkę, w ślad za demonem-pająkiem i jego diabelskim pomiotem. Starł się jeszcze chwycić ścianek klejnotu, otwartych teraz tylko na tyle, by mógł się zmieścić wewnątrz. Podobnie jak demon nie dał jednak rady i został wessany w otchłań.

Jego krzyk umilkł dopiero wtedy, gdy ścianki Pajęczego Księżycza zamknęły się na dobre.

Wyczerpany Zayl przyklęknął na jedno kolano. Świątynia, naruszona przez rozszalałe w niej potężne moce, zaczynała się walić. Nekromanta nie

zwracał na to większej uwagi. Był rozdarty pomiędzy smutkiem z powodu śmierci Salene a koniecznością dopilnowania Pajęczego Księżyca.

Kiedy tylko zdradliwa faza księżyca dobiegła końca, magiczny klejnot zaczął się gwałtownie kurczyć, wracając do swych poprzednich rozmiarów.

Zayl wiedział, że musi zrobić jeszcze jedno. Nie mógł pozwolić, aby perła pozostała w świątyni, nawet jeśli miała zostać pogrzebana pod zwałami gruzu. Pajęczy Księżyc znajdował się zbyt blisko miejsca, w którym granica dzieląca świat śmiertelnych i Piekło była najsłabsza. Nekromanta nie mógł ryzykować ponownego uwolnienia się Astroghi. Poza tym teraz w klejnocie uwięziony był także Karybdus.

Rathmita spróbował wstać, lecz nie starczyło mu na to siły. Ruszył więc, czołgając się w kierunku Pajęczego Księżyca.

Klejnot, nie większy teraz niż wtedy, gdy znajdował się w rękach Aldrica Jitana, kusił go swą bliskością. Wyczerpany mężczyzna coraz bardziej wątpił, czy uda mu się do niego dotrzeć. Nie mógł się już ruszać.

I wtedy pochwyciły go dwa mocne ramiona, unosząc, jakby był dzieckiem. Zayl pomyślał, że to wendigo, które w jakiś sposób jednak przetrwało. Chciał podziękować leśnemu olbrzymowi, ale nie mógł wykrztusić ani słowa.

W końcu dotknął Pajęczego Księżyca. Uczepił się go, przytknął do jego ścianek swój sztylet i wymamrotał jedno, ostatnie zaklęcie.

Przyszli w swych widmowych postaciach. Wszyscy trzej. Zayl czuł ich obecność, od kiedy tylko znalazł się w świątyni. W niewyraźnych, mglistych kształtach nekromanta rozpoznał Vizjerei. Karybdus zabezpieczył to miejsce przed ich magią, lecz Zaylowi mogli pomóc nawet jako cienie.

– Księżyc... zabierzcie go! - zdołał powiedzieć, przełknąwszy ślinę. - Rozkazuję wam zabrać go i pogrzebać jak najgłębiej, w jak najdalszym i

najmniej dostępnym miejscu na dnie morza. Ukryjcie go tak, by nigdy nie odnalazł go już ani człowiek, ani demon, ani anioł.

Widmo stojące pośrodku trójki pochyliło się i swymi bezcielesnymi rękami podniosło magiczny klejnot.

– *Pajęczy Księżyc zniknie* - wyszeptała zjawa. - *Na szczęście...*

Chwilę potem duchów Vizjerei i perły już nie było.

Rathmita przekręcił się na plecy. Chciał poprosić wendigo, żeby zabrało ciało Salene z powrotem do miasta, gdzie mogłaby zostać godnie pochowana. Jednak ku jego zaskoczeniu nikt nad nim nie stał. Obrócił głowę i zobaczył, że wendigo nadal leży tam, gdzie padło. To nie gigant mu pomógł. Dopiero teraz zresztą przypomniał sobie, że sam przywołał jego zjawę podczas pojedynku z Karybdusem.

Zatem... kto mu przed chwilą pomógł?

Zanim zdołał sobie odpowiedzieć, usłyszał niepokojący jęk. Po chwili dobiegł go następny.

– Salene... - wyszeptał - Salene...

– Za...Zayl - padła cicha, niespodziewana odpowiedź.

Pozwolił sobie na krótki uśmiech... i zemdlął.



Sytuacja w całym mieście, zwłaszcza na odcinku, którego obroną dowodził generał Torion, stała się beznadziejna. Pająków było więcej niż liści na drzewach i nacierały coraz zacieklej, z zawziętością, przeciw której nie mogła wytrwać nawet najwyższa odwaga obrońców.

Generał wiedział, że ogląda koniec Marchii Zachodniej.

Wtedy jednak wydarzyło się coś równie niesłychanego jak cudownego. Morze pająków zatrzymało się nagle, jakby kierowane jedną myślą. Ludzie,

pewni, że to jakiś okrutny podstęp, czekali w napięciu.

Po chwili, na ich oczach, pająki zaczęły się rozpadać.

Ośmionogie potwory obracały się w popiół całymi setkami. Wyglądało to tak, jakby jakaś nieznana siła w jednej chwili odebrała im całą energię życiową. Niektóre z nich rozkład dosięgnął w pół kroku, inne rozpadały się uczepione głów swych gospodarzy. Ginęły wszędzie tam, gdzie się znajdowały.

Ofiary pajaków, pokryte popiołem, pozbawione kierującej nimi dotąd pajęczej woli, padały na ziemię niczym szmaciane lalki. Ich porozrzucone tu i tam ciała leżały w popiele, który jeszcze przed chwilą zagrażał królestwu zagładą, a teraz spływał z ulic, zmywany padającym deszczem.

Ktoś zaśmiał się histerycznie. Śmiech okazał się zaraźliwy i wkrótce ci, którzy przetrwali, śmiali się już wszędzie. Śmiech w ciągu kilku chwil rozbrzmiewał w całej stolicy.

Najgłośniej śmiał się generał Torion, głównodowodzący armii królestwa. On jeden wiedział, że przed chwilą ocalała nie tylko Marchia Zachodnia, ale i wszystkie Zachodnie Królestwa.

DWADZIEŚCIA TRZY



Usłyszał głosy. Zayl rozpoznał oba, nawet przez drzwi. Nasłuchując, zawahał się, czy nacisnąć klamkę.

– Justynian nadal bardzo chce się z nim zobaczyć, Salene. Wydaje mi się, że chce odznaczyć go orderem.

– Torionie, a co na to Kościół? Król Marchii Zachodniej dekorujący orderem nekromantę? Tuż pod ich nosem? Starszyzna Zakarum wpadnie w szal.

– To mogłoby być interesujące widowisko - roześmiał się generał.

– Tak czy inaczej, Justyniana czeka zawód. Zayl nie przyjmie takiego wyróżnienia.

– A co w takim razie przyjąłby w nagrodę... Czy może powinienem zapytać, kogo przyjąłby w nagrodę?

Nekromanta postanowił wejść teraz, zanim rozmowa przyjmie obrót zbyt krępujący dla wszystkich.

Generał Torion i Salene stali tuż przy wejściu do przedsionka domu lady Nesardo. Oboje, zaskoczeni, spojrzeli na Rathmitę. Oficer ubrany był tak jak wtedy, gdy Zayl zobaczył go po raz pierwszy. Tym razem jednak miał hełm na głowie, pomimo obecności lady Nesardo. Zayl dobrze to rozumiał. Podejrzewał nawet, że po koszmarze, jakiego miasto doświadczyło w zeszłym tygodniu, wielu jego mieszkańców wołało nie chodzić z odsłoniętymi głowami.



Salene rozpromieniła się na widok nekromanty, a on sam, widząc ją, doznał nieznanego mu wcześniej uczucia lekkości. Zachowując obojętny wyraz twarzy, ukłonił się arystokratce. Salene miała na sobie szeroką, luźną, zielono-srebrną suknię z bufkami i sznurowanym gorsetem.

Włosy spływały jej luźno na ramiona, a całości dopełniał zawieszony na szyi sznur pereł. Zayl odrzucił już trzy wcześniejsze zaproszenia Justyniana Czwartego, który chciał spotkać się z nekromantą w pałacu. Salene natomiast od razu zgodziła się spotkać z królem. Tylko tak mogła opowiedzieć młodemu władcy całą historię.

Obiecała też Justynianowi, że nigdy nie zdradzi nikomu tego, co wiedziała o związku króla z przerażającymi wydarzeniami. Monarcha zawinił, lecz dlatego tylko, że posłużono się nim okrutnie, i nawet Zayl zgodził się, że ujawnienie roli, jaką odegrał król, nie przyniesie nikomu pożytku. Generał Torion miał rację, mówiąc im w którejś z rozmów, że upadek Justyniana oznaczałby jedynie kolejny rozlew krwi i chaos w całym królestwie.

– Magu! - powitał Zayla Torion.

– Generale! - równie zwięźle pozdrowił żołnierza nekromanta i zwrócił się do Salene: - Cieszę się, że tak szybko wróciłaś, moja pani.

– Doprawdy? - Spróbowała usidlić go spojrzeniem.

– Nie chciałbym wyjeżdżać bez pożegnania - powiedział nekromanta, próbując stłumić wzruszenie.

Stojący za Salene Torion uśmiechnął się przelotnie. Szybko jednak spoważniał i powiedział:

– Muszę wracać do swojej kwatery, Salene. Nadal czeka na nas wiele porządków. Muszę też znaleźć wielu nowych żołnierzy, by zastąpili poległych...

– Tak... między innymi Aleca Mattheusa.

– To prawda. Poza tym teraz, gdy już udało nam się pogrzebać wszystkie ciała, będziemy mieć dużo pracy przy odbudowywaniu miasta. - Generał ucałował Salene w rękę. - Wkrótce się pokażę. Mamy wiele do omówienia - dodał i zwrócił się do Zayla: - Żegnaj i powodzenia, magu - rzekł równie zwięźle jak poprzednio. - Dziękuję.

Nekromanta lekko pochylił głowę. Odezwał się dopiero po wyjściu wojskowego.

– Moja praca też dobiegła końca. Czas na mnie. Wzywają mnie inne zadania. Czuję to. Równowaga jest nadal w niebezpieczeństwie.

– A więc pojedę z tobą - oznajmiła Salene z naciskiem, hardo spoglądając na Zayla.

– Ty odegrałaś już swą rolę, moja pani. Udało ci się przenieść nas oboje... i Sardaka... z powrotem do miasta, zanim świątynia legła w gruzach. Potem dopilnowałaś, by mnie wyleczono z ran. To wystarczy z nawiązką. Czas, byś zaczęła wieść normalne życie. Twojego brata pochowano dopiero trzy dni temu i...

– I wtedy skończyło się moje życie w tym mieście. Tutaj został mi już tylko ten budynek. Nie zależy mi już na nim. Myślisz, że mogłabym żyć jak przedtem po tym, co się tu wydarzyło?

– Musisz tu zostać. - Pokręcił głową nekromanta. - Musisz zostać dla dobra całego królestwa. Justynian potrzebuje doradców, i to nie tylko wśród lojalnych żołnierzy, takich jak generał Torion. Potrzeba mu kogoś takiego, jak ty.

Salene otworzyła usta, żeby sprzeczać się dalej, lecz nie potrafiła. Nie poddała się jednak.

– Król uczy się szybko. Nie będzie potrzebował mnie wiecznie... Poza tym nadal czuwa nad nim ojciec... Dzięki tobie.

Zayl nie odpowiedział. Skinął tylko głową. Widmo Corneliusa rzeczywiście miało pozostać razem z Justynianem jeszcze przez jakiś czas. Marchia Zachodnia potrzebowała teraz stabilizacji, nawet jeśli nikt poza Salene i Torionem miał nie dowiedzieć się całej prawdy.

Nekromanta postanowił wyjść, zanim sprawy skomplikują się jeszcze bardziej. Wyminął arystokratkę tak szybko i nagle, że ta musiała go gonić. Złapała go tuż przed tym, nim otworzył wielkie drzwi, wiodące na zewnątrz. Barnaby, który miał obowiązek stać przy wejściu, na wypadek gdyby trzeba je było otworzyć, zniknął, tuż zanim nekromanta zszedł na dół. Mimo wszystko służba nadal była wobec niego uprzedzona.

– Jeszcze jedno, zanim odejdziesz -powiedziała Salene, ściskając jego prawą dłoń bez jakiegokolwiek obrzydzenia tym, co kryło się pod rękawicą.

Zayl chciał zapytać, co miała na myśli, lecz nim zdążył powiedzieć choć słowo, Salene pocałowała go delikatnie w usta.

Gdy się odsunęła, uśmiechnęła się psotnie.

– Ładnie ci w rumieńcach, Po Prostu Zaylu.

Skrywając oblicze pod kapturem, nekromanta uklonił się i szybko wyszedł w bezpieczną ciemność nocy.

– Żegnaj... Salene - wyjąkał w ostatniej chwili.

Pod schodami stał uwiązany koń w pełnym rynsztunku. Koń, który należał przedtem do Sardaka. Lady Nesardo nalegała, by Zayl przyjął od niej choć taki podarek. Nie opierał się. Zarówno koń, jak i zaopatrzenie w jego jukach przydadzą mu się na pewno.

Wiał silny wiatr, lecz na nocnym niebie, po raz pierwszy odkąd przybył do miasta, nie było chmur. Rathmita mocował się z postronkami konia. Zauważył przy tym, że uwiązano je mocniej niż zwykle.

– Założę się o własne życie, także o to pośmiertne, że ona nadal patrzy na ciebie ze schodów, druhu - odezwał się cichy głos z sakiewki wiszącej u pasa nekromanty.

– To nie nasza sprawa, Humbart.

– Tak, jasne - parsknęła czaszka z ironią. - Wierzę w to tak samo mocno, jak i ty.

Węzeł wreszcie puścił i Zayl wskoczył na siodło. Nie mógł przy tym oprzeć się pokusie spojrzenia na drzwi.

Gdyby przyjął zakład, wygrałby Humbart.

Zayl udał, że nie zauważył Salene, i popędził konia ścieżką wiodącą ku bramie. Brama była otwarta. Nie zaskoczyło go to. Prawdopodobnie postarał się o to generał Torion. Strażnik odwrócił wzrok na widok zbliżającego się jeźdźca. Nekromanta popędził konia.

– Obejrzyj się, druhu. Ostatni raz - powiedział Humbart, gdy zbliżali się do bramy.

Zayl obejrzał się. Salene nadal stała w drzwiach.

– Tak myślałem - rzekł Wessel, choć kompan nie odezwał się ani słowem.

Zaraz potem minęli strażnika i przejechali przez bramę. Ciemność, wróg i sprzymierzeniec, skryła nekromantę.



Na zewnątrz posiadłości Nesardo stała postać, z wyglądu przypominająca najemnika o wielu twarzach. W istocie była to jednak istota o wiele potężniejsza. Przyglądała się im obojgu - nekromancie i kobiecie.

Zostali postawieni przed próbą. I zdali egzamin. Obserwator skinął głową. Oboje mieli potencjał. Co prawda, pomógł im nieco, kierując wendigo tam, gdzie było im najbardziej pomocne, lecz zło zostało pokonane dzięki ich własnym wysiłkom.

Ciekawe, jak się zachowają, gdy przyjdzie im spotkać się ponownie.

Z tą myślą istota rozwinęła ogniste skrzydła i niezauważona przez nikogo wzbiła się ku niebu.

KONIEC TOMU CZWARTEGO

PAJĘCZY KSIĘŻYC

TYTUŁOWA

DEDYKACJA

PAJĘCZY KSIĘŻYC

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY